

ZABÓJCA BESTII

WILLIAM KING



PRZYGODY COTREKA I FELIXA

WYDAWCA: WYDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA
MIASTA WARSZAWY

William King

Zabójca Bestii

Przygody Gotreka i Felixa 5

Tłumaczył Grzegorz Bonikowski

Po walce, jaką stoczyliśmy ze smokiem Skjalandirem, przez wiele dni leczyłem rany. Wydarzenia kilku następnych tygodni ogarnia miłosierna mgła zapomnienia. Wiem, że donieśliśmy Carycy Kisleva wieści o nadejściu hordy Chaosu. Wiem, że poleciliśmy do miasta Praag, gdzie mój towarzysz i jego krasnoludzcy kompani liczyli na spotkanie swojej zagłady. Pamiętam, że zostaliśmy powitani w Mieście Bohaterów przez samego księcia, który okazał się być dalekim kuzynem mojej pięknej towarzyszki, Ulriki. Niewiele jednak pamiętam szczegółów dotyczących tych spraw. Z trudnością je sobie przypominam, być może dlatego, że moją pamięć przygniatało wspomnienie apokaliptycznych wydarzeń, jakie miały nastąpić.

To, co zdarzyło się podczas następnych tygodni, rzuciło mnie w jeszcze większe otchłanie przerażenia i rozpacz. Podczas mej długiej i żalosalnej kariery pamiętnikarza Zabójcy Trolli znalazłem się w niewielu miejscach bardziej zatrważających. Nawet dziś drżę wspominając szaleństwo i obłąd tych straszliwych dni...

– Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,
Tom *TV*, spisanych przez Herr Felixa Jaegera
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Rozdział 1

Felix Jaeger spoglądał na północ z wieżycy nad bramą osadzoną w wysokich, zewnętrznych murach Praag. Jego dłonie spoczywały oparte o głowę jednej z wielkich rzeźb, które użyczyły Bramie Gargulców swego imienia. Z wysoka roztaczał się doskonały widok na całe miasto. Tylko długa, węzowata krzywizna rzeki na zachodzie przełamywała monotonię niekończących się równin, które otaczały miasto.

W oddali dostrzegał dym płonących wiosek. To wojna zbliżała się coraz bardziej i zapewne dotrze do miasta przed upływem dnia. Felix zadrżał i owinął podniszczony czerwony płaszcz wokół swej szczupłej, wysokiej osoby. Nie było jednak jeszcze zimno. Prawdę mówiąc, panował nienaturalny upał. Ostatnie dni jesieni w Kislevie były cieplejsze niż niejedno lato w jego ojczyźnie, w Imperium.

Po raz pierwszy w swoim życiu modlił się o śnieg. Tutejsza zima była zabójcza. Stanowiła nieugiętego sojusznika, zadającego śmierć wrogom Kisleva. Przynajmniej, tak twierdzili tubylcy. Władca Zimy był ich największym generałem, wartym legionów uzbrojonych ludzi. Felix zastanawiał się, czy dożyje nadejścia mrozów. Nawet Władca Zimy może okazać się bezsilny wobec wojowników Chaosu i ich plugawej magii.

Wojownicy nadciągającej armii nie byli zwykłymi śmiertelnikami, lecz czcicielami Chaosu, którzy właśnie opuścili Północne Pustkowia. Ze wszystkich głupot, jakich dopuścił się Felix podczas swojej kariery towarzysza Gotreka Gurnissona, stanięcie na drodze armii Mrocznych Mocy było zapewne najgłupsze.

Felix ledwo wydobrzył z ran odniesionych podczas walki ze smokiem Skjalandirem, oraz armiami orków, które próbowały zdobyć smoczy skarb. Czarodziej Max Schreiber wyleczył go i dobrze wykonał swoją robotę, ale Felix nadal nie był pewien, czy czuje się tak silny, jak niegdyś. Miał nadzieję, że gdy nadejdą wojownicy Chaosu będzie w stanie walczyć mieczem z dotychczasową zręcznością. Tak być musi. Jeśli nie podoła – zginie. Najprawdopodobniej i tak umrze. Odziani w czarne pancerze jeźdźcy i ich brutalni poddani nie słynęli z miłosierdzia. Byli nieubłagani i dzicy, żyli tylko po to, by zabijać i podbijać w imię demonicznych potęg, jakie wyznawali. Nawet masywne, grube mury Praag nie powstrzymają ich długo. Jeśli ci przekłęci wojownicy zawiodą, wówczas z pewnością dzieła dokona czarna magia ich czarnoksięskich sprzymierzeńców.

Nie po raz pierwszy Felix zastanawiał się, co właściwie robi w tym miejscu, stojąc na chłodnych murach ufortyfikowanego miasta, setki mil od domu. Mógłby być w tej chwili w Altdorfie, siedzieć w kantorach należących do rodzinnego przedsiębiorstwa, targować się z kupcami wełny i liczyć złoto. Zamiast tego szykował się, by stanąć twarzą w twarz z największą inwazją, jaką ten świat oglądał od dwustu lat – od czasu, gdy Magnus Pobożny odparł legiony potępionych i ponownie zjednoczył Imperium. Felix spojrzał na swojego towarzysza.

Jak zwykle, trudno było stwierdzić, o czym myśli Zabójca. Krasnolud wyglądał na jeszcze większego brutala i ponuraka, niż zazwyczaj. Był niski. Czubek grzebienia jego barwionych na czerwono włosów wznoszących się nad ogoloną głowę ledwo sięgał piersi Felixa, ale krasnolud był ponad dwukrotnie szerszy od człowieka. W jednej dłoni trzymał topór, który Felix z wysiłkiem mógłby podnieść oboma rękami, a nie był słabeuszem. Zabójca potrząsnął głową. Zadzźwięczał złoty łańcuch biegnący od jego ucha do nozdrzy. Krasnolud potarł grzbietem pięści opaskę, która zakrywała jego pusty oczodół i splunął ponad murem.

– Będą tu o zachodzie, człeczyno – rzekł Gotrek. – Albo mój ojciec był orkiem.

– Tak myślisz? Zwiadowcy mówili, że najeźdźcy palą wioski na swej drodze. Z pewnością tak wielka horda nie może poruszać się dość szybko.

Felix miał lepsze pojęcie o rozmiarach hordy niż niemal każdy człowiek w Kislevie. Przelatywał nad wrogą armią w statku powietrznym, Duchu Grungniego, gdy wraz z Zabójcą i ich krasnoludzkimi towarzyszami powracali z zaginionego miasta Karag Dum. Wydawało się, że od tego czasu minęło już pół jego żywota, ale w istocie upłynęły ledwie miesiące. Felix pokręcił głową, zdumiony, jak bardzo jego życie zmieniło się podczas tego miesiąca – znacznie bardziej niż w ciągu całego czasu, jaki upłynął od chwili, gdy złożył swą przysięgę, by podążać za Zabójcą i zapisać jego zagładę w epickim poemacie.

Potem latał statkiem powietrznym, odwiedził pogrzebane krasnoludzkie miasto na jałowych pustkowiach Chaosu, walczył z demonami, smokami, orkami i zwierzoczkami. Zakochał się i kontynuował niełatwy związek z kislevicką szlachcianką, Ulriką Magdową. Niemal umarł od odniesionych ran. Udał się na dwór Lodowej Królowej, Carycy Katariny, przynosząc tej groźnej władczyni wieści o wrogiej armii, a wreszcie przybył do miasta wraz z Gotrekiem i innymi, aby pomóc w powstrzymaniu inwazji. Zdawało się, że ledwo starcza mu czasu, by nabrać oddechu, a teraz znalazł się w środku wielkiej wojny ze zgromadzonymi potęgami Ciemności.

Ponownie zastanawiał się nad powodem swojej obecności w tym miejscu. Z pewnością, nadal wiązała go przysięga złożona Gotrekowi. Była tu także Ulrika, licząca na to, że jej ojciec i jego ludzie dotrą do Praag przed hordą Chaosu. Felix wiedział, że jeśli o to chodzi, czeka ją rozczarowanie.

Odsunął palcami lok długich jasnych włosów opadających na oczy i osłonił wzrok dłonią. Wydawało mu się, że w oddali dostrzega błyski dziwaczного czerwonego i złotego światła. Domyślał się, że to efekt czarów. Wyznawcy demonów używali swojej zakazanej magii. Felix znowu zadrżał, myśląc, że może lepiej byłoby przebywać w kantorze kupieckim w jego domu, w Altdorfie.

Nie całkiem jednak mógł w to uwierzyć. Wiedział, że przywykł już do życia awanturnika. Nawet przed rozpoczęciem podróży z Gotrekiem, życie w stolicy wydawało mu się nieznośnie nudne. Wiedział, że bez względu na to, jak często wydaje mu się, że odrobina nudy wzbogaciłaby jego życie, nie jest w stanie powrócić do tego, co porzucił. Zresztą, niewielka była szansa na powrót. Został wygnany za zabicie podczas pojedynku na uniwersytecie innego studenta. On i Gotrek byli poszukiwani przez prawo za udział w rozruchach po ogłoszeniu podatku od okien.

– Wydaje ci się, że tylko Kislevici mają swoich zwiadowców, człeczyno? – spytał Gotrek. – Wojownicy Chaosu też mają czujki. Nawet oni nie są dość szaleni, by jechać bez nich. Wkrótce tu przybędą.

Felix nie miał ochoty na spekulacje, do czego zdolni są szaleni czciciele Mrocznych Potęg. Wystarczająco szalone wydawało mu się pragnienie wyznawania demonów. Któż mógł powiedzieć, do czego są zdolni? Z drugiej strony, jeśli chodzi o prowadzenie wojny, nie miało znaczenia, jak wielkie jest ich szaleństwo. Byli równie zabójczy, jak każda inna armia, a nawet znacznie bardziej niż większość z nich. Pod tym względem Zabójca zapewne miał rację. Felix powiedział mu o tym. Gotrek syknął przez poczerwiałe zęby.

– To późna pora roku, by maszerować z armią – powiedział. – Wodzowie muszą być przekonani, że zajmą Praag przed nadejściem zimy. Albo nie dbają o to.

– Dzięki – odparł zgorzkniały Felix. – Zawsze patrzysz na jasną stronę, prawda?

Gotrek przechylił głowę na bok, a potem splunął przez mur.

– Muszą planować jakąś sztuczkę.

– Może władają magią? Może prorocy zagłady, tam w mieście, mają rację? Może zima tego roku nie nadejdzie? Jest niezwykle ciepło.

Wypowiedział te słowa szybko i z mniejszym spokojem, niż zamierzał. Wiedział, że podświadomie pragnie, by Zabójca mu zaprzeczył. W końcu, krasnolud miał więcej doświadczenia w tych sprawach.

Gotrek wykrzywił twarz obnażając poczerwiałe pieńki większości swoich zębów.

– No i kto teraz parzy na jasną stronę, człeczyno?

Zapadła ponura cisza. Felix omiatał horyzont wzrokiem. Kłęby pyłu i dymu nadal wznosiły się nad polami. Felixowi wydawało się, że słyszy dobiegające z oddali odgłosy rogów, szczęk broni, krzyki umierających ludzi. Wmawiał sobie, że to tylko jego wyobraźnia.

Pod murem, na którym stali, robotnicy z mozołem wrzucali wciąż nowe zastrzone pale do wielkiego rowu, który otaczał teraz mury. Za nimi, inni robotnicy wzmacniali zewnętrzne mury miasta usypując pod nimi skarpy. Gotrek miał znaczny udział w nadzorze tych prac. W normalnych okolicznościach, Felix z trudem mógłby uwierzyć, że te masywne fortyfikacje wymagają jakiegokolwiek wzmocnienia. Mury Praag były dziesięciokrotnie wyższe od człowieka i tak szerokie, że na ich szczycie można było jeździć wozem. Wieżycy najeżone machinami obronnymi wyrastały ze ścian co każde sto kroków. Felix wyczuwał żrący smród alchemicznego ognia dobywający się z niektórych wież. Wzdrygnął się na myśl, że czeka tam broń niemal równie zabójcza dla jej użytkownika, co dla wroga, ale Kislevici byli na tyle zdesperowani, że ich gildie alchemików wytwarzały niebezpieczną substancję dzień i noc, od chwili nadejścia wieści o inwazji. Szykowali pojemniki z paliwem dla machin.

Felix stwierdził, że na korzyść obrońców przemawia fakt, iż mieszkańcy Praag i ich książę przyjęli te wieści z powagą. Uczynili wszystko w swojej mocy, by wzmocnić fortyfikacje miasta, które wielu uważało za niemożliwe do zdobycia. Te monstrualne mury zewnętrzne stanowiły dopiero pierwszą linię obrony. Wewnątrz miasta znajdował się kolejny mur, wyższy i jeszcze bardziej niedostępny, a ponad nim, na masywnym szpicu skalnym wystającym wśród bezgranicznych równin, tkwiła tytaniczna forteca, która była zarazem cytadelą i pałacem książęcym.

Felix spojrzał w tył przez ramię. Cytadela mogła wywołać koszmary senne i ona także podtrzymywała reputację Praag jako miasta nawiedzonego. Jej mury były równie potężne, co należące do fortec w Imperium, ale te zostały pokryte rzeźbami wielu dziwnych figur. Rechoczące potworne łby wychylały się z kamienia. Masywne, udręczone figury wspierały skarpy pod ścianami. Tytaniczne smocze głowy tkwiły na wierzchołkach wieżyc. To było dzieło sztuki stworzone przez szalonego rzeźbiarza. Felix zastanawiał się, jaki umysł mógł wymyślić i wykonać taki projekt.

Widoczne za cytadelą bielone mury i pokryte czerwonymi dachówkami domy dalszej części miasta przynosiły ulgę oczom. Mimo to, dla Felixa nawet ten widok wydawał się dziwny i niepokojący. Dachy były wyższe i stromo zakończone. Bez wątplenia, zbudowano je w ten sposób aby umożliwić ześlizgiwanie się z nich śniegu Władcy Zimy. Szczyty wież zdobiły minarety i spiczaste kopuły. To nie była architektura Imperium. Otoczenie, a także gardłowa mowa żołnierzy wokół Felixa, przypominała mu, że znajduje się daleko od domu. Czuł się tu obco. Dziwna aura miasta sprawiała, że jego umysł poddawał się wizjom przerażających opowieści o tym miejscu.

Powiadano, że od czasu ostatniego oblężenia Praag, gdy miasto zostało splądrowane przez siły Chaosu, to miejsce jest nawiedzone. Podobno zdarzały się tu wszelkiego rodzaju dziwaczne wydarzenia. Mówiono, że podczas pewnych nocy, gdy Morslieb jest w pełni, duchy umarłych wędrują po ulicach, a czasami ożywają kamienie budynków. Ze ścian wyrastają nowe posągi. Pojawiają się nowe gargulce, tam, gdzie nigdy ich nie było. Felix rzadko dawał wiarę takim

pogłoskom, ale coś w tutejszej atmosferze mówiło mu, że w tych starych opowieściach tkwi ziarno prawdy. Gwałtownie odwrócił wzrok od miasta.

Na polach pokrywających wielkie równiny wokół Praag nadal pracowali chłopci zbierający zboża z długich pasm ziemi uprawnej i popędzali swoje zwierzęta w kierunku miasta. Widać było gorączkowe starania ludzi gromadzących ostatnie, najmniejsze resztki żniwa. Pracowali, jakby ich wysiłek stanowił o życiu lub śmierci. Felix domyślał, się że tak było w istocie. Gdy nadejdzie oblężenie, każdy skrawek jedzenia będzie cenny. Ci Kislevici wiedzieli o tym. Spędzili całe swoje życie tu, na granicy między ziemią ludzi, a krainami zajętej przez moce Ciemności.

Felix zastanawiał się, czy kmiecie w Imperium zachowaliby takie opanowanie podczas pracy. Wątpił w to. Najprawdopodobniej dawno by już uciekli, porzucając pola i gnijące zboże. Części Imperium dzieliła od wojen z Chaosem daleka droga, a Kislev stanowił mur stojący między najbliższymi prowincjami a wiecznym wrogiem. Niektórzy mieszkańcy Imperium wątpili nawet w istnienie wojowników Chaosu. Ten luksus był tutaj niedostępny.

Inny widok odrobinę pokrzepił Felixa. Wielkie kotły płonącego oleju zostały już rozstawione wzdłuż parapetu. Masywne balisty sterczyły z wież na całej długości murów. Felix wątpił, by jakakolwiek armia zebrana w Imperium byłaby w stanie wziąć to miasto, ale zbliżająca się horda daleka była od pojęcia zwykłej armii śmiertelników. Felix wiedział, że znajdowały się w niej potwory, zwierozczłeki, nikczemni magicy, a także szaleni wojownicy obdarzeni przez Mroczne Moce. Gdziekolwiek zdążyły armie Chaosu, podła magia, zaraza i jątrzące się zepsucie zawsze były ich sprzymierzeńcami.

Co gorsze, Felix podejrzewał, że zbliżająca się armia posiada wewnątrz miasta potężnych sojuszników. Czyciele Chaosu byli liczni, a nie wszyscy z nich należeli do mutantów, oraz nie nosili zdobnych czarnych pancerzy wojowników Chaosu. Niektórzy z tych robotników mogą planować otworzenie wrót miejskich podczas ciemnej nocy. Jeden ze szlachetnie urodzonych kapitanów może równie dobrze planować otrucie swych ludzi lub chce poprowadzić ich w zasadzkę. Felix wiedział z własnego doświadczenia, że takie rzeczy nie należały do rzadkości. Odsunął od siebie ponure myśli. To nie był dobry czas, by się nad tym zamartwiać.

Przyjrzał się swojej dłoni i z zaskoczeniem stwierdził, jak bardzo jest opanowany. Zmienił się od czasu, gdy rozpoczął wędrówki z Zabójcą. Bywały chwile, gdy sama wiedza o tym, co znajduje się na równinach i pali te miasteczka sprawiała, że skręcały się jego wnętrzności. Teraz był w stanie stać w tym miejscu i spokojnie dyskutować z krasnoludem o zagrożeniach. Pomyślał, że może to nie wyznawcy Chaosu są szaleni. Może szalony jest on sam.

Jego bystre, błękitne oczy dostrzegły zamieszanie na horyzoncie. Wydawało mu się, że widzi obłoki pyłu. Zbliżali się szybko jacyś jeźdźcy. Felix spojrzął na wieżę strażniczą nad bramą. Wewnątrz tkwili ludzie o sokolim wzroku, uzbrojeni w teleskopy. Jeden z nich uniósł róg do ust i zadał długi zew. Odpowiedziało mu echo sygnałów z innych wież.

Gdy tylko odezwały się rogi, w głębi miasta zaczęły bić dzwony. Robotnicy poniżej spokojnie zebrali swoje narzędzia i ruszyli ku bramom. Chłopci na polach zgarnęli ostatnie rzepy do koszy, unieśli je i skierowali się do miasta. Wyraźnie zwiększyło się tempo pochodu ludzi śpieszących za mury. Felix słyszał zbrojnych pędzących ku miastu.

– Ten książę może być szalony, ale skuteczności jego gwardii niczego nie brakuje – stwierdził Felix, a potem pożałował swych słów.

Poddawanie w wątpliwość zdrowia umysłu władcy miasta ogarniętego przygotowaniem do wojny nie było rozsądne, nawet jeśli Felix powtarzał słowa wypowiediane przez większość mieszkańców. To, co było dopuszczalne podczas pokoju, bardzo różniło się od spraw tolerowanych

podczas wojny.

– Skoro tak mówisz, człeczyno – odparł Gotrek.

Nie wydawał się zbyt przejęty, ale to było typowe, kiedy chodziło o ludzi. Starsza rasa nie zmieniła się. Nigdy nie chcieli przyznać, że cokolwiek współczesnego nie było gorsze od tego, co istniało dwa tysiące lat wcześniej. Felix uznawał ich za lud bardzo ograniczony, zapatrzony wstecz, lecz pełen dumy.

Wokół nich żołnierze roili się na murach. Większość z nich nosiła łuki, kilku wyższych rangą trzymało miecze i wykrzykiwało rozkazy. Wszyscy byli odziani w płaszcze ze znakiem skrzydlatego lwa, który był symbolem Praag. Ten sam znak widniał na setkach sztandarów widocznych dookoła. Do Felixa i krasnoluda podbiegł oficer, który najwidoczniej chciał rozkazać im, by odeszli. Jedno spojrzenie Gotreka odwiodło go od tego. Nikt nie wiedział, kim naprawdę jest Zabójca, ale powszechnie było wiadomo, że on i jego towarzysz przybyli do Praag tym potężnym latającym okrętem, przynosząc wieści o inwazji i rozkazy od samej Lodowej Królowej. Felix słyszał plotki głoszące, że Gotrek i pozostali Zabójcy są wysłannikami z Karak Kadrin, stanowią forpocztę wielkiej hordy krasnoludów, które zmierzają na pomoc Kislevowi w godzinie próby. Felix rozpaczliwie pragnął, by to było prawdą. Po przyjrzeniu się przeciwnikom, wiedział, że mieszkańcy północy będą potrzebowali wszelkiej dostępnej pomocy.

Zastanawiał się, kiedy powróci Duch Grunniego, oraz jaką pomoc sprowadzi. Statek powietrzny Malakaia Makaissona był potężną bronią, ale Felix nie był pewien, czy to wystarczy przeciw zbliżającej się armii. Malakai przyrzekł powrócić z żołnierzami, ale to niezupełnie zależało od niego. Był Zabójcą i inżynierem, lecz nie królem. Pomoc krasnoludów nadejdzie tylko wtedy, jeśli wyśle ją władca. Felix pomyślał, że może jednak ta zgoda nie jest konieczna. W Karak Kadrin znajdowały się setki Zabójców. Członkowie tego kultu poszukującego śmierci z pewnością wyruszą do walki, zgodnie z rozkazem, czy też wbrew niemu. W końcu, gdzie indziej mogą znaleźć bardziej heroiczną śmierć niż tu, w Kislevie? Jeśli cokolwiek może zapewnić im pokutę za wszelkie grzechy, które zmieniły ich w Zabójców, z pewnością jest to śmierć w bitwie z hordami Chaosu.

Felix rozejrzał się szukając innych obecnych krasnoludów. Nie dostrzegął żadnego poza Gotrekiem. Snorri, Ulli i Bjorni zapewne nadal tkwili pod Białym Dzikim, wlewając w swoje gardła tyle ale, ile się da, jednocześnie racząc się nawzajem utyskiwaniami na temat lichoty ludzkiego piwa. Stary Borek, uczony, powrócił do Kadrin wraz z Malakaiem Makaissonem. Nadal opłakiwał stratę swojego siostrzeńca, Vareka. Felix rozumiał jego ból. Chwilami jemu także brakowało cichego, młodego uczonego. Niestety, Varek oddał swe życie, by ocalić statek powietrzny przed atakiem smoka Skjalandira. Felix czuł przejmujący go wstyd. Varek spisał się lepiej od niego. Felix wiedział, że nie powinien dopuszczać do siebie podobnych myśli.

Kłęby dymu rosły w oczach. Felix dostrzegł konnych. Na plecach każdego z jeźdźców przymocowany był upierzony pręt, który wyglądał jak wielkie ptasie skrzydło. Felix nie miał pojęcia o dokładnym znaczeniu tego emblematu, ale wiedział, że jest to znak elitarnej kislevickiej kawalerii. W tej chwili, nie wyglądali jednak na elitarną jednostkę. Felix zauważył, że byli zmęczeni i obici. Jeśli wzięli udział w bitwie, najwyraźniej walczyli po przegranej stronie. Za nimi widać było innych jeźdźców odzianych w czarne pancerze i dosiadających czarnych wierzchowców. Felix nie potrzebował słyszeć wycedzonego przez Gotreka przekleństwa, by domysleć się, kim są. On także w swoim czasie walczył z wojownikami Chaosu.

Gotrek splunął wraz z kolejnym przekleństwem i ruszył ku schodom. Jeśli jacyś wyznawcy demonów mają dotrzeć do wrót, krasnolud zamierzał ich tam przywitać. Felix podążył za nim, obluźowując swój miecz w pochwie. Nie wiedział, czy powinien czuć rozczarowanie, czy radość,

ale jego broń nie okazywała żadnej emanacji mistycznej energii. Wydawało się, że miecz wypełnił swoje przeznaczenie, gdy Felix użył go zabijając smoka. Za sobą usłyszał wojowników wydających z siebie okrzyki bojowe, wyzwania i ponaglenia kierowane do skrzydlatych lansjerów. Najwyraźniej oni także zrozumieli, kto ściga ich rodaków.

Gdy Felix dotarł na dół wieży, zobaczył jeszcze więcej skrzydlatych jeźdźców pędzących przez bramę na zewnątrz. Musiał skulić się u stóp schodów, by uniknąć stratowania. Twarze mijających go w pędzie konnych były ponure. Rozumiał ich. Wizja zmierzenia się z wojownikami Chaosu, nie byłaby radosna także dla niego.

Kiedy jeźdźcy przejechali, chłopci znowu zaczęli napływać nieprzerwanym strumieniem. Felix przeciskał się przez tłum spoconych, brudnych ciał. Gdyby nie obecność Zabójcy idącego przed nim, zapewne zostałby porwany przez tłuszcę z powrotem do miasta. Tłum rozstępował się jednak przed Zabójcą, niczym potok opływający kamień. Felix podążał za nim, przechodząc po moście z ubitej ziemi, która wypełniała fragment rowu otaczający miejskie mury. Potem zaczął biec. Po kilku susach zrównał się z Zabójcą i spowolnił kroku.

– Nie ma po co się tak spieszyć – powiedział. – Wygląda na to, że bitwa sama się rozpocznie.

To była prawda. Zbliżający się Kislevici wyprzedzili goniących kierując się w stronę bram. Kislevickie posiłki rozciągały się w długą linię, szykując się do szarży. Nagła zmiana ich formacji szybko zasłoniła Felixowi widok na przedpole. Nadal słyszał przed sobą krzyki i zawołania bojowe, oraz dźwięk broni uderzającej w żywe ciało. Pomyślał, że może to nie jest zbyt dobry pomysł. Oczekiwanie szarżujących kawalerzystów na otwartym polu nie wydawało się zbyt mądrym zamysłem. Felix zastanawiał się, czy powinien wspomnieć o tym Gotrekowi. Zapewne, nie. Zabójca mógłby podwoić swe wysiłki, by znaleźć się w bitwie.

Przed nimi, pierwsi z uciekających kawalerzystów minęli tych, którzy wyjechali, by ich osłaniać. Felix widział strach wypisany na ich twarzach. Galopowali niczym ludzie, którzy zobaczyli przed sobą otwarte wrota piekieł. Biorąc pod uwagę, jak hardymi wydawali się kisleviccy kawalerzyści, to nie był uspokajający widok. Cokolwiek było w stanie złamać i zmusić do ucieczki skrzydlatych lansjerów, musiało przerażać największych śmiałków. Felix spojrzał w tył przez ramię na mury zajęte przez wojowników. Z zaskoczeniem stwierdził, jak niewielki dystans dzieli ich od miasta i jak znaczną odległość pokonał pościg w czasie, gdy on i Gotrek schodzili z wieży. Było bardzo możliwe, że jeśli kawaleria przed nimi złamie się i rozproszy, wówczas wojownicy Chaosu mogą dotrzeć do bramy. Felix zdał sobie nagle sprawę, że nie ma pojęcia, ilu jest ich naprawdę. Nie sądził, by grupa najeźdźców była w stanie podbić miasto, ale może im udać się utrzymać otwarte wrota do nadejścia posiłków. W zawierusze wojennej zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Tak, czy inaczej, morale obrońców znacznie ucierpi, jeśli czciciele demonów postawią swe stopy w mieście jeszcze przed rozpoczęciem właściwego oblężenia.

Przed nimi, kapitan jeźdźców wydał rozkaz przeprowadzenia szarży. Felix patrzył na konie stojące dęba, a potem pędzące ku wrogowi. Powietrze rozdarły okrzyki bojowe. Kilka chwil później rozległ się łomot lanc uderzających o tarcze. Felix zobaczył ulatujące iskry, słyszał zgrzyt metalowych grotów trących o pancerze. Jego uszy wypełniły krzyki i zwierzęcy ryk. Jeden z ludzi wyleciał wyrzucony z siodła. Konie stawały dęba. Ludzie w pierwszym szeregu ginęli. Nagle, Kislevici poszli w rozsypkę. Lekkozbrojni lansjerzy nie mogli równać się z ciężko opancerzonymi wojownikami Chaosu.

Świadomość tego faktu nie wpłynęła na determinację Gotreka, pragnącego wziąć udział w walce. Z ogłuszającym rykiem rzucił się naprzód, zanurkował w wir bitwy niczym pływak skaczący ze skalnego urwiska prosto w zdradliwą wodę. Felix ruszył za nim, wiedząc, że jego szansa

przetrwania znacznie zwiększy się, jeśli pozostanie w pobliżu Zabójcy. Opancerzona w czerń postać przedarła się przez masę walczących, rozbijając czaszkę kislevickiego jeźdźcy uderzeniem wielkiego miecza pokrytego czarnymi runami i ruszyła prosto w ich kierunku. Gotrek wybuchł śmiechem i ryknął coś po krasnoludzku. Jeździec najwyraźniej zrozumiał wyzwanie i dotknął ostrogami okutych pancerzem boków swego wierzchowca, popędzając go w stronę Zabójcy.

Jeździec pokonał przestrzeń między nimi w kilka chwil. Felix czuł, jak czas się wydłuża. Wszystko zdawało się przebiegać z niezwykle powolnością, niczym podczas sennego koszmaru. Dostrzegął metalowe zdobienia na pancerzu wojownika Chaosu, przedstawiające warczące łby zwierozczłeków i demonów. Widział dziwne, wstrętne runy płonące wzdłuż ostrza miecza unoszonego przez wojownika, oraz rdzawoczerwony błysk widoczny wewnątrz jego zdobnego w nietoperzowe skrzydła hełmu, w miejscu, w którym powinny znajdować się oczy. Małe strumienie magicznego płomienia wydostawały się z nozdrzy wierzchowca, przypominając Felkowi przerażający widok smoka, z którym tak niedawno się zmierzył. Oczy rumaka lśniły czerwienią.

Wojownik Chaosu pędził ku nim. Felix był pewien, że nigdy nie widział równie wielkiego konia. Wyglądał raczej jak ruchoma góra mięśni, a nie zwykły wierzchowiec. Felix widział potężne żyły napinające się i skręcające pod czarną jak noc skórą pędzącego potwora. Niewielkie obłoki pyłu wybuchały spod jego kopyt. Iskry sypały się, gdy podkowy z czarnego żelaza uderzały o kamienie. Felix poczuł nagle w dłoni miecz. Wydawało mu się, że opuszczają go wszelkie siły, ale wziął już udział w tylu bitwach, by wiedzieć, że jest to tylko złudzenie. Wiedział, że gdy nadejdzie czas, będzie poruszał się tak szybko i pewnie, jak to konieczne. Przynajmniej, miał nadzieję, że tak się stanie.

Gotrek stał nieco przed nim ze wzniesionym wysoko toporem. Spoglądał bez lęku na zbliżającego się przeciwnika. Jeździec zaśmiał się pogardliwie widząc, kto próbuje stanąć mu na drodze. Jego koń zbliżał się z szybkością błyskawicy. Krwawa piana buchała z pyska zwierzęcia. Żółte zębiska stwora znaczyły plamy czerwieni, a Felix dostrzegł, że nie były to końskie zęby, lecz raczej wilcze kły. To go zaskoczyło, mimo, że widywał znacznie dziwniejsze mutacje pośród wyznawców Chaosu. Gdy jeździec znalazł się dość blisko, wychylił się w siodle, aby wyprowadzić cios w stronę Gotreka. Zabójca stał nieruchomo niczym posąg, czekał. Felix miał nadzieję, że to jest oczekiwanie. Nigdy nie widział, by Gotrek zamarł bez ruchy podczas bitwy, ale wszystko ma swój pierwszy raz.

W ostatniej sekundzie przed trafieniem, Zabójca poruszył się. Rąbnął swoim toporem. Cios, szybki i niepowstrzymany niczym piorun, uderzył w nogi rumaka Chaosu. Bestia runęła bluzgając krwią z rozdartych kończyn. Jej jeździec wypadł z siodła i toczył się odbijając od mocno ubitej ziemi, by wylądować u stóp Felixa z łomotem przypominającym trzęsienie ziemi w warsztacie kowala. Prawie nie myśląc, Felix uderzył swym mieczem zatapiając go w gardło leżącego, przeciskając ostrze przez ogniwa kolczugi, która okrywała fragment ciała między hełmem a napierśnikiem. Wojownik Chaosu zacharczał. Krwawa piana wydostawała się przez dziurę w jego pancerzu. Felix wyciągnął swój miecz i uderzył jeszcze raz, odcinając głowę od korpusu. Minął zabitego wierzchowca nie czując żalu. Zwierzę mogło być głupim bydłem, ale z drugiej strony, mogło nim nie być. Niektóre, podobne stwory, bywały nienaturalnie inteligentne. Teraz jednak wierzchowiec i jego pan spoczywali martwi.

Felix i Gotrek popędzili w głąb bitwy. Wydawało się, jakby porwał ich wir ciał. Wszędzie wokół konie stawały dęba i tłukły się nawzajem kopytami. Lansjerzy przebijali opancerzonych kultystów. Ludzie walczyli z niepowstrzymaną zajadłością. Gotrek poruszał się z zabójczą furią, siekąc na prawo i na lewo, zabijając wszystko, co stało na jego drodze. Felix szedł za nim,

pilnując pleców Zabójcy i odstraszać każdego, go usiłował zaatakować krasnoluda od tyłu. W ciągu kilku uderzeń serca, stanęli za stosem martwego końskiego ścierva i umierających ludzi. Felix usłyszał za sobą kolejne okrzyki wojenne i domyślił się, że z miasta wyjeżdżają żołnierze, by dołączyć do potyczki. Po kilku chwilach, równowaga bitwy zachwiała się, a wojownicy Chaosu rzucili się do odwrotu ścigani przez Kislevitów. Z murów za nimi dobiegły wiwaty.

Felix zobaczył przed sobą młodego kislevickiego szlachcica, posiadającego pięknego białego ogiera. Włosy i brwi jeźdźca były niemal równie białe, co sierść jego konia. Mężczyzna spoglądał zimnoblękitnymi oczami. Jego pancerz był cięższy i bardziej kosztowny niż należący do zwykłego żołdaka. Szabla o złotej rękojeści, którą unosił w prawej dłoni dowodziła znacznej majątności właściciela. Felixowi wydawało się, że rozpoznaje nieznanego z krótkiej audiencji u księcia. To był brat władcy, Villem.

– Niewielu ludzi opuściłoby bezpieczne schronienie miasta, by zmierzyć się z szarżą przeklętych – powiedział mężczyzna, szarpiąc za długi, jasny wąs, który opadał na jego policzek.

Takie wąsy były ostatnimi czasy modne wśród młodych kislevickich szlachciców.

– Zdaje się, że zawdzięczamy wam nie tylko dostarczenie ostrzeżenia od naszej pięknej władczyni, carycy.

– Nie jestem człowiekiem – rzekł Gotrek. – Jak każdy głupiec to widzi, jestem krasnoludem.

Wojownicy otaczający szlachcica cofnęli się i wysunęli groźnie broń. Świetnie, pomyślał Felix, jakby nie wystarczyło, że mają wrogów poza miastem. Teraz zyskają ich także wewnątrz. Ku jego zaskoczeniu, przybysz tylko się zaśmiał. Felix słyszał, że brat księcia, podobnie jak większość książęcej rodziny, był szalony. Najwyraźniej szaleństwo oznaczało także tolerowanie zachowania, które inni uznaliby za śmiertelną zniewagę. Tak, czy inaczej, Felix był za to wdzięczny losowi.

– Słyszałem, że starsza rasa jest dumna i niepokorna, a najbardziej Zabójcy – powiedział.

– Żaden Zabójca nie ma powodów do dumy – odparł Gotrek.

– Skoro tak powiadasz – rzekł nieznanemu, chociaż żartobliwy ton jego głosu wskazywał, że nie do końca w to wierzy. – Niechaj wszyscy wokół będą świadkami, że ja, Villem z Domu Koziński, jestem wdzięczny za waszą śmiałość i dopilnuję, by została nagrodzona.

– Jedyłą nagrodą, jakiej oczekuję, jest miejsce na przedzie podczas zbliżającej się bitwy.

– O to będzie nietrudno, mój przyjacielu.

Felix modlił się, by Zabójca nie rzucił jakiejś ironicznej wzmianki. W końcu, to nie był zwykły szlachcic. Gotrek znajdował się w połowie drogi do wszczęcia walki z bratem rządzącego miastem księcia.

– Zadbam, by mój brat i wasal usłyszał o waszych śmiałych czynach.

– Dziękujemy, milordzie – odparł Felix.

– Nie, to ja winien wam jestem podziękowania. Jesteś człowiekiem Imperium. Niewielu ludzi przebyłoby taką drogę, by walczyć, a być może polec w obronie naszych ziem. Taka odwaga winna zostać nagrodzona.

Felix spojrzał na mówiącego. Villem wydawał się sympatycznym i wymownym młodym człowiekiem, ale Felix nauczył się nie ufać szlachetnie urodzonym, bez względu na to, jak uprzejmie się zachowywali. Teraz jednakże nie wydawało się rozsądne wspominać o tym. Znana była plotka, że Villem potrafi być szczególnie nieprzyjemnym przeciwnikiem.

– Wszystko, czego chcemy, to dobra walka – rzekł niezadowolony Gotrek. – A jedna rzecz jest pewna. Tu jej nie dostaniemy.

– Poczekaj jeszcze kilka dni, mój przyjacielu – odparł Villem. – Wówczas walka będzie tak gorąca i zażarta, jak tylko może sobie tego zażyczyć nawet Zabójca.

Świta szlachcica skinęła głowami potwierdzając te słowa. Felix nie miał powodów, by w nie wątpić. Gotrek splunął tylko na ziemię i zapatrzył się w dal, spoglądając na kłęby dymu wznoszące się nad horyzontem.

– Dawać ich – rzucił.

Villem zaśmiał się szczerze.

– To dobrze, że przynajmniej jeden wojownik w mieście nie może się doczekać, by zmierzyć się z wrogiem – rzekł. – Stanowisz inspirację dla nas wszystkich, Gotreku, synu Gurniego.

– Tego tylko było mi trzeba – odparł zgryźliwie Gotrek.

Nie zwracał najmniejszej uwagi na skrzywione spojrzenia towarzyszy szlachcica. Zabójca rzadko okazywał jakikolwiek szacunek wobec władców swego własnego ludu, brakowało go zaś zupełnie wobec ludzi.

Felix zastanawiał się, czy ta cecha kiedyś doprowadzi ich obu do śmierci. Czuł potrzebę złożenia przeprosin za zachowanie Zabójcy, ale wiedział, że Gotrek tylko pogorszy sytuację, więc trzymał język za zębami i modlił się, by Villem okazał się tak tolerancyjny, jakim się wydawał.

Szlachcic najwyraźniej nie czuł się obrażony, co uspokoiło Felixa, zwłaszcza, że w pobliżu znajdowały się tysiące żołnierzy, którzy przysięgli bronić miasta i jego władców.

– Muszę teraz jechać, ale wy jesteście mile widziani w pałacu, jeśli postanowicie go odwiedzić – rzekł szlachcic odwracając się.

– To mi dopiero zaproszenie – mruknął pod nosem Gotrek w plecy odjeżdżającego.

Jeden z jego doradców odwrócił się i spojrzął na krasnoluda. W oczach mężczyzny zabłysła śmierć.

Zastanawiam się, kto nas zabije szybciej, pomyślał Felix, Kislevici, czy wyznawcy Chaosu?

Rozdział 2

Pod Białym Dzikim było tłoczno. Powietrze cuchnęło piwem, starym potem i dymem ziela fajkowego. Felixa ogłuszały głośne rozmowy pijanych i pohukiwania nowoprzybyłych wojowników. Nie uskarżał się jednak. W tej chwili, potrzebował ciepła tawerny, by zapomnieć o widoku wojowników Chaosu. W pewien sposób, wspomnienie o nich wydawało się bardziej przerażające niż chwila, gdy widział ich naprawdę.

Nie mógł pozbyć się myśli, że oni nadal tam są, pod miastem. Widział ich, walczył z nimi. Jedna sprawa, to wyobrazić sobie ich obecność, wiedzieć, że wkrótce trzeba będzie z nimi walczyć. Inna rzecz, to wiedzieć bez wątpienia, że do miasta zbliża się ogromna armia nikczemnych wojowników.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem Ulriki. Po części miał nadzieję, że jej nie znajdzie. Ostatnio powrócili do starych kłótni przeplatanych godzeniem się pełnym pasji. Godzenie się było świetne, ale Felix był pewien, że mógłby żyć bez konfliktów. Wkrótce w jego życiu będzie ich aż nadto, więc obecność swarów miłosnych niczego nie ułatwiała. W tej chwili, pragnął nieco spokoju i ciszy przed nieuniknioną burzą.

Jednocześnie, po części czuł rozczarowanie z powodu jej nieobecności. Zastanawiał się, czy znowu jest z Maxem? A jeśli tak, to czy jest to tylko próba wywołania w nim zazdrości, czy też dzieje się coś poważniejszego? Uśmiechnął się niewesoło. Jeśli prawdą jest to pierwsze, wówczas musiał przyznać, że to działało. Z drugiej strony, nie bardzo mógł się przekonać, czy ona rzeczywiście chce, by Felix stał się zazdrosny. Ulrika nie była szczególnie przebiegła. Mimo wszystko, była kobietą, a Felix czasami myślał, że kobiety czynią takie rzeczy niemal instynktownie. Stwierdził jednak, że nie czas, by się tym zamartwiać. Teraz należało pić.

Tak jak się tego spodziewał, Snorri Gryzonos i pozostałe krasnoludy byli na miejscu, a wszyscy wyglądali na dalekich od trzeźwości. Bardzo możliwe, że pili od chwili, gdy obudzili się tego ranka. Krasnoludy łykały piwo, tak jak ryby wodę. Snorri był masywnym krasnoludem, wyglądał nawet bardziej przerażająco od Gotreka. Jego nos był łamany i nastawiany niezliczone razy, a jedno z uszu zostało oddarte. Miał ogoloną głowę i trzy pomalowane gwoździe wbite prosto w czaszkę. Felix nie był pewien, jak udało się tego dokonać unikając infekcji. W tej chwili, Snorri siłował się na rękę z innym krasnoludzkim Zabójcą i wyglądało na to, że wygrywa.

Przeciwnikiem Snorriego był młody krasnolud, który raczej krzyczał, niż mówił. Jego głowa została całkowicie ogolona, by odsłonić nowe tatuaże, a brodę miał przystrzyżoną tak krótko, że przypominała szczecinę. Felix wątpił, by broda Ulliego była kiedykolwiek długa. Zapewne sam Felix mógłby zapuścić sobie dłuższą.

Inny Zabójca, z pewnością najbrzydszy krasnolud, jakiego Felix kiedykolwiek widział, podrzucał karczemną dziewczkę siedzącą mu na kolanach. Najwyraźniej nie przejmował się spojrzeniami, jaki rzucali mu wszyscy ludzie. Felix był zdumiony, że dziewczyna jest w stanie dotykać kogoś równie odpychającego. Bjorni posiadał naprawdę zatrważającą kolekcję brodawek na swojej twarzy, co wespół z brakującymi zębami sprawiało, że był równie ohydny, jak jakiś gargulec. Krasnolud zauważył, że Felix spogląda na niego, puścił oko, wyszczerzył się, a potem wepchnął głowę między piersi barmanki i zaczął pocierać swą brodą w górę i w dół. Dziewka zachichotała. Felix odwrócił wzrok. Bjorni był niepoprawny.

Felix rozglądając się dostrzegł grupę potężnych mężczyzn noszących ciężkie zbroje płytowe i przewieszane przez ramiona płaszcze z białej wilczej skóry. Siedzieli przy osobnym stole i

wykrzykiwali pijackie pieśni wychylając kolejne kufle ale. Jeden z mężczyzn zauważył spojrzenie Felixa i wbił w niego wzrok. Felix wzruszył ramionami i odwrócił się. Nie uwielbiał templariuszy Białego Wilka, podobnie jak każdy, kto nie był wyznawcą Ulryka. W opinii Felixa, byli oni bandą fanatycznych bigotów, ale znał ich na tyle dobrze, by zachować te przekonania dla siebie. Bez względu na ich paskudny wygląd, byli zabójczo niebezpiecznymi wojownikami, a wobec zbliżającej się wielkiej armii Chaosu, potrzebny był każdy miecz. Felix nie mógł przebierać wśród ludzi, z którymi będzie walczył ramię w ramię. Miał nadzieję, że oni szybko dojdą do podobnego wniosku.

Obecnych było wielu innych gości: kislevickich konnych, najemników z całego Imperium i nie tylko. Felixowi wydawało się, że słyszy paplaninę tileańskich głosów oraz niewyraźny bretoński akcent. Widocznie obecni tu byli wojownicy pochodzący z całego Starego Świata. Felix był ciekaw, jak udało im się dostać tu tak szybko. Wydawało się niemożliwe, by wieści o wojnie dotarły już do Imperium, a jednak...

Zganił się za własną głupotę. Ci ludzie nie przybyli tu z powodu inwazji. Przyjechali, ponieważ to było dzikie pogranicze, a tak blisko Pustkowi Chaosu zawsze czekała robota dla najemnych ostrzy. Większość z nich była zapewne strażnikami karawan lub należała do prywatnych armii kislevickich szlachciców. Patrząc na hardych, dobrze odzianych ludzi otoczonych przez tęgich zbirów, Felix był pewien, że część z nich pracuje jako ochraniarze podróżnych szlachciców pochodzących z jego własnej ojczyzny. Ciekaw był, dlaczego znaleźli się tutaj? Kto wie? Zawsze istnieli majątni ludzie, którzy lubili podróżować, a także uczeni i magowie poszukujący nowej wiedzy. Większość z nich pochodziła z klas rządzących. Któż inny miałby pieniądze, by finansować takie zainteresowania? Felix próbował odsunąć od siebie myśl, że niektórzy z tych ludzi mogli być szpiegami kultów Chaosu. Wiedział, że jest to aż nazbyt prawdopodobne, ale w tej chwili nie chciał mieć z nimi do czynienia.

Ostatecznie, gdy był już gotów zrezygnować, zauważył twarz, którą chciał ujrzeć. Ulrika Magdova weszła do tawerny. Jej twarz okrywała maska niepokoju. Mimo to, nadal pozostawała piękna. Wysoka, szczupła, a jednak silna jak stal. Jej popielate, jasne włosy były krótko przycięte. Spojrzenie czystych, błękitnych oczu spotkało się z jego wzrokiem. Posłała mu uśmiech przez zaciśnięte usta. Ignorując śmiechy najemników podeszła prosto do niego. Ujął jej dłoń i przyciągnął dziewczynę do siebie, czując niezwykle delikatny opór. To nie był dobry znak. Ulrika była jedną z najmniej przewidywalnych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał. Okazywała się harda, gdy spodziewał się, że będzie łagodna i delikatna, gdy myślał, że będzie nieugięta. Prawie zaniechał wysiłków, by ją zrozumieć, ale przynajmniej w tym momencie wydawało mu się, że ma pojęcie, co ją trapi.

– Nadal żadnych wieści? – zapytał najłagodniejszym tonem głosu, na jaki było go stać.

– Żadnych – odpowiedziała bezbarwnym głosem, celowo pozbawionym wszelkich emocji.

Wiedział, że obchodziła wszystkie strażnice i tawerny, oraz różnych szlachetnie urodzonych krewnych, mając nadzieję usłyszeć jakieś wieści o swoim ojcu. Nie widziała i nie słyszała nic o Ivanie Petroviczu Straghovie od czasu, gdy weszli na pokład Ducha Grunniego i ruszyli na południe. To było niepokojące. Nawet biorąc pod uwagę olbrzymi dystans, który oddzielał Kresy od Praag, stary bojar powinien już tu być. O ile nie wydarzyło się coś strasznego.

– Jestem pewien, że wszystko z nim w porządku – powiedział Felix. Próbował pocieszać ją brzmieniem swego głosu. – To twardy mężczyzna i ma pod sobą ponad pięćdziesięciu lansjerów. Jeśli ktokolwiek ma się przedrzeć, to tylko on.

– Wiem. Wiem. Tylko, że... słyszałam zwiadowców, którzy opowiadali o rozmiarach armii Chaosu. Przyrównywali ją do plagi szarańczy. Żadna równie liczna potęga nie opuściła Pustkowi od dwóch stuleci. Ta może być jeszcze większa niż armia, z którą zmierzył się Magnus Pobożny i Car

Alexander.

– Dzięki temu jeszcze łatwiej jej uniknąć.

– Nie znasz mojego ojca, Felixie. To nie jest człowiek, który ucieka od walki. Może zrobił coś głupiego – rozejrzała się zaciskając usta. Felix siadł na najbliższym stołku, objął ją ramieniem w tali i usadowił na swoim kolanie.

– Jestem pewien, że tego nie zrobił. Napij się. To pomoże uspokoić twoje nerwy.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Pijesz zbyt wiele od kiedy tu przybyliśmy.

To była stara sprzeczka. Ulrika zawsze ją rozpoczynała. W porównaniu do większości osobników, z którymi podróżował Felix, nie pił prawie w ogóle. Oczywiście, większość z nich była krasnoludami, a zatem, być może niewiele to znaczyło.

– Cóż, dzisiaj nie piłem – powiedział Felix. – Byłem pod Bramą Gargulców, walczyłem.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Widziałam rannych zabieranych stamtąd na leczenie do Świątyni Shallyi. Powiadają, że zaatakowało tysiąc wojowników Chaosu.

– Raczej dwudziestu. Przednie straże. Horda jeszcze tu nie przybyła.

Felix podniósł dłoń i skinął na barmankę. Kobieta podeszła niespiesznie i nie pytając postawiła na stole dwa kufle ale, a potem poszła dalej. Felix podniósł kufel do ust i pociągnął łyk. Piwo smakowało gorzko w porównaniu do wcześniej próbowanego. Snorri nazywał je Kozimi Szczynami. Felix sądził, że Snorri zna się na temacie na tyle dobrze, by porównanie było trafne. Snorri był w stanie wypić wszystko.

Ulrika podniosła kufel i napiła się trochę. Felix nigdy nie mógł się do tego przyzwyczaić. Kislevickie szlachcianki piły równie ostro, jak ich mężczyźni. Jeśli piły w ogóle.

– Byłeś pod bramą? – zapytał mężczyzna siedzący przy ławie obok.

– Tak – odpowiedział Felix.

– Powiadają, że spod bramy można było zobaczyć armię Ciemności. Mówią, że liczy tysiące. Dwakroć po dziesięć tysięcy głów – mężczyzna był pijany i bełkotał.

– To bez znaczenia – odezwał się śniady żołnierz z opadającymi wąsami kislevickiego konnego. – Rozbijają się o mury Praag, tak jak to stało się dwieście lat temu!

Ta wypowiedź wywołała ryk aplauzu dobiegającego od otaczających ich ław. To były przechwałki, których ludzie chcieli słuchać w tawernach podczas nocy przed walką. Felix widział zbyt wiele prawdziwych bitew, by nadal ludzić się, że wyglądają tak jak w księgach i poematach, które czytał jako chłopak. Z drugiej strony, ci ludzie wyglądali na równie zahartowanych, a jednak rozmawiali wymieniając się czczym bajdurzeniem. Może po prostu próbowali podnieść się na duchu i dać upust swoim lękom. Gdyby widzieli to, co Felix zobaczył przelatując nad Pustkowiami Chaosu, nie byłiby w tej chwili tak radośni. Felix usiłował odsunąć od siebie tak przygnębiające myśli.

– Sam nie wiem – powiedział stojący w drzwiach szczupły mężczyzna o twarzy łasicy. – Mój karawan właśnie przybył, a po drodze widzieliśmy zwierzoczków i jeźdźców Chaosu. Byli silni. Nawet, jak na pomiot Chaosu. Nigdy nie widziałem, by cokolwiek umierało z takim trudem, jak te zwierzoczeki.

Felix był skłonny w to uwierzyć. Rzut oka na Ulrikę zapewnił go, że ona także, jednak wojownicy w tawernie nie chcieli tego słuchać.

– Cóż to gadka wielbiciela Chaosu? – zakrzyknął wielki gruby mężczyzna uderzając o stół kurzym udkiem. – Zwierzoczeki i jeźdźcy Chaosu umierają równie szybko, co inne żywe stworzenia – jeśli wepchniesz w nie dwie stopy dobrej imperialnej stali!

Rozległy się głośne wrzaski poparcia i śmiech. Słysząc było przechwałki na temat, iluż to wrogów zginie podczas nadchodzących dni. Mówiono, jak wszyscy staną się bohaterami opiewanymi w pieśniach o oblężeniu Praag. Felix ponownie rozejrzał się po tawernie. Zauważał, że było w niej mnóstwo gości, którzy nie wierzyli w te puste pohukiwania. Wielu wyglądało na przestraszonych, a byli to ludzie, którzy sprawiali wrażenie takich, którzy wiedzą, kiedy należało się bać. Byli to mężczyźni o hardych twarzach, odziani w znoszone pancerze i dzierżący broń, którą najwyraźniej potrafili używać. Felix wiedział, że przechwałki, jakie słyszał wokół są głupie, ale nie chciał ich uciszać. Nie miał zamiaru podkopywać ducha tych ludzi. Przybysz o obliczu łasicy najwyraźniej także to sobie przemyślał. W mieście, które wkrótce miało znaleźć się pod oblężeniem przez potęgę Ciemności, nie było dobrze stać się ofiarą podejrzeń o sprzyjanie Chaosowi.

– Aye, macie rację – powiedział przybysz. – Umierali dość szybko, gdy ja i moje chłopaki faszzerowaliśmy ich stają.

Mimo tych słów nie udało mu się przelać do swego głosu zbyt wiele entuzjazmu. Felix spojrzał na niego z sympatią. Było jasne, że ten człowiek zmierzył się już ze zwierzoczkami i wiedział, o czym mówi. Po prostu nikt nie chciał tego słuchać. Sądząc po sposobie, w jaki Ulrika kręciła głową, Felix domyślał się, że ona także zgadza się z łasicowatym.

– Miękczy ludzie z południa nie wiedzą, o czym mówią – mruknęła. – Gor mógłby zjeść tę tłustą świnię, tak jak on łyka swojego kurczaka.

Felix uśmiechnął się gorzko. Dla niego lud Kisleva stanowił ucieleśnienie hardości. Myślał o nich jako o ludziach, którzy żyli w niebezpiecznej krainie stale targanej wojną. Nigdy nie sądził, że mogą patrzeć na siebie z pogardą. Oczywiście, Ulrika wyrosła na północnych pustkowiach, dokładnie na granicy terytoriów ludzi i Chaosu. Jeśli ktokolwiek w tej izbie miał jakieś pojęcie o tych sprawach, to była ona. Podniosła się wdzięcznie z kolana Felixa.

– Idę na górę. Do naszej izby.

Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że Felix powinien pójść za nią. Wobec takich okoliczności i mając wybór między spełnieniem jej życzenia, a pozostaniem na dole, by przysłuchiwać się wojennym pogaduszkom, jasne było, jaką podjął decyzję.

Ivan Petrovicz Straghov spoglądał w dal. Był wielkim mężczyzną, niegdyś dość tęgim. Kilka ostatnich tygodni spaliło większość okrywającego go tłuszczu. Spędził tygodnie w siodle, łapiąc strzępy snu i posiłków, gdy tylko to było możliwe, walcząc rozpaczliwie w bitwach przeciwko przeważającym siłom zwierzoczek i uciekając w ostatniej chwili, by móc walczyć następnego dnia. Spróbował wmawiać sobie, że nęka flanki armii Chaosu, spowolniając jej postępy i dając wrogim generałom powody do lęku o tyły. Podejrzewał jednak, że jego ataki kłopotowały potężną armię w takim stopniu, w jakim ukąszenia pchły drażniły mastodonta.

Potarł bandaż zawiązany wokół jego głowy. Rana znowu swędziała. Zapewne nie miał się na co skarżyć. Gdyby zwierzoczek był zaledwie odrobinę silniejszy, lub jego zasłona spóźniła się o ułamek sekundy, topór potwora zdobyłby mózg człowieka. Maści lecznicze najwyraźniej jednak działały i chyba nie wdała się infekcja. Bojar czasami gorączkował, ale to było wszystko.

Spojrzał na swoich jeźdźców. Trzydziestu chłopów, sami weterani. Wyruszyli w ponad pięćdziesięciu ocalałych po ataku skavenów na jego dwór, a potem zebrał ponad stu lansjerów w drodze na południe. Posłał pięćdziesięciu jako eskortę dla kobiet i wozów kierujących się na południowy zachód od głównych traktów wiodących do Praag. Miał nadzieję, że w ten sposób przynajmniej część jego ludzi ucieknie przed nadciągającą hordą. Resztę prowadził do walki, nękając najeźdźców w sposób uświęcony tradycją Kislevitów. Przeprowadzali szybkie uderzenia i

odwroty, dzikie ataki nocne, szybkie zasadzki. Jego ludzie spisywali się świetnie. Musieli zabić ponad trzykrotnie większą liczbę wrogów niż wynosiła suma własnych poległych, ale to nie wystarczało. To była ledwie kropla wody w wielkim oceanie plugastwa Chaosu. Bojar przypuszczał, że Pustkowiec musiały opustoszeć. Któż mógłby sądzić, że tak wiele istnień mieszkało w tych bezlitosnych krainach?

Podobnie jak jego ludzie, bojar badał stare zapiski o minionych wojnach z Chaosem. Znał na pamięć ballady i epickie poematy. Dzieło Magnusa opowiadało o armii równie nieprzeliczonej, jak żdźbła trawy na wielkiej północnej równinie. Ivan zawsze przypuszczał, że poeci przesadzali. Teraz, podejrzewał, że może zaniżyli swoje szacunki.

Mówił sobie, że staje się stary, skoro takie myśli wypełniają jego głowę, gdy ma pod sobą konia, lancę w rękę i przeciwnika naprzeciw. To nie był czas na równie defetystyczne myśli. Zbyt wielu ludzi polegało na nim. Rozejrzał się i zobaczył determinację malującą się na każdej twarzy. Poczł przyływ dumy. To nie byli żołnierze, którzy mogą się poddać. Wiedział, że podążą za nim do bram piekła, jeśli ich o to poprosi. Stanowili doskonale wyważone ostrze. Musi je tylko dzierżyć mocną ręką i skierować we właściwym kierunku, a oni wykonają to, czego żąda, lub zginą próbując. Najprawdopodobniej to drugie. Bojar odsunął od siebie tę myśl.

Cieszył się, że nie ma tu Ulriki. Miał nadzieję, że była gdzieś bezpieczna. Liczył na to, że udało jej się dostarczyć ostrzeżenie dla Lodowej Królowej i że córka miała dość rozsądku, by pozostać w stolicy. Zapewne jednak tak nie było. Zawsze była niespokojnym duchem, zupełnie jak jej matka, a prawdę mówiąc, także jak on sam. Pewnie poszła za tym młodym Felixem Jaegerem, a skoro on podążał za Gotrekiem Gurnissonem, oznaczało to, że znowu idą prosto w kłopoty. Wszystko, co można było uczynić, to modlić się; by bogowie mieli nad nią baczenie i mieć nadzieję, że Ulryk nie był zbyt zajęty, by wysłuchać modlitwy starego człowieka.

– Ruszamy na południe – powiedział swoim najbardziej zdeterminowanym głosem. – Uderzymy tych przeklętych bękartów, gdy będą próbowali przekroczyć Urskoj, a potem ruszymy dalej. Lodowa Królowa musiała już zadać w róg zgromadzenia i rusza ku północy, na Praag. Tam spotkamy się z nią i przepędzimy szumowiny czczące Chaos z powrotem na pustynię, z której nadeszli.

Jego ludzie zakrzyknęli spontanicznie, niemal jakby uwierzyli w każde jego słowo. Znowu poczuł, że jest z nich dumny. Tak jak on, widzieli prawdziwe rozmiary hordy – i tak jak on, musieli wiedzieć, że jest ona niepokonana.

Max Schreiber spoglądał z murów Praag w mrok. Wiedział, że gdzieś tam zbiera się największa od dwustu lat armia sił Ciemności, czeka, przygotowując się, by zmieść krainy człowieka falą krwi i ognia. Być może tym razem wyznawcom Chaosu powiedzie się. Bogowie wiedzą, jak blisko podchodzili w przeszłości, znacznie bliżej, niż ktokolwiek z obecnie żyjących uznałby za prawdę. Za każdym razem zostali odpychani – wysokim kosztem, ale za każdym razem Pustkowiec Chaosu przesuwały się nieco naprzód i nigdy nie wracały. Za każdym razem świat stawał się odrobinę bardziej zepsuty, a ukryci czciciele Ciemności, mocniejsi.

Max znał się na tych sprawach. Spędził większość swojego życia studiując te tajemnice, kiedy tylko nie badał magii. Przystępując do swojego tajemnego bractwa złożył przysięgę sprzeciwiać się wyznawcom Niszczycielskich Potęg przy każdej sposobności. W tej chwili zastanawiał się, czy owa przysięga doprowadziła go na miejsce jego własnej śmierci. Spoglądając w noc dostrzegał wielkie obłoki mrocznej magii gromadzącej się ponad odległą armią. Dla jego czarodziejsko wyćwiczonych zmysłów, przepływające prądy mocy były doskonale wyczuwalne. Był pewien, że tam pracują potężni magowie wzbudzający siły, które przekraczałyby możliwości kontroli przez jakiegokolwiek śmiertelnego czarodzieja.

Max pomyślał z goryczą, że wrogowie mogą nie być śmiertelnikami. Nie muszą nimi być. Czas na Pustkowiach płynął dziwnym tempem, a jednym / najczęstszych powodów, dla których ludzie poddawali się Ciemności, było obdarzenie nieśmiertelnością lub czymś jej bliskim. I nie było to wieczne życie w jakimś odległym raju, dokąd udajemy się po śmierci, lecz prawdziwa wieczna młodość ciała, na tym świecie. Wieczne życie i potęga. Dwie rzeczy, dla których ludzie bez wahania oddają swoje dusze.

Max wiedział także, że to głupcy. Nic nie przychodzi za darmo, a zwłaszcza nie potęga użyczona przez Mrocznych Władców Chaosu. Byli niczym lichwiarze nakładający morderczy procent. Oddajesz swą duszę, niewielką, niedotykalną rzecz, w której istnienie nie wierzy wielu ludzi, a czyniąc to, oddajesz wszystko. Poddajesz swoje życie i wolę Mrocznym. Przystajesz być sobą. Kończysz, jako zwykła marionetka tańcząca na sznurkach przewyższających cię potęg.

A przynajmniej, tego uczono Maxa. Nie zobaczył niczego, co kazałoby mu w to wątpić, ale pomyślał ponuro, że jeśli kiedykolwiek chciałby poddać się zwątpieniu, ten czas właśnie nadszedł. Gdy wybór sprowadza się do bolesnej śmierci lub wiecznego potępienia, nie wydaje się, by trudno było podjąć decyzję. Zapewne, kapłani Sigmara, Taala, Ulryka i Morra mieli swoje pisma i potrafili przepowiedzieć, co czeka za grobem. A jednak, żaden z nich nie był zbyt chętny, by porzucić swoje ciało, bez względu na to, jaki raj ich oczekiwał. Max nie był ignoranckim kmieciem. Nie do końca wierzył, by magiczne moce, jakimi władali kapłani zostały im udzielone przez bogów. Sam władał zbyt wielką mocą, by w to wierzyć. Świątynie nie cieszyły się z faktu, że ich długi monopol na magię został przełamany. To właśnie dlatego przesładowali kiedy tylko mogli czarowników takich jak Max.

Potrząsnął głową, próbując rozproszyć ponury nastrój, usiłując wytłumaczyć go obecnością mrocznej magii kłębiącej się w oddali. Stał w przeklętym miejscu, bliski odrzucenia wiary w istnienie łaskawych bogów, a jednak aż nazbyt ochoczo dawał wiarę Mocom Chaosu. Wmawiał sobie, że bogowie istnieją, a niektórzy z nich wspomagają ludzkość. Musiał w to wierzyć i zachować wątpliwości dla siebie, inaczej groziło mu pojawienie się łowców czarownic.

Takich ludzi nie zatrząsał fakt, że Max był magiem. Nie tak dawno temu czarownicy płonęli na stosach jako wyznawcy Chaosu i byli zmuszeni praktykować swoją sztukę w tajemnicy. W mieście pozostawało mnóstwo osobników, którzy nadal chętni byli przypiec boków czarownikowi. Wiedział o tym słuchając ludzi szemrzących na jego widok, gdy trzymając laskę szedł odziany w swe długie szaty.

Cóż, niech im będzie. Podczas nadchodzących dni będą potrzebowali jego mocy i będą za nie wdzięczni, bez względu na to, czy pochodzą prosto z piekła, czy też nie. Gdy człowiek zostaje śmiertelnie ranny i jego jedyną nadzieją jest magia, szybko porzuca swoje uprzedzenia. W każdym razie, czyni tak większość ludzi.

Max ponownie skupił uwagę na prądach magii. Wyczuwał moc pulsującą w kamieniach pod jego stopami. Krasnoludzka robota, czy dzieło starożytnych kapłanów – to właściwie nie miało znaczenia. Zaklęcia były silne, wzmacniane przez stulecia mocą ludzi, którzy wiedzieli, jak tkąć czary ochronne. Max był im za to wdzięczny. Miasto miało przynajmniej jakąś ochronę przeciw złej magii. Te same runy strzegły wewnętrznych ścian, a coś jeszcze potężniejszego ochraniało cytadelę.

Max wątpił, by nawet większemu demonowi Chaosu udało się przeniknąć przez zaklęte mury otaczające Praag. Oczywiście, nie mógł być tego absolutnie pewien. Żaden śmiertelnik nie wiedział naprawdę, do czego zdolni są najpotężniejsi słudzy Ciemności. Byli silni ponad wszelką miarę. Może wkrótce Max zmierzy się z tą siłą. Mógł tylko modlić się, by tak się nie stało.

Na stworzenie ochrony tego miejsca zużyto ogromną ilość mistycznej mocy i energii. Max zastanawiał się, z jakiego powodu tak uczyniono. Według powszechnej opinii, to miasto było

przekłete. Ludzie mniej uparci od Kislevitów dawno by je porzucili. To było Miasto Bohaterów, symbol ich wiecznego zmagania z siłami Chaosu – nigdy go nie porzucą, dopóki oddycha choć jeden obywatel.

Max oparł się na lasce i nabrał głęboko powietrza do płuc. Ściana zaklęć wytrzyma tak długo, jak same mury. Jeśli kamienie zostaną obalone, wątpił, by magia, którą podtrzymują, pozostała na miejscu. To stanowiło największe zagrożenie. Machiny oblężnicze mogą zniszczyć fortyfikacje, a utrzymywane przez nie zaklęcia po prostu się rozwieją. Max zastanawiał się, czy obrońcy wokół niego mają pojęcie, jaki koszmar może się rozpełtać, jeśli to się stanie? Lepiej, by tego nie wiedzieli. Nie trzeba podsycać rozpacz.

Max wiedział, że pomimo rozpaczliwej natury obecnej sytuacji, tak naprawdę próbuje odsunąć swe myśli od prawdziwego problemu – Ulriki. Kochał ją desperacko i szaleńczo, ale wiedział, że nie może jej mieć. Była z Felixem Jaegerem i zdawało się, że tego właśnie pragnie. Oczywiście, bywały chwile, gdy oboje nie byli razem szczęśliwi, co dawało Maxowi pewną nadzieję, że się rozstaną, a ona poszuka pocieszenia u czarodzieja. Taka nadzieja była przygnębiająca i zawstydzająca, ale tylko o to mógł się modlić.

Faktycznie, ukryta w tym była ironia. Max był człowiekiem znającym wiele najmroczniej szych sekretów magii, czarodziejem zdolnym wiązać wolą demony i potwory, a jednak nie mógł przestać myśleć o jednej kobiecie. Spętała go równie silnie, jak pentagram demona i nawet nie była tego świadoma. Pewnej pijackiej nocy w Karak Kadrin wyznał jej swe zaślepienie, a ona to zignorowała i od tego czasu traktowała go za ledwie po przyjacielsku. Na swój sposób, to było upokarzające.

Był przystojnym mężczyzną, silnym, dość majątnym dzięki swej praktyce magii. Wiele kobiet uznawało go za atrakcyjnego, chociaż podczas wcześniejszych lat pozostawał zbyt pogrążony w swoich studiach i poszukiwaniach magicznej wiedzy, by zwracać na nie wiele uwagi. Teraz, wreszcie odnalazł tę, której pragnął, a ona nawet nie rzuciła na niego okiem dwa razy. W głębi ducha zastanawiał się, czy nie jest to efekt oczarowania, a po części rozmyślał, czy pragnąłby jej tak bardzo, gdyby chciała go od razu. Znał na tyle dobrze ludzkie serce, by wiedzieć, jak bardzo potrafi być perwersyjne.

To zresztą nie miało znaczenia. Teraz był zadurzony i zdawał sobie z tego sprawę. Spędzał równie wiele czasu na marzeniach o uratowaniu jej życia i zaskarbieniu wdzięczności, jak na naukach. Wiedział, że nawet gdyby cztery wielkie Potęgi Chaosu objawiły się we własnych osobach przed miastem, pozostanie na miejscu, dopóki ona tu będzie. To było irytujące, bowiem czuł, że osiągnął sobie nowy poziom mocy w sobie i wiedział, że powinien skoncentrować wszystkie siły na zgłębianiu swych zdolności. Teraz był pewien, że jeśli chodzi o surową potęgę magiczną, obecnie może równać się z dowolnym ze swych starych mistrzów, a osiągnął to mistrzostwo jeszcze w młodym wieku. Może przyczyniły się do tego wszystkie przygody, jakie ostatnio przeżył, czary rzucone w trudnych warunkach – wiedział jednak, że podczas kilku ostatnich miesięcy zyskał ogromną siłę.

Potrząsnął głową zastanawiając się, dlaczego spędza tak wiele czasu zamartwiając się nad jedną kobietą, podczas gdy cały świat tkwi na krawędzi zniszczenia. Nie minął rok od czasu, gdy był świadkiem ataków skavenów na północy, nalotów smoka w górach, maszerujących plemion orków. Zdawało się, że ktoś podburzył całe gniazdo szerszeni pełne złowrogich mocy. Czy między tymi wydarzeniami istniało powiązanie? Instynkt i doświadczenie kazało mu w to wierzyć.

Szary Prorok Thanquol rozglądał się po komnacie. Był wściekły. Jak te imbecyle z Klanu Moulder ośmielają się oskarżać go o wszczęcie tej absurdalnej rebelii? Skoro nie byli w stanie zmusić swych własnych niewolników do posłuszeństwa, nie znajdował winy u siebie. Patrzył na wnętrze izby, która stała się jego więzieniem i oglądał dziwaczne żywe meble, stanowiące charakterystyczne osiągnięcie klanu, który trzymał go w niewoli. Było tam pokryte futrem krzesło, które dostosowywało się do jego kształtu, gdy na nim przysiadał, oraz nadęte stworzenie przypominające balon, które szczało grzybowym winem. Był także dywan skręcający się niczym żywa istota pod jego łapami, oraz dziwne okna pokryte przezroczystą membraną, która otwierała się, gdy klaskał. Zazwyczaj. Zawsze wtedy, gdy Moulderzy byli pewni, że nie spróbuje ucieczki.

Ucieczka! Sama myśl o niej złościła go. Był szarym prorokiem, jednym z Wybrańców Rogatego Szczura, ustępującym mocą i wpływami jedynie samej Radzie Trzynastu. Nie musiał uciekać. Mógł odejść w dowolnej chwili nie musząc tłumaczyć się przed podlejszymi istotami. Uderzył swym ogonem i poruszył nosem, a potem potarł skręcone kozie rogi wystające z boku jego łba. W każdym razie, taka była teoria. Moulderzy najwyraźniej nie zgadzali się z nią.

To wszystko przez tego durnia Lurka. Thanquol był tego pewien. Lurk stał za tym. Ten spasty potwór Izak Grottle wyjawiał to podczas ich ostatniego spotkania. W jakiś sposób, okazując demoniczny spryt, o który Thanquol nigdy by go nie podejrzewał, jego dawny pomagier wyrwał się na wolność i podburzył skaveńskich niewolników do rebelii przeciw swym panom. Najwyraźniej głosił, że mutacje, jakie dotknęły jego pokręcone ciało podczas pobytu na Pustkowiach Chaosu stanowią pewnego rodzaju błogosławieństwa Rogatego Szczura, oraz, że stał się prorokiem, którego przeznaczeniem jest pokierować rasę skavenów ku jeszcze większej chwale. Thanquol nie wiedział, co rozwściecza go bardziej: myśl o własnej niewoli, czy fakt, że ten nic nie warty pomagier przypisuje sobie potęgę większą niż należna szaremu prorokowi. W pewien sposób nie dziwiło go, że pośród tych durnych Moulderów nawet Lurkowi udało się znaleźć dość bezmózgich imbecylów, którzy uwierzyli w jego oczywiste kłamstwa. Klan, którego wodzowie byli na tyle głupi, by uwięzić Szarego Proroka Thanquola, bez wątpienia był dość tępym, by uwierzyć w cokolwiek.

Drzwi rozstały się, a głęboki, nieprzyjemny śmiech obwieścił nadejście Izaka Grottle'a. Thanquol przyglądał się chłodnym okiem swojemu dawnemu podwładnemu i rywalowi po porażce w Nuln. Nigdy nie byli wielkimi przyjaciółmi, a uwięzienie Thanquola niezbyt poprawiło sytuację. Moulder oblizał pysk długim różowawym językiem, a potem wepchnął sobie do ust małe żywe stworzenie. Stwór umierając piszczał. Grottle wydał z siebie głośnie beknięcie. Krew plamiła jego kły. To był niepokojący widok, nawet dla tak niewzruszonego skavena, jakim był Thanquol. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział szczuroczłeka równie tłustego i wielkiego, jak Izak Grottle.

– Czy jesteś gotów wyznać swój udział w tej łajdackiej intrydze? – spytał Grottle.

Thanquol łypnął na niego. Miał ochotę wezwać wiatry magii i rozerwać grubego skavena na miejscu, ale odsunął od siebie ten pomysł. Musiał gromadzić swą moc niczym skąpiec zbierający tokeny spaczenia. Nie miał pojęcia, kiedy będzie jej potrzebował do ucieczki. Gdyby tylko ta kula dziwnego spaczenia, którą dali mu magowie Chaosu nie znikła tajemniczo przed rozpoczęciem rebelii, miałby wystarczająco wiele czarnoksięskiej energii, by udało mu się uciec. Czasami Thanquol zastanawiał się, czy między tymi wydarzeniami istnieje jakiś związek, ale stwierdził, że to oznaczałoby, iż został przechytrzony przez dwóch ludzi – zupełna niemożliwość – zatem porzucił tak niedorzeczny pomysł.

– Rzekłem ci, że nic nie wiem o żadnej intrydze – pisnął gniewnie Thanquol.

Grottle ruszył naprzód kołyszącym się krokiem i zwałił się na żywe krzesło. Nogi mebla ugięły

się, a istota uginając się pod ciężarem siedzącego wydała z siebie przepełniony udręką jęk.

– Toż to nonsens. Nonsens. Rada Trzynastu usłyszy o tej bezczelności. Oni nie znoszą braku szacunku dla ich sługi wypełniającego ciężące na nim obowiązki.

To z pewnością była prawda. Tylko głupiec mieszał się w jakiegokolwiek sprawy uświęcone przez tajemnych panów rasy skavenów. Niestety, najwyraźniej Klan Moulder pełen był głupców.

– A cóż to za misja dla Rady? – spytał Grottle, ignorując gniew Thanquola, jakby wysłuchiwał gniewnych narzekań jakiegoś szczeniaka. – Skoro odbywasz misję na terytorium Moulderów, dlaczego Władcy Piekielnej Jamy nie zostali poinformowani ?

– Doskonale wiesz, na czym polega moja misja. Zostałem posłany, by przejąć dla Rady krasnoludzki statek powietrzny, aby mogli go przebadać i poznać jego tajemnice.

Cóż, to było dość bliskie prawdy, jaką ukrywał Thanquol. Był reprezentantem Rady i z własnej inicjatywy ruszył na północ, by spróbować zdobyć statek latający. I udałoby mu się, gdyby nie brak kompetencji jego pomagierów, oraz interwencja tej przekłętej pary, Gotreka Gurnissona i Felixa Jaegera. Ci dwaj zawsze musieli pokrzyżować jego najlepiej opracowane plany.

– Ty tak twierdzisz, ale starsi wyczuwają obecność czegoś ukrytego. Z pewnością, to nie zbieg okoliczności, że od czasu twojego przybycia Klan Moulder nękany jest nieprzerwaną serią nieszczęść?

– Nie wiń mnie, jeśli nie potrafisz utrzymać pod kontrolą własnych niewolników – zapiszczał z rozdrażnieniem Thanquol. Uderzył ogonem i groźnie wyciągnął jeden ze swoich pazurów, podkreślając wagę swych słów. Grottle nie cofnął się. Zamiast tego podrapał długi pysk swoim znacznie większym pazurem i mówił dalej, jakby Thanquol mu nie odpowiedział.

– Zaraz po twoim przybyciu straciliśmy potężny oddział naszych najlepszych sztormverminów podczas ataku na norę konnych żołnierzy. Potem wielka horda wojowników Chaosu nadchodzi z Północy i zaczyna siać spustoszenie na swej drodze. Jakby to nie wystarczało, od czasu twojego przybycia nie udał się żaden z naszych eksperymentów, a podczas jednego z nich dziwny mutant, który ci towarzyszył, wrywa się na wolność i zaczyna organizować przeciw nam naszych własnych poddanych. Starsi uważają, że to nie może być zbieg okoliczności.

Thanquol zastanowił się nad słowami Mouldera. Wydawało się, że rzeczywiście ma miejsce jakaś zdradliwa intryga, która wskazywałaby mniej oświeconym umysłom na udział Thanquola. On jednak wiedział, że po raz pierwszy w swoim długim i pełnym intryg nie jest za to odpowiedzialny. Niczego nie zrobił, nawet nie rozmawiał z Lurkiem od czasu, gdy przybyli do wielkiego krateru Piekielnej Jamy.

Dokładnie rozważy! swoje słowa.

– Być może starsi uczynili coś, co nie spodobało się Rogatemu Szczurowi? Może odsunął od nich swe łaski?

Grottle znowu wybuchnął śmiechem.

– To dość dokładnie odpowiada słowom, jakie twój partner wypowiadał do naszych skaveńskich niewolników.

Thanquol był rozwścieczony. Jak ten tłusty głupiec może sugerować, że pomiędzy nim, a zwykłym skaveńskim wojownikiem istnieje podobna równość?

– Lurk Snichtongue nie jest moim partnerem. On jest moim podwładnym.

A zatem, przyznajesz że jesteś mózgiem stojącym za tym agitorem? – rzekł Izak Grottle, kiwając głową, jakby właśnie potwierdziły się jego podejrzenia.

Thanquol ugryzł się w język. Właśnie wlażł prosto w pułapkę. Zastanawiał się, co się z nim dzieje? Dlaczego jego umysł był tak zamglony? Dlaczego brakowało mu zwykłej przenikliwości?

Zdawało się, jakby pozostawał pod wpływem jakiegoś zaklęcia. Jego myśli były nieco mętne od czasu, gdy został schwycony przez hordę Chaosu. Thanquol był pewien, że gdyby jego umysł nie był tak dobrze chroniony, wówczas musiałby podejrzewać, że ktoś go zaczarował. Na szczęście, w przypadku Thanquola to było niemożliwe. Żaden nikczemny człowiek nie byłby w stanie zaburzyć toku jego myśli... nieprawdaz?

– Nie! Nie! To mój były pomagier! – odpowiedział. – Nie mam żadnego udziału w tym powstaniu.

Grottle rzucił mu spojrzenie łączące szczerze niedowierzanie i kulinarne zainteresowanie. Thanquol zadrzał. Z pewnością nawet Izak Grottle nie ośmieli się pożreć szarego proroka? Masywny skaven przybliżył się jeszcze bardziej. Thanquol owi nie podoba! się błysk w jego oczach. Ale gdy Grottle podszedł na odległość ciosu, drzwi do izby otworzyły się i do środka wkroczyła grupa zasuszonych, sędziwych skavenów. Natychmiast Szary Prorok Thanquol i Izak Grottle padli na brzuchy i uniżyli się.

Rozległ się chrypliwy głos jednego ze starych skavenów.

– Szary Proroku Thanquolu, wstawaj! Masz wiele do wyjaśnienia i niewiele czasu. Twój były poplecznik sprowadził miasto na krawędź wybuchu wojny domowej i potrzebujemy twej wiedzy, by z nim skończyć.

Thanquol zadrzał i usiłował powstrzymać się przed wypuszczeniem piżma strachu. Wówczas dotarł do niego sens słów starszego. Potrzebowali jego pomocy. Ich miastu groziła anarchia. Oto znalazł wytrych, dzięki któremu otworzy drzwi swojego więzienia – klucz, którego użyje, by odzyskać wolność.

Sytuacja stała się nagle wielce obiecująca.

Rozdział 3

Felix wspiął się na szczyt wieży strażniczej w pobliżu Bramy Gargulców. Zaskoczyło go, że nikt nie próbował go powstrzymać. Straże rozpoznały w nim uczestnika potyczki u wrót i towarzysza Gotreka, a jego obecność w tym miejscu nie przeszkadzała im. Zapewniła to złota korona wciśnięta w dłoń ich dowódcy.

Gotrek i Ulrika szli tuż za nim. Ich także interesowało nadejście hordy Chaosu. Felix rozglądając się stwierdził, że nie są sami. Płaski podest na szczycie wieży pełen był ludzi, z których wielu w żaden sposób nie można było uznać za żołnierzy. Widział mężczyzn w grubych sobolowych futrach ulubionych przez kupców, oraz kobiety w ciężkich aksamitnych sukniach obecnie modnych na dworze księcia. Felix nie czuł się wśród nich nieswojo. Wychował się wśród takich ludzi. Jego ojciec był jednym z najbardziej majątnych kupców w Altdorfie. Felix zauważył, że Ulrika czuje się podobnie. Była córką szlachcica. Gotrek nie dbał o to, co myślą inni. Nikt nie zwracał na nich większej uwagi widząc, że przybyli zachowują się, jakby mieli prawo tu przebywać.

Dało się dostrzec kilka koszyków piknikowych i wino. Gruby kupiec trzymał w dłoni srebrny puchar. Felix potrząsnął głową. Ci ludzie chcieli potraktować przybycie wroga jak jakąś rozrywkę. Felix nie był pewien, czy był to dowód śmiałości, czy też oślej głupoty.

Na Ulryka, spójrzcie na to – usłyszał mruknięcie jednego z grubasów. Mężczyzna przyciskał lunetę do oka. Nie wydawało się, by był rozbawiony. Felix spojrzął ponad dachami i zrozumiał przyczyny jego zaniepokojenia.

Horda Chaosu pokrywała równiny za Praag, jak daleko sięgało oko. To była niepowstrzymana, czarna fala stali i ciał, napływająca, by zatopić świat. Na przedzie jechali konni, potężni mężczyźni dosiadający monstrualnych rumaków o czarnej lub czerwonej maści. Ci jeźdźcy należeli do nawiedzonych krain Pustkowi Chaosu. To był koszmar widzieć ich wśród traw Kislewa. Ponad morzem opancerzonych postaci wyrastały setki sztandarów znaczonych runami i chorągwi łopoczących na wietrze. Za jeźdźcami nadciągała piechota, jeszcze ciężiej opancerzona. A za nimi szły niezliczone, ohydnie zmutowane zwierzoczkę, wstrętne stwory maszerujące niczym ludzie, ale unoszące rogate łby o zwierzęcych pyskach. Wśród ogromnej armii widoczne były rozproszone dziesiątki tysięcy ludzi odzianych niczym barbarzyńcy. Byli to przerażający maruderzy z północnych Pustkowi. Felix wątpił, by nawet w przypadku powołania pod broń wszystkich żołnierzy w Imperium, ich liczba mogła równać się z tłumem nadciągających zwierzoczek. Ślad ich marszu znaczyły wielkie kłęby wznoszącego się pyłu zasłaniającego dalsze postacie. Felix był jednak przekonany, że gdyby mógł je zobaczyć, widziałby maszerujących, aż po krańce horyzontu.

– Mogło być gorzej – odezwała się Ulrika. Wszyscy bogacze zgromadzeni na szczycie wieży obrócili na nią wzrok. Niektórzy kręcili głowami z niedowierzaniem.

– A cóż ty możesz o tym wiedzieć, moja droga? – rzekł protekcyjnym tonem gruby kupiec. Zabrzmiało to tak, jakby sugerował, że powinna pójść do domu i bawić się swymi lalkami. Gotrek warknął złowieszczo. Strażnicy zwrócili na niego uwagę. Wyglądali na przestraszonych.

– Całkiem sporo, sir – odpowiedziała Ulrika z wymuszoną uprzejmością. Krępi ochroniarze kupca rzucili jej ostrzegawcze spojrzenia. Ulrika tylko uśmiechnęła się do nich zimno, a jej dłoń zaczęła bawić się głowicą miecza. Żaden z dwóch wielkoludów nie wyglądał na zastraszonego, co nie było zbyt rozsądne. Felix widział Ulrikę walczącą tym mieczem i był gotów wesprzeć ją w walce z każdym człowiekiem.

– Jestem córką Ivana Petrovicza Straghova.

– Bojara kresowego – dopowiedział grubas z większym szacunkiem. Jego ochroniarze rozluźnili się nieco, niczym bojowe psy, których pan dał im znak, by jeszcze nie atakowały. – Może zechcesz nam wyjaśnić, co chciałaś powiedzieć. Jestem pewien, że każdy z tu obecnych nakłoni ucha, by wysłuchać relacji córki człowieka, który strzegł naszych granic z Pustkowiami Chaosu przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Nie ma demonów – powiedziała – żadnych istot z piekła rodem. Żadnych z bardziej niezwykłych potworów, które czasami przychodzą z Pustkowi, by siać zniszczenie i pożogę.

– Dlaczegoż to? – spytał kupiec.

– Nie wiem – rzekła Ulrika.

– Być może ja potrafię to wyjaśnić – odezwał się znajomy głos. Felix odwrócił się i zobaczył, że na dach wdrapał się Max Schreiber. Felix zastanawiał się, czy czarodziej ich śledził? Było oczywiste, że Max jest oczarowany Ulriką, co nie wróżyło dobrze. Felix całkiem lubił tego człowieka, ale nieco irytował go jego upór w poszukiwaniu łask Ulriki. Felix czuł, że wkrótce będzie musiał coś powiedzieć na ten temat. Nie zachwycało go to zbytnio. Uczynienie sobie wroga z czarodzieja, rzadko było dobrym pomysłem, o czym Felix przekonał się w przeszłości na własnej skórze.

– A kimże pan jest, sir?

– Max Schreiber, imperialny czarodziej, niegdyś w służbie Hrabiego Elektora Middenheim.

Gdyby Max obwieścił, że jest hersztem dzieciogadów na dworze Lordów Chaosu, spotkałby się z odrobinę tylko chłodniejszym przyjęciem. Wszyscy spoglądali na niego podejrzliwie, jakby w jakiś sposób był powiązany z wielką armią najeźdźców. Felix odczuwał rozdarcie między satysfakcją płynącą z nieprzyjemnej sytuacji jego rywala, a współczuciem dla człowieka, który był jego kompanem podczas niebezpiecznej misji. Max najwyraźniej zapomniał, że w tej chwili nie znajduje się w Imperium. Nawet tam magicy byli ledwo tolerowani, a nigdy popularni. W Kislevie, na bardziej odizolowanych terenach, nadal palono magów. Max nie okazywał jednak oznak niepokoju. Felix podejrzewał, że do tej pory przywykł już do podobnego traktowania. Czarodziej mówił, jakby każde jego słowo rzucało czar na słuchaczy. Felix sądził, że w pewien sposób, jest to prawda.

– Mroczne wiatry wieją silniej nad Pustkowiami Chaosu. Wiele nadnaturalnych istot, takich jak te, o których mówiła Ulrika, potrzebuje obecności silnej magii, by móc objawiać się przez dłuższy czas. Wiatry magii, szczególnie związane z Chaosem, są znacznie słabsze tak daleko na południe.

– A zatem powiadasz, że jesteśmy bezpieczni przynajmniej przed demonami – rzekł kupiec.

Jego głos przypominał warczenie.

– Nie.

– Cóż zatem chcesz powiedzieć?

– Powiadam, że powodem, dla którego ich nie widzicie, jest fakt, iż nie zostały jeszcze przyzwane. Wiatry magii są tu na tyle silne, by podtrzymać manifestację takich istot tylko na niedługo, powiedzmy, na czas trwania bitwy. Nie mam wątpliwości, że tam są czarnoksiężnicy Chaosu dość potężni, by je wezwać.

– Wydajesz się niezwykle obeznany w tych sprawach, młody człowieku – rzekła jedna ze szlachcianek, odsuwając się jak najdalej od niego.

– Co jest dość podejrzane – dodał gruby kupiec. Felixowi nie podobał się sposób, w jaki ludzie kupca patrzyli na Maxa. Zrozumiał, że niewiele trzeba, by zwrócili się ku przemocy. A to także nie będzie dla nich dobre. Gdyby miało dojść do czegokolwiek, Max mógł okazać jeszcze bardziej niebezpieczny od Ulriki.

– Szkoliłem się w Imperialnej Szkole Magów w Altdorfie – powiedział Max. – Powiadam wam tylko to, co mógłby na ten temat powiedzieć każdy kompetentny magik. Skoro jesteście na tyle podejrzliwi wobec sztuki, że uważacie mnie za wyznawcę Chaosu, wówczas jesteście tym większymi głupcami.

Doskonale, Max, pomyślał Felix. Bardzo dyplomatycznie. To pomoże rozładować sytuację, czyż nie? Felix zastanawiał się, co wstąpiło w maga. Czy obecność Ulriki naprawdę tak bardzo wpływała na niego? Czy rzeczywiście był aż tak zdesperowany, by wyrzucić na niej wrażenie? Najwyraźniej nie był w stanie myśleć trzeźwo, gdy ona znajdowała się w pobliżu. Normalnie, Max był bardzo opanowanym i powściągliwym człowiekiem. Na wieży strażniczej rozległy się szemrania. Felix był ciekaw, czy Max ma pojęcie, jak niewiele brakowało, by sprowokować wybuch przemocy wśród tych ludzi. Byli przestraszeni i złęknieni, czekali tylko na kogoś, na kim mogliby dać upust swojemu strachowi.

Felix zrozumiał, że mieli wszelkie prawa, by odczuwać trwogę. Ta armia mogła przerazić każdą zdrowo myślącą osobę. Felix widział już oddziały najeźdźców, gdy przelatował nad Pustkowiami Chaosu, ale to znacznie różniło się od świadomości, że znalazł się na ich drodze i nie ma stąd ucieczki. Czuł narastające uczucie klaustrofobii. Aż do tej chwili, cała sytuacja wydawała się nieco nierealna. W głębi umysłu wiedział, z czym się mierzą, ale emocjonalnie nie do końca przyjmował to do wiadomości. Teraz, wydawało się jakby wokół niego zatrzasnęły się szczęki jakiejś wielkiej pułapki. Patrzył na coraz więcej wojowników Chaosu napływających na pozycje wokół miasta. Za nimi nadciągały nieskończone szeregi zwierzoczków.

Wiedział, że teraz nie ma już dokąd uciekać. Nie można było wydostać się z Praag, chyba że powróci Duch Grungniego, a nawet wówczas może okazać się, że odlot będzie niemożliwy. Nie dało się opuścić Praag, dopóki ta potężna armia na dole nie zostanie pokonana, co najprawdopodobniej oznaczało, że z Praag nie było ucieczki żywcem. Sądząc po zapadającej wokół ciszy, nie tylko on doszedł do tego wniosku.

Gruby kupiec i jego ochroniarze spoglądali na Maxa, jakby nie mogli się zdecydować, co z nim zrobić. Być może chcieli spalić go na stosie, ale Max był magiem i nikt nie miał bladego pojęcia, co potrafi. Może potrafił rozerwać ich na strzępy machnięciem ręki, albo zmienić w jakieś wstrętne stwory. Felix wiedział, że Max jest zdolny do tego pierwszego czynu.

– Powiniennem kazać obić cię szpicrutą – powiedział gruby kupiec.

– A jak masz zamiar to zrobić ze swoim tłustym łbem zerwanym z ramion? – spytał Gotrek. Jego głos był spokojny, jak podczas normalnej rozmowy, ale oblicze poważne. Najwyraźniej, podobnie jak Felix, on także nie był zachwycony, że wygraża się jednemu z jego towarzyszy. Strażnicy kupca wyglądali teraz wyraźnie nieswojo.

– Czemu stajesz po stronie tego wielbiciela Chaosu? – wyjąkał grubas.

– Sugerujesz, że stanąłbym za jakimkolwiek wyznawcą Mrocznych Mocy? – spytał Gotrek.

Teraz ton jego głosu był niebezpieczny. Wyraz twarzy kupca dowodził, że grubas dostrzega bliskość swojej śmierci. Felix trzymał dłoń na rękojeści miecza. Nie wątpił, że jeśli Gotrek postanowi zabić tego człowieka – zrobi to, a jego ochroniarze nie będą w stanie go powstrzymać. Potem na szczycie wieży rozpęta się rzeź. Ochroniarze najwyraźniej także to zrozumieli. Zaczęli się wycofywać. Kupiec rzucił im spojrzenie, które mówiło, że ich umowa o pracę właśnie została rozwiązana. Warknięcie Gotreka przywróciło jego uwagę.

– Oczywiście, że nie. Nikt należący do starszej rasy nigdy nie dopuściłby się czegoś podobnego.

Gotrek posłał mu zimny uśmiech, który obnażył poczerniałe pieńki jego zębów. Kupiec wyglądał, jakby chciał spróbować prześlizgnąć się obok Zabójcy i popędzić w dół schodów, ale nie

całkiem był w stanie zebrać się na odwagę.

W tym momencie zagrzmiały trąby i uwagę wszystkich przykuł grzmot bębnow. Spośród tłumu wojowników Chaosu wyłonił się jeździec. Był to wielki mężczyzna na największym wierzchowcu, jakiego Felix kiedykolwiek widział. Miał niesamowicie zdobny pancerz lśniący magicznymi runami, których wewnętrzna iluminacja oślepiała oczy patrzących. Wydawał się migotać, niczym miraż postrzegany na pustyni, a jednak w jego obecności wyczuwało się morderczą pewnością siebie, która czyniła go aż nazbyt realnym. W jednej ręce trzymał ciężką lancę, na której tkwił sztandar przedstawiający potworne kleszcze zaciskające się na lśniącej sferze. W drugiej unosił potężny miecz runiczny. Wielki topór bojowy zwisał z łęku u siodła. Wyglądający na dzikiego wierzchowca wydawał się całkowicie posłuszny swemu panu. Jeździec zatrzymał się tuż poza zasięgiem strzał i rozłożył szeroko swoje ramiona, a cała wielka horda za nim zamilkła.

– On ma zamiar powiedzieć nam, że jeśli się poddamy, ocalimy nasze życie – rzekł gruby mężczyzna.

Próbował przekazać to z ironią w głosie, ale w tej chwili zabrzmiało to tak, jakby z wdzięcznością przyjął podobną ofertę. Felix czuł się w ten sam sposób.

Wielki wojownik Chaosu zwrócił swą uwagę na ludzi tłoczących się na wieżach i murach Praag. Felix zdrzął, gdy omiotło go palące spojrzenie. Przez chwilę wydawało się, że ten człowiek, jeśli nim był, spojrzał prosto na niego i przejrzał jego duszę. Felix usiłował wmówić sobie, że to niemożliwe, ale nie był tego pewien. Któż wiedział, do czego naprawdę są zdolne te stworzenia?

– Jestem Arek Pazur Demona – zakrzyknął wojownik Chaosu. Magicznym sposobem jego głos niósł się wyraźnie i głośno przez całą odległość oddzielającą go od murów. To był potężny głos należący na kogoś, kto przywykł do absolutnego posłuszeństwa. Było w nim także coś, co wzbudzało wiarę w jego słowa. Nie była to szczerść, raczej pełne przekonanie o swojej racji.

– Przybyłem, by zabić was wszystkich!

Siła tego głosu była tak wielka, że kobieta w pobliżu Felixa krzyknęła i zemdląła. Gruby kupiec jęknął. Felix poczuł, jak jego dłoń zaciska się na główicy miecza.

– Wybuduję stos czaszek przewyższający mury, za którymi się chowacie i złożę wasze dusze na ofiarę dla bogów Chaosu. Oto nadszedł Czas Zmian. Fałszywa władza waszych żalosnych królów dobiegła końca. Teraz objawią się prawdziwi władcy świata. Myślcie o tym i drzyjcie.

Po raz ostatni potoczył wzrokiem po murach.

– A teraz, szykujcie się na śmierć!

Arek Pazur Demona wysunął przed siebie miecz. Potężna horda Chaosu ruszyła naprzód jak jeden mąż. Zwierzoczęki zaroily się tysiącami. Niektórzy z nich nieśli drabiny. Obrońcy na murach patrzyli jak sparaliżowani. Felix nie był pewien, czy wyznawca Chaosu nie rzucił jakiegoś zaklęcia.

Zwierzoczęki zbliżały się niepowstrzymaną falą. Felix zrezygnował z prób oszacowania, jak wielu ich było. Nigdy nie widział tak licznych potworności zgromadzonych w jednym miejscu. Były tam stwory o łbach kóz i baranów wyrastających z ciał potężnie umięśnionych ludzi. Ogromne monstra o byczych głowach uzbrojone w topory, przy których broń Gotreka wyglądała na zabawkę. Szczerzące zęby wynaturzenia z najciemniejszych otchłani piekieł. Idąc naprzód ryczały, miotały przekleństwami i śpiewały w swym plugawym języku. Ich czerwone ślepia lśniły niepowstrzymaną wrogością. Było ich tak wiele i okazywali tak niesamowitą furję, że Felix zastanawiał się, czy w ogóle można zatrzymać ten upiorny pochód. Nawet potężne mury Praag wydawały się lichą przeszkodą wobec tak wielkiej nienawiści i potęgi. Felix poczuł ogarniający go strach. Rozejrzał się i zobaczył to uczucie wypisane na każdej twarzy.

Zanim napastnicy znaleźli się w połowie drogi do murów, obrońcy miasta odpowiedzieli.

Katapulty cisnęły wielkie głazy na zbliżające się szeregi, zamieniając pomiot Chaosu w krwawą miazgę. Magowie posłali kule ogniste, które po przelocie lukiem nad murami eksplodowały wśród stłoczonych ciał. Niebo zasłoniły tysiące strzał. Zwierzoczęki zawyły wyzywająco miażdżąc obalonych towarzyszy pod kopytami, zdeterminowane, by dostać się pod mury Praag. Unosili swą broń i wykrzykiwali zniewagi wobec obrońców. Nawet umierając zanosili się rykiem obscenicznych modłów do swych mrocznych bóstw. Felix był pewien, że te stwory rwą się do zemsty.

Powietrze wypełnił brzdęk zwolnionego ramienia potężnej katapulty. Zginęły kolejne zwierzoczęki. Ich władcy nie zwracali na to uwagi. W odpowiedzi, ze strony armii Chaosu nadleciały kule ognia i wielkie, lśniące węże potwornej energii. Felix skulił się na ich widok, wiedząc, że obserwuje działanie czarnej magii. Kilka osób na wieży strażniczej jęknęło, jakby spodziewając się śmierci, która spadnie na nich za chwilę.

Kule ogniste rozproszyły się w deszczu iskier kilka cali od murów. Wiązki energii rozwiały się. Pioruny omiotły kamienne ściany nie wyrządzając im żadnej szkody. Dało się wyczuć smród siarki i ozonu.

– Co się stało? – spytał Felix. – Dlaczego ich magia nie zadziałała?

– Powstrzymały ją obronne zaklęcia w murach – odpowiedział Max. – Tak słabe czary nie mogą ich przeniknąć.

– A zatem, jesteśmy bezpieczni przynajmniej przed magią – rzekł Felix. Max wolno skinął głową.

– Być może. Dopóki pozostaniemy za murami i żaden z ich magików nie dostanie się do środka, oraz dopóki nie użyją naprawdę potężnych mocy czarnoksięskich. Magiczne mury Praag są bardzo silne, ale można je przełamać. Wątpię, by te zaklęcia rzucali na nas mistrzowie czarodziejów. Wiedzieliby, że marnują swoje siły. Najpewniej, te czary to dzieło popisujących się nowicjuszy.

– Nie poprawiasz mi humoru, Max.

– Przykro mi, ale obecna sytuacja nie jest zbyt wesoła.

Horda zbliżała się coraz szybciej obnażając broń. Wojownicy Chaosu przyglądali się temu ze spokojem. Najwyraźniej nie brali udziału w tym ataku. Max spojrzał na nich.

– Dlaczego ich wodzowie nie atakują? Dlaczego nikt nie wspiera tych zwierzoczeków? Ten brak działania mnie niepokoi.

– Oni nie atakują, ponieważ nie sądzą, by ten atak się powiodł – odezwał się Gotrek. – To nie jest szturm. To ledwie próba.

Patrząc na tysiące nacierających potworów Felix mruknął – To mi dopiero próba.

– Zobaczymy – rzekł Gotrek. – Nie wiem nic o magicznych murach, ale kamienne ściany Praag także są mocne.

– Jak na człowieczą robotę – dodał, jakby kończył myśl.

Zwierzoczęki dotarły do wielkiego rowu u stóp murów i zatrzymały się na moment. Masa ich kamratów, którzy napierali z tyłu, zepchnęła stojących z przodu prosto do najeżonego palami dołu pod ścianami miasta. Umierali rycząc i wrzeszcząc, ale ich towarzysze nadal parli naprzód, aż rów został wypełniony wijącymi się ciałami. Pozostali deptali ich usiłując dostać się do podstawy muru.

Felix zastanawiał się, jaki szalencie poświęciłby tak wiele dusz, tylko po to, by zapewnić sobie dojdzie do murów? A to była zaledwie próba. Spojrzenie na rzędy wojowników Chaosu siedzących niewzruszenie na końskich grzbietach przyniosło mu odpowiedź. Oto, z jakimi szaleńcami się mierzyli. Co gorsza, było ich więcej, niż kiedykolwiek wcześniej. Nagle Felix poczuł potrzebę przyjrzenia się z bliska ich wrogom, więc wyrwał z rąk kupca lunetę i skupił obraz na Areku Pazurze Demona, jeśli kupiec miał jakieś obiekcje, spojrzenie rzucone przez Gotreka uciszyło je natychmiast.

Felix zadrżał, gdy jego wzrok spoczął na herszcie Chaosu. Był olbrzymią postacią w niezwykle zdobnej zbroi. Jego oczy lśniły złowieszczo w hełmie zakrywającym całą twarz. Dwa masywne rogi wyrastały wijąc się z dolnej części hełmu, niczym żuchwy jakiegoś wielkiego owada. Na napierśniku wodza błyszczały Runy Tzeentcha, Wielkiego Mutatora, Władcy Zmian. Jego sztandar łopotał na wietrze. Po obu bokach wodzów stały dwie postaci, które przyciągnęły uwagę Felixa.

Byli to szczupli ludzie przypominający sępy, bez pancerzy, lecz odziani w obszerne płaszcze, których, zawoje nadawały im wygląd skrzydeł. Ich skóra była blada jak u trupa. Na policzkach i czole widniały wymalowane runy, które przypominały znaki wyryte na pancerzu wojownika Chaosu. Ich oczy lśniły nieprzyjaznym czerwonym światłem. Byli bliźniakami, identycznymi pod każdym względem, za wyjątkiem jednego. ostać stojąca po prawicy wodza trzymała w swej prawej ręce złotą laskę. Drugi bliźniak w swej lewej ręce unosił laskę z hebanu i ze srebra. Dłoń zaciskającą się na lasce okutej złotem kończyły długie złote paznokcie przypominające szpony. Srebro malowało pazury człowieka po lewej.

Jeden rzut okiem wystarczył, by Felix domyślił się, że ci dwaj są czarownikami. Wokół nich unosiła się oczywista aura mocy. Felix zauważył, że jeden z nich pochylił się naprzód i szepnął coś do ucha wodza. Drugi uśmiechnął się złowieszczo obnażając dwa duże zęby przypominające psie kły.

Felix był ciekaw, co do siebie mówili.

– Nie idzie dobrze – rzekł Kelmain Czarnokij. – Zgodnie z tym, co przepowiadaliśmy.

Arek Pazur Demona spojrzał na swoje oddziały atakujące Praag, a potem zerknął na czarownika. Nicco męczyły go upomnienia jego czarnoksiężników. Czyż nie ostrzegali go przed ruszaniem na południe o tak późnej porze lata? Czy nie zniechęcali do atakowania Praag? Czy nie radzili połączyć siły z innymi wielkimi wodzami, zamiast atakować na własną rękę?

Ostatnio, stale otaczała ich owa aura wszechwiedzy, która niezmiernie irytowała Areka. Czyż nie byli w stanie dostrzec, że pozostali wodzowie są zdradliwymi głupcami? Przecież zajęcie Praag przed nadejściem zimy zapewni jego armii bezpieczną podstawę działań skierowanych na ziemie południowe. Późne lato było doskonałą porą na atak, bowiem nikt nie spodziewał się armii maszerujących w tym czasie. Wyraźnie nie dostrzegali, że niemożliwe było powstrzymanie pochodu w tym kierunku. Jakiś instynkt popychał na południe każdego wyznawcę Wielkich Potęg. Każdy jasnowidz i plemienny szaman na Pustkowiach przewidywał nadejście Czasu Zmian. Każda wyrocznia twierdziła, że cztery Wielkie Potęgi są nareszcie zjednoczone w wysiłkach, by oczyścić krainy ludzi. Jego czarownicy nie dostrzegali faktu, że jeśli Arek nie ruszy na południe, jego podwładni opuszczą go i skupią się pod chorągwią jakiegoś śmielszego wodza. Podczas marszu jego armia nabrzmiała dziesiątkami tysięcy barbarzyńców i zwierzoczków – wszyscy odpowiedzieli na zew, wołający z głębi ich dusz.

Arek wpatrywał się w maga. Dostrzegał aurę mocy migoczącą wokół albinosa. To był jeden z wielu darów, jakimi obdarzył go Tzeentch. Czarnokij był potężnym magiem. Tzeentch dał mu moc większą niż komukolwiek, poza jego bliźniakiem, lecz było jasne, że Kelmain nie jest wojownikiem.

– To ledwie początek.

– Aye, to prawda – zgodził się Lhoigor Złotolaski, wyciągając swe żółte pazury. Jego chichot był przenikliwy i irytujący. Arek z utęsknieniem czekał dni, gdy przestanie potrzebować ich usług i będzie mógł ofiarować dusze magów swojemu patronowi. – Ale cóż to za początek!

Podobnie jak jego bliźniak, nie mógł ukryć nuty ironii w swym głosie. Arek rozejrzał się, by zobaczyć, kto usłyszał tę wymianę zdań. Przyglądał im się Bubar Cuchnący Oddech, spuchnięty wyznawca Nurgle'a. Jego pryszczata twarz nie wskazywała, by cokolwiek usłyszał, ale z drugiej

strony, to jeszcze nic nie znaczyło. Bubar był równie przeżarty chytrą, co chorobami. Lothar Ognista Pięść, główny wyznawca Boga Krwi w armii Areka, był zbyt zajęty wiwatowaniem do swoich czcicieli Khorne'a, by zwracać uwagę na to, co mówi Arek i jego czarnoksiężnicy. Zresztą i tak przez większość czasu ledwo powstrzymywał się przed okazywaniem pogardy. Sirena Bursztynowe Włosy, hermafrodyta – wojownik Slaanesha, oblizywała swoje usta na widok walki. Trudno było stwierdzić, czy coś zauważyła. Była niemal równie przebiegła, co Bubar, o ile nie pozostawała odurzona narkotycznymi snami sprowadzanymi przez czarny lotos.

Arek przyglądając się zwierzoczkom szarżującym ku pewnej śmierci czuł tylko pogardę. Myślał o nich jako o stworach plugawych, idiotycznych i słabych. Brutalnych i głupich. Nadających się jedynie do tego, by umierać w służbie swych wodzów i panów. Nadeszły z miejsca, gdzie pozostało ich znacznie więcej. Dziesiątkami tysięcy nadciągały z Pustkowi, przyciągane pod sztandar Areka obietnicą łupów i rzezi. A jednak, nawet tak nikczemne istoty mogą stać się sługami przeznaczenia, wcale o tym nie wiedząc.

Jedną z wielu różnic między Arekiem a tymi brutalami polegała na tym, że on wiedział, kim jest. Wiedział to nawet stulecia temu, gdy pod innym imieniem prowadził jakże odmienne życie młodego lorda w Imperium. Wiedział, że jest przeznaczony do większych rzeczy niż pozostali ludzie. Nie dopuszczał do siebie faktu, że nie jest najstarszym ze swego rodu. Zapewnił sobie władzę, na jaką zasługiwał. Trucizna, zaaranżowane wypadki i czarodziejstwo sprawiły, że odziedziczył cały majątek swego starego i nieodżałowanego ojca. Przez pewien czas to wystarczało. Miał bogactwa, miał władzę i kobiety. Ale to było za mało. Nawet wówczas podświadomie słyszał zew ku większym czynom. Jego los nie pozwolił mu żyć jak inni ludzie, ani umrzeć niczym zwykły śmiertelnik.

Czarnoksiężnik, który jako pierwszy zadbał o zniknięcie jego zazdrosnego, brata okazał się bogatym źródłem wiedzy, a także innych dobrodziejstw. Był słabym człowiekiem, który uważał czczenie Chaosu za łatwiejszą drogę ku pożądanemu bogactwu i szacunkowi, niż nauka i wyrzeczenia. Słaby, czy nie, okazał się przydatny. Jego grimuary wyjawiały Arekowi pewne starożytne prawdy. Dowiedział się z nich, że dla niektórych, godnych tego ludzi, możliwe jest pokonanie śmiertelności i osiągnięcie niemal nieskończonej mocy. Wystarczyło tylko zgodzić się na służbę Potęgom Chaosu – mocom, które, jak mniemał Arek, potajemnie władają wszechświatem. Tamten człowiek był głupcem, ale Arek nadal czuł wobec niego pewną wdzięczność.

Lata zabrało Arekowi zdobycie dalszej wiedzy. Przeniknął do ukrytych kultów, poznał głupców, którzy sądzili, że znają prawdę o Potęgach Chaosu i szukali własnych korzyści za pomocą swych związków z nimi. Z upływem lat, pomimo śledztw prowadzonych przez łowców czarownic i tajnych wojen z rywalizującymi kultami, Arek znalazł wreszcie to, czego potrzebował. Dowiedział się, że w celu zdobycia władzy i długowieczności musi wypełnić swoje przeznaczenie, musi odwiedzić Pustkowie Chaosu i poświęcić się Zmieniaczowi Dróg, w tamtejszej kaplicy.

To była długa i ciężka podróż, ale Arek wiedział, że taka być musi, bowiem ta podróż stanowiła test, którego celem było odrzucenie ludzi nie dość silnych, lub nie dość oddanych, albo za mało sprytnych, by cieszyć się błogosławieństwami największych władców Chaosu. Podobnie, kultury okazały się tylko próbą dla tych, którzy naprawdę poszukują potrzebnej im wiedzy. Oczywiście, wówczas tak mu się nie wydawało, ale przez lata poznał prawdę. Słabszy mężczyzna nie przetrwałby prób, które wycierpiał Arek, ale to było słuszne. Słabi ludzie nie zasługiwali na nagrody, jakie otrzymał Arek.

Na początku, nie posiadał dość mądrości, by rozpoznać w zmianach nagrody. Był wówczas przerażony stygmatami Chaosu, które pojawiały się na jego ciele. Teraz wiedział, że stygmaty zostały mu zesłane nie bez powodu. Zawsze odczuwał próżne przywiązanie do doskonalenia własnego

wyglądu, zawsze starał się wyglądać atrakcyjnie dla kobiet. Gdy rysy jego twarzy zaczęły rozmazywać się i psuć zaraz po pierwszej burzy spaczenia, jaką przetrwał na Pustkowiach, był bliski obłądu. Nie był w stanie spoglądać na swoje własne odbicie nie wzdrygając się z odrazą. To była oczywista słabość, którą wkrótce pokonał.

I został wreszcie nagrodzony. Wielki Mutator obdarzył go większą przenikliwością i mądrością. Odkryło się przed nim wiele ukrytych sekretów wszechświata.

Kiedy odnalazł utajnioną kaplicę Tzeentcha, pochowaną głęboko w kryształowej jaskini Gór Szaleństwa, został uznany za godnego, by stać się wojownikiem Chaosu. Czarna zbroja została szczepiona z jego ciałem. Przejął od niej dar zwiększonej siły i odporności, po czym wyjechał na świat, by szerzyć zmiany i terror w imię swego pana i przyłączył się do bandy wojennej i wywalczył dowództwo nad nią, bowiem, podobnie jak wszystkie wielkie potęgi, Tzeentch lubił szczuć swoich wyznawców przeciwko sobie, tak by mogli dowieść swej wartości i otrzymać jego łaski.

Arek zaiste był ich godny. Prowadził swych podwładnych do kolejnych zwycięstw, okazując wielki talent taktyczny niezbędny do osiągnięcia przewagi oraz polityczną przenikliwość, potrzebną, by wspinać się wśród szeregów wybrańców. W krótkich odstępach czasu pokonał głośnego wojownika Khorne'a, Belala, oraz dekadencją, uperfumowaną, lecz zabójczą księżną rozkoszy Slaanesh, Lady Silenfleur. Dokonał pielgrzymek do wszystkich świętych miejsc Tzeentcha rozsianych po całych Pustkowiach, oraz zgromadził jeszcze większą wiedzę i moc magiczną, a także wiele runicznych udoskonaleń dla swojego pancerza i broni.

W tym czasie po raz pierwszy spotkał się z bliźniaczymi czarnoksiężnikami, którzy okazali się tak kluczowi w jego drodze ku władzy. Byli to Kelmain Czarnokij i Lhoigor Złotolaski. Pierwsze spotkanie z nimi nastąpiło w jaskiniach Nul, głęboko pod Górą Szaleństwa, gdy Arek składał Lordowi Tzeentchowi swoją ofiarę z trzynastu pochwyconych dusz czempionów rywalizujących potęg. Demony na jawie wyszeptaly mu wiele sekretów, a bliźniacy pomogli mu zinterpretować te niejasne ostrzeżenia. Jedna z owych tajemnic przywiodła go dziś do tego miejsca. Znał bowiem powody, dla których Skathloc tak usilnie próbował zdobyć cytadelę Praag, oraz wiedział, co tam czeka, nadal ukryte.

Bliźniacy rozpoznali jego wielkie przeznaczenie i przyłączyli się do niego, uczynając swych czarnoksiężskich mocy, doradzając w sprawach magii, a czasem także innych. Zwykle stosował się do ich rad, a ponieważ nigdy nie podważyli jego decyzji i nigdy nie sprzeciwili się jego rozkazom, cieszył się z ich obecności w swoim oddziale. Zaiste, ich moc jasnowidzenia i zsyłania prorocत्व okazała się tak niezawodna, że uznał ich za swoje najbardziej użyteczne sługi.

Stali się w pewien sposób amuletami szczęścia, bowiem zaraz po ich przyłączeniu się do niego, Arek zaczął odnosić jeszcze większe sukcesy, niż wcześniej. Jego oddział rósł, gdy zwierzoczęli i pomniejsi czempioni garnęli się pod trzymany przez niego sztandar. Magia bliźniaków najpierw pomogła mu zdobyć fortecę na Pustkowiach Chaosu, gdy ich zaklęcia otworzyły wrota Cytadeli Arduna, na skalistych urwiskach ponad Doliną Pustki. Oczywiście, wprowadził do środka swoich wojowników i własnymi rękami zabił Pradawnego Arduna, jednak pomoc czarowników z pewnością była przydatna.

Okazali się nader użyteczni, gdy Arek wydobył swoją niepokonaną zbroję z Krypt Arduna. Udało im się ożywić zaklęcia, które otworzyły pancerz, a potem połączyły go z jego ciałem. Od tego czasu, zgodnie z ich prorocत्वem, Arek okazał się nietykalny wobec wszelkiej broni wykutej przez śmiertelnika, bądź demona.

Ich rada pomogła mu uformować tę wielką koalicję wyznawców Tzeentcha. Powiedzieli mu, kto jest godzien zaufania, a kto zdradziecki i okazywali niezawodne wyczucie znajdując tych, którzy knuli

przeciw niemu. To właśnie oni ostrzegli go, że jego zaufany porucznik Mikal Lwiogłowy planował zamordować go i obalić. Arek szybko zamienił pozycje w zabójczej grze, gdy zostali sami w jego sali tronowej, a Mikal usiłował zaatakować go z zaskoczenia.

Przestrzegli go przed planowaną wielką zasadzką na jego oddziały w Wąwozie Khaine'a, co z kolei pozwoliło mu zaskoczyć jego niedoszłych zamachowców. Zaklęcia bliźniaków wypełniły niebo czerwienią magicznych energii i pomogły mu osiągnąć zwycięstwo nad oddziałem dziesięciokrotnie liczniejszym niż jego własny.

Utkali wokół niego zaklęcia, które sprawiły, że stał się niewrażliwy na magiczne ataki, co zapewniało mu zwycięstwo nawet nad demonami. Przez stulecia pomagali mu zdobywać władzę i prestiż, dzięki którym ostatecznie udało mu się stworzyć ten wielki sojusz, w którego skład weszli także wyznawcy pozostałych trzech wielkich potęg. Arek wiedział, że jest to kulminacja jego przeznaczenia.

Poprzez długie millenia niewielu wodzów cieszyło się charyzmą, zdolnościami militarnymi, uporem oraz umiejętnością utrzymania podobnej koalicji. Skathkoc Żelazny Szpon stworzył ostatni sojusz ponad dwieście lat temu, a Arek wiedział, że jest pierwszym od tego czasu człowiekiem, który zebrał tak wielką armię. To prawda, co najmniej trzech innych wodzów stworzyło oddziały o zbliżonych rozmiarach i wyruszyło już z Pustkowi, ale w końcu, to właśnie Arek okaże się triumfotorem. Zwycięstwo tu, pod Praag, zdobędzie dla niego dość rozgłosu, by zjednoczyć za sobą wszystkich wyznawców Chaosu.

Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z jego planami, stanie się także ostatnim z podobnych bohaterów. Zamierzał bowiem sprowadzić cały świat pod but swej władzy i rozciągnąć Pustkowiec Chaosu od bieguna do bieguna. Wiedział, że z biegiem czasu może to osiągnąć.

Bliźniacy z pewnością byli użyteczni, ale teraz Arekowi wydawało się, że ich przydatność kończyła się. Sprzeciwiali się jego planom wczesnego wyruszenia na południe. Chcieli, by czekał dłużej i zgromadził jeszcze większe siły. Szeptali swe, jak zwykle niejasne, ostrzeżenia o złych omenach. Twierdzili, że wkrótce otworem staną Ścieżki Starszych i tak wielkie przemarsze przestaną być potrzebne. Nie dostrzegali, że zebrani hersztowie ledwo powstrzymywali się od walki, gotowi natychmiast wyruszyć na kampanię podbojów, która utrzyma ich jedność. Po raz pierwszy od chwili, gdy przyznali, że jego przeznaczeniem jest rządzić, Arek nie znajdował porozumienia ze swoimi ulubionymi czarnoksiężnikami.

To była sytuacja, którą należało jak najszybciej wyjaśnić. Bez względu na to, jak bardzo potężni są bliźniacy, istnieje mnóstwo innych czarnoksiężników chętnych, by pójść za ulubionym czempionem Tzeentcha. Arek przysiągł, że kiedy miasto zostanie zajęte, a wielka kampania rozpocznie się od głośnego zwycięstwa, które skupi wokół niego wielką horde, wówczas znajdzie zmienników za kłopotliwych czarowników.

W tej chwili skupił swą uwagę na toczącej się bitwie. Zwierzoczątka padały tysiącami pod pociskami ludzkich machin wojennych. To nie miało znaczenia. Arek nie spodziewał się, by mutanci mieli jakąś szansę podbicia miasta. Chciał tylko, by obrońcy zdali sobie sprawę z siły przeciwnika, z jakim się mierzą – by pojęli, że wódz najeźdźców może pozwolić sobie na roztrwonienie życia dziesięciu tysięcy swoich podwładnych, jeśli tylko zechce, a mimo to w żaden sposób nie uszczupli to liczebności jego hordy. To uderzy w morale obrońców, którzy zdadzą sobie sprawę z przerażającej skali przeciwnika, jaki czekał pod murami. Podczas długiego oblężenia, to może znacząco wpłynąć na wynik walki.

Poza tym, wszystkie atakujące zwierzoczątka należały do wyznawców Khorne'a. Desperacko pragnęły bitwy, a Arek wątpił, by udało mu się powstrzymać je, oraz Lothara Ognistą Pięć, dowódcę

potworów, przed obróceniem się przeciwko reszcie zastępów. To stanowiło główny problem związany z utrzymaniem podobnej koalicji. Zapewnienie im wspólnego wroga czasami bywało ważniejsze od zwykłych spraw wojskowych.

Arek przyglądał się napastnikom, którzy dotarli do murów. Na futra zwierozczłeków spłynął gotujący się olej, gdy obrońcy wylali na nich zawartość kotłów. Wiecznie płonący ogień alchemiczny zamieniał je w skwierzące człekokształtne pochodnie. Mimo to, kilka drabin dotknęło ścian, a niewielka liczba zwierozczłeków wspinała się po nich. Przez chwilę wydawało się, że niektórym z nich uda się znaleźć wyrwę w obronie blanków, co umożliwi ich kompanom wtargnięcie do środka. Wyglądało na to, że czysta zwierzęca furia może dziś zatriumfować. Arek byłby z tego bardzo rad.

A potem zauważył krasnoluda i kilku ludzi wybiegających u podstawy jednej z wież. Łańcuch błyskawicy zatańczył wzdłuż murów, zabijając zwierozczłeki. Odmieniony wzrok Areka odkrywał dziwny nimb unoszący się wokół krasnoluda – jakby aurę potęgi lub przeznaczenia. Jednego z ludzi, którzy mu towarzyszyli, również otaczała ta sama aura, chociaż mniej wyraźna. Wstrząśnięty Arek rozpoznał topór unoszony przez krasnoluda. Widział go już wcześniej, podczas ataku na cytadelę Karag Dum. To był potężny przedmiot, spowity przerażającymi runami i może nawet zdolny przebić pancerz Areka. Ten widok przepełnił go niepokojem.

Arek postanowił porozmawiać na ten temat ze swoimi czarnoksiężnikami. Zyskał powód, by pozwolić im żyć odrobinę dłużej.

Felix przebił mieczem czaszkę zwierozczłka i rozejrzał się. Blanki zostały oczyszczone. Wszystkie zwierozczłeki zostały zepchnięte na ziemię lub zabite. Felix spojrzał na Gotreka. Zabójca stał obok pokryty brudem i zakrzepłą posoką. Jego oblicze było ponure. Wyglądał na zaskoczonego i rozczarowanego faktem, że nadal żyje, co nie było dziwne, ponieważ celem życia krasnoluda było znalezienie heroicznej śmierci w bitwie. Niedaleko, Ulrika i Max Schreiber stali wpatrując się w mrok. Pot spływał po ich twarzach. Ulrika wyglądała, jakby pracowała w sklepie rzeźnika. Niewielkie kłęby dymu unosiły się z dłoni Maxa. Felix cieszył się widząc ich żywymi.

Przez chwilę sytuacja wydawała się bardzo niepewna. Nawet pomimo wielkiej liczby zwierozczłeków biorących udział w ataku i widoku zniszczeń, jakie wywoływali wśród nich łucznicy i maszyny bojowe, Felix był zaskoczony, gdy niektórym potworom udało się dotrzeć do murów. Należało to tłumaczyć niezmierną siłą i dzikością wyznawców Chaosu, którzy zdobyli się na taki wyczyn. Fakt, że już pierwszego dnia oblężenia udało się im zbliżyć tak bardzo do zewnętrznych murów, był przerażający. Jeszcze bardziej przerażające było wspomnienie nieokiełznanej furii i całkowity brak troski o własne bezpieczeństwo okazywane przez nacierających.

Felix, przyglądając się twarzom obrońców wokół niego, domyślał się, że są równie zatroskani. Nie spodziewali się tego. Uznawali mury swego miasta za niepokonane i mieli ku temu pewne powody. Łucznicy wyglądali z każdej szczeliny między blankami. Za nimi czekali świetnie uzbrojeni żołnierze. Podgrzane kotły gotującego się oleju stały w gotowości, by wylać je na atakujących. Maszyny do miotania garnców alchemicznego ognia zajmowały szczyt każdej z wież. A jednak wszystkie te przygotowania okazały się ledwo wystarczające. Felix zadrzał. Jeśli tak ma wyglądać pierwszy dzień, co będzie, gdy oblężenie rozwinie się w pełni, a najeźdźcy zyskają czas, by wznieść maszyny oblężnicze i uwolnić nikczemną magię?

Istniała także możliwość zdrady. Spoglądając na kłębiącą się poniżej masę wyznawców Chaosu, Felix nawet nie chciał brać tego pod uwagę. Wystarczająco przerażające było widzieć ich za miastem. Podejrzenie, że niektórzy z nich mogą być już w obrębie murów było zatrważające.

Arek wszedł pewnym krokiem do namiotu magików. Wewnątrz panowała cisza. Wchodząc, zostawił za sobą wszystkie wrzaski, krzyki i porykiwania hordy. Powietrze pachniało halucynogennym dymem kadzidła dobywającym się z kociołka w pobliżu wejścia. Rozejrzawszy się i dostrzegł wszystkie masywne kufry oraz skomplikowane instrumenty czarnoksiężskie. Widział kitajskie szkatułki z drzewa sandałowego i dziwne latarnie ozdobione rysunkami smoków, pochodzące z legendarnego Nipponu. W półmroku majaczył szkielet mastodonta. Spowite w cień kształty kłębiły się tuż pod opadającym płótnem sklepienia. Nie po raz pierwszy Arek zastanawiał się, jak Kelmainowi i Lhoigorowi udało się upakować to wszystko w ich namiocie. Czasami wydawało mu się, że pomieszczenie było większe w środku, niż na zewnątrz. Arek przypuszczał, że to jest możliwe. W końcu, mieszkali tu potężni magowie.

Bliźniaczy czarnoksiężnicy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami unosząc się na szerokość dłoni ponad dywanem z Arabii. Mieli zamknięte oczy. Figury na szachownicy przed nimi poruszały się samoistnie. Arek przyjrzał się ustawieniu. Wydawało mu się jasne, że gra zakończy się zwycięstwem białych. Zawsze tak było, gdy grali bliźnięta. Mieli tak doskonale wyrównane umiejętności, że jeśli któryś z nich zyskiwał najmniejszą przewagę, niezmiennie wygrywał. Arek wyciągnął dłoń i przesunął figury w kombinacji, która doprowadzała do nieuniknionego zwycięstwa.

– Dlaczego zawsze to robisz? – spytał Kelmain, uśmiechając się sardonicznie.

– Nie potrafię zrozumieć, po co w ogóle ze sobą gracie – rzekł Arek. Dobry humor bliźniaków zawsze trochę go irytował. Wydawali się dzielić jakiś sekret, którego nie chcieli zdradzić światu, ale czerpali z niego mnóstwo radości. Żyli nadal tylko dzięki swojej wielkiej mocy. Ludzie na Pustkowiach Chaosu umierali za większe błahostki.

– Mamy nadzieję pewnego dnia określić, który z nas jest lepszym graczem.

– Ile gier już rozegraliście? – Blisko dziesięć tysięcy.

– Jaki jest wynik?

– Zwycięstwo Kelmaina, które przewidziałeś, daje mu jednopunktową przewagę.

Arek potrząsnął głową i przyjrzał się lśniący aurom otaczającym jego czarowników. Z pewnością, wyczuwał ironię w ich głosie.

– Nie przyszedłeś tu, by dyskutować o naszej grze w szachy, jakkolwiek bez wątpienia jest to fascynujące – powiedział Lhoigor.

– Czego pragniesz od nas?

– Tego, co zawsze – informacji, proroctwa, wiedzy.

– Tzeentch udzielił nam wiele tego ostatniego.

– Czasami, aż nazbyt wiele, jak sądzę – wtrącił Kelmain.

Arek nie był w nastroju na żarty magów. Szybko streścił, co zobaczył dziś na murach. Opowiedział o swoim przeczuciu niebezpieczeństwa. Poprosił magów, by obdarzyli go wizją.

– Twoje przewidywania są bez wątpienia usprawiedliwione – stwierdził Kelmain.

– Czasem Lord Tzeentch uznaje za słuszne zsyłanie ostrzeżeń właśnie w ten sposób – dodał Lhoigor.

– Żądam bardziej konkretnych informacji – rzekł Arek.

– Oczywiście – odpowiedział Kelmain.

– Pragniesz dowiedzieć się więcej o tym toporze i jego powierniku – rzekł Lhoigor.

– Naturalnie.

– Pragniesz, byśmy przywołali imię Pana Zmian i poprosili go, by udzielił ci dobrodziejstwa wizji – powiedział Lhoigor. Jego głos nabrał melodyjności i rytmu przypominającego kapłana intonującego rytuał. Arek skinął głową.

Kelmain wykonał gest i na środku namiotu pojawiła się lewitująca, ogromna sfera z metalu. Unosiła się nad stołem. Lhoigor przesunął nad nią dłoń i sfera rozdzieliła się na dwie połowy. Odsunęły się od magów odkrywając gigantyczną kryształową kulę, która spoczywała między nimi.

– Spójrz w Oko Władcy i uzyskaj mądrość – rzekł.

Arek spojrział.

W głębi sfery dostrzegł migoczące światło, małe punkty, odległy płomień, który wzrastał, gdy Arek patrzył. Wydawało mu się, że wewnątrz płomienia zauważa wirującą, daleką wizję, którą rozpoznawał ze swoich najbardziej niespokojnych snów. To miejsce objawiło się mu już wcześniej, w kaplicach poświęconych Lordowi Tzeentchowi. Było to miejsce, gdzie niebo stale zmieniało kolor, gdy fale czerwieni i zieleni przewalały się po bezchmurnym nieboskłonie – gdzie wielkie skrzydlate postacie o ciałach ludzi i głowach drapieżnych ptaków ściagały dusze swych ofiar ponad bezkresną krainą, w centrum której zasiadał na tronie jego bóg.

Teraz czuł wokół siebie obecność obcych, w których rozpoznał dusze jego magików. Słyszał ich głosy, brzmiące daleko w oddali śpiewne słowa dziwacznych inkantacji. Obserwował, jakby z oddalenia, scenę dziejącą się u zarania czasu. Potężny krasnolud, który wydawał się być kimś więcej, niż tylko krasnoludem, wykuwał topór. Arek rozpoznał tę broń. Starożytny krasnolud kształtował ostrze na kowadle, przez które przepływała silna magia, cierpliwie kreśląc runy potężnej mocy zagłady demonów. Podczas ostatnich chwil rytuału, wezwał zaklęcia ochronne i cała scena zamigotała, a potem znikła.

Wyczuł nas – w umyśle Areka odezwał się głos Kelmaina.

Nonsens, bracie, zaklęcie, które przywołał blokuje wszelką zewnętrzną magię, włącznie z naszą.

Przypuszczam, że masz rację.

Arek zastanawiał się, o czym oni rozmawiają i kogo oglądali. Scena zamigotała i rozjaśniła się. Arek zobaczył wielkiego krasnoluda, podobnego do pierwszego, a w jego rękach dwa topory. Jeden z nich był tym, którego powstawanie oglądał, a drugi był bardzo podobny. Głowa krasnoluda była ogolona, jego skórę pokrywały tatuaże. Walczył bez końca z hordami Chaosu na świecie, którego niebo miało kolor krwi, a księżyc czarnoksiężników, Morrslieb, spoglądał z niebios ogromny i przerażający.

Pierwsza wielka inwazja, wyszeptał głos Kelmaina.

Gdy Władcy Chaosu po raz pierwszy wkroczyli na ten świat, dodał Lhoigor.

Arek widział, jak krasnolud prowadzi armie z ufortyfikowanych miast krasnoludów. Widział niekończące się krwawe kampanie prowadzone przeciw armiom Ciemności. Widział powiernika topora wyruszającego na Pustkowia w misji ostatecznego wygnania Lordów Chaosu z tego świata. Przyglądał się, jak krasnolud odrzuca topór przed swoją ostatnią, zabójczą bitwą z demonicznymi hordami.

* * *

Scena ponownie zmieniła się. Młody krasnolud odnalazł topór i sprowadził go do wielkiej cytadeli Karag Dum, daleko na północy. Magiczne mury tego wielkiego miasta zablokowały wizję na tysiąclecia. Wówczas fale Chaosu nadpłynęły raz jeszcze. Arek rozpoznawał te czasy. Widział Karag Dum otoczone przez Pustkowia i oblężone przez potężne zastępy zwieroczków i demonów. Oglądał zaklęcia w murach przełamane przez wielkiego krwiopijca Khorne'a i zajrzał do środka miasta. Zobaczył krwiopijca pokonanego przez odległego potomka pierwszego powiernika topora,

który zginął w zwycięskiej walce z potężnym skrzydlatym demonem. Arek zobaczył topór podniesiony przez królewskiego syna, który wyruszył na Pustkowie Chaosu, by sprowadzić pomoc swemu ludowi. Arek był świadkiem porażki jego misji, gdy młody krasnolud umarł samotnie i z dala od domu, tocząc ostatnią bitwę przeciw armii zwierozczeków, która odnalazła go ukrywającego się w jaskini.

Wizja zamigotała. Pustkowie przemierzał konwój dziwnych opancerzonych pojazdów. Były to okute stalą wozy, napędzane siłą mięśni kryjących się w środku krasnoludów.

Jakaś wyprawa, bracie, w celu odnalezienia miasta, Karag Dum... ;, ..

Nieudana, oczywiście, zabrzmiała odpowiedź.

Arek obserwował niszczone jeden po drugim wagony oraz ich załogi kierujące się z powrotem, aż tylko jeden pojazd kontynuował jazdę naprzód. Wreszcie, nawet ten stalowy wagon został zaatakowany i uszkodzony przez zwierozczeków, a z wnętrza wyłoniło się trzech krasnoludów: jeden z nich sędziwy, o długiej brodzie zaczesanej w dwa pasma, drugi wielki i bardzo ponury wojownik, oraz trzeci – krasnolud o surowym obliczu.

Gotrek Gurnisson, usłyszał szept Kelmaina.

Tak, bracie, nadeszła odpowiedź.

Wszyscy trzej byli opancerzeni i uzbrojeni w potężną broń, oraz chronieni runicznymi talizmanami. Wycięli sobie drogę ze zniszczonego wagonu i rozpoczęli długą, znojną wędrówkę z powrotem, ku swojej, tak zwanej, cywilizacji.

Rozpętała się burza unosząca pył z Pustkowi. Trójka została rozdzielona. Krasnolud o imieniu Gotrek znalazł schronienie w jaskini, dopóki nie odnalazł go wielki, zmutowany zwierozczek. Ścigany w głąbiny jaskiń odkrył ciało młodego księcia i topór. Krasnolud podniósł go i między nim a bronią utworzyło się połączenie. Wspierany przez starożytną moc topora zabił zwierozczeka i przyłączył się do swych dwóch towarzyszy.

Kolejne przejście. Góry. Błękitne niebo. Długa dolina. Krasnolud zwany Gotrekiem był tam. Większy, bardziej muskularny i jeszcze bardziej ponury.

Topór zmienił swego właściciela, bracie. Spójrz, jak urósł.

Zabójca wkroczył do doliny, wyglądał na szczęśliwego, że jest w tym miejscu. W dolinie ujrzał spaloną wioskę i wielu martwych krasnoludów. Krasnolud wszedł do jednego z kamiennych domów. Wewnątrz leżało sponiewierane ciało krasnoludzkiej kobiety i jej małego dziecka.

Krasnolud opuścił głowę. Być może załkał.

Następna zmiana. Sala krasnoludzkiego lorda. Gotrek Gurnisson był tu znowu. Z pasją kłócił się rozmawiając z długobrodym arystokratą zasiadającym na tronie. Na ustach szlachetnie urodzonego pojawił się uśmiech. Przemawiał z wyczuwalną kpina w głosie, a potem wykonał gwałtowny gest dłonią, jakby zabraniał Gotrekowi robić, czegokolwiek ten chciał się podjąć – może nawet żądał jego śmierci.

Drugi krasnolud potrząsnął głową i uśmiechnął się ponuro. Lord rozkazał swym żołnierzom, by pochwycili topornika. To był błąd. Rozpoczęła się wielka bijatyka. Wkrótce, wszyscy w sali poza Gotrekiem, byli martwi lub zbiegli. Wszędzie leżały krasnoludzkie zwłoki.

Krasnolud podniósł nóż i obciął włosy. Wkrótce, cała jego głowa została ogolona, poza niewielkim pasmem na jej szczycie. Krasnolud wyruszył w świat, by czynić, cokolwiek dyktowało mu sumienie.

Wielkie ludzkie miasto. Być może Altdorf, imperialna stolica.

Tawerna. Wysoki mężczyzna o blond włosach, najwyraźniej pijany, siedział za stołem z krasnoludem, który był zapewne równie nietrzeźwy. Krasnolud był teraz starszy. Jego włosy tworzyły wielki grzebień, pofarbowany na pomarańczowo. Jego ogoloną głowę pokrywały tatuaże. Nosił blizny, a na jego ustach tkwił cyniczny grymas. Wysoki mężczyzna był wyraźnie czymś zafrapowany. Rozmawiali. W miarę rozmowy, człowiek stawał się coraz bardziej podekscytowany. Napili się jeszcze więcej. Krasnolud ujął nóż i niezwykła para złożyła nawzajem przysięgę braterstwa krwi.

* * *

Teraz kolejne sceny następowały szybko, jedna po drugiej. Krypty pod imperialnym miastem. Magik odprawiający rytuał kosmicznego zła, powstrzymany przez tamtą parę. Mała wioska wśród dziczy, terroryzowana przez skrzydatego demona, dopóki ci dwaj nie zakończyli jego królestwa przemocy. Las podczas nocy. Morrslieb szczerzący się na dół. Dwójka podczas bitwy z mutantami i kultystami – wreszcie udaje im się wyrwać małe dziecko z ich szponów. Konwój wozów kierujących się na wschód, walczący po drodze z goblinami i nieumarłymi monstrami. Para była tam zawsze, walcząc jak diabły. U bram płonącego fortu, Zabójca pokonał całe plemię wilczych jeźdźców, tracąc przy tym oko. Arek ujrzał zrujnowane miasto krasnoludów i bitwy z potworami, oraz spotkanie z duchami.

Zamglone sceny przemykały coraz szybciej. Spotkania z magami, wilkołakami i nikkzemnikami. Płonące budynki innego miasta Imperium i armia szczuroludzi skradająca się przez ulice. Potężny statek powietrzny przekraczający Pustkowie Chaosu w drodze do Karag Dum. Krwiopijec powrócił, tylko po to, by jeszcze raz zostać pokonanym przez parę awanturników. Odnaleźli potężnego smoka i zabili go. Stoczyli walkę z armią orków i jakoś przetrwali.

Oglądający to wszystko Arek zrozumiał, że kimkolwiek by nie była ta para, są bohaterami, a ich przeznaczeniem jest sprzeciwić się Chaosowi. A może, nie było to przeznaczenie ich, lecz topora. Nie mógł tego stwierdzić. Musi na ten temat porozmawiać ze swoimi czarnoksiężnikami.

Nagle kaskada wizji zatrzymała się. Powietrze zamigotało kolejną zmianą obrazu. Arek poczuł przepelniające go silne przeczucie. Scena pociemniała i przez niezauważalnie krótką chwilę spojrzał na gigantyczną twarz, której rysy wydawały się migotać i zmieniać, czasami przypominając demona o ptasiej głowie, a czasami niesamowicie urodziwego mężczyznę o oczach lśniących światłem. Natychmiast domyślił się, że spogląda na Lorda Tzeentcha. Istota uśmiechnęła się kpiąco do niego i ostatnia scena pojawiła się przed jego oczami.

Budynki płonęły. Rogaci wojownicy walczyli z ludźmi na ulicach. Arek widział samego siebie, leżącego na ziemi. Jego pancerz był rozbity i połamany, a bezgłowe ciało leżało rozciągnięte na śniegu. Wszędzie wokół walały się zmasakrowane zwłoki zwierozczłków i wojowników Chaosu. Widział siebie złączonego w walce z krasnoludem. Arek widział samego siebie pochłoniętego oczekiwaniem na chwilę nieuniknionego triumfu.

Scena zgasła, lecz zastąpiła ją kolejna. Zobaczył topór, opadający, by ściąć jego głowę.

Trzecia wizja przeraziła go. Gotrek Gurnisson i jego ludzki towarzysz stali nad ciałem Areka, ranni lecz zwycięscy. Człowiek trzymał w dłoni odrąbaną głowę Areka. Patrzył wstrząśnięty na ten obraz, aż wizja zaczęła blaknąć. Stał oszołomiony na środku namiotu czarowników.

– Wasze wizje nie uczyniły nic, by mnie pokrzepić – odezwał się wreszcie. Kelmain spojrzał na Lhoigora. Jeszcze raz Arek z niezadowoleniem stał się światkiem bezgłośnej komunikacji między

nimi.

– Takie wizje nie zawsze są dokładne – rzekł Kelmain, pocierając swoją bladą skroń złotym paznokciem.

– Czasami złowrogie demony ingerują w obrazy dla swych własnych celów. Nasi starsi bracia mają dziwne poczucie humoru – dodał Lhoigor.

– Czy widzieliście, to co ja widziałem? – spytał Arek.

– Widzieliśmy jednego z pradawnych krasnoludzkich bogów tworzącego topór. Widzieliśmy większość jego historii. Zobaczyliśmy oblężenie Karag Dum. Patrzyliśmy, jak Gotrek Gurnisson otrzymuje topór. Ujrzyliśmy... twoją śmierć.

– Jak to możliwe? Myślałem, że Oko powinno pokazywać jedynie przeszłość.

– Oko jest osobliwym artefaktem. Może objawić tylko niektóre rzeczy... – zaczął Lhoigor.

– Normalnie pokazuje wyłącznie przeszłość – wtrącił Kelmain. – Albo to, co ludzie uważają za przeszłość.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Arek. Kelmain spojrzał na Lhoigora. Arek był pewien, że próbują zdecydować, który z nich wytłumaczy mu to wszystko.

– Królestwo Chaosu, z którego wypływa ostatecznie wszelka magia jest inną płaszczyzną rzeczywistości, mniej więcej równoległą do naszej... – zaczął Lhoigor.

– Składa się w całości z energii... – Kelmain znowu przerwał.

– Z której mogą czerpać ci, którzy posiadają dar – dokończył Lhoigor.

– A zatem? – spytał Arek.

– Istnieją powiązania między oboma płaszczyznami. Silne emocje, nadzieje, sny, lęki – wszystko to wzburza kłębiące się morze energii, które stanowi prawdziwe oblicze Chaosu – powiedział Kelmain.

– Wydarzenia wywołujące tak silne emocje pozostawiają odbicie na płaszczyźnie Chaosu. Bitwy, morderstwa i podobne. Mogą to także sprawić sny i lęki. Te uczucia unoszą się wokół niczym...

– Niczym bąble – rzekł Lhoigor. – Oko potrafi przyciągnąć do nas te uczucia, jeśli zostanie odpowiednio uaktywnione. Tylko artefakt o podobnej mocy może prześlizgnąć się wśród wirów energii i wybrać te, które niosą żądane odpowiedzi.

– Powiadacie jednak, że to, co zobaczyliśmy, niekoniecznie musi być prawdą?

– Sądzę, że większość z tego jest prawdą ogólną. Wizje mogą nie być całkiem precyzyjne, ale w większości aspektów są wystarczająco dokładne.

– A ostatnia wizja?

– To mogło być coś, co sam wprowadziłeś do rytuału – odpowiedział Kelmain.

– Projekcja twoich własnych, skrywanych lęków – dodał kpiąco Lhoigor.

– Albo, mogło to być ostrzeżenie wysiane przez Lorda Tzeentcha, pokazujące, co się stanie, jeśli będziesz szedł tą ścieżką.

– Trudno to stwierdzić. Takie wizje zawsze są niejasne.

– Zdaje się, że podobnie, jak wasze interpretacje.

– Jesteśmy jedynie pokornymi sługami naszego czcigodnego Pana – rzekł Lhoigor. Arek nigdy nie był pewien, czy takie stwierdzenie mogło oznaczać Tzeentcha, czy też jego samego. Podejrzał, że dwuznaczność była zamierzona.

– Znacie tego krasnoluda – stwierdził Arek.

– Słyszeliśmy o nim – sprostował Kelmain. – W przeszłości nieświadomie pokrzyżował niektóre z naszych planów.

- Podejrzewamy, że jest wybranym czempionem wrogów naszej sprawy, choć sam o tym nie wie.
- Z pewnością, został odmieniony przez tę potężną broń, którą nosi.
- Jeśli krasnolud zginie, ta przyszłość nigdy się nie wydarzy – zauważył Arek. – Skoro zabraknie go, by unieść topór, nie będzie mógł mnie zabić.
- Być może. Możliwe, że topór znajdzie innego powiernika – Arek myślał przez chwilę nad tymi słowami, a potem podjął decyzję. Krasnolud musi zostać wyeliminowany, a ten topór musi zniknąć.
- Czy macie agentów w mieście?
- Wielu.
- Dopilnujcie, by krasnolud i ten człowiek, jego kompan, umarli. Zadbajcie, by topór zaginął i nie został znaleziony zbyt szybko.
- Zrobimy, co w naszej mocy – zapewnił Kelmain z jeszcze szerszym kpiącym uśmiechem.
- Jeśli wizja rzeczywiście została zesłana przez Lorda Tzeentcha, wówczas próba zakłócenia przeznaczenia, które planuje dla ciebie, byłaby bluźnierstwem.
- Tym niemniej, zróbcie to.
- Jak sobie życzysz.

Rozdział 4

Ulrika z odrazą rozejrzała się po komnacie. To nie otoczenie ją mierziło, lecz znajdujący się wewnątrz ludzie, a przynajmniej większość z nich. Pomieszczenie było znacznie surowiej wyposażone, niż można było się tego spodziewać po dekadentkim szlachcicu z południa. Nie było tam żadnych rzeźbionych zdobień, ani gargulców, które pokrywały ściany tak wielu budynków w mieście – tylko broń i sztandary.

Sam książę wyglądał na wojskowego. Siedział wyprostowany na wypolerowanym drewnianym tronie. Był przystojnym, szczupłym mężczyzną we wczesnym wieku średnim. Miał czarne włosy, które miejscami zamieniły się w szare. Długie, opadające wąsy, ulubione przez południową arystokrację, na jego twarzy wyglądały bardzo dobrze. Sprawiały, że wyglądał jak jeden z dzikich łowców z legendy Gospodara. Jego spojrzenie było niepokojąco przeszywające, ale Ulrika nie dostrzegła nic, co mogłoby potwierdzać plotki o rzekomym szaleństwie gospodarza.

Niektórzy ludzie twierdzili, że wykazywana przez Księcia Enrika tendencja do doszukiwania się wszędzie wyznawców Chaosu była znakiem, że odziedziczył szaleństwo swojego ojca. Dla Ulriki fakt wspomagania łowców czarownic i stałe prześladowanie mutantów wydawał się jedynym rozsądnym zabezpieczeniem wobec Wielkiego Wroga. Być może prawdą było, że dekadentkie, imperialne obyczaje zakorzeniły się nawet tu, w wielkich cytadelach Kisleya? Uśmiechnęła się ironicznie do własnych myśli. Sama nie była lepsza. Czyż nie wybrała na kochanka dekadentkiego południowca? Czyż nie słuchała rad Maxa Schreiber, czarodzieja, człowieka, którego ledwie kilka miesięcy temu sama byłaby skłonna uznać za wyznawcę Chaosu? Nie, nie miała prawa krytykować tych ludzi. Wiedziała to. Mimo, to nic nie mogło jej przed tym powstrzymać.

Za książęcym tronem znajdował się wielki kominek, który promieniował ciepłem przepędzającym jesienny chłód. Długobrody szambelan trzymający ciężką, drewnianą laskę oczekiwał po lewej stronie tronu. Nieco przed tronem stało dwóch olbrzymów w pancerzach, należących do książęcej gwardii. Każdy był uzbrojony w halabardę i o głowę wyższy od dowolnego innego człowieka w sali. Dziesięć kroków przed tronem przebiegała sznurkowa bariera, za którą oczekiwali petenci. Stanowili pstrokate zbiegowisko majątnych kupców, pomniejszych szlachciców i kilku obszarpańców o nieokreślonej profesji. Ulrika domyślała się, że mogli być oni czarodziejami, kapłanami lub zawodowymi agitatorami.

Spoglądając na pozostałych w komnacie zastanawiała się, jak Enrik daje sobie z tym radę. Zachowanie tych ludzi wystarczyło, by doprowadzić do szaleństwa najbardziej rozsądnego człowieka. Z przodu komnaty zebrała się grupa ludzi z gildii kupieckiej, protestujących przeciw ostatniemu poleceniu księcia, który nakazał zamrozić ceny. Wydawało się, że nawet obecność tej wielkiej hordy Chaosu za bramami nie ma prawa zagrozić prawu tych ludzi to ustalania najlepszej ceny na ich dobra. Fakt, że poszukiwanie własnego zysku może doprowadzić do głodu większość ludzi, a w konsekwencji do rozruchów głodowych, najwyraźniej ich nie martwiła. Ulrika rozpoznała wśród kupców grubasa z wieży strażniczej. Najwyraźniej zapomniał już o swoim strachu i znacznie bardziej przejmował się faktem, że nie będzie mógł sprzedawać swojego zboża po dziesięciokrotnie wyższej cenie, niż ustalona miesiąc temu. Kupcy, pomyślała Ulrika ze zwykłą dla wojowniczej szlachcianki pogardą dla rosnącej klasy średniej. Nie mieli honoru. Nawet, gdy miasto uwikłane jest w walkę na życie i śmierć, oni myślą tylko o własnym zysku.

Książę Enrik niewątpliwie podzielał jej opinię.

– Wydaje mi się – odezwał się wysokim głosem – że utrzymywanie naszych ludzi na stanowiskach obronnych oraz zadowolenie naszej populacji i wsparcie ich księcia, jest w tej chwili znacznie ważniejsze, niż zyski gildii.

– Ależ wasza dostojność... – zaczął gruby kupiec.

– A co więcej – książę kontynuował, jakby kupiec wcale się nie odezwał – wydaje mi się, że ludzie, którzy najwyraźniej myślą inaczej, sami są wyznawcami Chaosu i czcicielami Mrocznych Potęg.

To zamknęło usta kupcom, jak zauważyła Ulrika z pewną satysfakcją. Oni także dostrzegli tę niezbyt skrytą groźbę.

Książę mówił dalej, nieco bardziej opanowanym głosem.

– A poza tym, Osrik, cóż będą znaczyły zyski, jeśli miasto upadnie? Złoto jest przydatne tylko tym, którzy żyją, by je wydawać. Jeśli te bestie wtargną do naszego szlacheckiego miasta, jestem pewien, że nie oszczędzą nikogo, bez względu na to, jak bogatego... za wyjątkiem, być może, kilku wyznawców Chaosu.

Znaczenie słów księcia stało się w tej chwili aż nazbyt jasne dla kupców. Większość rozglądała się nerwowo, pragnąc tylko z godnością opuścić salę. Wzmianka o złocie przydatnym tylko dla żywych trafiła im do rozumu. Śmierć groziła nie tylko ofiarom wojowników Chaosu, ale także kandydatom na stryczek za zdradę.

– Jestem pewien, że nie ma tu żadnych wyznawców Chaosu, bracie – odezwał się łagodnym tonem Villem. Spojrzał na swojego brata, mrugnął, a potem odwrócił się i posłał kupcom przyjacielski uśmiech. Ulrika oglądała w działaniu żelazną pięść i aksamitną rękawiczkę. W pewien sposób, to było smutne. Pod względem temperamentu Enrik bardziej nadawał się na najemnika, natomiast jego brat na agitatora. Być może, byłoby lepiej dla popularności domu rządzącego, gdyby ci dwaj mężczyźni zamienili się pozycjami – w ten sposób książę mógłby stać z boku z czystymi rękami i zyskać, większą popularność. A jednak, tak być nie mogło. Kolejność urodzin uczyniła z nich tych, kim byli, a żaden z braci nie wydawał się niechętny swej roli, jeśli można to było uznać za rolę. Być może, bracia po prostu wykonywali to, co przychodziło im naturalnie. Z drugiej strony, Ulrika słyszała plotki także o Villemie. Był kimś w rodzaju uczonego, zajmował się alchemią i podobno czytał księgi sprowadzane z całego Imperium. To także czyniło z niego podejrzaną postać w oczach członków starej kislevickiej arystokracji.

Kupcy skinęli wyrażając zgodę.

– Czy jest coś jeszcze, co pragniecie przedyskutować? – spytał Enrik lodowatym głosem. Kupcy potrząsnęli głowami i otrzymali książęce pozwolenie, by opuścić salę. Do tronu zbliżyli się kolejni petenci. Pomniejsi szlachcice – sądząc po ubiorach – proszący księcia, by rozstrzygnął jakąś nieistotną dysputę między nimi. Ulrika wkrótce pogubiła się w dyskusji i zwróciła uwagę na wnętrze sali audiencyjnej.

Była dość mała, a ściany pokrywały grube tkaniny pokazujące sceny starożytnych bitew. Szczególnie eksponowane były przedstawienia ostatniej Wielkiej Wojny z Chaosem. Widniał tam Skathloc Żelazny Szpon dosiadający swej potężnej wiwerny, Kła Zagłady. Był tam Magnus Pobożny, dumny w swej ciężkiej zbroi płytowej. Wokół jego głowy unosiło się halo świętobliwości, a w jednej ręce tkwił wielki młot wojenny, będący znakiem Imperatora. Był także Car Alexander, śmiertelny bóg w swym złożonym pancerzu. Zwierzoczęłki szczyrzyły się spomiędzy grubych wełnianych splotów. Szlachetni rycerze i skrzydlaci jeźdźcy pędzili im na spotkanie. Księżyc Chaosu lśnił złowieszczo na niebie. Wyglądał na większy, niż Ulrika widziała kiedykolwiek podczas swego życia, za wyjątkiem kilku ostatnich tygodni.

Nie po raz pierwszy żałowała, że nie skorzystała ze swego pokrewieństwa z rodziną książęcą. Byli dalekimi kuzynami powiązani przez małżeństwo i mogła dzięki temu oczekiwać prywatnej audiencji, ale zrezygnowała z tego. Nie pozwoliło jej na to wrodzone poczucie uczciwości. Jej sprawa była ważna dla niej, ale nie dość istotna dla innych, by zakłócać sprawy państwowe. Postanowiła wykorzystać normalny czas publicznych audiencji. W końcu, naprawdę chciała się dowiedzieć, czy doszły jakiegokolwiek wieści o jej ojcu. Istniała niewielka szansa, że książę wie coś na ten temat. Zadrzała i usiłowała odzyskać kontrolę nad własnymi obawami. Z jej ojcem wszystko będzie w porządku. Przeżył wojny, głód i zarazy przez niemal pół stulecia. Przetrwą także i to. Był niezniszczalny. Przynajmniej, taką miała nadzieję. Stanowił całą prawdziwą rodzinę, która pozostała jej na tym świecie.

Podniesiony głos księcia wyrwał ją z zadumy. Władca stracił cierpliwość *do* szlachciców i *krzyczał na* nich, jakby byli niesfornymi dzieciakami, których trzeba nauczyć surowej dyscypliny.

– A jeśli któryś z was ośmieli się tu przyjść i znowu marnować mój czas, każę obu wychłostać i odmówić miejsca w sztykach bojowych. Czy to jasne?

Ulrika była zszokowana. Ci ludzie mogli być małostkowi i małoduszni, ale byli szlachetnie urodzeni. Niezwykle było, że ktoś mówił do nich w ten sposób. Podobnie jak wszyscy kislewiccy szlachcice, zapewne byli drażliwi oraz utrzymywali własne, prywatne armie i zabójców. Tak otwarta zniewaga bywała zwykle przyczyną pojedynku. Jeden ze szlachciców głośno to powiedział.

– Gdy ta bitwa się zakończy, Hrabio Mikale, z radością udzielię ci satysfakcji – warknął książę tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, kto będzie zwycięzcą w dowolnym pojedynku. – Jednak w tej chwili, o ile tego nie zauważyliście, muszę troszczyć się o nieco ważniejsze sprawy. Ważniejsze nawet od kwestii, który z was ma pierwszeństwo w wyborze swej pozycji na zewnętrznym murze. Zresztą, jeśli trochę poczekacie, te zwierzoczłeki za murami mogą sprawić, że ów problem stanie się czysto akademicki, w chwili, gdy wskoczą na wasze głupie łby. O ile nie każę zrobić tego wcześniej moim gwardzistom. Możecie opuścić książęcą audiencję. Natychmiast!

Gniew w głosie księcia był całkiem szczery i Ulrika nie miała wątpliwości, że Enrik nie zawaha się przejść do czynów. Mimo to, uznała jego zachowanie za nierozsądne. Podczas zbliżających się dni będzie potrzebował niewymuszonej współpracy obu tych ludzi i ich żołnierzy. Villem także to dostrzegł, bowiem wyszeptawszy coś do ucha swego brata, pośpieszył za odchodzącymi, by wymienić z nimi kilka słów pojednania. Szambelan spojrzał na swoją listę, stuknął laską o podłogę i wezwał do wystąpienia dwóch następnych ludzi.

Byli wielkimi mężczyznami odzianymi w znoszone pancerze. Mieli długie płaszcze z kapturami i nosili na swych gardłach amulety w kształcie wilczych łbów. Z obu wychudłych twarzy bił fanatyzm. Zanim ktokolwiek przemówił, lub przedstawił nieznanym, Ulrika wiedziała już, kim są. Łowcy czarownic.

– Wasza dostojność, w obrębie murów Praag przebywają zdeprawowani wyznawcy Mrocznych Potęg. Musimy dać im nauczkę. Spalenie kilku z nich będzie dobrym przykładem dla obywateli.

– I, oczywiście, wiesz dokładnie, kto winien zostać spalony, Ulgo? – ironia w głosie księcia była ewidentna.

Ulrika była zaskoczona. Enrik miał reputację sympatyka łowców czarownic i zajadłego wroga Chaosu. Między innymi dzięki temu zyskał popularność wśród swego ludu. Ulrika patrzyła uważnie. Może książę po prostu nie lubił tych dwóch. Odpowiedział drugi łowca czarownic, a jego głos był gładki i uprzejmy, po prawdzie – dość podobny do sposobu wymowy Felixa.

– Wasza dostojność, pozwoliliśmy sobie przygotować listę – rzekł.

Książę skinął przywołując go do siebie, wziął zwój z wyciągniętej dłoni rozmówcy, czytał go

przez chwilę i zaczął się śmiać.

– Wasza dostojność znajduje coś zabawnego? – mruknął mężczyzna. W jego głosie pojawiła się niebezpieczna nuta. Nie należał do ludzi, którzy przywykli do kpin.

– Tylko ty, Petr, mogłeś uznać połowę hierarchii świątyni Ulryka za heretyków.

– Wasza dostojność, oni zaprzestali poszukiwania sług Ciemności z wystarczającą gorliwością. Wszelki kapłan Ulryka, który zachowuje się w ten sposób, musi być zdrajcą sprawy ludzkości, a zatem heretykiem.

– Jestem pewien, że Arcyprałat nie zgodziłby się z twoją oceną, Petr. Co być może tłumaczy, dlaczego pozbawił cię święceń.

– Moje wygnanie było dziełem ukrytych heretyków, wasza dostojność – tych, którzy lękali się wystawienia na oślepiające światło prawdy i którzy wiedzieli, że muszą mnie upokorzyć, albo zostaną odkryci, jako pomiot demonów, którymi są. Oni...

– Dość tego, Petr! – ksiązę przerwał spokojnie, ale głosem nie znoszącym sprzeciwu. – Obecnie jesteśmy w czasie wojny i wyjaśnię to tylko raz. Wezwałem was tutaj, by coś wam powiedzieć – a nie po to, by wysłuchiwać waszego ujadania. A zatem słuchajcie uważnie i pilnie.

– Nie będzie dalszych egzekucji tych, którzy zostaną uznani za heretyków przez ciebie, lub twoich ludzi... o ile ja tak nie rozkażę! Nie będzie więcej napominania mieszkańców przez palenie domów tych, którym odmawiacie gorliwości... o ile nie udzielę zezwolenia! Ty i twoja prywatna armia gorliwców przydadacie się podczas nadciągającej walki, ale nie będę tolerował brania przez ciebie prawa we własne ręce. Jeśli sprzeciwisz mi się w tej sprawie, nadzieję twą głowę na pal, zanim zdążysz przemówić. Rozumiesz me słowa?

– Ależ, wasza dostojność...

– Zapytałem: czy mnie rozumiesz? – głos księcia był zimny i bezwzględny.

Ulrika patrzyła niepewna, czy pochwała takie zachowanie. Dobrze było, że Enrik trzyma silną ręką niepokorne elementy populacji, szczególnie tak kłopotliwe, jakimi wydawali się być Ulgo i Petr. A jednak, oni byli potężnymi ludźmi, a sprawa, w którą wierzyli, słuszna i ksiązę nie powinien ich obrażać podnosząc głos w ten sposób. Ulrika zaczęła rozumieć, dlaczego Enrik nie był tak popularny, jak jego brat.

– Tak, wasza dostojność – odparł Petr. Ton jego głosu niebezpiecznie zbliżał się do braku szacunku. Ulrika zaczęła podejrzewać, że interwencja księcia przyniesie efekty odwrotne do zamierzonych. Wiadomo było o łowcach czarownic i ich poplecznikach, którzy wykonywali swoją pracę po kryjomu.

– Możecie zatem odejść – rzekł ksiązę.

Ulrika zwracała tak wielką uwagę na odejście łowców czarownic, że niemal przegapiła własne imię. Szybko wystąpiła naprzód i wykonała pokłon.

– Kuzynko – odezwał się ksiązę. – Cóż mogę dla ciebie zrobić?

– Wasza dostojność, chciałabym dowiedzieć się, czy doszły jakieś wieści o moim ojcu.

– Z żalem informuję cię, że nie usłyszeliśmy żadnych. Jeśli otrzymamy jakąkolwiek wiadomość, zostaniesz natychmiast powiadomiona. Ufam, że mój szambelan wie, gdzie cię znaleźć?

– Tak, wasza dostojność.

– Dobrze. A zatem, możesz odejść.

Twarz Ulriki spąsowiała. Nawet podług standardów kislevickiej szlachty, to była zbyt stanowcza odprawa. Odwróciła się, by wyjść. Zzerał ją gniew. Gdy poczuła dłoń na swym ramieniu, odwróciła się gwałtownie, gotowa do przemocy. Zatrzymała się, widząc uśmiechającego się do niej Villema.

– Musisz przebaczyć księciu – rzekł. – Nie jest cierpliwym człowiekiem, a ostatnio irytuje go wiele rzeczy. To nie są łatwe czasy, dla nikogo z nas.

– Jest tutejszym władcą. Trwa wojna. Nie mam czego przebaczać.

– Jestem pewien, że Enrik zgodziłby się z tobą, ale mimo wszystko dobrze jest nie zapominać o uprzejmości, szczególnie, gdy ma się do czynienia z krewnymi. Przykro mi, że nie słyszeliśmy o twoim ojcu. A jednak, zawsze jest nadzieja. Gołębie pocztowe czasem zbaczają z drogi, a kurierzy gubią się lub giną po drodze. Nie ma powodów do rozpacz. Patrząc na tę hordę za murami, wątpię, by jakikolwiek kurier przedarł się z północy jeszcze przez jakiś czas.

Wyczuwając współczucie w głosie Villema, Ulrika zaczęła się nieco uspokajać. Już czuła się odrobinę lepiej.

– Dziękuję ci – powiedziała szczerze.

– Proszę, nie myśl o tym. Z przyjemnością oddaję się do usług. Nie martw się – przejdziemy przez to. Rozumiem, że przybyłaś wraz z krasnoludzkim Zabójcą i jego towarzyszami, czarodziejem i szermierzem. Fascynujący osobnicy i bardzo bohaterscy, tego jestem pewien. Chciałbym zaprosić was wszystkich na obiad ze mną, tego wieczora, tu w pałacu. Z chęcią wykorzystam okazję, by porozmawiać o tym cudownym okręcie latającym i poznać lepiej tak piękną kuzynkę.

Ulrika na próżno usiłowała wyobrazić sobie Gotreka za stołem wraz z tym obytym mężczyzną. Felix i Max to była jednak inna sprawa.

– Zgadzam się z chęcią – odpowiedziała.

– Dopilnuję, by zaproszenia zostały wysłane. Zatem, do wieczora...

Szary Prorok Thanquol spoglądał w kryształ wróżebny. Odczuwał napięcie. Wszędzie wokół starsi Moulderów spoglądali na niego, jakby był jakimś smakołykiem. Zmusił się, by to ignorować i usiłował skoncentrować się na swych zaklęciach. Pozwolił swojemu umysłowi wprowadzić się w trans, którego nauczył się po raz pierwszy tuż po wyjściu z wieku szczenięcego, gdy dopiero rozpoczynał swoje szkolenie na szarego proroka. Pozwolił swojemu umysłowi unosić się swobodnie i gromadzić energie czarnej magii, a potem zamknąć je w kryształach.

Czyniąc to zauważał, że jego widzenie zaczyna się unosić. Wyglądało to tak, jakby kryształ zamienił się w oko wszechwidzącego boga. Ta analogia wywołała ciepłe uczucie na dnach brzucha Thanquola. Dostrzegał z góry swoje własne ciało. Widział dziwacznie zmutowanych starszych Moulderów o szarej sierści, którzy spoglądali na niego i zauważył Izaka Grottle'a toczącego wygłodniałym wzrokiem na końcu komnaty. Grottle przesunął długim różowym językiem po swoich żółknących kłach, a potem zaczął przeżuwać ogon. Ten gest sprawił, że Thanquol zaczął obawiać się o własne bezpieczeństwo. A jednak, nie mógł nic z tym uczynić – sam się na to zgodził. Wsparcie Moulderów w uśmierzeniu rebelii Lurka było najszybszym i najpewniejszym sposobem zdobycia ich łask, a im szybciej tego dokona, tym szybciej wydostanie się z tej śmiertelnej pułapki. Piekielna Jama była ostatnim miejscem, w którym chciałby się znajdować, gdy przemaszeruje tędy wielka armia Chaosu.

Przeklął, gdy ta myśl pojawiła się w jego umyśle. Najmniejsze wspomnienie o armii natychmiast wywołało żywy obraz w jego umyśle, a w obecnym wyczulonym stanie zmysłów to wystarczyło, by wizja w kryształach zmieniła się. Krater Piekielnej Jamy nagle znalazł się pod nim. Monstrualne cielesne budynki wznosiły się ponad centrum upadku gwiazdy sprzed wieków. Ulice wypełniali walczący skaveni. Poplecznicy Lurka bili się z oddziałami nadal lojalnymi wobec Klanu Moulder. Przez jedno uderzenie serca widział fragment brutalnego konfliktu, a potem oczy jego umysły popędziły ku wielkiej chmurze pyłu w oddali.

Za chwilę był tam i spoglądał w dół. Zobaczył niezliczone szeregi pełne zwierzoczeków, wyjących mas odzianych w futra i niemal zezwierzęconych ludzi, setki setek zakutych w czarne pancerze wojowników Chaosu dosiadających swych wielkich i zabójczych rumaków. Pod nimi maszerowały potworne stworzenia przypominające w połowie gigantycznych humanoidów, a w połowie smoki. Obok nich szły zmutowane trolle. Stada człekokształtnych stworzeń o nietoperzowych skrzydłach czerniły niebo. To był wielki tłum, a najgorszy okazał się fakt, że Thanquol wiedział, iż jest to tylko część maszerujących ogromnych armii Chaosu. Coś z pewnością poruszyło wyznawców pomniejszych mocy, a Thanquol nie czuł potrzeby, by dowiedzieć się o tym więcej. Wystarczyło mu spoglądanie na tę armię przez jego kryształ wróżebny.

Warknął i przywołał się do dyscypliny. Wszystko to wyglądało interesująco, ale nie miało nic wspólnego z jego misją. Musiał dowiedzieć się, co planuje Lurk. Musiał znaleźć jakiś sposób, dzięki któremu Moulderzy zyskają przewagę w wojnie domowej, która rozdzierała ich ufortyfikowane miasto, zanim zbliżającej się hordzie uda się wykorzystać panujące zamieszanie. Skoncentrował się na Lurku. Natychmiast poczuł obecność swojego zdradzieckiego, byłego sługi. Klejnot, który dawno temu Thanquol wepchnął w Lurka nadal spełniał swe funkcje komunikacyjne.

Jego wizja przemieściła się z prędkością myśli. Teraz znajdował się w wielkiej komorze, spoglądając w dół na kłębiącą się masę zdeterminowanych i wyglądających na zdesperowanych skavenów. Większość z nich nie była duża. Byli niewolnikami, najniższymi z najniższych w hierarchii skavenów. Byli szczuroludźmi zbyt słabymi i zbyt głupimi, by wydrapać sobie drogę do władzy, jak czynili lepsi od nich. Ich jedyną siłą leżała w liczebności. Niestety, była to znaczna siła. Tu i tam między tłumem znajdowali się także więksi i lepiej uzbrojeni skaveni. Thanquol robił co mógł, by powstrzymać gotującą się w nim wściekłość. To było typowe dla skavenów. Zawsze znaleźli się tacy, którzy zmieniali strony w zależności od okoliczności i dołączali do tych, których uznali za zwycięzców w najbliższej walce. Thanquola najbardziej poruszyła ilość Moulderów, którzy tak właśnie myśleli. Wśród tłumy dostrzegał nawet wielkich sztormverminów o czarnej sierści, oraz wielu wojowników w barwach klanu. Nagle Thanquol zrozumiał, dlaczego dano mu szansę wypracowania sobie łaski wśród starszych. Choć wydawało się to niemożliwe, Lurkowi udało się wszcząć całkiem udaną małą rebelię. Coraz więcej oddziałów garnęło się pod jego sztandar, a jeśli ten proces będzie trwał, ich liczebność wkrótce przeważy bilans potęgi na korzyść Lurka.

Szary Prorok Thanquol zastanowił się krótko nad tym. Skoro tak wielu przechodzi na stronę jego byłego sługi, być może on powinien to także uczynić. Albo powinien sprzymierzyć się z tymi, którzy stali za plecami Lurka, bowiem Lurk z pewnością nie miał dość inteligencji, by samodzielnie poprowadzić to przedstawienie. Gdzieś tam ukrywał się kierujący wszystkim błyskotliwy umysł. Może dzięki odpowiedniemu pokierowaniu przez doświadczonego skavena, jakim był Thanquol, uda mu się ustanowić w Piekielnej Jamie nową bazę działań dla zwycięzcy konfliktu i jego lojalnych doradców?

Lurk stał na wysokim podium spoglądając na masy zgromadzone na dole. Był jeszcze większy, niż jakim zapamiętał go Thanquol. Teraz przewyższał szczuroogra, był prawie dwukrotnie wyższy od Felixa Jaegera i znacznie cięższy od niego. Jego długi, robakowaty ogon kończył się masywną, kolczastą maczugą z kości. Ślepiea lśniły czerwonym szaleństwem. Najbardziej przerażające były skręcone rogi, bardzo przypominające należące do Thanquola, które wystawały z boków czaszki Lurka. Zaiste, Lurk w nieprzyjemny sposób przypominał posągi Rogatego Szczura, które Thanquol oglądał. Faktycznie, niesamowicie przypominał wizerunek Rogatego Szczura, z którym Thanquol komunikował się podczas swoich rytuałów inicjacyjnych. Czy to mogło być możliwe? Czy sam Szczurzy Bóg naprawdę mógł wybrać Lurka na swojego wysłannika? Thanquol natychmiast odrzucił

taką myśl.

Nieemożliwe.

Lurk zaczął przemowę.

– Uciskani bracia skaveni! Dzieci Rogatego Szczura! Godzina waszego wyzwolenia wybiła. Oto nadszedł czas zmian.

Czas zmian? To była znajoma fraza. Thanquol zastanawia! się, gdzie to już słyszał.

– Świat się zmienia. Najniżsi staną się najwyższymi. Wysocy zostaną uniżeni. Takoz przyobiecał mi mój ojciec, Rogaty Szczur.

Serce Thanquol było bliskie zatrzymania się ze wściekłości. Jego ojciec? Jak śmie ta żalosa, zmutowana namiastka skavena rzucać tak bluźniercze stwierdzenia? Thanquol był zdumiony mocą własnego oburzenia. Lurk uzurpował sobie bliższy związek z największym z bogów, niż dany był nawet szarym prorokom. Odziewał się w szaty przywódcy religijnego. Thanquol był zaskoczony, że Rogaty Szczur nie zabije go na miejscu. Chyba, że... Nie. To było niemożliwe. W żaden sposób bluźnierstwa Lurka nie mogły być prawdą.

– Ci z was, którzy podążą za mną, zostaną nagrodzeni bardzo-bardzo! Ci, którzy tego nie uczynią, albo zdradzą mnie, zostaną ukarani w sposób, jakiego sobie nawet nie wyobrażacie. O ile nie myślicie o obdzieraniu skóry żywcem, gdy jesteście obracani nad wielkim, rozpalonym spaczeniem ogniem, podczas gdy dwóch klanowych katów nakłuwa wasze gruczoły piźmowe rozżarzoną do czerwoności żelaznym prętem, a potem...

Lurk opisywał dalszy przebieg tortur w sposób niezwykle twórczy i dość przerażający. Nawet z takiej odległości Thanquol czuł, jak słuchając tego opisu jego własne gruczoły piźmowe ściskają się ze strachu.

– ... aż do waszej rzyci! – skończył Lurk.

Zapadła napięta cisza. Thanquol musiał przyznać, że Lurk najwyraźniej nauczył się czegoś podczas ich długiej wspólnej wędrówki. Jego sztuka oratorska rzeczywiście wywoływała wrażenie i udało mu się osiągnąć jeden z najbardziej cenionych wśród skavenów celów. Wzbudził strach w swoich podwładnych.

– A teraz słuchać – słuchać! – kontynuował Lurk. – Aby nasza wielka krucjata zakończyła się zwycięstwem, najpierw musimy przejąć Piekielną Jamę. Aby opanować Piekielną Jamę, musimy zawładnąć kadziami rozrodczymi oraz komnatami rady, a także rafinerią spaczenia. Aby tego dokonać, rozdzielimy nasze siły na trzy części.

Thanquol słuchał, a Lurk opisywał swój plan. Zamysł był zaiste niezwykle śmiały. Polegał na szybkości, elemencie zaskoczenia i działaniach pozorowanych. Thanquol wiedział, że sam z trudem byłby w stanie obmyślić lepszy plan, a zamiary Lurka prawie na pewno zakończą się sukcesem, jeśli Thanquol nie wyjawi tych szczegółów starszym Moulderów.

Jeśli.

Chytry skaweński umysł Thanquola rozważał możliwe opcje. Wiedział, że w jakiś sposób musi znaleźć osobiste korzyści w tej sytuacji. Nawet rozważając to, zastanawiał się jednocześnie, jak jego prymitywny i głupi sługus mógłby wymyślić taki plan, jeśli rzeczywiście było to jego zasługą. Z pewnością, równie zawiła i subtelna intryga nie mogła być dziełem Lurka. Musiała być owocem pracy umysłu równie przytłaczającego, co należący do Thanquola. Thanquol zaczął rozmyślać, w jaki sposób zdemaskować mózg całej operacji, stojący za jego pomagierem.

Był pewien, że z tą sprawą związana jest poważna zdrada. Któż spośród jego wrogów był dość przebiegły, by przejąć kontrolę nad tak pilnie obserwowanym sługą, jakim był Lurk?

Lurk rozejrzał się po swoich poplecznikach i pławiał się w ich adoracji. Wiedział, że to mu się należy. Długie lata ukrywania się w cieniu, wyrzekania się szacunku, do którego miał prawo, nareszcie zostały wynagrodzone, a smak nagrody był słodki. Lurk uśmiechnął się, obnażając swoje kły i radował się uniżonym lękiem, jaki wywołał u zgromadzonych ten gest. Z pewnością, tak właśnie musiał czuć się jego dawny, tak zwany pan, Szary Prorok Thanquol, kiedy stał przed armią skavenów pod Nuln. Było to uczucie tęskne sercu każdego skavena.

Lurk zostawił rozmyślanie na później. Wiedział, że z każdym mijającym dniem staje się coraz bardziej bystry. Dla jego niesamowitego umysłu jasne było, co się dzieje. Gdy tylko jego ciało przestało mutować, zaczął się zmieniać jego mózg. Proces, który przemienił go z małego, choć nie ułomnego skaveńskiego wojownika w przerażającą maszynę zniszczenia, zaczął obecnie przekształcać jego umysł, zmieniając go z niezwykle sprytnego skavena w istotę obdarzoną boskim intelektem.

Dla znacznie pobudzonego umysłu Lurka ten fakt był oczywisty. Jego umysł podlegał tym samym zmianom, które sprawiły, że stał się odbiciem wizerunku Wielkiego Ojca Całego Ludu Skavenów. A Lurk wiedział, że nie stało się tak bez powodu. Wiedział, że stało się tak, ponieważ został wybrany. Został przeznaczony na nowego, najwyższego lidera rasy skavenów. Miał zostać istotą, która powiedzie ich do tysiącletniego królestwa w pełni chwały.

To wszystko wydawało się tak oczywiste. Było jasne, że Rogaty Szczur wybrał go celowo. Wiedział, że został namaszczony przez Rogatego Szczura, jako jego nowy prorok, wódz, który zjednoczy wszystkich oczekujących go skavenów i poprowadzi ich do pewnego zwycięstwa.

Oczywiście, wizje okazały się bardzo pomocne. Zaczął je miewać już w obozie hordy Chaosu, po rozmowie z tymi dziwnie podobnie wyglądającymi ludzkimi magami, którzy niemal natychmiast rozpoznali jego budzącą się boskość. Pamiętał oddanie, z jakim skłonili się przed nim w ukryciu, a potem zaczęli wyśpiewywać pochwały dla niego swoimi niemal hipnotyzującymi głosami. Pamiętał, z jakim szacunkiem odzywali się, zachęcając, by nadal odgrywał swą rolę jeńca, tak by udało mu się dostać do cytadeli jego wrogów i wznieść wśród nich własny sztandar. Powiedzieli mu, że jego umysł staje się potężniejszy, niż należący do jakiegokolwiek skavena, podobnie jak to stało się już z jego ciałem. Pomyślał, że wkrótce zdobędzie moce czarnoksiężskie przekraczające umiejętności każdego szarego proroka, a wówczas stanie się najpotężniejszym skavenem, jaki kiedykolwiek stąpał po obliczu przerażonego świata.

Nawet głupi Moulderzy rozpoznali jego wyjątkowość i uznali przewagę Lurka. Czyż nie usiłowali uwięzić go w swoich nikczemnych laboratoriach alchemicznych? Czyż nie pragnęli poznać sekretów, które wyróżniały go spośród innych skavenów?

Lurk sądził, że powinien być im naprawdę wdzięczny. Skąpali go w tych dziwnych pożywnych płynach i wystawili na działanie jeszcze większych ilości pyłu spaczenia. Nadal pamiętał, jak jego ciało świerbiało, a umysł zapadał się w sobie. Było możliwe, choć niezbyt prawdopodobne, że w owym czasie bełkotał i błagał o litość. Wiedział, że jeśli tak się rzeczywiście działo – a nie miał zamiaru przyznawać się do tego – wówczas był to zaledwie znak wrastającej mocy jego umysłu. Już wtedy świadomie zwodził prześladowców, ukrywając swoją prawdziwą naturę i intrygi. Wzbudzał w nich fałszywe poczucie bezpieczeństwa, by w odpowiednim momencie uciec wymykając się strażnikom.

Istotnie, miał wiele szczęścia znajdując się w mieście stojącym na krawędzi wybuchu rebelii. Wielu skaveńskich niewolników wierzyło, że zwiększone rozmiary księżycy Chaosu, Morrslieba, były znakiem nadchodzących wielkich wydarzeń. Uważali, że coraz większa liczba spaczeniowych meteorów spadających na ziemię w tej okolicy była zapowiedzią znacznych przemian. Lurkowi nie

zabrało wiele czasu przekonanie ich, że to on jest obiektem przepowiedni – że jego przybycie było przewidywanym wydarzeniem. Szybko zgromadzili się pod jego sztandarem występując przeciw uciskowi ze strony swych panów, Moulderów. Wydawało się, jakby ta intryga była przygotowywana znacznie wcześniej, w oczekiwaniu na wydarzenia ostatnich tygodni. A czemuż by nie, pomyślał Lurk? Był wybrańcem Rogatego Szczura. Z pewnością musieli tu przebywać ci, którzy przewidzieli jego nadejście.

Początkowo zaskoczyło go, że szarzy prorocy nie głosili proroctw o jego nadejściu, ale niezwykle przenikliwy umysł szybko podał mu odpowiedź tłumaczącą, co się stało. Kontemplacja natury jego wcześniejszego, tak zwanego mistrza, Szarego Proroka Thanquola, pomogła objawić mu wstrętą prawdę. Szarzy prorocy byli skorumpowani. Zawiedli Rogatego Szczura, a on wycofał swe łaski. Przeszali być prawdziwymi strażnikami rasy skavenów. Nadszedł świt nowego dnia, objawił się nowy lider, którego chwalebne władanie trwać będzie tysiąc lat – co najmniej. To był dzień Lurka, niegdyś znanego jako Snichtongue, obecnie nazywanego po prostu Lurkiem Wspaniałym.

Natychmiast podzielił się swą wiedzą ze zgromadzeniem czołgających się przed nim wyznawców. Ich pełnie czci piski zapewniające oddanie były muzyką dla jego uszu.

Dziś, Piekielna Jama, pomyślał – *jutro, cały świat!*

Rozdział 5

Felix spoglądał na zbliżającą się hordę Chaosu. W ciągu kilku ostatnich dni urosła do przerażających rozmiarów. Wydawała się rozciągać po horyzont, w każdym kierunku, a kłęby pyłu w oddali każdego dnia mówiły o nadciągających następnych oddziałach.

Felix podniósł lunetę do oka i przyglądał się szeregom armii Chaosu. Zajmowali dogodną pozycję. Większość wrogiego obozu chroniła przed atakiem krzywizna rzeki. Hordy odzianych w skóry barbarzyńców gorączkowo pracowały, wnosząc szańce ziemne i kopiąc okopy skierowane ku miastu. Dostrzegał linie zaostrzonych pali wystające z podstawy wałów ziemnych. Wyznawcy Chaosu nie mieli zamiaru pozwolić jeźdźcom Kisleva na swobodne wypadły z Praag.

Podczas kilku ostatnich dni, szybkie ataki połączone z natychmiastowym odwrotem w wykonaniu kislewickich jeźdźców zebrały spore żniwo wśród najeźdźców. Żniwo to stanowiło zaledwie kroplę w oceanie, ale zrobiło wiele dla podniesienia morale obrońców. Wiedząc, że wielu mieszkańców miasta ogarnia rozpacz na widok tej potężnej armii, Felix stwierdził, że te małe zwycięstwa były równie ważne dla obrońców, jak jedzenie.

Niestety, liczba najeźdźców stale wzrastała, a przepowiednie i omeny były coraz gorsze. Nocami zauważano widma wędrujące ulicami miasta. Ostatniej nocy pod Białym Dzikim, Felix usłyszał dwóch pijanych tileańskich najemników, którzy opisywali swoje spotkanie z duchem bezgłowej kobiety na ulicy w pobliżu ich kwatery. Większość obcokrajowców próbowała traktować takie rewelacje jako wynik nadużywania taniego, podłego brandy, które pili tileańczycy, ale tubylcy tylko smutno kiwali ze zrozumieniem głowami i powracali do swoich trunków. Felix spodziewał się, że całe życie spędzone wśród opowieści o takich zjawach mogło zahartować miejscowych, ale wiedział, że on sam nigdy nie zazna spokojnego odpoczynku w mieście, gdzie podobne wydarzenia były stosunkowo powszechne.

Zastanawiał się, czy wzrastająca liczba widm miała coś wspólnego z obecnością armii pod murami.

– To możliwe – usłyszał znajomy głos Maxa Schreibera. Felix z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że myślał na głos. Równie zaskakujące było widzieć Maxa w tym miejscu.

– Max! Co robisz na murach?

– To samo co ty, Felixie. Spoglądam na tę armię i zastanawiam się, jak przetrwamy to oblężenie.

Felix rozejrzał się i z ulgą stwierdził, że najbliżsi żołnierze stali kilka kroków dalej. Być może niczego nie usłyszeli. Wyrażanie tak pesymistycznych przewidywań nie było w ostatnich dniach w Praag mile widziane. Felix wzruszył ramionami. To mówił Max, nie on.

– Uważasz, że doniesienia o zjawach na ulicach są powiązane z tamtą armią?

– Jestem tego pewien – kilku żołnierzy patrzyło już w ich stronę. Rozmowa przyciągnęła całą ich uwagę.

– Jakże to? Wydawało mi się, że mówiłeś, iż mury zaklęć wokół miasta są silne, a moce Chaosu nie mogą ich przeniknąć.

Max otulił się mocniej w swoje złotobrazowe szaty czarodzieja. Dziś nosił na głowie dziwny, szpiczasty kapelusz, wyglądający jak hełm, którzy sterczał nad jego głową i dodawał mu wzrostu. Szczecina na jego twarzy zaczęła podejrzanie przypominać rosnącą brodę. Oparł się całym ciężarem na lasce, przez chwilę spojrzął z namysłem na hordę, a potem przemówił.

– Powiedziałem, że istnieje związek. Nie mówiłem, że ci wyznawcy Mroku są za to odpowiedzialni.

Felix patrzył na czarodzieja. Max był na swój sposób przyjacielem, nadal jednak pozostawał magiem, a oni bywali czasem nieodgadnieni dla śmiertelników, takich jak Felix.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chodzi mi o to, że wszystko jest ze sobą powiązane. Zmasowany atak skavenów na Nuln. Fakt powiększenia się Morrslieba podczas ostatnich lat. Przemarsz sił Chaosu. Wzrastająca liczba spadających gwiazd, mutacji i magicznych wynaturzeń. A także niepokój duchów nawiedzających to miasto. Wszystko to jest częścią tej samej całości.

– Powiadasz, Max, że Potęgi Chaosu stoją za tymi wszystkimi wydarzeniami? Nie trzeba być wielkim czarownikiem, by się tego domyślić.

– Nie, Felixie. Miałem na myśli istnienie wielkiego planu. Możliwe, że gdzieś tam działa potężna inteligencja, a może coś innego, bardziej zbliżonego do fenomenu naturalnego.

– Nie jestem pewien, czy w tych okolicznościach użyłbym określenia „naturalny”.

– Myślałem o czymś w rodzaju przyływów morza, albo . zmian pór roku.

– Nie rozumiem cię.

– Pomyśl o tym w ten sposób, Felixie. Magia jest siłą, niczym wiatr, deszcz lub fale. Czasami jest silna. Czasami słabsza, ale zawsze istnieje, podobnie jak powietrze, którym oddychamy. Przenika świat, w którym żyjemy. Czarodzieje nazywają przepływ tej energii wiatrami magii.

– Tak. Cóż z tego?

– Być może istnieją okresy zmienności magii, tak jak pory roku zmieniające pogodę. Może rozpoczęła się pora, gdy wiatry magii dmą z większą siłą, a moc magiczna wzrasta. Może to właśnie wydarzyło się dwieście lat temu.

– To dość długa pora roku.

– Nie udawaj głupiego, Felixie. Jesteś bystrym człowiekiem. Wiem, że doskonale pojmujesz tę analogię.

Felix ustąpił słysząc ton głosu Maxa. Wiedział, że czarodziej ma rację. Być może zazdrość wobec Ulriki sprawiła, że chciał wszcząć sprzeczkę z magiem.

– Dobrze. Mów dalej – poprosił Felix, lekko nadąsany.

– Moce Chaosu są silnie powiązane z magią – być może ich potęga rośnie lub maleje wraz ze zmianą tych sezonów. Może to początek czasu, gdy wrastają w siłę. A może ten sam wzrost energii zwiększa liczbę widm pojawiających się w Praag i podjudza skavenów.

Felix rozważał argumenty maga. To było logiczne i miało pewien sens, jakby na to nie patrzeć, ale niewiele znaczyło. Na dziedzińcach uniwersytetu w Altdorfie Felix nauczył się, że uczeni wysuwali najbardziej niedorzeczne teorie poparte rygorystycznym zastosowaniem logiki.

– To interesująca teoria, Max. Słyszałem jednak inne teorie. Tego ranka, pewien człowiek pod Białym Dzikim wykrzykiwał, że jest to kara bogów za nasze grzechy i nadchodzi koniec świata.

Max uśmiechnął się dość paskudnie.

– Te dwie teorie wcale nie muszą się wykluczać – rzekł. – Cóż stało się z tym prorokiem?

– Straż z wieży rąbnęła go w łeb pałką i zaciągnęła ze sobą.

– Moja teoria zapewne nie jest obecnie równie niebezpieczna dla zdrowia.

– Istotnie, to jej niewątpliwa zaleta – stwierdził Felix, ponownie zwracając swoją uwagę na hordę Chaosu. Wydawało się, że między potężnymi czarnymi namiotami wzniesionymi w centrum armii coś zaczyna się dzieć.

Stojąc na szczycie wzgórza, Ivan Petrovicz Straghov spoglądał na horde maruderów Chaosu maszerujących przez równinę. Marsz, to nie było właściwe określenie. Sugerowało istnienie dyscypliny, której ci dzicy ludzie po prostu nie znali. To zresztą nie miało znaczenie. Byli liczni i ufali bezgranicznie swym mrocznym bogom. Długie lata służby jako bojar na kresach zapewniły Ivanowi wiele doświadczenia w tych sprawach. Ci ludzie maszerowali pod sztandarem Bezsłonecznego Człeka.

– Muszą ich być co najmniej tysiące, Lordzie Ivane – mruknął Petrov. Ivan odwrócił się i spojrzał na swojego najmłodszego lansjera. Chłopak ledwo przekroczył wiek piętnastu lat, ale miał oczy znacznie starszego mężczyzny. Mroczne cienie gromadziły się pod nimi, a jego twarz naznaczało zmęczenie, zbyt wiele dni w siodle i niedożywienie.

– Spokojnie, mały. Pamiętaj, że uciekający zawsze liczy swoich wrogów podwójnie. Nie czynimy spraw gorszymi, niż rzeczywiście są – Ivan starał się, by jego głos brzmiał beztrąsko i pewnie, ale nie czuł się w ten sposób. Wyglądało na to, że Pustkowia wyrzuciły z siebie całą swoją plugawą populację. Już od dwóch dni Ivan i jego ludzie spotykali zwiadowców hordy, wielkich, odzianych w skóry mężczyzn, którzy mówili gardłowym językiem. Ich skóra pokryta była stygmatami rozpoczynających się mutacji, lub dziwnymi runicznymi tatuażami Chaosu. Ivan domyślał się, że nie stanowią nawet części wielkiej armii Chaosu. To tylko dzikusy pędzone nagłym musem wędrówki na południe, by plądrować i łupić. Tak nakazywała im mroczna natura drzemiąca w ich duszach. Nieważne. To wystarczyło, by Ivan był przekonany, że dzieje się coś wielkiego. Podczas kilku ostatnich dni spotkał wojowników noszących tatuaże Jeźdźców Blizn, Lodowych Maruderów i Krwawych Krzykaczy. Wyglądało na to, że wszystkie plemiona z pustkowi kierują się na południe.

Jego jeźdźcy zajęli pozycje wzdłuż grzbietu urwiska. Nie próbowali się ukrywać, mając nadzieję, że sprowokują maruderów, by ruszyli na nich. Pośrodku barbarzyńskiej masy, białogłowy starzec trzymający laskę zakończoną czaszką – znak szamana, wydał współplemieńcom rozkaz ataku. Ivan czekał pewien siebie. Podczas gdy wyznawcy Chaosu zmarnują czas brnąc w górę zbocza, jego ludzie nafaszerują ich gradem strzał, a potem napastnicy zostaną zaatakowani z flanki przez rezerwę, którą Ivan trzymał poza polem widzenia, za wzgórzem. Dzikusy na pewno dadzą się na to nabrać. Wielu z nich zginie. To było niewielkie pocieszenie dla niego, ale jednak czuł się lepiej, wiedząc, że każde płacić im krwią za każdy krok prowadzący w głąb Kislewa.

W tej chwili, uwagę Ivana zwrócił rozlegający się za nim grzmot kopyt. Odwrócił się, by zobaczyć dwóch ze swoich ludzi eskortujących na szczyt wzgórza jeźdźca odzianego na niebiesko. Ivan uśmiechnął się, natychmiast rozpoznając wysokiego mężczyznę o siwych włosach. To był Radek Lazło, jeden z kurierów Lodowej Królowej.

– Miło cię widzieć, Radek! – zakrzyknął Ivan. – Przybyłeś w samą porę, by zobaczyć, jak ja i moje chłopaki zabijamy kolejne szumowiny Chaosu.

– Z chęcią bym to obejrzał – rzekł Radek z zimnym uśmiechem wykrzywającym jego wąskie usta. – Nie mam jednak czasu. Ty również nie masz. Lodowa Królowa żąda twojej obecności pod Brodem Mikala. Zbiera się tam Zastęp Gospodara.

Ivan zastanowił się nad słowami kuriera. Bród Mikala znajdował się o tydzień ciężkiej jazdy z tego miejsca, ale Zastęp znajdowałby się znacznie dalej, gdyby nie otrzymał jakiegoś ostrzeżenia o zbliżającej się inwazji. To musiało znaczyć, że Ulrika przedarła się!

– Pojedziemy. A co z tobą? Przyłączysz się do nas?

– Nie. Muszę jechać dalej przez te ziemie przynosząc rozkazy pozostałym lordom pogranicza, których uda mi się odnaleźć.

Ivan potrząsnął głową zdumiony. Radek otrzymał niemal samobójcze zadanie. Musiał jechać

samotnie przez okupowane krainy.

– Przydzielę ci oddział moich chłopaków – zaproponował.

– Nie. Caryca potrzebuje u Brodu każdej lancy. Powiadam ci, Ivanie, w całym swoim życiu nie widziałem niczego podobnego.

– Jest gorzej – rzekł Ivan. – Przybywamy z północy. Przysięgam, że to wygląda, jakby otwarły się same wrota Piekieł. Zanim będzie po nas, znowu rozpęta się Wielka Wojna, zapamiętaj moje słowa.

– Nie pokrzepiasz mnie, stary przyjacielu – rzekł Radek rzucając wzrokiem w stronę dzikusów wspinających się na wzgórze. Potrafił ocenić odległość z równą wprawą, jak dowolny z ludzi Ivana i wiedział, że pozostało im jeszcze trochę czasu na rozmowę.

– Jakież wieści o mojej córce?

– Widziałem ją przelotnie na dworze. To ona przyniosła Lodowej Królowej wieści o inwazji. Przybyła na tym wielkim okręcie latającym krasnoludów.

Ojcowska duma wypełniła serce Ivana.

– A zatem jedzie wraz z Zastępem?

Radek pokręcił głową.

– Nie, lordzie. Towarzyszyła krasnoludom aż do Praag.

– To prosto na drodze inwazji. Wyznawcy Chaosu zawsze na początku uderzali na tamtejszą wielką fortecę.

– Aye, stary przyjacielu, to prawda. Ale twoja droga wiedzie teraz na południe, do Brodu Mikala i wojny. Nie obawiaj się. Bez wątpienia pierwszym posunięciem Lodowej Królowej będzie wyzwolenie miasta.

Przez chwilę w duszy Ivana walczyły ze sobą miłość rodzicielska i poczucie obowiązku, gdy rozważał udanie się prosto do Praag. Jego jedyne dziecko znajdzie się tam w niebezpieczeństwie. A jednak wiedział, że niewiele może uczynić, by jej pomóc. Niewielki oddział lansjerów mógł tylko zginać, jeśli spotka się z głównymi siłami hordy Chaosu pod miastem. Znacznie rozsądniejsze wydawało się przyłączenie do zgromadzenia wojsk, a potem wyruszenie pełnymi siłami Kisleva na ratunek stolicy. Bał się jednak, że nawet ta potężna armia nie wystarczy, by pokonać to, z czym się obecnie mierzyli.

Westchnął cicho do siebie, a potem wydał rozkaz swoim wojownikom.

– Do Brodu Mikala. Jedziemy!

Jak jeden mąż, z precyzją pełnej dyscypliny lansjerzy i konni łucznicy odwrócili się i puścili kłusem w dół wzgórze. Za nimi rozległo się rozczarowane wycie dzikich barbarzyńców, brzmiające niczym zew głodnych wilków.

Na zewnątrz zbliżała się noc, sprowadzając ze sobą chłód. Ulice wypełniali maszerujący ludzie i ćwiczący żołnierze. Tu, w piwnicy, było ciemno, ciepło i cicho. Pojedyncza latarnia oświetlała zakapturzone i ukryte pod płaszczami postacie, które zebrały się po kryjomu, by rozmawiać o losie miasta. Mężczyzna znany swoim czterem zakonspirowanym towarzyszom jako Halek rozejrzał się, wiedząc, że gdyby znaleźli ich tu łowcy czarownic, nawet jego wysoka pozycja nie mogłaby go ocalić. Śmierć w ogniu byłaby najłaskawszym losem, na jaki mógł liczyć.

Wmawiał sobie, że nie ma szans, by tak się stało. Znajdował się w domu jednego z najbogatszych kupców w Praag, bez wątpienia któregoś z pozostałych zamaskowanych ludzi siedzących wokół stołu. A może było inaczej, może był nim tylko jeden ze sług tego człowieka. Jedyne Wysoki Kapłan Wielkiego Mutatora, siedzący u szczytu stołu – człowiek, który zwerbował ich wszystkich, wiedziałby to na pewno.

Zadawał sobie pytanie, dlaczego znalazł się w tym miejscu? Jak do tego dopuścił? Co sprawiło, że jego poszukiwania wiedzy doprowadziły do tego, że siedział otoczony przez wrogów Ludzkości. Wziął głęboki oddech i przypomniał sobie, że sam jest teraz jednym z tych wrogów. Nie było wymówki dla czynów, których dokonał – nie tu, w Praag, a prawdopodobnie także nigdzie indziej. Starał się zebrać w sobie. Przynajmniej przeszedł na stronę przyszłych zwycięzców.

Było jasne dla każdego, kto umiał patrzeć, że podczas zbliżającej się bitwy będzie tylko jeden zwycięzca. Potęgi Chaosu okażą się zbyt silne dla Praag, podobnie jak dla całego świata. Ich przeznaczeniem było odziedziczyć całą ziemię. Chaos był niczym śmierć lub czas – w końcu zawsze zatriumfuje, ścierając swych przeciwników w ciągu długich lat.

Gdy Wysoki Kapłan zaintonował monotonnym głosem otwierające inwokacje, Halek zmusił się do kontroli nad swoimi myślami. Takie myślenie było niebezpieczne, bliskie szaleństwu. Był na tyle doświadczonego uczonym, by wiedzieć, że porażki są możliwe, nawet w obliczu wielkich triumfów. Dla czterech Wielkich Potęg mogło nie mieć znaczenia, czy zwycięstwo nadejdzie teraz, czy za kilka stuleci, ale to było istotne dla niego. Karą za porażkę była w tej chwili śmierć, albo coś gorszego od śmierci, ponieważ jego panowie nie byli łaskawi dla dusz tych, którzy ich zawiedli. Dobrze było zapewniać się o nieuniknionym zwycięstwie Chaosu, ale to mogło być całkiem bezcelowe, jeśli nie dane będzie cieszyć się owocami tego zwycięstwa. Uśmiechnął się pod swoją prostą maską z kawałka materiału. Dobrze było zachować odpowiednią perspektywę dla wszelkich wydarzeń.

Tu w Praag, ledwie dwa wieki temu, kilka dni po upadku miasta siły tak zwanych Niszczycielskich Mocy zostały zepchnięte z powrotem na Pustkowia przez armię Magnusa Pobożnego. Jakże jego rodacy Kislevici lubili się rym chełpić. Jakże to było dla nich charakterystyczne i jak głupie. Nie potrafili spojrzeć w dal, tak jak on to potrafił. Nie dostrzegali, że nie miało znaczenia, czy Chaos zostanie odepchnięty raz, czy też sto razy. Zawsze powracał i to coraz silniejszy. Halek wiedział, że po części właśnie desperacja wywołana tą świadomością sprawiła, że postanowił złączyć swój los z Chaosem. Sprawił to także fakt, że wpadł zbyt głęboko, by się bezpiecznie wycofać. Zanim zorientował się, że towarzystwo, do jakiego przystał, nie było tylko kolejnym tajnym stowarzyszeniem poświęconym poszukiwaniu wiedzy alchemicznej i mistycznej, było już za późno. Wiedział, że jego towarzysze kultyści raczej go zabiją, niż pozwolą mu odejść wolno. I nie mógł uczynić nic, co nie spowodowałoby ujawnienia świata, kim jest. Zresztą, nie miałoby znaczenia, gdyby to zrobił. Kultyści byli już zbyt silni, by można było ich pokonać. Nie, najlepsze, co mógł uczynić, to pozostać w kulcie Zmieniacza Dróg i uczynić wszystko, co potrafi, by awansować w jego szeregach.

Jakie serce nie cieszyłoby się wizją udziału w zdobyczach tego zwycięstwa? Przez całe swoje życie Halek znajdował się blisko władzy, ale nie mogąc jej zdobyć, zaczął jej pożądać. Natomiast doczesna władza była najmniejszą z ofert Lorda Tzeentcha. Obietnice zawierały także znacznie więcej: wieczne życie i to nie w jakiś nudnych, bajkowych zaświatach, ale tu i teraz w tym słodkim królestwie śmiertelnych. Władza ponad siłami magii. Zdolność zaspokojenia swoich wszelkich żądź, bez względu na to, jak bardzo były mroczne lub zdeprawowane w oczach społeczności.

Halek nie był jednak jednym z tych słabeuszy, których przyciągały same obietnice. Pragnął służyć Lordowi Tzeentchowi z tego prostego powodu, że bóstwo wynagrodzi go wiedzą i zaspokoi jego ciekawość świata. Pozwoli mu także przeżyć zbliżający się koniec świata, jaki znał. Musiał tylko zdradzić tych, których kochał i którzy mu ufali. Usiłował zdusić w sobie uczucie goryczy. Ci ludzie przestaliby go kochać i ufać mu w jedno uderzenie serca po tym, gdy dowiedzieliby się, że znajduje się w tym miejscu, albo zobaczyliby stygmat mutacji, który zaczął pojawiać się na jego ciele. W żaden sposób nie mógł ukrywać go dłużej. Ta inwazja nadeszła w odpowiedniej dla niego

chwili. Za kilka kolejnych miesięcy i tak musiałyby uciekać z miasta.

Modlitwy i inwokacje, mające strzec izbę przed czarami jasnowidzów, zakończyły się i zebrani przeszli do właściwych spraw. Halek spoglądał na pozostałych czterech ludzi zgromadzonych wokół stołu. Wszyscy byli odziani w obszerne stroje. Halek słuchał, co mieli do powiedzenia.

– Czas Zmian zbliża się, bracia – odezwał się mężczyzna znany jako Alrik, ich przywódca.

Mówił z szorstkim akcentem niczym zwykły kupiec, ale Halek wiedział, że ten człowiek może być kimkolwiek, ale na pewno nie należy do pospólstwa. Jego wypowiedzi zdradzały przebiegłość i bystry intelekt. Gdyby Halek musiał zgadywać, powiedziałby, że Alrik był człowiekiem, którego nie chciał przyjąć ten świat, który po wypadku, jakim należałoby uznać jego narodziny pośród nisko urodzonych, odnalazł w Lordzie Tzeentchu sposób na wywyższenie swojego statusu.

– Czy wszystko w gotowości? – spytał osobnik zwany Karlem.

Halek rozpoznawał w jego głosie akcent szlachcica. Karl należał do jego klasy. Często narzekał w obecności pozostałych na niesprawiedliwość, jaka spotkała go ze strony przeklętego księcia i jak zamierza mu za to odplacić. Karl tkwił w tym dla zemsty. To był motyw łatwy do przyjęcia. Halek myślał, że jeśli Karl kiedykolwiek poczyni jakiś krok bezpośrednio skierowany przeciw księciu, wówczas on zabije go własnoręcznie. Halek nie był pewien, czy chciał to zrobić, by oszczędzić księcia, czy też pragnął własnej śmierci. Jego związki z władcą zawsze były dość skomplikowane.

– Wiecie o tym, równie dobrze, co ja – odparł Alrik. – Jeśli wszystkie wasze komórki wykonały swoją robotę, jesteśmy gotowi.

Każdy ze zgromadzonych tu ludzi był odpowiedzialny za swoją komórkę kultystów, których członkowie znani byli tylko bezpośredniemu przełożonemu. Oznaczało to, że w mało prawdopodobnym przypadku wpadnięcia jednego z nich w ręce łowców czarownic, zdradzą tylko tych ludzi, których znają z własnej komórki. To było przebiegłe, ale to właśnie cechowało działania Lorda Tzeentcha. Khorne, Bóg Krwi, mógł polegać na brutalnej sile, ale czciciele Zmieniacza Dróg woleli korzystać ze swej inteligencji. Wszyscy z nich wiedzieli, że jeden dobrze umieszczony konspirator mógł być bardziej niebezpieczny, niż setka ludzi uzbrojonych w miecze.

– Moi ludzie z pewnością są gotowi – bąknął mężczyzna zwany Victorem. Miał akcent cudzoziemca, być może Bretończyka. A może była to tylko sprytna osłona, której celem było zmylenie wszelkich podejrzeń, co do jego prawdziwej tożsamości. Halek znał Victora na tyle długo, by domyśleć się, jak działa jego przebiegły umysł. Victor należał do ludzi, którzy lubią komplikować wszystko dla samego komplikowania. Lubił intrygować i knuć dla samej sztuki intrygowania. Był naturalnym wyznawcą Księcia Intryg.

– Halek? – spytał wysoki kapłan.

– Trucizna jest gotowa. Można ją rozprowadzić podczas dowolnej nocy.

– Jesteś pewien, że musimy o tym dyskutować? – odezwał się podejrzliwie Damien. – Z pewnością, lepiej, by każdy z nas wiedział tylko to, co musi wiedzieć.

– Wielki Dzień się zbliża – rzekł Alrik. – Nie możemy sobie pozwolić, by nasi ludzie wchodzili sobie w drogę.

Halek uśmiechnął się pod swoją maską. Rozumiał, co ma na myśli Alrik. Wśród ich grup dość często dochodziło do nieporozumień i zakłócania własnych intryg. Czasami działo się tak przypadkowo. Czasami, niekoniecznie. Halek wiedział, że każdy z obecnych tu mężczyzn spędza równie wiele czasu pilnując pozostałych, co działając w imieniu Lorda Tzeentcha. To było jedno z zagrożeń związanych z tym, czym się zajmowali. Wszyscy byli rywalami walczącymi o łaski swego pana, podobnie jak wrogami ogółu społeczeństwa.

– Czy zawsze musimy się tak wyklócać? – rzucił Halek. – Wszyscy służymy Lordowi

Tzeentchowi. Wszyscy tutaj jesteście godni zaufania.

Był pewien, że Alrik usłyszał ironię w jego głosie. Nie był pewien, czy wyczuli ją pozostali.

– Niektórzy z nas są bardziej gorliwi w służbie naszego pana, niż pozostali, a także ostrożniejsi – powiedział nieprzyjemnym tonem Damien.

– To mogło zdarzyć się każdemu – bronił się Karl, biorąc do siebie wzmiankę Damiena. Był głupcem, powinien zignorować przynętę. Ludzie, tacy jak Damien, żerowali na tych, którzy okazywali słabość. – Nawet najbardziej gamoniowaty z łowców czarownic miewa czasami szczęście.

– Zabawne, że zawsze mają szczęście do członków twojej komórki – rzekł Damien. – Szczęśliwie, udało nam się uciszyć naszą siostrę, zanim zdążyła coś wyśpiewać. Może następnym razem nasz pan nie będzie dla nas tak łaskawy.

Halek dopilnował, by Katrin została uciszona. Nie wiedział, że należała do komórki Karla, to była po prostu zwykła ostrożność. Musiał upewnić się, że osoba zesłana do książęcych lochów, która mogła być siostrą kultu, zostanie uciszona. Na chwilę w izbie zapadło milczenie.

– Otrzymałem wiadomość z zewnątrz o zadaniu, które trzeba wykonać – rzekł Alrik. Wszyscy spojrzeli na niego ze wzmożonym zainteresowaniem. Wiedzieli, co ma na myśli mówiąc o „zewnątrz”. Wysoki kapłan utrzymywał komunikację z przywódcami armii pod miastem. Halek dałby wiele, by dowiedzieć się, w jaki sposób to się udawało. Pewien był, że nie dzięki magii, bowiem słyszał wystarczająco często, że magiczne zapory Praag były niemożliwe do przełamania i wierzył, że to prawda. Może kurierzy przenikali do środka tajnymi drogami, a może wieści przekazywał gołąb lub nietoperz. Możliwe, że ci na zewnątrz porozumiewali się za pomocą snów. Halek porzucił próżne domysły i słuchał Alrika.

– W mieście obecnych jest dwóch wojowników, którzy już wcześniej pokrzyżowali plany naszego pana, choć nieświadomie. Naszym zadaniem jest zapewnić, by to się nie powtórzyło, oraz by za ich poprzednie wybryki zostali nagrodzeni śmiercią.

Halek miał przecucie, że wie, o kim mowa i nie zawiódł się.

– Ta para, krasnolud i mężczyzna, są zabójczymi przeciwnikami. Noszą broń o znacznej mocy. Co więcej, wydają się pobłogosławieni przez inne Moce, które sprzeciwiają się naszemu panu. On nagrodzi tych, którzy ich zabiją, a podwójnie obdarzy tego, kto przyniesie mu zdobyte oręża. Ich imiona to Gotrek Gurnisson i Felix Jaeger. Wyznaczam wam zadanie, by ci dwaj nie przeżyli do końca tego tygodnia. Halek, chciałbym byś dopilnował tego osobiście, ale jeśli pojawi się okazja, by ich zabić, każdy z was winien ją podjąć.

Halek zwalczył ogarniające go mdłości. Nigdy nie lubił uciekać się do morderstwa, ale potrzeba nagliła. W pewien sposób, było mu ich żal. Polubił młodego Jaegera, którego kiedyś spotkał, ale nie mógł pozwolić, by ten fakt stanął na drodze do jego własnej nieśmiertelności. Zastanawiał się, czegoż ta para mogła dokonać, skoro wzbudzili nienawiść ich pana?

Treść dalszych rozmów skupiła się na nieistotnych sprzeczkach politycznych i dyskusjach o sprawach dotyczących logistyki. Halek nie mógł doczekać się końca spotkania.

Arek pochylił się naprzód na wielkim tronie. Jego wielka głowa w hełmie spoczęła na pięści okutej w stalową rękawicę, ręka opierała się na oparciach tronu. Arek nie był w dobrym nastroju. Wizja, jakiej udzielili mu magowie, w połączeniu z niecierpliwym oczekiwaniem na rozpoczęcie oblężenia nie działała dobrze na jego nerwy. Spoglądał ponuro na Czempiona Nurgle’a, nienawidząc tej postaci z zazartą pasją. Nigdy nie cenił sobie ropiejących wyznawców Pana Plag.

– Powiadam ci, wielki Wodzu, to się uda, albo moje imię nie brzmi Bubar Cuchnący Oddech. Magia wielkiego Nurgle’a zapewni ci zwycięstwo. Ten człowiek, jeśli można było użyć takiego

określenia w stosunku do ludzkiej istoty, która stanowiła chodzące zbiorowisko ropiejących wrzodów, wydawał się zbyt zadowolony z siebie, co nie podobało się Arekowi.

– Nasze zwycięstwo już jest pewne – rzekł Arek. – To żałosne miasto nie może oprzeć się potędze mojej hordy!

– Bez obrazy, wielki Wodzu, ale po co marnować oddziały atakujące te wielkie mury, gdy sposób Nurgle’a jest jakże łatwiejszy i szybszy. Czemu nie pozwolić, by zaraza zniszczyła naszych wrogów, a choroby usunęły ich obrońców?

Powietrze wypełniło niezadowolone szemranie. Słowa Bubara nie znalazły uznania pozostałych wodzów. Wszyscy pragnęli zyskać swój udział w chwale zniszczenia Praag – miasta, które od dawna otoczone było szczególną nienawiścią w sercu każdego wyznawcy Chaosu. Gdyby Bubar rzeczywiście osiągnął to, czego żądał, ich zwycięstwo będzie próżne, a wszelka chwała okaże się pozorna. A jednak, Arek musiał przyznać, że ten koszmarnie cuchnący, przeraźliwie otyły człowiek ma sporo racji. Cały świat czekał na podbój. Po co zwlekać dłużej niż trzeba, zanim go opamięta?

W oddali słyszał odgłosy piłowania i uderzeń młotów, gdy północni barbarzyńcy zaczęli budować swoje ogromne tarany – broń, która może okazać się niepotrzebna, jeśli zapewnienia Bubara były prawdziwe. Arek odpędził jedną z much, która odleciała od czciociela chorób i myślał przez chwilę. Kelmain Czarnokij wyszeptał mu do ucha – Niechaj spróbuje, wielki Wodzu. Cóż masz do stracenia?

Istotnie, cóż? – pomyślał Arek. Wszystkie prace konstrukcyjne będą trwały w czasie, gdy Bubar zajmie się swoimi rytuałami. Jeśli nurgleita zawiedzie, czas nie zostanie stracony. A jeśli powie mu się, armia zyska całe tygodnie. To mogą być ważne tygodnie, ze względu na szybko zbliżającą się zimę.

– Dobrze zatem, Bubarze Cuchnący Oddechu. Przeprowadź swoje rytuały. Rozprzestrzeniaj plagę.

Bubar skłonił się. Brzęczenie otaczającego go roju much rozległo się stukrotnie głośniej.

– Dzięki ci, wielki wodzu. Nie pożałujesz tego.

– Zadbaj, bym nie pożałował – rzekł Arek.

Wstał z tronu i opuścił namiot.

– Sterczysz tu cały dzień, człeczyno – rzekł Gotrek Gurnisson. Opierał się o ścianę i wpatrywał w obóz wyznawców Chaosu. Felix oderwał wzrok od zgromadzonej hordy i spojrzał na Zabójcę.

– Tak. Czy Max powiedział ci, gdzie jestem?

– Aye.

– Co cię tu sprowadza?

– Chciałem rzucić okiem na naszych wrogów i ocenić ich siły – Gotrek zapadł w ponure milczenie.

Felix wyjrzał w mrok i jeszcze raz popatrzył na hordę. Sam ten widok rodził wiele pytań.

Skąd wzięli się ci wszyscy wojownicy? Felix zawsze wiedział, że Pustkowia Chaosu pełne są wrogów, ale nigdy nie spodziewał się, że są w stanie utrzymać armię o podobnej skali. Armia wywoływała oprócz przerażenia także pewnego rodzaju zdumienie. Z tej odległości odgłosy hordy brzmiały niczym załamujące się fale oceanu. Czasami ponad pohukiwaniami zwierzoczków i krzykami złych ludzi słyszeć było śpiew lub wrzaski torturowanych ofiar.

Felix dostrzegał masywne wieże oblężnicze zaczynające wznosić się nad wrogimi szeregami. Setki odzianych w futra barbarzyńców roili się na wielkich machinach wojennych z czarnego żelaza, montując je z części sprowadzonych na wozach ciągniętych przez potwory. Wokół nich wznoszono

potężne rusztowania. Maszyny wyglądały raczej na posągi wielkich demonów, niż konstrukcje obelężnicze. Pokrywały je ohydne żelazne zdobienia, szczerzące się demoniczne pyski. Wyglądało na to, że te wielkie wieże przekraczały wysokością mury miasta. To nie był krzepiący widok.

Masywne katapulty o ramionach dłuższych nawet od wież zaczęły górować nad stłoczoną hordą. Obok nich leżały długie tarany na nisko zawieszonych kołach.

– Ktoś tam wie, co robi – rzekł Felix.

– Aye, człeczyno – odpowiedział Gotrek. – Długo szykowali się do tego ataku. To nie jest robota jakiegoś wodza, który po prostu postanowił ruszyć na południe ze swoimi poplecznikami.

– Nawet armia, z którą zmierzy! się Magnus Pobożny nie była równie dobrze zorganizowana.

– Nie, ale była jeszcze liczniejsza, a moc samego Chaosu tętniła wówczas silniej. Surowa materia Pustkowi załaza Praag i zmieniła same budynki oraz ludzi.

Felix myślał o tym przez chwilę i spojrzął na księżyc. Morrslieb, księżyc Chaosu, był większy niż kiedykolwiek. Lśnił złym zielonkawym światłem. Któż wiedział, co się wydarzy? Może Chaos nie osiągnął jeszcze pełnej mocy. Może ta armia, z całym swoim piekielnym uzbrojeniem i nikczemnymi żołnierzami była tylko przedsmakiem tego, co ma nadejść. W upiornym świetle, spoglądającemu na te wielkie zastępy Felixowi wydawało się aż nazbyt prawdopodobne, że zbliża się koniec świata.

Na ulicach ludzie szeptali już, że Władcy Chaosu wkrótce się objawią. Nawet furia łowców czarownic nie wystarczyła, by uciszyć te pogłoski. To nie była jedyna manifestacja religijnej manii. Gorliwcy zaczęli przemierzać ulice kalecząc się biczami, aż krew spływała po ich plecach. Odpokutowywali za swoje grzechy i za grzechy ludzkości. Kiedyś Felix uznałby ich za szaleńców, ale teraz zastanawiał się, czy istnieje rozsądna reakcja na tak wielką armię, jak oczekująca tam, w mroku, oraz na zło, jakie sobą reprezentowała.

– A to co? – spytał nagle Gotrek. Felix spojrzął we wskazywanym kierunku. Z masy zastępów wyłonił się tłum obdartych, wynędzniałych żebraków. Popędzała ich naprzód grupa otyłych ludzi w brudnych płaszczach z kapturami. Grubasy opierały się na wielkich kijach zakończonych czaszkami, których oczodoły lśniły w mroku zielenią. Nawet z tej odległości do Felixa doleciał powiew ich ohydny smrodu i z trudem powstrzyma! nudności. To był odór zgnilizny i zepsucia gorszy niż cokolwiek spotkanego w czasie walki z mnichami zarazy Klanu Pestilens, w ogrodach Morra w Nuln.

– Nie wiem – powiedział Felix – ale założę się, że to nic dobrego.

Gdy tłum nędzarzy zbliżył się, Felix usłyszał ich żalosne jęki. Ocalcie nas. Pomóżcie nam. Miejcie litość dla nas. Wołanie rozdzierało serce i Felix ani przez chwilę nie wątpił w ich szczerość. Widział jak poganiacze w płaszczach wycofali się, a żebracy popędzili ku murom Praag.

– Otwórzcie wrota! Wpuśćcie nas! Nie zostawiajcie nas w rękach tych wyznawców demonów!

Gdy zaczęli biec ich krzyki spotkały się z odpowiedzią, której Felix nie spodziewał się. Łucznicy na murach otworzyli ogień. Strzały świsnęły w powietrzu, przesywając ciała pierwszych wygnańców. Niektórzy z nich zatrzymali się i wrzeszczeli; pozostali parli naprzód ku niechybnej śmierci od miotanych pocisków.

– Co oni robią? – spytał przerażony Felix.

– To jakaś diabelska sztuczka, człeczyno – odparł Gotrek. – Ci Kislevici odpowiadają w jedyny możliwy sposób.

Zabrzmiało to tak, jakby pochwalał tę rzeź. Felix obserwował scenę, aż padł ostatni z wygnańców. Jedyłą odpowiedzią ze strony zastępów Chaosu był okrutny śmiech.

– O co w tym wszystkim chodzi? – pytał Felix.

– Bez wątpienia to wyjaśni się jutro – powiedział Gotrek. – Chodź, czas iść się napić – o ile w

tym mieście uda się znaleźć jakieś zacne ale.

* * *

Następny ranek rzeczywiście pokazał, co się stało. Ciała wygnańców nabrzmiały i poczerniały w ciągu nocy. Felix dostrzegął z przerażeniem przez lunetę, że ciała żebraków pokryte były śladami choroby. Wielkie pęcherze pełne ropy pęczniały na ich skórze. Smród był straszliwy. Felix zakrył nos. Nie wiedział, czy prawdziwe jest podejrzenie, że choroby mogą rozprzestrzeniać się przez odór, ale wolał nie ryzykować.

– Strażnicy uczynili słuszną rzecz – rzekł Gotrek. – Wpuszczenie tych uciekinierów sprowadziłoby zarazę do miasta. To robota Nurgle’a. To sprawka wyznawców Pana Plag.

– Ale to musi oznaczać, że oni byli zapewne tylko niewinnymi chłopami, pochwyconymi przez postępującą hordę Chaosu – powiedział Felix i zadrzał.

– Aye – odpowiedział ponuro Gotrek. – Zapewne.

– To najbardziej haniebnym sposobem prowadzenia walki – stwierdził Felix.

– Zachowaj swoje skargi dla nich, człeczyno – rzucił Gotrek wskazując na morze szumowin Chaosu. – To oni są winni, nie ja.

Felix słyszał gniew w głosie krasnoluda. Gotrek także nie był zachwycony tą sytuacją. Kolejna myśl przyszła do głowy Felixa. Strażnicy także musieli wiedzieć, że strzelają do swoich niewinnych krajanów. To wszystko stanowiło część planu podkopania morale obrońców. A Felix wiedział, że najpewniej to zadziała. Plaga była zagrożeniem, przed którym nie sposób było się bronić.

– Cóż możemy uczynić? – spytał Felix.

– Wezmę Snorriego i kilku chłopaków, po czym odciągniemy te ciała, żeby je spalić.

– W ten sposób możecie się zarazić – zauważył Felix.

– Krasnoludy nie chorują na ludzkie zarazy, człeczyno. Jesteśmy na to zbyt twardzi.

Felix miał szczerą nadzieję, że to prawda.

Pod Białym Dzikim było tłoczno. Wszystkie krasnoludy siedziały oddzielnie w jednym rogu. Nikt nie odzywał się do nich, ponieważ wrócili z palenia ciał pod bramą. Nikt nie chciał ryzykować zarażenia się. Felix, Max i Ulrika byli jedynymi ludźmi, którzy zasiedli przy stole w pobliżu krasnoludów. Krasnoludy nie okazywały, by czuły się obrażone. Cóż, Felix pomyślał, że wszyscy byli Zabójcami, zatem zapewne nie widzieli nic niezwykłego w fakcie, że ludzie ich unikają.

– Nie mogę się doczekać ataku wojowników Chaosu – ryknął Ulli. – Zamierzam zabić co najmniej stu z nich.

Pozostali Zabójcy spojrzeli na młodzieńca z lekką pobłażliwością. Najwyraźniej nie zauważył tego, lecz chełpił się dalej.

– Porąbię ich na kawałki! A potem będę skakał w górę i w dół na ich szczątkach.

– Snorri nie widzi w tym sensu – rzekł Snorri pijanym głosem. – Będą już i tak martwi.

– Nigdy nic nie wiadomo z wyznawcami Chaosu! – wrzasnął Ulli. – Oni wszyscy posiadają te swoje moce magiczne.

– A ty jesteś ekspertem w tych sprawach – rzucił Gotrek z namacalną ironią.

– Nie! Wiem tylko to, co mój stary pradziad mawiał o czcicielach Chaosu. Był tu w Praag, kiedy zaatakowali ostatnim razem.

Szmer niedowierzania dobiegi od innych stołów. Krzyki Ulliego były zbyt głośne, by ktokolwiek w tawernie mógł je ignorować. Nie było w niej dość tłoczno, by ogólny zgiełk mógł je zagłuszyć.

– Czy to możliwe? – cicho spytała Ulrika. Felix skinął głową. Z pewnością, to było możliwe.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się Max.

– Tak. Krasnoludy żyją znacznie dłużej niż większość ludzi. Różnią się od nas. Nawet przeciętny krasnolud może dożyć bez trudu do 250 lat. Istnieją zapiski mówiące o krasnoludach, które osiągnęły wiek 400 lat, a legendy głoszą o tych, którzy żyli ponad tysiąc lat.

– Wątpię, by którykolwiek z tych krasnoludów przeżył więcej niż dwieście lat – powiedział z smutkiem Felix. – Wszyscy są Zabójcami.

Max spojrzał na Felixa z pewnym siebie uśmiechem, który zaczął znikać z jego ust.

– W takim razie, Felixie – odparł pedantycznie – stanowią raczej wyjątek od zasady. Ufam, że krasnoludy cierpią na znacznie mniej chorób niż my, a efekty starzenia czynią ich jeszcze silniejszymi i twardymi przez długi czas. Dopiero podczas ostatnich etapów życia zaczynają okazywać jakiegokolwiek oznaki zgrzybiałości.

– Fascynujące – rzekł Felix, wyciągając rękę i ściskając dłoń Ulriki, tylko po to, by go rozzłościć.

Grymas bólu przemknął przez twarz Maxa. Ulrika cofnęła dłoń. Teraz Felix czuł się rozdrażniony. Zastanawiał się, czy ona rozumie, co się tu dzieje, a jeśli tak, to czy w jakiś sposób bierze w tym udział. Zmarszczka znikła z czoła Maxa.

– Słyszałeś o długobrodych. To najtwardsi wojownicy krasnoludów – rzekł Max. Może sprawiało to piwo, ale ton jego głosu zaczynał bezrozumnie irytować Felixa.

– Wierz mi, podróżowałem z Gotrekiem dość długo, by lepiej poznać naturę długobrodych niż większość ludzi.

Max skinął głową, najwyraźniej przyjmując do wiadomości ten fakt. Felix zauważył, że czarodziej nie pije. Prawdę mówiąc, Felix nie widział, by Max pił od czasu opuszczenia Karak Kadrin.

– Napijesz się trochę wina, Max? – spytał. – Zamówię dla ciebie. Ja płacę.

– Nie, dziękuję – odrzekł Max. – Już nie piję.

– Dlaczego nie ?

– To zakłóca moje zdolności magiczne.

– Szkoda. A jednak, wkrótce będziemy ich potrzebowali.

– Równie szybko będziemy potrzebowali każdego człowieka zdolnego unieść miecz. Ta armia nie będzie stała w miejscu przez nieskończoność.

Nagle, drzwi Białego Dzika otworzyły się z trzaskiem. Do środka wkroczyła grupa wyjątkowo paskudnie wyglądających mężczyzn pokrytych bliznami. Wszyscy nosili poplamione, białe płaszcze ze znakiem oka. Z twarzy zrzucili obszerne kaptury. Ich przywódca był wysokim człowiekiem o wychudłej twarzy fanatyka.

– Jak śmiecie babrać się w tej rozwiązłości? – ryknął. Nastąpiła krótka cisza, po czym kilku najemników za stołami zaczęło wypytywać się nawzajem, co znaczy słowo „rozwiązłość”. To najwyraźniej jeszcze bardziej rozwścieczyło fanatyka.

– Armie Chaosu stoją u naszych bram. Zamierzają podbić ziemie człowieka ogniem i mieczem, a jednak tutaj znajdujemy ludzi pijących, łajdaczących się, hazardujących i zajmujących wszelkimi występkami.

Gdy to mówił, jego płonące oczy spoczęły na Ulrice. Jej twarz spąsowiała. Dłoń przesunęła się do rękojeści jej miecza. Felix nie był zdziwiony. Ulrika nie lubiła, gdy brało ją się za karczemną dziewczkę.

– Wynocha! – wrzasnął Ulli.

– Nie widzicie, że Snorri musi się poważnie napić? – krzyknął Snorri.

– A ja muszę obkoczyć kilka z tych dziewczek – dodał Bjorni z odpychającym uśmiechem wykrzywiającym jego brzydką twarz.

– Cisza, nieludzkie szumowiny! – zaryczał łowca czarownic. – Jesteście w zмовie z tamtymi plugawymi demonami.

Felix potrząsnął głową, wiedząc doskonale, co się zaraz stanie. Nad stołem zdumionych Zabójców zapadła krótka cisza. Krasnoludy spoglądały na siebie, jakby nie mogąc uwierzyć, że ktoś jest na tyle głupi, by obrażać ich w ten sposób. Felix także nie mógł uwierzyć w taką głupotę. No cóż, ten wrzaskliwy fanatyk i jego mięśniaki zaraz dostaną bolesną nauczkę.

– Sugeruję, żebyście natychmiast wyszli – rzekł Max podnosząc się z ławy i ściskając swoją laskę. Dla wszystkich było jasne, że jest czarodziejem. Felix stwierdził, że wysłuchiwanie poleceń maga nie mogło uspokoić kislewickiego bigota. Próba opanowania sytuacji przez Maxa była zbliżona do próby wygaszenia ognia przez dolanie do niego oliwy.

– Zabrać tego miłującego demony nieszczęśnika na zewnątrz i dać mu lekcję – krzyknął łowca czarownic.

Felix w tej chwili nie czuł zbyt wielkiej sympatii do Maxa, ale nie zamierzał dopuścić, by to się stało. Max był towarzyszem podczas wielu niebezpiecznych wypraw. Felix wstał i także opuścił swą dłoń do rękojeści miecza.

– Dlaczego nie wyjdziecie przez główne wrota? – powiedział miękkiem głosem. – Znajdziecie tam mnóstwo wyznawców Chaosu. Jak na mój gust, zbyt szybko rzucanie swoje oskarżenia.

– A kimże jesteś, że z takim przekonaniem powiadasz o Ciemności? – zapytał przywódca łowców czarownic. Przyjrzał się dokładnie Felixowi, a potem Gotrekowi. Wydawało się, że ich rozpoznaje. To nie było zbyt zaskakujące. Obaj stali się dobrze znani od czasu walki pod wrotami. A jednak, Felixowi coś nie podobało się w tym spojrzeniu.

– Kim jesteś, by pytać o moje imię? – odparł Felix.

– Nazywają go Ulgo – powiedziała cicho Ulrika. – Widziałam go wcześniej.

– A czemuż to szpiegowałaś mnie, dziewczko? – spytał Ulgo nieprzyjemnym tonem. Coś zmieniło się w postawie tego mężczyzny. Najwyraźniej postanowił sprowokować walkę.

Felix był już tym zmęczony. Męczyli go ci ludzie, którzy najwyraźniej nie mieli dosyć wrogów poza miastem.

– Wynosić się! – rzucił. – Śmiech Mrocznych będzie waszą jedyną nagrodą, jeśli rozpoczniecie tu walkę. Wszyscy jesteśmy wrogami Chaosu.

– To trzeba udowodnić – ogłosił Ulgo z nieugiętą pewnością siebie fanatyka. Dobył miecza. – Zabrać ich na zewnątrz i spalić – rozkazał swoim ludziom. Oni także wyciągnęli broń.

– Jeśli nie wyniesiecie się stąd, zanim doliczę do trzech, wszyscy zginiecie – oznajmił Gotrek.

Nawet Felix był wstrząśnięty groźbą w jego głosie. Zabójca był tak wściekły jak nigdy i najwyraźniej nie w humorze, by patyczkować się z tymi fanatykami.

– Raz.

– Nie możesz mi mówić, co mam robić, wielbicielu Chaosu – rzekł Ulgo groźnie wymachując swoim mieczem.

– Dwa – rzekł Gotrek.

Przesunął kciuk wzdłuż ostrza swojego topora. Pojawiła się kropla jasnoczerwonej krwi. Spoglądający na jego przysadzistą muskularną sylwetkę łowcy czarownic stojący za Ulgo zaczęli być nerwowi. Ulgo najwyraźniej nie dostrzegał zagrożenia. Zbliżył się i nachylił się groźnie nad Gotrekiem. Uniósł miecz do ciosu. Felix pomyślał, że spogląda na człowieka zbyt głupiego, by miał

prawo żyć. To był jeden z osobników, którzy bardziej przywykli do zastraszania ludzi, niż bycia zastraszonymi.

– Niech ci się nie wydaje, że mnie przestraszysz. Ja... – Ulgo runął naprzód.

– Trzy.

Błysnął topór.

Głowa Ulgo potoczyła się po podłodze. Krew bluznęła we wszystkie strony. Kilka kropel wylądowało w piwie Felixa.

Gotrek przeskoczył lekko nad zwłokami i ruszył w stronę drzwi. Pozostali łowcy czarownic odwrócili się i uciekli. W całej tawernie zapadła śmiertelna cisza.

– Zapewne nie powinieneś tego robić – rzekł Felix.

– On przeszkodził mi w picciu, człeczyno. A ja go uczciwie ostrzegłem.

– Mam nadzieję, że straż miejska pomyśli w ten sam sposób.

– Straż miejska ma lepsze rzeczy do roboty – Zabójca schylił się i podniósł ciało martwego zabójcy czarownic. Bez wysiłku przerzucił je przez ramię i ruszył w stronę wyjścia, kopiąc przed sobą odciętą głowę. Gdy wychodził w ciemność ulicy, Felix pomyślał, że oto przygląda się kolejnemu osobnikowi, który nie dba o to, ilu wrogów sobie robi. Felix nie wątpił, że podczas tej nocy zdobyli wielu wrogów w obrębie miasta. Łowcy czarownic zwykle nie byli zbyt dobroduszni dla tych, którzy zabijali ich przywódców. Gotrek powrócił.

– Twoja kolejka, Snorri – rzekł. – I pośpiesz się. Zabijanie wyszczekanych gnojków wzmaga pragnienie.

Barmanka już rozrzuciła trociny przykrywając nimi krew. Pół tuzina klientów wyszło, zapewne, by złożyć doniesienie dla tych, którzy zapłacą im najwięcej za informację. Jeszcze raz Felix zaczął zastanawiać się, po co w ogóle przyszedł do tego miejsca.

Gotrek rozwalił się za swoim stołem.

– Ciekawe – powiedział.

– Co jest ciekawe? – spytał Felix.

– Głowa krzykacza nie była jedyną na ulicy.

– Co takiego?

– Zdaje się, że nasi wielbiący demony przyjaciele poza miastem miotają nad murami odcięte głowy swoich jeńców. Ciała także.

– Po co mieliby to robić?

– Bez wątpienia jutrzejszy dzień przyniesie nam odpowiedź. Teraz jednak, chcę moje piwo.

Felix miał dość wysłuchiwanie, że jutro dowie się więcej, ale nie bardzo mógł cokolwiek na to poradzić. Potrząsnął głową. Zauważył, że Max przygląda mu się z niepokojem.

– O co chodzi? – spytał Felix.

– Ten łowca czarownic wydawał się być niezwykle chętny do wszczęcia walki.

– Oni zawsze tacy są.

– Tak, ale dlaczego chciał się bić z Gotrekiem?

Felix nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Rozdział 6

Felix czuł mdłości od fetoru. Był już świadkiem plag. Oglądał horror oblężonego miasta. W Nuln, martwi padali na ulicach powaleni przez choroby stworzone przez plugawych Mnichów Zarazy Klanu Pestilens. Ale Felix nigdy nie był świadkiem czegoś takiego. Było tak, jak powiedział Gotrek. Siły Chaosu przerzucały ciała ponad murami za pomocą potężnych katapult, które zbudowali. Zwłoki spadały z wysokości stu stóp, już nabrzmiące i przegniłe, rozrywały się uderzając o bruk i wybuchały we wszystkie strony wielkimi kłębami trupiego gazu i ropy, pozostawiając na widoku żółknące kości i czaszki.

Felix zastanawiał się, jakie istoty były zdolne do prowadzenia wojny w ten sposób? Szedł przez nawiedzone ulice w stronę Białego Dzika. Czytał wiele, ale nigdy nie spotkał się ze wzmiankami o równie ohydnej taktyce. A jednak wiedział, że jest skuteczna. Ludzie wymiotowali i omdlewali na sam widok ciał. Co gorsza, niektórzy z nich zaczynali kasłać. Felix wiedział, że to tylko pierwszy i zapewne ostatni symptom tego, *co* nastąpi. Plotki o zarazie niosły się już wszędzie.

Spojrzał na Ulrikę. Ona także wyglądała niewesoło. Oczywiście, ich otoczenie przygnębiłoby nawet pijanego błazna. Praag w najlepszym razie nie było radosnym miastem. Jego architektura przytłaczała. Rogate gargulce czepiające się okapów budynków. Dziwaczne, szczerzące się pyski wyrzeźbione w ścianach stanowiły wspomnienia długiej wojny, jaka toczyła się dwa stulecia temu przeciwko przodkom armii, która teraz czekała pod bramami. A było coraz gorzej. Nasilała się atmosfera przygnębienia, która pojawiła się wraz z nadejściem hordy Chaosu. Czasami Felixowi wydawało się, że kątem oka dostrzega dziwne kształty poruszające się w drzwiach, alejach, na dachach. Gdy jednak patrzył w tę stronę, niczego nie dostrzegał. Pozostawało wrażenie, że coś właśnie umknęło z pola jego widzenia, ale nigdy nie mógł zauważyć, co to mogło być.

Uśmiechnął się do Ulriki. Nie odwzajemniła uśmiechu. Jej twarz była blada i ściągnięta. Zakasłała. Była niczym to miasto – każdego dnia stawała się coraz bardziej ponura. Ostatnimi czasy Felix miał wrażenie, jakby dzielił łóżę z nieznaną osobą. Wydawało się, że nie potrafią znaleźć żadnego tematu do rozmowy. W niczym nie znajdowali radości. A jednak, za każdym razem, gdy myślał o zakończeniu tego wszystkiego, nie mógł się na to zdobyć. Czuł się, jakby wiązały ich niewidzialne łańcuchy.

Rozumiał jej niepokój. Któż nie odczuwałby tego w takich okolicznościach? Życie obojga było zagrożone. I chociaż nie było mu łatwo, jej musiało być jeszcze trudniej. Całe życie Ulriki chwiała się w posadach. Jej ojciec zniknął. Jej ojczyzna została pokonana. Groziła jej zaraza i mroczna magia, na równi ze śmiercią w bitewnej rzezi. W jego przypadku było nieco inaczej. Potrząsnął głową i powstrzymał się od śmiechu.

Zaczynał zdawać sobie sprawę, jak bardzo zmienił się podczas swoich wędrówek z Gotrekiem. Bał się, ale jego strach dawał się kontrolować, tętniąc tuż pod powierzchnią świadomości. Reszta jego życia to ciągle ten sam interes, jak opisałby to jego ojciec. Lata wędrówek zahartowały go przeciw trudnościom i głodowi. Doświadczenie wielu niebezpiecznych przygód sprawiło, że nauczył się ignorować wszelkie niebezpieczeństwa, aż do ostatniej chwili. Wiedział, jak odsuwać od siebie troski do czasu, gdy mógł się nimi zająć. Nawet plaga nie przerażała go już tak bardzo jak niegdyś. Przetrwiał już zarazy i miał dziwne przeczucie, że tę także przeżyje.

W każdym razie, powiadał sobie, że nie ma znaczenia, czy będzie się tym zamartwiał, czy nie. Jeśli jego przeznaczeniem jest umrzeć od zarazy, raczej się o tym nie dowie, dopóki ten moment nie

nastąpi. W głębi duszy wiedział, że oszukuje sam siebie. W głębi swego umysłu pozostawał aż nazbyt świadomy tego, co dzieje się wokół niego i rzeczywiście to napawało go lękiem. W tej jednak chwili wydawało mu się, że potrafi to zignorować.

– Jesteś niezwykle radosny biorąc pod uwagę okoliczności – stwierdziła Ulrika.

Weszli na główny rynek, tuż pod murem wewnętrznym. To miejsce nadal pozostało placem targowym, na którym można było znaleźć tuziny kupieckich kramów oferujących wszystko, od wyrobów skórzanych do żywności. Tylko, że teraz żołnierze z gwardii książęcej wydzielali biednym raczej kukurydzy sypiąc każdej osobie skórzany kubek wielkości małego kufła. Biedacy zabierali to w miskach, woreczkach lub zawijali w kawałki materiału. Felix zauważył, że nie wszyscy z obecnych wyglądali na biednych. Niektórzy nosili stroje rzemieślników lub kupców. Gwardziści zawracali większość z nich, o ile między rękami nie krążyły monety, co zdarzało się często. Felix wzruszył ramionami. Wszyscy musieli jeść. Ci ludzie zapewne robili wszystko, co mogli dla swoich rodzin. Może on sam czyniłby podobnie. Pomyślał, że tak właśnie widziałby te sprawy jego ojciec.

– To piękny poranek, a my nadal żyjemy – rzekł. To także było niemal prawdziwe. Niebo nad głowami było doskonale błękitne, prawie nie skalane chmurami. Chłód był przyjemniejszy od porażającego upału lata. Gdyby można było zignorować fetor rozkładających się ciał, przynoszący go powiew mógł być odświeżający.

– Naciesz się tym jak najwięcej – odpowiedziała Ulrika, kaszląc. – Zima przybywa tu szybko.

– Jesteś dziś promyczkiem słońca, czyż nie?

– To nasza jedyna nadzieja – powiedziała, jakby odpowiadając na głupie pytanie.

– Dlaczego?

– Zima w Kislevie jest ostra. To nie jest dobry czas, by pozostawać za murami miasta. To czas, by siedzieć w domu, przy ogniu, mając mnóstwo zapasów.

W jej głosie było coś prowokującego, co nie umknęło uwadze Felixa.

– Może Wódz Arek i jego poddani zamierzają do tego czasu znaleźć się w obrębie murów, ogrzewając swe łapy przy płonących budynkach.

– No i kto jest teraz radosny?

– Uważać tam! – Felix skoczył w bok unikając oblania zawartością nocnika opróżnianego na ulicę. Potem omal nie wylądował w stercie nieczystości. Zachwiał się w tył na podszwach butów i zaczął tracić równowagę. Ulrika złapała go za ramię i roześmiała się.

– Może powinieneś zostać akrobatą, albo klaunem – podpowiedziała. Jej głos zabrzmiał przyjaźniej niż w ciągu ostatnich dni.

– Możliwe – odpowiedział. Minęli róg. Tuż przed nimi był sklep aptekarza. Felix rozpoznał go po szyldzie przedstawiającym mózdzierz i tłuczek, wiszącym nad drzwiami. Przeznaczenie tego miejsca zdradzała także długa kolejka ponuro wyglądających ludzi. Zaraza sprawiła, że wszyscy troskali się o swoje zdrowie. Felix jęknął. Ostatnią rzeczą, jakiej dzisiaj pragnął, było stanie w długiej kolejce ludzi czekających na pomoc.

– Może Max mógłby przygotować własne zioła? – spytał żalosnym głosem.

– Max ma inne rzeczy do roboty. Musi przygotować swoje czary, aby zabezpieczyć nas przed zarazą.

– Ja też mam inne rzeczy do roboty.

– Na przykład picie, prawda? – ton jej głosu przekonał go, że nie zniesie żadnego sprzeciwu. Zaczynał żałować, że zaproponował jej towarzysztwo w wyprawie do apteki. A jednak, po wydarzeniach ostatniej nocy, to wydawało się niezgorszym pomysłem. Przyjaciele łowcy czarownic mogli wrócić, szukając zemsty. Zresztą, Gotrek i pozostali Zabójcy nie przejmowali się tym zbytnio.

Jak dotąd, musiał przyznać, że ich spokój wydawał się usprawiedliwiony. Władze najwyraźniej nie przejmowały się śmiercią jednego człowieka pośród tak wielu umierających, a kompani Ulgo nie wracali z zemstą. Ale minęło jeszcze niewiele czasu.

Stanęli w kolejce ludzi pod apteką. Wszyscy kasłali, drapali się, albo wyglądali niezdrowo. Felix miał nadzieję, że ci ludzie nie padli ofiarą magii zarazy. Domyślał się, że zaraza to zaledwie początek ich kłopotów.

Zastanawiał się, nad jakim nowym diabelstwem pracują wyznawcy Chaosu.

Arek przyjrzał się murom. O ile dobrze widział, nie było żadnych zmian. Obrońcy nadal czekali z bronią w gotowości. Dostrzegał wąskie smugi dymu wznoszące się nad kotłami gotującego się oleju. Wszystkie balisty były obsadzone przez ich załogi. Katapulty stały gotowe. Masywne mury wyglądały, jakby mogła je rozbić jedynie pięść boga. W pewien sposób, to go cieszyło. Pragnął bitwy. Chciał zmiażdżyć wrogów pod kopytami swojego rumaka. Chciał wjechać triumfalnie przez bramy podbitego miasta. Nie życzył sobie, by jego nieuniknione zwycięstwo było zasługą tych ropiejących głupców, którzy służyli bóstwu Zarazy.

Nakazywał sobie zachowanie ostrożności. Zwycięstwo pozostawało zwycięstwem, bez względu na sposób, w jaki je osiągnięto, a na niego czekał cały świat gotowy do podboju. Jeśli Bubar Cuchnący Oddech i jego podwładni zapewnią łatwy łup, czym się martwić? Zanim to się skończy, nastąpi jeszcze wiele innych bitew. Część jego duszy, ta która pragnęła, by oko Tzeentcha zwróciło się ku niemu, odrzucała te myśli i pragnęła, by tylko jemu przypadła w udziale cała chwała. Inna część świadomości, bezustannie knująca dla zyskania łask jego patrona, rozważała możliwe opcje.

Zwycięstwo Bubara mogło podburzyć pozostałych wodzów, a on potrzebował ich wsparcia. Nurgleita mógł nawet zyskać pewne pojęcie o jego sytuacji, choć teraz to wydawało się mało prawdopodobne. Zawsze istniała możliwość, że coś pójdzie nie tak. Zaraza była zdradziecką bronią. Nie mogła dotknąć jego, wojowników Chaosu, ani tych czarowników, którzy cieszyli się łaskami swych bóstw, ale choroby mogły zabić wielką liczbę barbarzyńców i zwierzoczeków, jeśli nie zachowają ostrożności. Bubar zapewnił go, że ochrona Lorda Nurgle'a rozciąga się ponad całą hordą, ale Plugawy Zygulec mógł wycofać swe łaski. W końcu, takie rzeczy zdarzały się już wcześniej.

Arek przemyślał to wszystko w ciągu jednego uderzenia serca. Najlepiej będzie zaatakować teraz, póki Nurgle nadal zsyła swe łaski. Ostatecznie, bogowie bywali zmienni i kto mógł wiedzieć, kiedy zmienią swoje nastawienie? Być może dobrze będzie teraz zakazać Bubarowi rzucania jego zaklęć. Po co dawać mu czas na przygotowanie prawdziwie zabójczej plagi?

Arek odwrócił się do Lhoigora i jego bliźniaka.

– Czy pozostałe plany postępują naprzód? – spytał.

– Tak, o wielki – odpowiedział Lhoigor z ukrywanym szyderstwem. – Kamienie runiczne wkrótce otoczą miasto, a nasi akolici są prawie gotowi do rozpoczęcia rytuałów mocy. Wkrótce gwiazdy ustawią się odpowiednio, a Morrslieb osiągnie właściwą fazę.

Arek pomyślał o tym przez chwilę.

– Dobra robota, Bubar – rzekł. – Jestem pewien, że twoje zarazy wystarczająco osłabiły obrońców. Możesz przerwać swoje rytuały.

– Ależ, o wielki...

– Powiedziałem, że możesz przerwać swoje rytuały. Nadszedł czas, by dać innym szansę – ton jego głosu nie znosił sprzeciwu. Bubar skłonił się i oddalił.

– Nader mądrze – rzekł Kelmain.

- Ile czasu zajmą wasze rytuały? – rzucił szorstko Arek.
- Gwiazdy muszą być w porządku, panie, a księżycy we właściwej koniunkcji. Jeśli pamiętasz, to właśnie dlatego doradzaliśmy...
- Pytałem, jak długo jeszcze?
- Omeny są teraz niejasne. Jeśli zaczniemy od razu, wielki wir zostanie ukończony w ciągu tygodnia.
- Dopilnuj, by tak się stało.
- Jak sobie życzysz, panie – Arek nie był pewny, czy w głosie doradcy nie usłyszał śladu buntu.

Szary Prorok Thanquol kroczył ulicami Piekielnej Jamy. Wokół niego panowało szaleństwo. Skaveni walczyli ze skavenami. Moulderzy bili się z Moulderami. Sztormvermini rąbali braci z klanu. Szczuroogr rozrywa! skaveńskiego niewolnika. Potwory, po śmierci ich panów, panoszyły się po ulicach zabijając i żerując, gdzie tylko mogli. Thanquol stwierdził, że Lurk musi zapłacić za bardzo wiele. Co nie znaczy, że ci durni Moulderzy na to nie zasłużyli.

A jednak, sprawy miały się ku lepszemu. Ostrożna refleksja, oraz fakt, że nadal pozostawał w ich mocy, sprawiły, że Thanquol ostatecznie zdecydował się wyjawic plany Lurka starszym klanu. Ostrzeżeni, byli w stanie rozmieścić w najlepszych miejscach swoje oddziały i powoli, lecz pewnie zdobywali przewagę. Nagrodą dla Thanquola było uwolnienie z więzienia i oddanie pod jego dowództwo własnego oddziału wojowników. Trudno to było uznać za wynagrodzenie. Wymagano od niego, by narażał swoją własną ceną skórę dla zapewnienia bezpieczeństwa lennu Klanu Moulder. Rozważywszy jednak wszystkie sprawy, udało mu się przybrać pozę szczerzej wdzięczności. Jeszcze nadejdzie czas, by odplacić im za tę obelgę.

Potężny sztormvermin noszący jego osobisty sztandar wycinał przed nim drogę w kierunku wielkiej rafinerii spaczenia. To było niebezpieczne miejsce. Armii Lurka udało się przełamać twardy opór obrońców i opanować ogromną konstrukcję. Utrzymywali ją mimo wszystkich kontrofensyw Moulderów. W normalnych okolicznościach Thanquol nigdy nie zbliżyłby się do ogarniętego zawieruchą wojenną budynku, ale trudno to było nazwać normalnymi okolicznościami. Wiedział, że jeśli przebije się do rafinerii, będzie mógł położyć łapy na wielkich zapasach oczyszczonego spaczenia, substancji, której potrzebował i pożądał. Jej brak podczas kilku ostatnich dni zaczynał wywoływać u niego straszliwe bóle łba i wstrząsał go spazmami. Głód spaczenia osłabiał go.

Oczywiście, dzięki spaczeniowi jego czarnoksiężskie moce będą bezgraniczne. Potrzebował tego, jeśli ma wyrwać się na wolność z tych przeklętych ziem północy i wrócić do bezpiecznego Skavenblight. Potrzebował proszku z wielu powodów i zamierzał go zdobyć.

Wyjąca grupa łaknących krwi klan braci z czerwonymi szarfami zawiązanymi na czołach, co było znakiem służby u Lurka, wpadła na jego ochroniarza. Thanquol poczuł, jak zaciskają się jego gruczoły piźmowe, gdy rozsiekli szponowłada sztormverminów. Spieniona bestia wyrąbała sobie przejście aż do stóp Thanquola. Thanquol uderzył swoim mieczem i zabił napastnika. Tylko nieznacznie pomógł mu fakt, że stopy klan brata zaplątały się w wybebeszone jelita sztornwermina. To zresztą nie miało znaczenia. Thanquol był pewien, że pokonałby przeciwnika w każdej walce. W ten sposób Rogaty Szczur okazał tylko, że Szary Prorok Thanquol nadal obdarza go łaskami.

Lurk, pomyślał Thanquol, *jak cię dorwę w swoje łapy, zapłacisz za moi * >!• **

* * *

Sprawy nie miały się dobrze, jak stwierdził Lurk, wyglądając przez łukowate okno rafinerii na

bitwę toczącą się na ulicach poniżej. Dostrzegał rogaty łeb Szarego Proroka Thanquola walczącego i brnącego naprzód. Lurk zrozumiał, że jego podwładni muszą mieć poważne kłopoty, skoro ten tchórzliwy potwór ośmielił się pokazać swój pysk. To było bardzo niepokojące.

Przez pewien czas wszystko było dobrze. Jego poplecznikom pędzonym dziką, fanatyczną furją udało się pokonać prześladowców, pomimo niesamowitej wiedzy na temat planów Lurka, jaką wydawali się posiadać Moulderzy. Lurk wiedział bez cienia wątpliwości, że to było dowodem na istnienie zdrajców wśród jego podwładnych. Szybka egzekucja wszystkich najwyższych rangą dowódców jego oddziałów jakoś nie poprawiła morale, a wrogowie nadal najwyraźniej wiedzieli o jego zamiarach. Rzeź setki kolejnych wyznawców podejrzewanych o współpracę z wrogiem w żaden sposób nie powstrzymała zdrady i w niewytłumaczalny sposób wywarła katastrofalny efekt na morale jego żołnierzy.

Pomimo tego wszystkiego, udało mu się utrzymać większość zdobytych wcześniej pozycji, dopóki uciekinierzy powracający w szeregi Moulderów nie zaczęli osłabiać jego sił. Teraz wyglądało na to, że wszystkie wielkie plany Lurka walą się w gruzy. Nadchodził czas nagłego odwrotu. Na szczęście, dawno już odnalazł drogę ucieczki tajnymi tunelami pod rafinerią, prowadzącymi poza miasto. W końcu, tak nakazywał zdrowy skaveński rozsądek. Nie był pierwszym skavenem w historii, którego zawiodły żalotne kompetencje tych, którzy go wspierali.

Tak, pomyślał Lurk, wkrótce trzeba będzie odejść. Kto walczy i ucieka, ten żyje, by podbijać następnego dnia. A może znajdzie się dla niego miejsce w tej wielkiej armii najeźdźczej kierującej się na południe?

Felix ścisnął w dłoni paczkę ziół i z niepokojem spoglądał na Ulrikę. Nie wyglądała dobrze, jej twarz stała się jeszcze bledsza. Na jej skroni lśniły krople potu. Zaczynała dygotać.

– Wszystko w porządku? – spytał. Potrząsnęła głową.

– Nie czuję się najlepiej.

– Wobec tego lepiej zabierzemy cię do domu i do łóżka.

– Zawsze myślisz o łóżku – powiedziała i próbowała się uśmiechnąć. Ten słaby uśmiech sprawił, że Felix zaczął obawiać się najgorszego. Podpierając ją jedną ręką wyszedł na ulicę. Droga do Białego Dzika była długa, a gdy tam dotarli, Ulrika ledwo szła.

– To nie wygląda dobrze – powiedział cicho Max.

Felix spojrzął na Ulrikę. Leżała na łóżku dygocząc, a jednak jej brwi były gorące.

– Przejawia wszystkie objawy nowej plagi.

– Jesteś pewien? – spytał Felix. Nagle wszystkie spory i pozostałe problemy przestały mieć znaczenie. Zdał sobie sprawę, że nie chce, by ona umarła.

– Nie jestem medykiem, Felixie, ani kapłanem Shallyi, ale posiadam pewne umiejętności lecznicze, oraz nieco pojęcia, co tu się dzieje. To nie jest naturalna choroba. Rzuciłem kilka zaklęć wróżebnych i widzę w tym robotę wstrętnych szponów kultu Nurgle'a.

– Czy możesz cokolwiek uczynić?

– Już zacząłem. Dałem jej ziołową miksturę i jeśli tylko dasz mi trochę spokoju, przywołam najlepsze zaklęcia lecznicze, jakie znam.

Felixowi zaświtało, że być może jego obecność zmniejsza szansę Ulriki na przeżycie.

– Pójdę zatem – powiedział.

– Tak będzie najlepiej.

Felix ruszył ku drzwiom małej komnaty, którą dzielił z Ulriką i otworzył je. Gdy to zrobił, odezwał się Max.

– Nie martw się, Felixie, nie pozwolę jej umrzeć – Felix spojrzął na maga i zobaczył ból w jego oczach. Między nimi pojawiła się nie porozumienia.

– Dziękuję ci – powiedział i szedł do zatłoczonej tawerny.

Wino smakowało gorzko. Żarty wojowników przestały go bawić. Felix gapił się ponuro w kielich i rozmyślał nad kapryсами losu.

Dlaczego sam przeżył tak długo? Dlaczego plaga nie dotknęła właśnie jego? Czy było to tylko kwestią czasu? Któż mógł na to odpowiedzieć? Przypomniawszy sobie, że kiedyś sławny medyk powiedział mu, iż w takich sprawach istotnych jest wiele czynników. Może napięcie związane z troską o jej ojca sprawiło, że stała się bardziej podatna na chorobę niż on. Najważniejsze było, żeby znowu poczuła się lepiej.

Teraz ich wszystkie kłótnie i sprzeczki wydawały się trywialne. Teraz nie potrafił przypomnieć sobie nawet jednego złego słowa, jakie powiedziała. Pamiętał tylko, jak wyglądała, gdy po raz pierwszy ujrzał ją w elektorskiej sali tronowej w Middenheim. W jego umyśle pojawił się niepowstrzymany potok wspomnień i obrazów. Pamiętał, jak jechała obok niego podczas pewnego słonecznego poranka w Kislevie, zanim wyruszył na Pustkowie Chaosu. Przypominał ją sobie dokładnie: szerokie kości policzkowe, niewielka krzywizna jej nosa, delikatna sieć zmarszczek wokół oczu, gdy się uśmiechała, charakterystyczny sposób, w jaki gładziła włosy. Pamiętał, jak budził się obok niej podczas wielu poranków, a świat w jej obecności zdawał się jaśniejszy. Pamiętał, jak trzymał jej dłoń, gdy szli wśród szczytów w drodze na Smoczą Górę. Nagle, zapragnął pobiec na górę i zażądać, by Max uratował jej życie. Wiedział, że w ten sposób tylko pogorszy sytuację i jedyne, co osiągnie, to zakłóci Maxowi tkanie jego zakłęb, być może odbierając wszelkie nadzieje na uzdrowienie Ulriki. Przeklinał fakt, że nie mógł zrobić nic innego. Może za wyjątkiem modlitwy. Może powinien znaleźć świątynię Shallyi i złożyć ofiarę.

Rozejrzał się ciekaw, kiedy wróca krasnoludy. Wyruszyli na mury mając nadzieję na walkę, oraz, by zobaczyć, czy mogą jakoś wesprzeć obrońców. Teraz horda ustawiła w gotowości swoje maszyny oblężnicze i zaczęła bombardować mury czymś więcej niż tylko gnijącymi zwłokami. Obecnie wystrzeliwali wielkie głazy, zdolne zmiażdżyć ludzi i rozbić kamień. Bitwa wkroczyła w następną fazę.

Nagle, Felix nie mógł już znieść tego ciemnego, zadymionego pomieszczenia. Chciał znaleźć się na zewnątrz, sam i zaczerpnąć stosunkowo świeżego nocnego powietrza. Może uda mu się znaleźć świątynię, która będzie jeszcze otwarta.

Wstał i wyszedł przez uchylne drzwi, prosto na zabłoconą ulicę. Pod tawerną było ciemno i chłodno. Temperatura zaczęła maleć ze zdumiewającą prędkością. Nad jego głową unosił się Morrslieb. Otaczał go zielonkawy blask, a zaplamiona powierzchnia jeszcze bardziej przypominała złowrogą, szczerzącą się twarz. Wyglądało to tak, jakby jeden z mrocznych bogów Chaosu wznosił się w niebo i spoglądał na bezsilny świat.

Rzadka mgła wypełniała ulice, a w powietrzu unosił się zapach palonego drewna. Felix wyobraził sobie, że czuje smród hordy na zewnątrz, przepelnionych latryn i ognisk, na których piekło się nieczyste mięso. “Wmawiał sobie, że to tylko jego wyobraźnia zamienia odór ludzkich fekalii i wyziewy okolicznych kominów w coś, czym nie były, po czym wydłużył krok i zagłębił się w gęstniejącym mroku.

Zimne nocne powietrze sprawiło, że prawie całkiem wytrzeźwiało. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, rozumiał, dlaczego Praag nazywano nawiedzonym miastem. Budynki nocą wyglądały niesamowicie. Gargulce uczone ich ścian wyglądały jak żywe, a każdy cień zdawał się szeptać. Przypomniawszy sobie wszystkie stare opowieści, o tym, jak miasto zostało odbudowane po ostatnim

obleżeniu, z użyciem kamieni dotkniętych piętnem Chaosu, oraz o tym, jak dusze zabitych przez horde Skathloca Żelaznego Szpona widziane są na ulicach podczas tych rocznic bitwy, gdy księżyc Chaosu jest w pełni. Przypomina! sobie, jak czasami ludzi nękały dziwne sny, które sprowadzały na nich szaleństwo. Istniały także inne opowieści, o sabatach gromadzących się w ciemnych piwnicach i składających ofiary z dzieci podczas swych straszliwych uct.

Tego wieczora, to wszystko wydawało się przerażająco wiarygodne. Tej nocy, potężna masa miejskich murów nie zapewniała poczucia bezpieczeństwa. Teraz wyglądały jak część wielkiej pułapki, utrzymującej go w tym miejscu. Cytadela zdawała się górować nad miastem, niczym wieża jakiegoś ogra. Nawet światła na wielkim murze wewnętrznym wyglądały strasznie.

Szedł szybkim krokiem trzymając dłoń na rękojeści miecza i usiłował nie myśleć o Ulrice, Maxie i zarazie. Czuł się bezsilny jak dziecko. To była sytuacja, w której nic nie mógł uczynić. Los Ulriki spoczywał w rękach Maxa, oraz w rękach bogów i potęg, które ostatnio nie wydawały się zbyt łaskawe.

Wokół niego gromadziła się mgła, sprawiając, że znane ulice zaczęły wyglądać obco. Jego własny cień majaczył przed nim niczym obrys jakiegoś widmowego potwora. Kroki dźwięczały dziwnie w wilgotnej ciemności. Odległe wołanie nocnego stróża liczącego godziny nie było uspokajające. Daleko w oddali słyszał bębnienie, zawodzenie i hałas niekończącej się piekielnej aktywności dochodzące z hordy Chaosu.

Jego buty zaszurały na bruku i zatrzymał się na chwilę. Wydawało mu się, że słyszy za sobą ciche stąpanie. Nasłuchiwał, ale odgłos nie powtarzał się, jeśli w ogóle ten dźwięk nie należał do jego wyobraźni. Czekał mimo to przez chwilę, wiedząc, że jeśli będzie cierpliwy, nieznajomy może zacząć znowu się poruszać i zdradzić swoją obecność. Nic z tego.

Po części miał nadzieję, że tam ktoś jest. Walka dobrze by mu zrobiła dla odsunięcia mrocznych myśli i pozwoliłaby na rozładowanie strachu, napięcia i gniewu, jakie czuł. Bardziej ostrożna część jego osobowości kazała mu nie być głupim. Nie miał pojęcia, kim mogą być podążający za nim ludzie, ani jak wielu ich jest. Jeśli był śledzony, najlepsze, co mógł zrobić, to powrócić do Białego Dzika. Tam przynajmniej znajdzie kompanów, którzy mogą mu pomóc.

Usłyszał brzęk metalu, jakby dobywanego sztyletu. Zamarł bez ruchu w bramie. Rabusie! Zapewne głodni ludzie poszukujący srebra, którzy mieli nadzieję, że znajdą pijaka i ograbią go z pieniędzy. Felix wiedział, że gdyby miał odrobinę zdrowego rozsądku, rzuciłby się do ucieczki, ale teraz było już na to nieco za późno. Słyszał zbliżające się kroki. Należały do więcej niż jednego człowieka.

– Jestem pewien, że poszedł tędy – usłyszał czyjeś mruknięcie. To był wysoki głos i była w nim nuta skargi, jakby mówiący był przekonany, że świat chce go oszukać i właśnie znalazł kolejny sposób, by to uczynić.

– To był na pewno on? – spytał drugi głos, niższy, bardziej burkliwy.

Felix był pewien, że ten mężczyzna jest mniej inteligentny z tych dwóch. W jego umyśle pojawił się obraz zwalistego brutala. Nagle poczuł suchość w ustach. Jego serce niosło się głośnym łopotem w uszach.

– Och, to z pewnością był on, widziałem go, jak wychodził z gospody. Wysoki, chudy gość, jasnowłosa, jak większość tych imperialnych. Czerwony płaszcz. Smoczy łeb na głowicy jego miecza.

Felix zamarł. To był dość dokładny opis jego osoby. Czy było możliwe, że ci ludzie szukali właśnie jego? Dlaczego? Czy byli łowcami czarownic?

– Jaeger – tak się zowie.

Obaj mężczyźni stali już niemal w samej bramie. Felix widział, że jeden z nich rzeczywiście był wielkim, masywnie zbudowanym człowiekiem. Drugi był niski i bardzo szeroki. Wyglądał na grubego, ale poruszał się lekko.

– Felix Jaeger. Nie wiem, czemu chcą jego śmierci już teraz. Czas Zmian niemal nadszedł. Najpewniej i tak w niedalekiej przyszłości padłby od topora zwierzcółka.

– Nie do nas należy rozmyślanie na tym – powiedział większy mężczyzna, ten o głębszym głosie. – Wazniacy chcą śmierci jego i krasnoluda, oraz usunięcia tego topora. Do nas należy dopilnować, by rozkazy zostały wypełnione. Miejmy nadzieję, że powiedzie nam się lepiej, niż temu głupcowi, łowcy czarownic.

Felix wstrzymał oddech. Ci ludzie nie byli łowcami czarownic. Domyślał się, że byli raczej zawodowymi zabójcami lub członkami jakiegoś kultu. Był pewien, że słyszał już wcześniej frazę o czasie zmian i to w niezbyt przyjemnym kontekście. Ktoś pragnął śmierci jego i Gotreka, oraz chciał pozbyć się topora Zabójcy. Felix zastanawiał się, po co? A ściślej, co powinien teraz zrobić? Nie miał ochoty zmierzyć się z tą parą w walce wręcz. Chyba, że wykorzysta element zaskoczenia. Może uda mu się wyskoczyć z kryjówki i wbić nóż w plecy jednego z nich, zanim się zorientują. To nie wydawało się zbyt rycerskie, czy uczciwe, ale ci ludzie również zapewne nie wyzwą go na honorowy pojedynek. Mógłby także próbować ich śledzić i dowiedzieć się, skąd przyszli. To także nie była zbyt pociągająca idea. W końcu usłyszał ich i czekał na nich w zasadzce. Kto mógł zaręczyć, że im nie uda się to samo?

Najłatwiej było po prostu poczekać, aż znikną na ulicy, a potem wrócić do gospody. Powie Zabójcy, co się stało. Jeśli dojdzie do wybuchu przemocy, Gotrek z pewnością poradzi sobie z tą parą, albo nawet z tuzinem podobnych osobników. O ile zostanie ostrzeżony. To wydawało się najlepszym pomysłem.

– Powiadam ci, Olaf, zgubiliśmy go. Wszedł w jedne z tych drzwi po tamtej stronie – mówił duży człowiek.

– Nieee, nie zrobiłby tego. Po co? Kogo może znać w tych budynkach?

Głosy znowu zaczęły się zbliżać. Wydawało się, że mężczyźni zatrzymali się na chwilę, by sprawdzić mijaną bramę. Felix zastanawiał się, czy uda mu się wyrwać. Było ciemno i mgliście, więc sądził, że ma dużą szansę. Jeśli jednak ci ludzie biegali szybciej od niego, albo znali okolicę lepiej, lub jeśli jeden z nich ma nóż i uda mu się celnie nim rzucić, wówczas sprawy mogą przybrać zły obrót. Rabusie nie wyglądali na ludzi, przed którymi należało odsłaniać plecy. Może mógłby zawołać o pomoc. Jeśli nadejdą straż, te zbiry z pewnością uciekną.

Jeśli straż nadejdą – ci ludzie mogli mieć w pobliżu kompanów, których przyciągnie hałas. Felix próbował się uspokoić. Wiedział na pewno o dwóch ludziach i nie chciał dopuścić, by jego wyobraźnia zaludniła mrok nocy zabójcami, ponieważ strach może uniemożliwić mu jakiegokolwiek działanie. Poczł znajome uczucie słabości w kończynach, jakie zawsze odczuwał przed walką i zignorował je. Oczyszczył umysł, odrzucił strach i rozważał swoje możliwości.

Jeżeli ci dwaj byli profesjonalnymi najmitami, miał niewiele szans. Felix wiedział, że jest dobrym szermierzem, ale ich było więcej, a jeśli są kompetentni, będą potrafili wykorzystać tę przewagę. Wystarczy tylko jeden dobrze wyprowadzony lub szczęśliwy cios i jego życie dobiegnie końca. Nigdy więcej nie ujrzy Ulriki. Nagle, groźba ze strony armii Chaosu i wszystkie pozostałe troski oddaliły się, stały się drobne i nieważne. Najważniejsze było przetrwać kilka następnych minut, a potem będzie mógł zająć się innymi problemami, jakie zsyłało życie. Nagle, przeżycie stało się dla niego desperacko ważne. Nie miało znaczenia, czy armia Chaosu pokona mury następnego dnia, czy za godzinę. Chciał przeżyć tę chwilę, jakkolwiek mizerna by nie była, a ci ludzie chcieli mu

to odebrać.

Wypełniła go czysta, zimna wściekłość. Nie zamierzał im na to pozwolić. Przynajmniej nie bez walki. Skoro musiał mordować, niech tak będzie. To była sprawa jego życia lub ich, a nie miał wątpliwości, co jest ważniejsze, w każdym razie dla niego. Powoli, wiedząc, że będzie musiał wykorzystać każdą przewagę, odpiął klamrę płaszcza i zsunął go zwijając w prawej dłoni. Możliwie delikatnie zaczął wyciągać miecz z pochwy. Na szczęście magiczne ostrze wysunęło się niemal bezgłośnie.

– Cicho! – rzucił duży zbir. – Chyba coś usłyszałem.

Felix stwierdził, że tym człowiekiem musi się zająć najpierw. Był niebezpieczniejszy.

– Pewnie to szczur. Miasto jest ich pełne. Może są tu ci szczuroludzie? Słyszałem, że mieli z nimi problemy w Nuln. Cholera. Wolałbym, żeby Halek sam zajął się swoją brudną robotą, zamiast wysyłać nas w taką noc. Prawie czuję zapach zimy.

– Bądź wdzięczny Wielkiemu, jeśli dożyjesz zimy. Większość miasta tego nie doczeka.

– Cóż, z pewnością nie Felix Jaeger, jeśli go dorwę. Dopilnuję, by zapłacił słono za to, że omija mnie drzemka. Gdyby nie on, mógłbym być w ciepłym łóżku z gorącą dziewczką, pod Czerwoną Różą.

– Będzie na to jeszcze dość czasu. Gdy skończymy robotę.

– Aye, jeśli nas nie wyślą znowu za krasnoludem. Słyszałem, że to twardy sukinsyn.

– Zatruty nóż wystarczy na niego, tak jak na kogokolwiek innego – odezwał się duży.

Zdawało się, że jest już prawie obok Felixa. Przebiegł go dreszcz strachu na wzmiankę o zatrutym nożu. Ci ludzie nie podejmowali zbędnego ryzyka. On także nie mógł sobie na to pozwolić. Nawet najmniejszy błąd może być jego ostatnim. Zacisnął palce na płaszczu. Właściwy moment nadchodził.

– Gdyby nie ta mgła, poczekałbym na niego w gospodzie i wbił w niego bełt z kuszy – rzekł gruby.

– A jakbyś tego dokonał nie zostając zauważonym – spytał duży. Jego cień znalazł się tuż przed Felixem. – To głupi pomysł, jakiego mógłbym...

Felix wyskoczył z ukrycia i rzucił swoim płaszczem. Płaszcz wydał się w powietrzu i opadł na głowę wielkiego mężczyzny. Felix uderzył z gwałtownością atakującej żmii na oplatanego zbira. Jego miecz przeniknął tuż pod brzuchem człowieka i wyszedł przez plecy. Felix wyciągając ostrze obrócił je. Trucizna, pomyślał, ogarnięty desperackim szalem i strachem. Spróbuj teraz użyć na mnie trucizny. Krzyk wielkiego mężczyzny rozległ się w nocy.

Jego partner mógł być gruby, ale na pewno był szybki. Uderzył naprzód niemal instynktownie i tylko szybki odskok w tył pozwolił Felixowi uniknąć noża. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że zauważył smugę lepkiej, czarnej substancji na ostrzu. Wielki zbir upadł przed siebie. Jego ciężar wykręcił miecz w dłoni Felixa. Cholera, pomyślał. Sprawy nie szły zgodnie z planem. Cofnął się szybko, macając w poszukiwaniu własnego sztyletu i nie spuszczał oka z zarysów sylwetki grubasa. Nie chciał ryzykować najmniejszego zadrapania zadanego tą bronią.

– Bydlaku! Wygląda na to, że załatwiłeś Sergeia. Cóż, nieważne. To znaczy, że zyskam więcej chwały dla siebie, gdy przyniosę twoją głowę.

Felix poczuł ulgę, gdy jego sztylet wysunął z pochwy. Miał teraz szansę, choć dość niewielką. Grubas trzymał nóż w zawodowy sposób. Felix był szermierzem, ale miał niewiele doświadczenia z nożami, może za wyjątkiem rzucanych. Z drugiej strony, myślał cofając się przez zamachowcem, zabił już w ten sposób dwóch ludzi i może nadszedł czas, by spróbować powtórzyć to po raz trzeci.

Cofnął ramię i rzucił. To był niepewny rzut. Panowały ciemności, a on próbował trafić w ciemny, poruszający się cel i nawet w chwili rzutu wiedział, że to się nie uda. Tylko stracił broń.

Człowiek wykonał unik, ale Felix pozostawał w stanie podwyższonej gotowości, gdy myśl i działanie były niemal nierozróżnialne. Nawet zdając sobie sprawę, że jego pocisk chybił, zareagował szybciej niż zdążył pomyśleć. Wiedział, że zamachowiec straci na ułamek sekundy koncentrację, co dawało Felixowi okazję do ataku.

Rzucił się naprzód, zaciskając pięść i kończąc potężny cios na twarzy mężczyzny. Poczuł przeszywający ból w ręce i wiedział, że rankiem będzie miał co najmniej obtarte kłykie. To zresztą nie miało w tej chwili znaczenia. Jeśli przeżyje, będzie się tym martwił jutro. Mężczyzna warknął i uderzył nożem. To był profesjonalny cios, przeprowadzony krótkim, prostym ruchem z zamiarem wbicia ostrza w brzuch Felixa.

Felixowi udało się go zablokować tylko dzięki szczęściu niż trzeźwemu osądowi sytuacji. Wyciągnął rękę i złapał za nadgarstek najmity. Był gruby i śliski od potu. Felix musiał dokonać nadludzkiego wysiłku, aby zatrzymać nóż. Grubas był silniejszy, niż na jakiego wyglądał i najwyraźniej doświadczony w walce w zwarcu. Obrócił swoją ręką uzbrojoną w nóż, próbując się wyrwać i jednocześnie usiłował kopnąć Felixa w krocze.

Felix przesunął ciało, tak że kolano uderzyło w jego udo, a potem zrobił coś niespodziewanego. Nie przestawał się obracać i ciągnąć za sobą mężczyznę, używając całej swojej wagi i rozpędu. Człowiek upadł jak długi lądując twarzą w błocie na bruku. Z jego ust wyrwał się długi, bolesny jęk, a potem wstrząsnął nim spazm i zmarł bez ruchu. Felix podejrzewając jakąś sztuczkę kopnął go w głowę. Nie było żadnej reakcji, ale gniew i strach sprawiły, że Felix kopał go nadal. Po dłuższej chwili zrozumiał, że mężczyzna nie udaje. Obrócił go i zobaczył, że zbir upadł na własny nóż. Wyglądało na to, że nie był to zbyt niebezpieczny upadek. Nóż wbił się tylko częściowo. W normalnych okolicznościach zadałby tylko draśnięcie, a nie śmiertelną ranę, ale trucizna używana przez bandziora musiała być silna, bowiem posłała go prosto do królestwa Morra, albo dowolnego demonicznego boga, którego wyznawał.

Felix miał złośliwą nadzieję, że Moce Chaosu ukazą niedoszłego zamachowca za jego porażkę, a potem wrócił zdrowy rozsądek. Felix zabrał nóż, miecz i płaszcz. Okrycie wyglądało na zniszczone, ale nie było dobrym pomysłem zostawianie go w miejscu krwawej potyczki. Nigdy nie wiadomo, kto mógłby rozpoznać właściciela płaszcza. Felix zwinął go i ruszył przez noc, idąc szybko i pewnie, starając się nie wyglądać na człowieka, który właśnie zabił dwóch ludzi.

Pomyślał, że modlitwy w świątyni Shallyi mogły poczekać, aż zmyje krew ze swoich rąk. Musiał ostrzec Gotreka, że podążają za nim najemni zamachowcy. To zresztą zapewne nie bardzo poruszy Zabójcę.

Max patrzył na Ulrikę leżącą na łożu. Jej twarz była blada. Pot perlił się na jej skroni. Miała szeroko rozwarte, nic nie widzące oczy. Dziwne czerwone krosty znaczyły jej piękną twarz. Magiczne zmysły Maxa mówiły mu, że chora szybko słabnie. Opuszczały ją siły życiowe; jej duch oddzielał się od ciała. Max potrząsnął głową i wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. To było trudne. Czuł, że jeśli cokolwiek jej się stanie, on sam umrze.

Starał się opanować. To nie była dobra chwila, by zachowywać się jak uczeń. Musiał się skoncentrować i zebrać wszystkie siły magiczne, jakimi władał. Nie mógł pozwolić, by jego osobiste uczucia zakłóciły przebieg pracy, którą musiał wykonać. Zacerpnął jeszcze jeden spokojny oddech i powtórzył zaśpiew, którego nauczył się na początku swego szkolenia. Był to nie posiadający żadnego znaczenia rytmiczny wiersz, który uspokajał umysł i łagodził nerwy. Otworzył się na wiatry magii i poczuł ich odpowiedź na jego zew.

Max ćwiczył się szczególnie w magii ochronnej. Z konieczności poznał także należące do niej

zakłęcia lecznicze, oraz czary chroniące przez zarazami. Nie specjalizował się jednak w tych zagadnieniach i wiedział, że neutralizacja chorób jest szczególnie trudna. Nurgle był silny, a poza tym istniało zbyt wiele innych czynników, które mogły wpłynąć na wynik.

Na szczęście, większość ze znanych mu czynników przemawiała na korzyść Ulriki. Była młoda i zdrowa, oraz miała po co żyć. Nie przymierała głodem. Jej otoczenie było czyste. Wcześniej nie miewała kłopotów ze zdrowiem. Max miał nadzieję, że to wszystko jej pomoże.

Zamknął oczy i dał się porwać wiatrom magii. Natychmiast wyczuł coś złego. Wokół było znacznie więcej mrocznej magii niż powinno jej być i stawała się ona coraz silniejsza. Ze wszystkich rodzajów magii unoszonych przez magiczne wiatry, ta była najgorsza i oznaczała zagrożenie zepsuciem, mutacją i śmiercią. Maxowi wydawało się, że powinien być na to przygotowany. W końcu, armia Chaosu na zewnątrz opierała się na plugawej mocy, jednak sama ilość obecnej czarnej magii była przytłaczająca. Jej dotyk wywoływał mdłości. Max wykonał wydech i pozbył się tej energii jak najszybciej. Skupiając umysł był w stanie nabrać mocy innego rodzaju. Potrzebował do tego mieszanki barw złota i szarości. Trudno było je odnaleźć wśród przenikającej powietrze mrocznej magii, ale wiedział, że jest w stanie tego dokonać.

Powoli, ostrożnie, upewniając się, że nie dotyka żadnych znamion Ciemności, gromadził moc. Otworzywszy wszystkie swe magiczne zmysły spojrzał na Ulrikę. Nadal dostrzegał ją na łóżku, ale teraz widział także jej aurę, odbicie duszy. Nie wyglądało to najlepiej. Otaczała ją niezdrowa zieleń, a w jej wnętrzu Max wyczuwał zamię czarnej magii. To nie było zbyt zaskakujące, skoro zaraza została magicznie stworzona przez wyznawców Nurgle'a.

Max zaczął wypowiadać inkantację, która pozwoli mu usunąć mroczną energię. Macki mocy, które utkał wokół niej, powoli zaczęły przenikać przez skórę. Poruszyła się z jękiem we śnie. Max utrzymywał stały przepływ mocy łącząc magiczne energie z jej duszą, zasilając siłę życiową Ulriki częściowo swoją własną, a częściowo pochodzącą z wiatrów magii. Przez chwilę wydawało mu się, że zostanie wessany w mroczny wir śmierci. Poczul przyciąganie tej nieskończonej próżni, a jego własna skóra stała się zimna i wilgotna. Przełał w leżącą jeszcze więcej mocy, ale to było jak kapanie wody na piasek pustyni.

Poczul, jak opuszcza go własne życie i walczył z tym. To było jedno z zagrożeń magicznego leczenia w ten sposób. Kiedy obiekt był bliski śmierci, życie uzdrowiciela stawało się równie zagrożone. W głębi ogarniętego paniką umysłu walczył przeciw temu prądowi, pragnął zerwać kontakt i ocalić sam siebie. Nie pozwolił jednak poddać się tej myśli. Brnął naprzód niczym pływak walczący z silnym prądem podwodnym. Walczy! o życie swoje i Ulriki. Ofiarował modlitwę Shallyi i znalazł w sobie nieco więcej energii. A potem zdał sobie sprawę, że coś wewnątrz kobiety przebudziło się i zaczęło mu pomagać. Nagle, chwila kryzysu minęła. Już nie czuł się jak tonący. Ucisk na jego piersi ustąpił.

To była najtrudniejsza część, mówił do siebie, wiedząc, że nie jest to do końca prawda. Udało mu się ustabilizować jej stan i mógł ją tak utrzymywać dopóki zapewni jej energię, ale jego moc nie była nieograniczona i wątpił, by udało mu się utrzymać połączenie tak długo, jak było niezbędne do jej wyzdrowienia. Jej ciało potrzebowało pomocy. Powoli rozciągnął jeszcze raz macki mocy, czując w jej wnętrzu nagromadzenia mrocznej energii magicznej. Uderzał w nie jedno po drugim, przecinając niczym chirurg rozcinający wrzody i usuwając z niej mroczną magię. Zła energia opuszczała ją przez usta i nozdrza na podobieństwo paskudnych kłębow ciemnozielonego dymu.

Następnie, posłał energię w poszukiwaniu maleńkich demonów zarazy, które ją roznosiły. To były istoty tak małe, że pozostawały niewidzialne dla gołego oka, lecz nie dla czarodziejskich zmysłów, jakich używał. Fala oczyszczającej magii przeniknęła przez jej system krwionośny i organy

wewnętrzne. To była ciężka, męcząca praca wymagająca najwyższych poziomów koncentracji. Max już czuł się zmęczony, zupełnie jak po czarodziejskim pojedynku ze skaveńskim szarym prorokiem, ale pracował dalej utrzymując stan skupienia swego umysłu. Minęło wiele czasu zanim upewnił się, że przepędził wszystkie z tych wstrętnych stworów roznoszących zarazę.

Teraz nastąpiło ostatnie stadium leczenia. Zmęczony, po raz ostatni zaczerpnął swoich energii. Posłał rozkaz snu, leczenia i uzupełnienia utraconej siły vitalnej. Wykonawszy to, zamknął oczy i ofiarował kolejną modlitwę dziękczynną. Dotknął brwi Ulriki. Gorączka ustępowała. Pocenie się zmalało. Miał nadzieję, że jego praca wystarczy. Nie mógł tego stwierdzić. A potem zasnął w krześle obok łóżka.

Felix znalazł go trzy minuty później, gdy wrócił po nowy płaszcz i ubranie. Zatrzymał się przy studni, by wylać na siebie kubeł wody i zmyć większość krwi. Wątpił, by jacyś gwardziści przyszli do Białego Dzika w poszukiwaniu zabójców najmitów, ale robił wszystko, by zatrzeć swoje ślady. Gdy wszedł do gospody, odpowiedział na żarty o deszczu wymówką, że wylał sobie na głowę wiadro wody, aby wytrzeźwieć.

Wszedł do izby i rozpoznał po oddechu Ulriki, że zaczęła dochodzić do siebie. Podziękował Shallyi za jej miłosierdzie. Najciszej jak potrafił zmienił ubranie i zszedł po schodach, by poszukać ostrzec krasnoludów. Wchodząc do izby ogólnej słyszał Ulliego i Bjorniego wykrzykujących jakąś starą krasnoludzką śpiewkę pijacką. Po nich przybyli Gotrek i Snorri. Żaden z Zabójców nie wyglądał na zbyt trzeźwego.

– Zostałem zaatakowany – powiedział Felix.

– Nie mów, młody Felixie – odpowiedział Snorri. – Czy ominęła nas dobra walka?

Felix wiedział, że sporo czasu minie, zanim zaczną traktować jego opowieść poważnie.

Rozdział 7

Ivan Petrovicz Straghov podniósł wzrok i zaśmiał się. Białe płatki śniegu mieszały się z deszczem. Zimny północny wiatr mroził jego stare kości. Dobrze, pomyślał. Wygląda na to, że zima przyszła wcześniej tego roku. Im wcześniej, tym lepiej. Śnieżyce spowolnią armię wylewającą się z północy. Mróz oderwie palce od dłoni. Odkryte ciało przylgnie do metalu. Ivan wątpił, by armia o tych rozmiarach mogła przebić się przez kislevicką zimę.

Powoli dobry humor zaczął go opuszczać. Któż wiedział, do czego zdolni są ci przekłęci wyznawcy Chaosu? Może dysponowali magią ochronną? W każdym razie, nawet jeśli plemiona maruderów padną z głodu, nie wątpił, że wojownicy Chaosu i zwierozczłeki przetrwają. Spotykał ich wcześniej w Krainie Trolli podczas zimy. Zwierzozczłeki najpewniej pożrą swoich ludzkich sprzymierzeńców. Odziani w czarne pancerze wojownicy najwyraźniej nie potrzebowali jedzenia, wody ani schronienia, co dotyczyło także ich niesamowitych wierzchowców.

Karcił się w myślach za poddawanie się smutkowi. Liczyła się każda, nawet najmniejsza pomoc, a jeśli Pan Zimy i jego lodowe oddziały zniszczą kilka tysięcy wielbicieli demonów, będzie za to wdzięczny. W tej chwili Kislev potrzebował wszelkiej pomocy.

Ivan ponaglił konia. Pozostało mu już tylko parę godzin jazdy do Brodu Mikala i zgromadzenia Gospodara. Nie mógł się doczekać, by przyłączyć się do nich. Nie wątpił, że gdy zastęp spadnie na hordę Chaosu, wielu wrogów polegnie, bez względu na wynik walki.

Felix Jaeger biegł wzdłuż blanków Praag. Wszędzie wokół padał śnieg. Czuł na twarzy zimny dotyk wiatru. Potężne maszyny oblężnicze uderzyły w mury. Kamienie zdrząły od uderzenia potężnego tarana. Zadźwięczały łańcuchy, gdy wielka rampa obniżyła się ze szczytu wieży. Wypadli z niej wyjący barbarzyńcy odziani w zwierozczłeki futra. Ich przywódcą był wojownik Chaosu w czarnej zbroi, wysoki na siedem stóp. W jednej ręce ścisnął ogromną maczugę, a w drugiej wielki miecz.

Zanim wyznawcy Chaosu zdążyli wykonać pierwszy krok, Gotrek był już między nimi, wyprzedzając Snorriego i Bjorniego. Krasnoludy wycinały krwawą ścieżkę w tłumie wyznawców Chaosu, kierując się prosto na przywódcę. Felix był tuż za nimi, a obok niego biegł Ulli. Załamani ludzcy obrońcy odzyskali otuchę i rzucili się z powrotem do walki.

Felix czuł, jak rampa ugina się pod ciężarem masy stojących na niej wojowników. Rąbnął w tarczę jednego z maruderów i kopnięciem zrzucił innego z rampy ku niechybnej śmierci na dnie najeżonego palikami rowu poniżej. Przed sobą słyszał okrzyk bojowy Gotreka, gdy Zabójca ściał wodza napastników i wycinał jego podwładnych. W takich chwilach krasnolud wydawał się niemożliwy do zatrzymania. Przypominał starożytnego boga swego ludu, który powrócił, by siać zniszczenie wśród jego wrogów.

Felix rąbał i siekł, a potem poczuł, że cała potężna konstrukcja zaczyna się trząść.

– Wycofać się! – krzyknął. – To wszystko zaraz się zawali!

Natychmiast ruszył z powrotem ku murom, broniąc się po drodze. Sparował cios potężnego zwierozczłeka i odciął mu łapę oddając uderzenie. Widział, jak piekielna machina trzęsie się i zaczyna przechylać się na bok. Gotrek i pozostali Zabójcy niechętnie cofali się, zapędziwszy swój żer do wnętrza wieży. Felix poczuł smród spalenizny i zauważył płomienie, które zaczęły przeskakiwać nad blankami. Wyglądało na to, że wieża oblężnicza płonęła. Nie miał pojęcia, jak to się stało. Zaklęcie, ogień alchemiczny, płonący olej? – to nie miało znaczenia. Cieszył się, że

wybuchł ten pożar.

Rozległy się radosne okrzyki, gdy wieża przechyliła się jak płonący statek, a potem runęła na ziemię. Wiwaty zamarły, gdy ludzie dostrzegli w oddali tuziny pojawiających się kolejnych wież. Felix zdał sobie sprawę, że to nie było prawdziwe zwycięstwo, ponieważ to nie był prawdziwy atak. Wieża toczyła się naprzód bez żadnego wsparcia. Najwyraźniej była dziełem kilku szalonych fanatyków łaknących chwały, lecz nie stanowiła części zmasowanego ataku ogólnego. Felix zastanawiał się, co się stanie, gdy te wszystkie wieże ruszą naprzód, wspierane przez czary i olbrzymie katapulty. Nie mógł o tym myśleć spokojnie.

Nagle, poczuł się bardzo zmęczony. Miał wrażenie, że opuściły go siły. Usiadł opierając się plecami o mur, by odpocząć przez chwilę. Podszedł do niego Gotrek. Zostawiał za sobą wielkie odciski butów na dywanie śniegu. Felix zatarł dłonie, by je ogrzać. Teraz, gdy walka dobiegła końca, jego ciało chłodził spływający pot. Felix wiedział, że musi wkrótce zmienić to ubranie, albo nabawi się gorączki, lub czegoś gorszego. Myślał o tym śniegu. Opady wydawały się nienaturalne, była jeszcze zbyt wczesna pora na śnieg. Kislevici cieszyli się z niego, twierdząc, że jest darem Ulryka i wierząc, że Władca Zimy walczy po ich stronie. Felix nie był tego pewien.

– Prawie nie warto było się dzisiaj wysilać. Powinniśmy zostać pod Białym Dzikim i pozwolić waszym ludziom zająć się tym.

– To czemu tak nie uczyniłeś? – stęknął Felix.

– Lepiej zabić niewielu zwierozczłeków, niż nie zabić żadnego.

– Być może masz rację, ale skoro jest ci wszystko jedno, możesz w przyszłości podzielić się moją działką.

– Lepiej wstawaj, człeczyno. Mamy coś do załatwienia tego wieczora.

– Nie myśl, że zapomniałem – powiedział Felix. Osobiście, żałował, że nie potrafił zapomnieć.

– To miejsce mi się podoba – powiedział Bjorni rechocząc. Zatarł ręce i wykonał obsceniczny ruch ramieniem poruszając nim w górę i w dół. Niewielkie płatki śniegu utkwily w jego krótkiej brodzie. Felix, był ciekaw, czy przestanie padać. Słyszał opowieści o kislevickiej zimie. Niektórzy powiadali, że zaczyna śnieżyć pod koniec lata i nie przestaje aż do nadejścia wiosny. Miał nadzieję, że to nie jest prawda.

– Tego też się spodziewałem – mruknął Felix.

Spoglądając na wejście do Czerwonej Róży na końcu alei, cieszył się, że jest tu Bjorni. Nie trudno było znaleźć ten przybytek, skoro był jednym z największych zamtułów w całym mieście. Sądząc po mnóstwie świateł, które lśniły w środku, interes rozwijał się znakomicie. Nie było w tym nic dziwnego. W obliczu hordy Chaosu na zewnątrz, każdy poszukiwał krótkiego zapomnienia w objęciach uciech cielesnych, jeśli mógł sobie na to pozwolić. Nieprzyjemna pogoda najwyraźniej nie odstraszała klientów.

– Nie po to tu przyszliśmy – rzekł Gotrek.

– Mów za siebie – odpowiedział wesoło Bjorni. – Słyszałem, że mają tu niziołka – dziewczynę, która potrafi...

– Nie chcę o tym słyszeć – powiedział Gotrek groźnym głosem. Bjorni uciszył się mruczając pod nosem.

– Myślę, że ja porozmawiam – zaproponował Felix. – A wy może zamówicie coś do picia i zostanieie w pobliżu, na wszelki wypadek?

– Snorri myśli, że to dobry pomysł, młody Felixie – rzekł Snorri. Pozostali Zabójcy nie zgłaszali sprzeciwu.

Felix nie był pewien, czy jego pomysł jest najlepszy. Pojawienie się pod Czerwoną Różą

jednocześnie z czterema Zabójcami nie pozwoli mu wejść niepostrzeżenie, ale czuł, że o wiele lepiej wchodzić do środka wiedząc, że pomoc jest w zasięgu ręki. Po spotkaniu z Olafem i Sergeiem nie miał wielkiej ochoty, by samemu odwiedzać dom rozkoszy. A jednak, w tej chwili to był jedyny trop pozostawiony przez skrytobójców, który należało zbadać. Felix pomyślał, że lepiej być łowcą niż łowionym.

– Dobra, wy chłopaki wchodźcie, a ja przyjdę za kilka minut.

– W porządku, człeczyno.

Zabójcy ruszyli aleją w stronę zamtuza. Gotrek prowadził, a Bjorni prawie biegł za nim. Felixowi wydawało się, że Ulli się rumieni. Pomyślał jednak, że to tylko złudzenie w tym świetle. Gotrek łypnął okiem na wykidajłów, którzy ustąpili drogi, gdy do nich podszedł. Zapewne rozumieli, jakie niebezpieczeństwo oznacza próba pozbawienia czterech Zabójców ich broni w tych trudnych czasach. Zresztą, mnóstwo innych gości wchodziło z swoją bronią. Gdy krasnoludy znikły w środku, Felix pomyślał, że to miejsce nie jest zbyt bezpieczne. Dał im kilka minut, modląc się przez cały czas, by nie napytali sobie jakiejś biedy. Podrzucił sakiewkę. Nadal zostało mu trochę złota – dobrze było to wiedzieć, ponieważ zamierzał je wydać, by dowiedzieć się wszystkiego, co potrzebne.

Na próżno roztrząsał kwestię, czy Olaf i Sergei byli wyznawcami Slaanesha. To miejsce wyglądało na idealne miejsce spotkań szalonych czcicieli Demona Rozkoszy. Żałował, że nie wiedział nic więcej. Pytając o nich mógł ostrzec ludzi, którzy go szukali. Mogło to także skończyć się kolejną napaścią, gdyby okazało się, że mieści się tu jakaś ukryta świątynia. Felix próbował powstrzymać galop swojej wyobraźni. To nie był melodramat Detliefa Siercka. W tym miejscu nie będzie żadnych tajnych świątyń. Przynajmniej, taką miał nadzieję.

Zdał sobie sprawę, że w tej chwili ociąga się, nie chcąc ruszyć się z miejsca. Wziął głęboki oddech, ofiarował Sigmarowi modlitwę, prosząc, by zdrowiejąca Ulrika nie dowiedziała się nigdy, gdzie przebywał tego wieczora i wykonał pierwszy krok. Wykidajły nawet nie spojrzeli na niego po raz drugi, gdy wspiał się po schodach i przeszedł przez uchylne drzwi. Owionęła go fala ciepła. Zamrugał oczami oślepiiony nagłym, jasnym światłem. Na ciężkich żyrandolach powyżej lśniły tuziny świec. Małe latarnie oświetlały każdy zakamarek wzdłuż ścian. Nadal było ciemno w porównaniu ze światłem dnia, ale znacznie jaśniej niż pośród nocy, którą właśnie zostawił za sobą.

Kiedy tylko wszedł, uderzył go zapach piwa i silnych perfum. Wyglądało na to, że tego wieczora Czerwona Róża była zatłoczona do granic. Prawie nie było miejsca, by się poruszać. Felix ucieszył się, ponieważ oznaczało to mniejszą szansę, by ktoś próbował zrobić coś wrednego. A potem pomyślał, że ten ktoś może ranić go zatrutym nożem i zniknąć w tłumie. Zadrżał na całym ciele. Wmawiał sobie, że to tylko topniejący śnieg spłynął z jego włosów i wywołał dreszcz, ale wiedział, że to nieprawda. Przepchnął się przez ciżbę do baru. Gdy tam dotarł, w jego stronę skoczyły dwie kobiety o twarzach pokrytych grubą warstwą różu.

– Witaj, przystojniaczk. Chcesz się dobrze zabawić? – spytała jedna z nich.

– Może później – odpowiedział, gdy jedna z nich uczepliła się jego ramienia. Próbował się uwolnić, ale ona przyłgnęła jeszcze silniej. Felix ustąpił i szedł dalej. Szybki rzut okiem powiedział mu, że Zabójcy zasiedli za stołem w pobliżu baru, skąd roztaczał się świetny widok na szerokie schody biegnące do komnat na górze. Po schodach przemieszczał się w górę i w dół nieprzerwany strumień pijanych mężczyzn i skąpo odzianych kobiet. Niski, krępy kislevicki jeździec wpadł na Felixa i przetoczył się w tył. Felix poczuł dłonie zaciśnięte na swoim pasie i nagle ucieszył się, że umieścił swoją sakiewkę pod kaftanem.

– Postawisz dziewczynie drinka? – spytała kobieta u jego ramienia.

– Jeśli dopchamy się do baru – odpowiedział, znowu prac naprzód. Przed sobą zobaczył tłum

najemników zgromadzonych wokół stołu, na którym młoda kobieta ubrana niczym dziewczyna z arabskiego haremu powoli zrzucała okrywające ją woale. Felix zauważył, że jej ciało zdobił interesujący wybór tatuaży i kolczyków.

– Ja też mam taki kolczyk, na pępku – powiedziała dziewczyna. – Pokażę ci, jeśli chcesz... na piętaku...

– Najpierw napijmy się czegoś – odparł Felix.

Przedostali się do lady. Pełno tam było ludzi. Felix musiał przeciskać się łokciami między dwoma wielkimi mężczyznami w płaszczach z oznaczeniami imperialnych halabardników, po czym zamówił dwa piwa.

– Nie chcę piwa – oznajmiła dziewczyna. – Chcę wino.

– Wobec tego jeszcze tileańskie czerwone – dodał Felix. Był już nieco rozdrażniony. Miał zamiar rozpytać się wśród obsługi baru o Sergeiu i Olafie, ale w tej chwili było jasne, że personel jest zbyt zajęty, by odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Sprawa okazywała się trudniejsza, niż się tego spodziewał. Z drugiej strony, nikt poza towarzyszącą mu dziewczyną nie wydawał się zwracać na niego najmniejszej uwagi. Lokal był tak zatłoczony, że tylko Zabójca lub elfi księżę wyróżniałby się wśród tłumu.

– Spróbujmy gdzieś usiąść – powiedział Felix. – Muszę odpocząć.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczony, przystojniaku.

– Spędziłem większość tego popołudnia na murach – powiedział. – To naprawdę potrafi wycisnąć ostatnie poty z człowieka.

– Nie wydajesz się być gwardzistą ani jednym z żołnierzy księcia. Najemnik?

– Coś w tym rodzaju.

– Albo nim jesteś, albo nie.

– Utknąłem tu, gdy pojawiła się horda Chaosu.

– A zatem strażnik karawany?

Skinął głową. Przeciskali się w stronę ustronnych ław. Felix uznał, że lepiej nie mówić jej prawdy. Skoro ktoś szukał Felixa Jaegera, człowieka, który przybył statkiem powietrznym, im mniej osób wiedziało, kim jest, tym lepiej. Felix przyjrzał się kobiecie. Była niska i zapewne młodsza niż na to wyglądała. Miała bladą skórę i kręcone włosy jasne jak złoto. Jej twarz była ładna, ale zmęczona i dość okrągła. A jednak, w jej oczach lśniła chytra inteligencja. Miała profesjonalny, lecz miły uśmiech. Wyćwiczonym ruchem przesuwiała dłońią wzdłuż jego uda.

– Nie wydajesz mi się strażnikiem karawany. Raczej kapłanem, albo przekupniem.

– Przyjmujecie tu dużo kapłanów, prawda?

– Byłbyś zaskoczony, kto tu przychodzi. Elfy, krasnoludy, magicy, szlachcice... wszyscy.

– Widziałaś kiedyś dwóch twardzieli o imionach Olaf i Sergei? – spytał, mając nadzieję, że ona wie coś na ten temat.

Położył dłoń na jej dłoni. Przerwała przyjemny masaż.

– Jeden to wielki, zwalisty facet, bardzo silny. Drugi wygląda na grubego, ale jest szybki w nogach i dobry w nożu.

– Twój przyjaciele? – spytała z niepokojem. Uśmiech na jej twarzy wydawał się teraz przyklejony, niemal zamrożony.

– Niezupełnie.

– Co więc macie wspólnego?

– Szukam ich.

– Chcesz, żeby komuś stała się krzywda? – w jej głosie dało się wyczuć pewne wahanie, jakby

zastanawiała się nad doborem słów. – Jestem zaskoczona – wyglądasz na kogoś, kto sam mógłby się tym zająć – jej palce znowu zaczęły się poruszać. Unieruchomił jej rękę.

– A zatem wiesz, gdzie mogą ich znaleźć.

– Ile to dla ciebie warte? – w jej oku pojawił się przeblysł chytrości.

Felix pokazał jej swoją sakiewkę otwierając ją na tyle, by zauważyła błysk złota i migotanie srebra.

– Zależy, co mi powiesz.

– Byli tu zeszłej nocy.

– Tyle już wiem.

– Powiedzieli Saszy, że wrócą, ale tak się nie stało. Pewnie poszli gdzieś indziej. Może pod

Złocone Drzewo.

– Saszy?

– Wysoka dziewczyna, czarne włosy. Kręciła z nimi.

– Z oboma?

– Wiesz, jak to jest...

– Gdzie mogę znaleźć Saszę? Chciałbym z nią pogadać.

– Jeśli podzielisz się ze mną tą monetą, mogę ją znaleźć dla ciebie. Może nawet przekonam ją do rozmowy z tobą.

– Czemu trzeba ją przekonywać?

– Twój kumpel to niebezpieczni ludzie.

– A zatem, może byłoby dobrze, gdybyś ty także coś zapamiętała.

– Co takiego?

– Ja także jestem niebezpiecznym człowiekiem.

– Zaczęłam to podejrzewać.

– Idź po nią, a jeśli mi ją sprowadzisz, tu czeka na ciebie złoto.

– Wolałabym dostać je teraz.

– Jestem pewien, że wolałabyś. Oto srebrnik, byc nie straciła zainteresowania.

– Już mnie zainteresowałeś, przystojniaczku, ale sreberko zawsze mile widziane.

Felix obserwował, jak dziewczyna znika w tłumie, nie do końca pewien, w co się pakuje, ale postanowił kontynuować. Naprawdę chciał dowiedzieć się ile się da o napastnikach z poprzedniego wieczora. Nie miał zbyt wielkich nadziei, ale uznał za możliwe, że uda mu się dowiedzieć, kto za tym stoi. Wykorzystanie każdej okazji, choćby mało obiecującej, wydawało się lepsze niż oczekiwanie na zatruty sztylet wbity w plecy.

Pociągnął niewielki łyk piwa. Postanowił pozostać trzeźwy. Być może wkrótce będzie potrzebował w pełni sprawnego umysłu. O ile dziewczyna po prostu nie uciekła z jego pieniędzmi. Albo, jeśli jej przyjaciółka nie ostrzegła owego Wielkiego, o którym rozmawiali Olaf i Sergei. Felix przeklinał się, że zmarnował tyle czasu na rozmowę z dziewczką. Było całkiem prawdopodobne, że zabrała jego srebro, by nigdy nie wrócić. W chwili, gdy nad tym rozmyślał, zauważył powracającą złotowłosą. Była sama.

– Porozmawia z tobą, ale nie tutaj.

– Gdzie zatem?

– Na pięterku, a gdzieżby indziej? Musisz zapłacić gospodarzowi za pokój i za jej czas. Nie mówiąc, o tym, co jesteś winien mnie.

– Dobrze. Idziemy.

Felix wstał i poszedł za nią, nadal ściskając jedno z piw, aby nie wyglądać podejrzanie. Gdy

dotarł do schodów, odwrócił się i spojrział na zabójców. Gotrek napotkał jego wzrok i skinął głową. Felix czuł się pokrzepiony jego obecnością. Podniósł wszystkie pięć palców wolnej dłoni. Miał nadzieję, że Gotrek zrozumiał, iż oznacza to pięć minut. Zabójca skinął jeszcze raz. Felix ruszył po schodach, nagle czując się całkiem odsłonięty. Jeśli właśnie wchodzi w jakąś pułapkę, może przed upływem pięciu minut będzie martwy.

Komnata była duża. Na ścianach znajdowała się interesująca kolekcja biczów i łańcuchów. Łóżko wyglądało na intensywnie używane. Podobnie wyglądała zajmująca je dziewczyna. Była wysoka i smukła, ale w jej oczach lśniło coś dziwnego. Miała lekko obłąkane spojrzenie, zapewne zdradzające uzależnienie od błędnego korzenia. Okrywała ją tylko skromna damska koszula bez rękawów.

Felix pociągnął nosem – w powietrzu czuło się zapach starego potu i innych wydzielin, ciężkich perfum oraz kadzidła. Felix rozpoznawał po swędzeniu nosa i ucisku w gardle, że ktoś palił tu błędny korzeń pomieszany z czymś innym, nie domyślał się jednak, co to mogło być. Podszedł do okna i otworzył je. Wyrzwał na ulicę. Było wysoko. Znajdowali się na trzecim piętrze burdelu.

– Jeśli masz zamiar spróbować szybkiej ucieczki, nie tędy droga – powiedziała dziewczyna głośno chichocząc. – Skręcisz sobie tylko kark. Wierz mi, próbowano już tego.

Felix spojrział na nią, a potem ponownie na niską blondynkę.

– Uważasz, że mogę zechcieć nagle uciekać, czyż nie?

– Skoro szukasz Olafa i Sergeia, a oni cię nie lubią, – jak mówi Mona, możesz nie mieć innego wyjścia. Możesz przez przypadek wypaść przez okno.

– To niezbyt grzeczna para, ci dwaj – podpowiedział Felix.

– Tak, to prawda. Czemu się nimi interesujesz? Mona wspomniała coś o złocie.

– To zależy od tego, co masz mi do powiedzenia. Zależy od tego, czy ci uwierzę. Zależy od wielu rzeczy.

– Wygląda na to, że marnujesz nasz czas. Jesteś jednym z tych dziwaków, którzy chcą tylko pogadać z dziewczyną. A może to ma prowadzić do czegoś ciekawego?

– Nic z tych rzeczy. Zastanawiałem się tylko, dlaczego Olaf i Sergei chcieli zabić... mojego przyjaciela.

– Ten przyjaciel – wysłał cię, żebyś załatwił sprawę, prawda?

– Można tak powiedzieć.

– Na takiego mi wyglądasz. Kiedy odezwałeś się po raz pierwszy, pomyślałam, że jesteś kapłanem. Patrząc na ciebie, pomyślałam, że możesz być jak jeden z tych templariuszy, świętych chłopaczków, którzy w pół słowa potrafią podciąć komuś gardło.

– A zatem, masz spore doświadczenie z templariuszami, prawda? – spytał Felix z uśmiechem, myśląc o jedynym znanym mu templariuszu, Aldredzie. On z pewnością pasował do podanego opisu.

– Bywają tu wszyscy, przystojniaku – odpowiedziała Mona spoglądając znacząco na sakiewkę Felixa. Najwyraźniej chciała dostać obiecane pieniądze.

– Jeszcze nie usłyszałem niczego nowego.

– Gdybym ci powiedziała, gdzie są Olaf i Sergei, co byś zrobił? – spytała Sasza.

Felix pomyślał, że byłby bardzo zaskoczony, skoro pozostawił ich martwych na ulicy podczas zeszłej nocy.

– To zależy – powiedział.

– Od czego?

– Od tego, czy uda mi się ich przekonać, by zostawili moich przyjaciół w spokoju.

– To może być trudne, o ile nie jesteś twardszy, niż na jakiego wyglądasz.

– Mam przyjaciół, przy których wyglądam jak kapłan Shallyi – odparł Felix wiedząc, że mówi szczerą prawdę. Przekonanie w jego głosie musiało być ewidentne. Odpowiedź dziewczyny zaskoczyła go. Zalała się łzami.

– Mówiłam im, żeby się w to nie mieszała. Mówiłam im, żeby to zostawili. Nie chcieli słuchać.

Felix zmusił swoją twarz do bezruchu, zastanawiając się, o czym mówiła płacząca kobieta. Instynkt podpowiadał mu, by czekał w milczeniu, by pozwolił jej mówić. Może dowie się czegoś w ten sposób. Spoglądał na nią w możliwie bezlitosny sposób. Zauważył, że Mona stała się niespokojna, nerwowa, jakby nie podobał się jej kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. “Wydawało się, że ona także coś wie. Najwyraźniej było nieco prawdy w aforyzmie, którym rzucał jego ojciec po pijatyce ze swoimi kupieckimi przyjaciółmi: nie ma lepszego miejsca, by poznać tajemnice, niż zacny burdel. Dziewczyna znowu spoglądała na niego. Łzy spływały po jej twarzy. Trudno było uwierzyć, by ktokolwiek mógł okazywać jakieś czułe uczucia wobec dwóch brutalnych, takich jak Olaf i Sergei, ale najwyraźniej jej to dotyczyło. A może powodował to tylko błędny korzeń, dopowiadał cynicznie Felix w swych myślach. Dziewczyna spojrzała na niego, jakby oczekując jakiejś reakcji. Postanowił zamydlić jej oczy.

– A co dokładnie powiedzieli ci o nas? – spytał, możliwie delikatnym i uprzejmym głosem.

Zadziwiające było, jak groźnie potrafił przemawiać w odpowiednich okolicznościach.

– Niewiele. Niewiele. Ostatnio mało o czym wiem. Czasami rozmawiali o tym, gdy wydawało im się, że niczego nie słyszę. Traktowali to jako jakiś rodzaj żartu. Podobno znaleźli jakiegoś nowego... patrona, który dawał im mnóstwo roboty i zamierzał obdarzyć najprzeróżniejszymi specjalnymi nagrodami.

– Mówiąc o robocie, masz na myśli...

– Brudną robotę. Uciszenie tych, których trzeba uciszyć. Na początku myślałam, że to zwykłe zlecenia od szlachciców załatwiających swoje sprawy, albo najemników usuwających konkurencję, ale potem...

– Co potem?

– Potem zaczęli zachowywać się dziwnie. Przychodzili i odchodzili o dziwnych godzinach. Mówili o szantażowaniu jakichś ludzi. Zdaje się, że znaleźli coś na kogoś ze szlachty.

Felix spojrzał na Monę.

– Jesteś pewna, że chcesz słuchać tego wszystkiego? Możesz usłyszeć o czymś, co zagrozi twojemu życiu.

Spojrzała na niego, a potem na sakiewkę. Rozumiała jego ostrzeżenie, ale chciwość walczyła w niej ze strachem. Nie trzeba było długo czekać na wynik tych zmagania. Rzucił jej złotą monetę.

– Poczekam na dole – powiedziała.

Otworzyła drzwi i wyszła.

– Co jeszcze ci powiedzieli?

– Niczego mi nie mówili.

– Wobec tego, co jeszcze podsłuchałaś.

– Już nic. Nic.

– Ten ich nowy patron. Widziałaś go? – Felix zauważył, że zaczyna mówić w sposób przypominający styl dziewcząt. – Czy kiedykolwiek widziałaś tego ich nowego patrona?

– Czasami szukał ich duży mężczyzna. Szlachcic, sądząc po głosie.

– Widziałaś go kiedyś?

– Nie.

– Nie?

– Zawsze nosił płaszcz z kapturem i szal owinięty wokół twarzy.

– Czy to nie dość niezwykle? – ku jego zaskoczeniu, roześmiała się.

– Tutaj? Na bogów, nie! Mnóstwo gości, zwłaszcza szlachta, nie chce, by inni dowiedzieli się, że tu przychodzą. Mają żony, kochanki, rywali. Łapiesz to, prawda?

– Wiesz coś jeszcze o tym człowieku? Czy nazywali go Wielkim, albo podobnie?

Nagle wydawało się, że jej nastawienie zmieniło się dramatycznie i zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co mówi.

– Olaf i Sergei zabiliby mnie, gdyby wiedzieli, że mówię ci o tym.

– Na twoim miejscu nie przejmowałbym się nimi. Nie będą już nikomu zawadzać.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się. Wyglądała, jakby chciała zacząć krzyknąć. Felix położył swoją dłoń na jej ustach i uciszył ją. Drgnęła lekko, jakby spodziewała się, że ją zaatakuje, zanieśie do okna i wyrzuci. Felix przeklął. Nie dowiedział się niczego, co nie było mu już znane, pomijając wzmiankę o jakimś niezidentyfikowanym patronie, który faktycznie kilkakrotnie spotkał się ze zbirami pod Czerwoną Różą.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – Nie skrzywdzę cię. Chcę tylko usłyszeć odpowiedzi na moje pytania, a potem odejdę. Tylko nie krzycz, ani nie rób nic, co mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę, a dostaniesz trochę złota. Rozumiesz?

Skinęła głową. Felix zastanawiał się, czy mądrze jest ją puszczać, ale nie znajdował innego wyjścia. Nie mógł wyjść na korytarz zakrywając jej usta. Nawet pod Czerwoną Różą to mogło przyciągnąć wzrok tych, których chciał unikać. Cofnął dłoń. Dziewczyna oddychała już spokojniej. Nie wyglądało na to, że nabiera oddechu, by krzyknąć.

– Coś jeszcze na temat tego patrona? Imię? Miejsce spotkań? Cokolwiek?

– Wiem, że kiedyś go śledzili, żeby zobaczyć, skąd przychodzi. Mówili, że to śliski gość, ale byli dobrzy w ukrywaniu się, gdy nie chcieli, by ktoś ich zobaczył.

Niezbyt dobrzy, pomyślał Felix, przypominając sobie miniony wieczór.

– Dokąd chodził?

– Do pałacu.

Cudownie, pomyślał Felix. Właśnie to chciał usłyszeć. Przyjrzał się badawczo dziewczynie sprawdzając, czy nie próbuje go okłamywać. Nie dostrzegał żadnych oznak kłamstwa. Wydawała się szczerą i znowu trochę otumanioną narkotykami.

– Czy to wszystko – spytał.

– Słyszałam kiedyś, jak wspomnieli jego imię.

– Jakie?

– Halek.

Felix zaczął zastanawiać, ile czasu minęło i czy Gotrek oraz Zabójcy przyjdą go szukać. To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebował w tych okolicznościach. Wziął trochę złota z sakiewki i rzucił je dziewczynie.

– Masz, to twoje. Jeśli znowu zobaczysz tego człowieka, albo cokolwiek usłyszysz na jego temat, pytaj o Felixa Jaegera pod Białym Dzikim. Będzie czekało na jeszcze więcej złota.

– Zapamiętam – powiedziała, odwróciła się i wtuliła twarz w poduszkę. Felix słyszał jej łkanie, gdy wychodził przez drzwi.

– Ja tu zostaję – oznajmił Bjorni. – Wy możecie iść, jeśli chcecie.

– To zostań – rzekł Gotrek.

– Myślę... że też zostanę – powiedział cicho Ulli, szurając nogami ze wstydu.

– Jak sobie chcesz, młody.

Felix i Gotrek wyszli na ulicę. Felix streścił szybko, czego się dowiedział. Kiedy mówił, rozumiał, że tych informacji jest jeszcze mniej, niż mu się wydawało.

– Nie zbliżyliśmy się do odnalezienia owego Wielkiego stojącego za tymi zamachowcami, człeczyno.

– Nie. Chciałbym wiedzieć, dlaczego usiłowali nas zabić. Może to jakiś stary wróg wrócił z zemstą?

– Zabiliśmy większość z nich.

– Kilku pozostało. Na przykład ten skaveński szary prorok.

– Wątpię, by udało mu się przebrać za szlachcica i wkraść się do pałacu, człeczyno. Bez względu na to, jak potężna jest jego magia.

– W przeszłości wykorzystywał już ludzkich agentów.

– Aye, to prawda.

– A może to ma związek z tą hordą Chaosu?

– To wydaje mi się pewniejsze – powiedział Zabójca, zatrzymując się na moment, by wsłuchać się w odgłosy nocy.

– Coś usłyszałeś?

– Kroki, usiłujące się skradać. To mogą być zbiry – Zabójca uniósł topór. Felix prawie żałował niedoszłych rzezimieszków, którzy czaili się na nich w ciemnościach. Prawie. Potem przypomniał sobie zamachowców i ich zatrute noże. Nagle ucieszył się, że nosi na sobie koszulkę kolczą. Przez chwilę wstrzymywał oddech, zmuszając się do zachowania ciszy. Z mgły wyłoniło się dwóch młodych ludzi. Mieli zamaskowane twarze, a w rękach trzymali pałki. Spojrzeli tylko raz na Zabójcę, wrzasnęli ze strachu, odwrócili się i uciekli. Gotrek wzruszył ramionami i nie próbował ich ścigać. Felix uznał, że to mądra decyzja.

– Jeśli dziewczka gadała prawdę, to w pałacu jest zdrajca, człeczyno – zagaił rozmowę Gotrek.

– Co możemy z tym zrobić? Pomaszerować do księcia i powiedzieć mu, że być może zatrudnia kultystę Chaosu? Przepraszamy, nie wiemy kto to jest, musisz nam, panie, uwierzyć na słowo. A może powinniśmy zacząć pytać dworzan o tego Haleka. To zresztą pewnie fałszywe imię.

Zabójca wzruszył ramionami i odwrócił się idąc w dół ulicy. Księżyc Chaosu lśnił złowrogo na niebie. Felix mógł przysiąc, że gargulce na budynkach zaczęły się poruszać. Tłumaczył to sobie odbiciem światła. Pośpieszył za Zabójcą. W chwilach, takich jak ta, chciałby być gdziekolwiek indziej, byle nie w Praag. To nie było przyjemne miasto, nawet gdy pod jego bramami nie stała armia Chaosu.

Max Schreiber wstał i zaciągnął dokładnie kotary na zamknięte okna, usiłując zatrzymać zimny przeciąg. Przez chwilę, przez szczelinę w okiennicach, zauważył przykryty białym śniegiem dach budynku po drugiej stronie. Nie spodobał mu się ten widok. Była zbyt wczesna pora roku na śnieg. Coś wpływało na pogodę. Fakt że, że działo się to w czasie, gdy do miasta zbliżyła się horda Chaosu nie mógł być zbiegiem okoliczności.

Spojrzał na Ulrikę. Leżała otulona grubą kołdrą. Jeśli ten chłód utrzyma się, wystarczy lekkie przeziębienie, by zniweczyć wszystkie wysiłki Maxa. W tej jednak chwili, Ulrika spała zdrowym snem człowieka, który powraca do sił po przebytej chorobie. Kryzys minął i Max nie był już tu potrzebny. Został jednak. Patrzył na śpiącą i składał modlitwę dziękczynną dla Shallyi, za uratowanie jej życia. Nawet jeśli Ulrika nigdy nie będzie jego, cieszył się, że przeżyła. Podeszedł do łóżka, dotknął jej głowy i oddalił na palcach do drzwi.

Był wycieńczony jakby od kilku dni maszerował bez jedzenia i wiedział, że musi uzupełnić swoje siły, zarówno fizyczne, jak i magiczne. Ruszył po schodach do tawerny. Ludzie spoglądali na niego z większym szacunkiem, ciekawością, a nawet lękiem. W jakiś sposób dowiedzieli się, że ocalił Ulrikę przed zarazą. Nikt nie chciał go teraz obrażać. W końcu, mag mógł ich ocalić, gdyby zdarzyło im się zachorować.

Max wiedział, że wcześniej, czy później spowoduje to problemy. Choćby nawet tego chciał, po prostu nie miał dość siły, by uzdrowić tak wielu ludzi. Uzdrowienie Ulriki prawie go zabiło i wątpił, by w mieście znajdował się ktokolwiek inny, dla kogo zdecydowałby się znowu zaryzykować swoim życiem. Oczywiście, łatwo było o tym myśleć teraz, siedząc wśród tych twardych ludzi o hardych obliczach, ale co się stanie, jeśli jutro przyjdzie do niego zapłakana matka i poprosi go o uratowanie jej dziecka? Takiej prośbie będzie znacznie trudniej się oprzeć. Cóż, będzie się nad tym martwił, jeśli tak się stanie. Nie było sensu w dręczeniu się problemami jutrzejszego dnia.

Zamówił jedzenie u dziewczki służebnej, a także trochę herbaty, a potem wrócił do pokoju. Nie mógł znieść spojrzeń ludzi w izbie głównej i nie zamierzał pić wina. Chciał mieć czysty umysł, którego mocy nic nie zakłóci. Zastanawiał się, gdzie są Felix i Zabójca. Zapewne polują na człowieka, który zeszedł wysłał tych najemnych zabójców. Max rozmyślał, czy mógłby im w tym jakoś pomóc. Raczej nie w tej chwili. Musiał zebrać wszystkie siły. Zresztą, niewiele mógł uczynić, jeśli człowiek, którego szukali był kultystą. Tacy ludzie zazwyczaj byli dobrze chronieni przed zaklęciami jasnowidzenia. To była dla nich konieczność.

Max zastanawiał się, czy zabójcy przyjdą szukać jego i Ulriki, czy podążali tylko za Felixem i Gotrekiem? Biorąc pod uwagę moc topora Zabójcy, mieli powody, by chcieć się go pozbyć, ale po co mieliby ścigać kogoś innego? Max stwierdził, że nie warto próbować zrozumieć motywy działania wyznawców Chaosu. Zbyt wiele wysiłku poświęconego tym sprawom mogło wypaczyć rozum. Max wiedział, że takie rzeczy się zdarzały. Ci, którzy starali się zrozumieć drogi Chaosu, często padali ofiarą jego uroku. Często był przed tym ostrzegany.

Gdy te myśli przemykały przez jego umysł, poczuł nagłą, silną zmianę w wiatrach magii. Nawet grzmot pioruna nie byłby bardziej zauważalny. Max wyrzwał przez okno i przywołał swoje magiczne widzenie. Natychmiast przekonał się, że jego podejrzania były słuszne. Wielkie, gwałtowne prądy mocy szarpały kłębami czarnej magii ponad armią Chaosu. Potężne wiry magicznej energii spadały na nią wirując i wlewając całą moc w jedno miejsce. Max był ciekaw, co się dzieje. Był pewien, że nic dobrego.

Rozległo się pukanie do drzwi. Max podszedł ostrożnie i dotknął zasuwę. Była na swoim miejscu.

– Kto tam? – spytał.

– Czy to Herr Schreiber? – głos był spokojny i władczy.

Max zastanawiał się, kto to może być. Czy to jakaś pułapka? Zużył odrobinę swojej pieczołowicie zebranej mocy i zaryzykował rzucenie zaklęcia jasnowidzenia. W jego umyśle zamigota! wizerunek mężczyzny stojącego za drzwiami. Był wysokim żołnierzem w płaszczu z symbolem skrzydlatego lwa Praag. Na jego rękawach widniały dystynkcje, wskazujące, że jest sierżantem. Czekają z nim dwóch innych żołnierzy. Max domyślał się, że tych ludzi wysłał książę. To było dość prawdopodobne. A jednak, nie po raz pierwszy kultysty Chaosu mogli udawać przedstawicieli władzy. Max nie chciał podejmować zbędnego ryzyka podczas, gdy Ulrika jest osłabiona.

– Czemu pytasz?

– Przynoszę wezwanie od księcia.

To przynajmniej wydawało się być prawdą. Mężczyzna trzymał w swoich dłoniach zwinięty pergamin. A jednak, Max nie był pewien, czy taki zwój musiał cokolwiek znaczyć. Przygotował w swoim umyśle silne zaklęcie obronne, wciągając wiatry magii. Jeśli ci ludzie są zamachowcami, on nie da się zaskoczyć.

Uchylił odrobinę drzwi. Nikt nie wepchnął noża. Sierżant spojrział na niego dziwnym wzrokiem, jakby zachowanie Maxa nieco go zdumiewało. Max podejrzewał, że tak mogło być w istocie, jeśli ten człowiek był tym, za kogo się podawał.

– Mam tutaj pacjenta, być może nadal przenoszącego plagę. Najlepiej będzie, jeśli przekażecie mi wiadomość i poczekacie na dole – powiedział Max. To była chwila prawdy. Jeśli ci ludzie są zabójcami, w tej chwili powinni zaatakować.

Max zauważył blednącą twarz sierżanta i zwój pośpiesznie wepchnięty przez szczelinę w drzwiach.

– Słusznie, sir – zgodził się sierżant.

Max przyjrzał się papierowi. Z pewnością wyglądał na autentyczny i nosił pieczęć skrzydlatego lwa. Nie wyczuwał nałożonych na nim magicznych energii, zatem, o ile zmysły go nie myliły, to nie była żadna pułapka magiczna. Zgodnie z przekonaniem, że nigdy nie można być dość ostrożnym, zbadał zwój magicznym wzrokiem, ale niczego nie znalazł. Wzruszył ramionami, zamknął drzwi i przełamał pieczęć.

Szybko przeczytał wiadomość. To było proste wezwanie jego osoby do pałacu. Zostało zaadresowane do Herr Maxa Schreibera z Imperialnej Szkoły Magów. Najwyraźniej jeden z władców Kisleva zapragnął skorzystać z jego usług. Max pomyślał cynicznie, że najpewniej chodziło o zapewnienie sobie dodatkowego uzdrowiciela na wypadek ataku choroby.

Spojrzał na Ulrikę. Nie chciał jej teraz zostawiać bez opieki, ale Praag było miastem pogrążonym w wojnie. Panowało prawo wojenne – odmowa żądania władcy mogła być poczytana za zdradę. Max przeczytał wiadomość jeszcze raz. Nie było napisane, kiedy ma zgłosić się w pałacu, a godzina była już dość późna. Zastanowił się nad tym przez chwilę, spojrział na śpiącą Ulrikę i postanowił, że zaryzykuje obrazę księcia. Rankiem będzie miał dość czasu, by się z nim zobaczyć. Nakreślił pośpiesznie odpowiedź i zszedł na dół, by wręczyć ją sierżantowi.

* * *

Szary Prorok Thanquol przypatrywał się starszemu Klanu Moulder. Był zadowolony z siebie. Od czasu porażki sił Lurka, starsi spoglądali na niego ze wzmożonym szacunkiem wzmocnionym solidną dawką strachu. To było dobre.

Komnata rady stanowiła na swój sposób bluźniercze odbicie Izby Trzynastu w Skavenblight. Starsi siedzieli wokół wielkiego łuku przypominającego z grubsza kształtem podkowę. Było ich trzynastu. Nic dziwnego zresztą, bowiem to była jedna ze świętych liczb skaweńskiej kosmologii. Znajdowali się wśród nich przedstawiciele wszystkich klanów gildii Moulderów. Grupa była tak wymieszana społecznie, że nawet potężny umysł Thanquola z trudem usiłował zrozumieć złożoność związków między nimi. Domyślał się, że podobnie jak w Skavenblight, pozycja przedstawiciela wokół podkowy była odbiciem jego statusu: im bliżej do centrum i dalej od skrzydeł, tym skaven był ważniejszy. W centrum zasiadał Wysoki Poganiacz Klanu. Szary Prorok stał przed nim stojąc w przestrzeni ograniczonej przez podkowę. Spoglądał na trzynaście par nikczemnie lśniących, czerwonych ślepi. Jego łapy spoczywały na runie Klanu Moulder ułożonym z płytek na podłodze. Nie czuł się zastraszony swoim położeniem. Ani trochę. Lekki ucisk jego gruczołów pizmowych był tylko

wynikiem podniecenia.

– Twój dawny pomagier zniknął, Szary Proroku Thanquolu – zapiszczał Wysoki Poganiacz. Thanquol zauważył jakieś zapiski przekazywane z łapy do łapy wzdłuż brzegu stołu. To nigdy nie znaczyło nic dobrego.

– Zdrajca Lurk po raz kolejny umknął Klanowi Moulder – zaszydził Thanquol, aby przełamać ciszę. – Dlaczego to mnie nie zaskakuje?

– Mieliliśmy nadzieję, że użyjesz swych mocy, by go znaleźć. Klan Moulder ma rachunki do wyrównania z tym dewiantem.

– Uczyniłem wszystko, co mogłem – wycedził Thanquol – ale wydaje się, że on opuścił miasto.

– A cóż to ma do rzeczy, szary proroku?

Thanquol obserwował zapiski powoli zbliżające się z lewej strony podkowy do centrum. Przemawiając zastanawiał się, jakie informacje mogą zawierać.

– Pojawiły się silne zakłócenia w przepływie energii mistycznych – powiedział Thanquol możliwie przekonującym głosem. To była prawda. Podczas kilku ostatnich dni wiatry magii wiały silniej niż kiedykolwiek wcześniej. Próba przejrzenia przez podobną burzę magiczną przypominała szukanie drogi wśród śnieżycy. W takich okolicznościach odnalezienie Lurka było niemożliwe.

– Więc? Więc?

– Te zakłócenia wpływają na moje wizje i uniemożliwiają wszelkie formy jasnowidzenia.

– Czy pomyślałeś o przyczynach tych zakłóceń? Czy mogą to być siły stojące za zagrożeniem, jakim okazał się Lurk?

To była poruszająca myśl i to całkiem prawdopodobna. Co nie znaczyło, że Thanquol podejrzewał potęgę Chaosu o wybranie na swojego pomocnika stworzenie tak nędzne, jak Lurk. Raczej był to jakiś mistyczny fenomen, który nastąpił jednocześnie z marszem hordy Chaosu. Istniała zanedbywalnie niewielka możliwość, że czarownicy hordy czerpią energię z Pustkowi, by zasilić swoje czary. W chwili, gdy ta myśl pojawiła się w umyśle Thanquola, jego gruczoły piżmowe ścisnęły się niemal wypuszczając piżmo. Ledwie szansa, że coś takiego mogło być prawdą, była przerażająca. Sugerowała istnienie mocy poza wszelkimi wyobrażeniami.

Oczywiście, Thanquol pomyślał, że jeśli istniał sposób, by przechwycić tę magiczną energię zanim dotrze do hordy Chaosu, czarodziej, któremu udałoby się tego dokonać, zyskałby niewyobrażalną moc.

Nagle Thanquol zrozumiał, że jego głównym celem jest wydostanie się z Piekielnej Jamy i rozpoczęcie badań nad tymi możliwościami. Musiał tylko znaleźć odpowiednią wymówkę. W tym momencie notatka dotarła do Wysokiego Poganiacza, który otworzył ją, przeczytał i zmarszczył czoło.

– Otrzymaliśmy polecenia ze Skavenblight. Masz tam natychmiast powrócić i wyjaśnić swoje działania przed Radą Trzynastu, Szary Proroku Thanquolu. My, oczywiście, zapewnimy ci eskortę przez te niebezpieczne ziemie.

Normalnie, wizja takiej wyprawy wzbudziłaby w Thanquolu godną skavena ostrożność i niepokój. Teraz jednak prawie nie mógł się tego doczekać.

– Wyruszę bez zwłoki! – oznajmił Thanquol.

Zauważył, że Moulderzy byli skonfundowani i całkiem przestraszeni widząc jego entuzjazm.

Felix zastanawiał się, co się dzieje. Mrowiła go skóra. Włosy z tyłu jego karku były podniesione. Wydawało się, że na nocnym niebie utrzymuje się osobliwe lśnienie, migoczące poza miastem. Wyczuwał podobne efekty tuż przed uwolnieniem mrocznej magii. Niezbyt lubił to

wrażenie. Może miało to coś wspólnego z wczesnym śniegiem.

Biały Dzik był już prawie przed nim. Światła płonęły wesoło przebijając się przez nieustannie padające płatki śniegu. Felix zobaczył pojawiających się trzech mężczyzn w uniformach gwardii książęcej. Powstrzymał się przed pragnieniem uskokoczenia w boczną alejkę. Z pewnością nie przyszli badać okoliczności śmierci Olafa i Sergeia? Z pewnością nie szukają jego? Gotrek nie okazywał żadnego niepokoju. Szedł naprzód ignorując gwardzistów, jakby ich nie było.

Gwardziści najwyraźniej wiedzieli, kim jest, bowiem ustąpili mu ochoczo drogi. Mijając ich, Felix usłyszał szept żołnierzy o bitwie stoczonej tego dnia. Ich wyczyny na murach stały się zatem powszechnie znane.

Świetnie, pomyślał Felix. Może niewiele zmieniał fakt, że byli tymczasowymi bohaterami, ale każda pomoc mogła się przydać. Ponieważ okazali się użytecznymi wojownikami w obronie miasta, Felix wątpił, by ktokolwiek przyglądał się uważnie ich pozostałym zajęciom.

Felix wszedł to tawerny i natychmiast ruszył po schodach w górę, zostawiając Gotreka samotnie pijącego u baru.

– Co z nią? – spytał nerwowo Felix. Max siedział na krześle obok łóżka. Felix nie był pewien, co sądzić o jego obecności. Był jednocześnie zazdrosny i wdzięczny.

– Dojdzie do siebie – powiedział cicho Max. – Potrzebuje tylko odpoczynku, oraz trochę czasu, zanim wyzdrowieje.

– A co z tobą? Czujesz się lepiej?

– Bywałem mniej zmęczony, ale przeżyję. Dowiedziałeś się czegoś interesującego?

Felix rzucił okiem na Ulrikę, by się upewnić, że śpi, po czym wyjaśnił, gdzie był i czego się dowiedział.

– Ja nie wiem zbyt wiele, ale to lepsze to niż nic – powiedział Max. – Czy naprawdę sądziłeś, że uda ci się czegoś o nich dowiedzieć?

– Nie, ale czasami to kwestia szczęścia. Jeśli nie spróbujesz, nie zajdziesz daleko, wówczas wszyscy możemy tylko czekać na zatruty nóż w plecach podczas ciemnej nocy. Masz jakiś pomysł?

– Nie. Martwię się jednak. Ukrywanie się w pałacu zdrajcy to mało pokrzepiająca myśl. Nie mogę jednak powiedzieć, bym był zaskoczony.

– Ani ja.

– Doprawdy? Mówisz to z takim przekonaniem, Felixie.

– Nie byłby to pierwszy raz, gdy spotykam zdrajców na wysokich stanowiskach.

Max tylko spojrzał na niego. Felix, nawet nie wiedząc dlaczego to robi, zaczął opowiadać mu o swoim spotkaniu z Fritzem von Halstadtem, szefem tajnej policji Elektorki Hrabiny Emmanuelle i agentem skavenów w jednej osobie. Max był dobrym słuchaczem. Kiwał głową, uśmiechał się i zadawał inteligentne pytania, gdy chciał coś dobrze zrozumieć.

– Myślisz, że zdrajca może być równie wysoko postawiony? – zapytał wreszcie Max.

– Nie mam powodów, by nie uważać, że może zajmować jeszcze wyższe stanowisko. Wysokie urodzenie nie gwarantuje, że człowiek nie jest dotknięty korupcją.

– Jestem pewien, że wielu członków naszej klasy rządzącej gwałtownie nie zgodziłoby się z tym – rzekł Max. – Ale ja tak. Nawet w Middenheim dostrzegłem tego dowody. Pamiętam, jak...

Zanim Max skończył zdanie nagle przez jego oblicze przemknął grymas czystego strachu. Zbladł, jego dłonie zadrżały. Wyglądał, jakby uderzył go piorun.

– Co się stało? – spytał Felix.

– Musimy biec na mury! Teraz! Wołaj Zabójcę!

Rozdział 8

Mężczyzna zwany Halekiem stał na najwyższej wieży cytadeli i wpatrywał się w noc. Poniżej dostrzegał ośnieżone dachy zamkniętego miasta, wysokie szczyty świątyń, przypominający labirynt wzór ulic oraz potężny wewnętrzny mur. Domy i majątki widoczne dalej wydawały się maleńkie. Tylko masywny mur zewnętrzny wydawał się realny. Znacznie dalej widział wielkie morze ognisk otaczających miasto, sylwetki monstrualnych, demonicznych machin wojennych szczerzących się ciemnym metalem przez pokrywający je śnieg. Teraz zauważał także inne rzeczy.

Jego pan niedawno obdarzył go darem. Zmienił się. Jego oczy mogły teraz zobaczyć więcej, niż oczy śmiertelnika. Dostrzegał moc swojego pana, Tzeentcha, Lorda Magii, która opływała go i otaczała. Wiedział, że wkrótce jego oczy zaczną się zmieniać i okazywać stygmaty mutacji, ale teraz to nie miało już znaczenia. Zanim ktokolwiek wokół niego zorientuje się, że stał się jednym z Obdarzonych, będzie o wiele za późno, by cokolwiek z tym zrobić. Oni i ich całe miasto zostaną zmiażdżeni pod stalowym obcasem Chaosu.

Halek wiedział, że musi powstrzymać się od podobnych myśli. Wiedział, że wraz ze zmianą stał się niesamowicie wyczulony na prądy magii przyzywane przez wielkich magików hordy Chaosu. Wiedział, że to zaczyna wpływać na jego umysł. Wkrótce to nie będzie istotne. Wkrótce będzie mógł cieszyć się nieskrępowanym oddawaniem czci swojemu mistrzowi, Zmieniaczowi Dróg, ale teraz sytuacja była napięta i nadal wszystko mogło pójść źle. Jak często sobie przypominał, nie było sensu w triumfie Chaosu, jeśli on sam nie będzie tego świadkiem. Nie chciał ryzykować, że zostanie zbyt wcześnie wykryty, zanim nadejdzie chwalebny dzień Czasu Zmian.

Po części nadal nie był pewien, czy rzeczywiście chce doczekać triumfu Chaosu. Nadal czuł się lojalny wobec miasta, ludzi i księcia. Żałował, że pojawił się na owym pierwszym spotkaniu i uległ urokowi poszukiwania zakazanej wiedzy. Mówił sobie jednak, że jest już za późno, usiłując zdusić tę część swojej osobowości, która odczuwała winę, zmęczenie i ból. Zbyt późno na cokolwiek poza odgrywaniem zaplanowanej roli.

Usiłował sobie wmawiać, że zachodzą zmiany na lepsze. Czuł budzące się w nim dary jego pana, jak wkrótce stanie się to udziałem wszystkich spośród wybranych Starego Świata. Dzięki jego nowej wrażliwości na wiatry magii nadeszły pierwsze znaki zdolności posługiwania się nimi. Z pewnym wysiłkiem woli mógł kształtować samą surową materię magii. Aby to sobie udowodnić, skoncentrował się na wywołaniu światła wokół swojej dłoni. Nadzwyczajnym staraniem udało mu się wytworzyć blade, mgliste lśnienie. Zdumiewający był fakt, że to co zabierało większości magików lata badań i intensywnego treningu przychodziło mu zaledwie po wysileniu swojej woli. Skoro potrafi to zrobić teraz, już po kilku dniach, co będzie możliwe za kilka lat?

Wyjrzał w ciemność. Nagle jego uwagę przyciągnął ogromny wir magii tkanej wokół miasta. Dziś lśniła zdumiewającą jasnością. Dziś, gdy Morrslieb świecił całą swoją chwałą, dokonywały się ostateczne rytuały, by zamknąć krąg wokół miasta i popchnąć naprzód wielki plan. Dostrzegał sieci mocy błyszczące wśród szeregów armii Chaosu, przebiegające od jednego świętego obelisku, do drugiego. Czarnoksiężnicy w służbie Tzeentcha przyzywali wiatry magii i skupiali je według swoich zamierzeń. Każdy z tych wielkich, stojących rzeźbionych głazów został sprowadzony z Pustkowi Chaosu na barkach setek uświęconych niewolników. Halek nie potrafił jeszcze odgadnąć ich przeznaczenia, ale wiedział, że musi być ono doniosłe. Gdy nadejdzie właściwy czas, dowie się tego.

Oderwał swój zachwycony umysł od kontemplacji nieskończonego piękna magicznych splotów i

skupił się ponownie na sprawach bieżących. Żałował, że Olaf i Sergei nie wykonali swojego zadania. Byli na swój sposób dobrymi sługami, lecz niestety nie odbiorą swojej nagrody podczas wielkiego dnia. Felix Jaeger musiał mieć wiele szczęścia, albo był niezwykle twardy, skoro przetrwał spotkanie z nimi, bowiem ta para była groźnymi zabójcami. To nie była uspokajająca myśl, ponieważ Halek uznawał Jaegera za mniej groźnego z dwójki, którą musiał zamordować.

Skoro tak wiele wysiłku wymagało zabicie człowieka, znacznie trudniejsze będzie pozbycie się Zabójcy. A jednak, Halek wiedział, że dzięki cierpliwości, nieustępliwości i pieczołowitej determinacji uczenia się na błędach, wszystkie przeszkody zostaną pokonane. Musiał tylko znaleźć inną drogę prowadzącą do celu, to wszystko. Był pewien, że już niedługo wypełni swoją rolę w Wielkim Planie. Zawsze to mu się udawało.

W tej chwili zajmowały go inne sprawy. Jego agenci powinni już zatruć spichlerze przy Wodnej Bramie. To będzie pierwszy z wielu ataków, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Wzdrygnął się. Nie chciał robić podobnych rzeczy. To sprzeciwiało się wszystkiemu, w co wierzył. Wolał nie myśleć o sobie jako o zdrajcy. W chwili, gdy ta myśl przemknęła mu przez umysł, doświadczył przebłysku. W głębi duszy czuł się winny, to prawda, ale z drugiej strony radowała go nikczemność własnych czynów. Dokonywał zemsty za całe życie zadowalania się miejscem na uboczu, za te wszystkie lekceważące gesty, jakie mu okazywano. Wirywał się z kaftana honoru i odpowiedzialności. To było na swój sposób dobre. Zadawał sobie jednak pytanie, czemu nadal czuje się jakby stał na krawędzi otchłani...

Spoglądając w przestrzeń wyczuł dokonującą się w mieście zmianę w odpowiedzi na przepływ mocy w oddali. Dla jego uszu brzmiało to jak wysokie, przejmujące zawrozczenie. To był odgłos udręczonej duszy zepchniętej w najgłębsze piekła Tzeentcha. Halek zastanawiał się, co się dzieje? Czy była to jakaś część Wielkiego Planu, o której nie został ostrzeżony?

Gdy pędzili przez śnieg, z mroku wyłoniły się jakieś kształty. W pierwszej chwili Felix nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pomyślał, że widzi tylko kłęby śniegu przybierające dziwaczne formy, ale gdy patrzył dalej stało się jasne, że tak nie jest.

Wewnątrz zarysów pojawiła się mglista substancja, która wyglądała jak sylwetki ludzi, ale ich twarze wyobrażały udręczone dusze. Wyli i zawodzili wysokim tonem. Ich upiorne głosy unosiły się przerażającym wrzaskiem wraz z wiatrem. Jedno z widm ruszyło prosto na Gotreka, bełkocząc szaleńczo. Gdy płynęło w powietrzu, pozostawiało za sobą długie ślady blado lśniących zawirowań ektoplazmy. Zabójca uniósł topór, a jego cios przeniknął upiorną kreaturę jakby była stworzona z oparów. Stwór natychmiast utracił spójność i rozpuścił się znikając. Wycie wokół z nich rozległo się jeszcze głośniejsze i nasiliło się wrażenie jakiejś przerażającej obecności.

Felix rozglądając się wokół siebie dostrzegł tysiące stworzeń płynących w powietrzu miasta, skrzeczących, zawadzających i bełkoczących. Jedno z nich skoczyło na niego. Felix uniósł miecz, by je powstrzymać, tak jak Gotrek uczynił to swoim toporem. Gdy stworzenie zbliżyło się, zobaczył, że było niemal przezroczyste. Lśniło zielenią w świetle Morrslieba. Przenikały je płatki śniegu, jakby wcale go tam nie było. Nie wydawało się do końca realne. Felix patrzył, gdy coraz więcej istot wychodziło wprost ze ścian miasta. Zastanawiał się, co to za nowa nikczemność pomiotu Chaosu? Co tej nocy uwolniły siły Ciemności?

Stworzenie zawirowało wokół jego miecza ze zdumiewającą prędkością. Wyciągnęło dłoń i uderzyło go w twarz dziwnie lśniącymi palcami. Natychmiast Felixa przeniknął wstrząs, jak od uderzenia pioruna. Cios nie był fizyczny lecz oddziaływał na emocje. To było szarpnięcie czystej, skupionej grozy. Felix czuł, jak jego krew zamarza w żyłach, a strach przenikający do umysłu grozi

pogrzebaniem go pod lawiną nieskończonego przerażenia.

Oczami duszy ujrzał przebliski obrazów, które zalewały jego mózg. Zobaczy! miasto Praag, dziwnie odmienione. Widział ogromną armię Chaosu pod bramami i szczerzącą się, głodną twarz lśniąca na księżycu. Widział żalosną armię ludzkich obrońców wycinanych w pień przez wojowników zła. Zobaczył spalone miasto i odchodzącą armię Ciemności, która pozostawiała za sobą jedynie niespokojne duchy umarłych. Potem zobaczył odbudowane miasto i osobliwe strzępy świadomości poległych przesączające się do kamieni stanowiących budulec, zatrutowane i przenikane wypaczającą energią, która je otaczała.

Felix natychmiast zrozumiał, czym była ta istota. To był duch jednego z wojowników poległych dwa wieki temu, podczas Wielkiej Wojny z Chaosem. Niegdyś był człowiekiem, takim jak on sam, a teraz został zredukowany do niemal bezmyślnego, głodnego echo swojej dawnej osoby. Przekazany mu strach, był strachem istoty, której świadomość pożerały długie dekady uwięzienia w kamieniu. To było niepowstrzymane przerażenie, które mogło zabić go swoją mocą. Serce Felixa łomotało, bliskie pęknięcia. Końcówki jego nerwów wyły. Coś głęboko w jego mózgu skrzeczało i bełkotało w pierwotnej trwodze. Felix miał wrażenie, że jego umysł ulegnie pod samym naciskiem emocji, gdy czuł wdzierające się do umysłu macki obcych myśli. Odczuł niezaspokojony głód i bezmyślną żądzę ponownego obleczenia się w ciało i zaspokojenia pragnień, których nie zaspokojono od stuleci.

Wiedział, że coś usiłuje usunąć go z ciała, zmusić jego ducha do odejścia, by mogło przejąć ciało i czynić zło. Wiedział, że jeśli przegra, stanie się niczym ten duch. Jego bezcielesna dusza znacznie powoli degenerować się do postaci przypominającej tę zagubioną, bezmyślną istotę. Desperacko, samemu nie wiedząc jak, zaczął opierać się, usiłując odepchnąć do siebie tę rzecz.

Gdy to uczynił, poczuł jak strach zaczyna ustępować. Jego rytm serca ponownie spowolnił. Przejrzał na oczy. Przed sobą zobaczył przerażająco zniekształconą upiorną twarz istoty. To była widmowa parodia ludzkiego oblicza, wykrzywiona szaleństwem i chorobliwą żądzą śmiertelnego ciała. Miała otwarte usta rozwierające się znacznie bardziej niż ludzkie, stając się tak wielkie, że upiór mógłby połknąć głowę Felixa jednym kłapnięciem. Felix warknął i machnął swoim mieczem. Ostrze przeniknęło przez stworzenie. Runy wzdłuż klingi zaślniły i ohydna istota rozpadła się na tuziny mniejszych kłębow, które powoli rozpuszczały się w powietrzu. W chwili, gdy tego dokonał, oszałamiająca groza znikła, jakby nigdy jej nie było.

Felix rozejrzał się i zobaczył, że Gotrek stoi pośrodku chmury skrzeczących widm. Jego topór niszczył je, zanim udało im się zbliżyć do niego. Max był w pobliżu, otoczony tarczą złotego światła, które nie dopuszczało bliżej stworów. Felix zobaczył, jak Max wykonał jakiś gest, zaśpiewał, a otaczająca go sfera rozszerzyła się pędząc na zewnątrz w noc. Gdy tylko dotykała ducha, istota znikła niezdolna oprzeć się magii uwolnionej przez czarodzieja. Felix zazdrościł Maxowi jego mocy. W kilka chwil, ulica wokół nich została oczyszczona z potworów, podobnie jak niebo nad nimi. Felix słyszał wrzaski i szalone bełkotanie dobiegające z domów wokół nich. Domyślał się, że nie wszystkim mieszkańcom domostw udało się stawić opór opętaniu przez duchy. W tym momencie jego umysł opanowała jedna myśl wywołując przerażenie podobne do wywołanego przez widmo.

Spojrzał w stronę Maxa.

– Ulrika – czy jest bezpieczna?

Twarz Maxa pobladła, a potem czarodziej zamknął oczy i wykonał serię skomplikowanych gestów dłońmi. Felix dostrzegał pod jego powiekami jednolite złote lśnienie. To nie był miły widok. Wewnętrzny ogień dopiero zaczął w nim wygasać, gdy Max ponownie otworzył swe oczy.

– Nie martw się. Jest bezpieczna. Osłony, które zostawiłem na miejscu, aż nadto wystarczą, by powstrzymać z dala te stwory.

– Czym, do diabła, były te istoty? – spytał Felix, chociaż znał już odpowiedź. Potrzebował usłyszeć własny głos, by dowieść samemu sobie, że nadal jest człowiekiem.

– To były stworzenia ektoplazmatyczne, psychiczne pozostałości zła, które niegdyś przepłynęło przez to miasto.

– Jeszcze raz, Max, mów językiem, który mogę zrozumieć.

– Duchy, Felixie. Dusze przywiązane do miejsca swojej śmierci mocą mrocznej magii oraz własnych lęków i nienawiści. Praag to miasto nawiedzone.

– Jak wojownikom Chaosu udało się je uwolnić? Wydawało mi się, że powiedziałeś, iż ich magia nie potrafi przeniknąć ochronnych zaklęć murów miejskich.

Max potrząsnął głową, a światło w jego oczach wygasło zupełnie. Spojrzał na Gotreka i Felixa. W nocnej ciszy rozległy się zbliżające się ciężkie kroki. Felix wysunął miecz w gotowości. Gotrek pokręcił głową, sugerując, że broń nie będzie potrzebna. Max wydawał się niepomyślny potencjalnego zagrożenia. Mówił dalej głośnym, nieco teatralnym głosem, przypominając Felixowi jego dawnych profesorów z Uniwersytetu w Altdorfie.

– Może ich magia stała się dość silna, by przeniknąć przez te zaklęcia. To możliwe, choć mało prawdopodobne. Nie sądzę, by byli już na tyle silni, by tego dokonać.

– A zatem, co to sprawiło? – Felix widział lśniące sfery światła zaczynające rozrastać się ponad innymi częściami miasta. Max nie musiał wyjaśniać Felixowi, że do pracy zabrali się inni czarodzieje, robiąc dokładnie to, co uczynił Max.

– Nie sądzę, by to sama horda Chaosu uwolniła te istoty – rzekł Max. – Myślę, że zawsze tu były, zawsze wewnątrz murów. Sądzę, że przebudziło je coś, co uczynili magicy Chaosu.

– A cóż to mogło być takiego?

– Nie wiem, ale nie tak dawno temu wyczułem silne poruszenie wiatrów magii. Przybywa księżycy Chaosu. Moce złej magii rosą w siłę. Ruszajmy na mury i przekonajmy się sami.

Max nie skończył mówić, gdy Snorri Gryzonos wyłonił się z mroku i śniegu.

– Zabawne duchowate rzeczy zaatakowały Snorriego. Głupie, ciągle na niego uderzały. Nic się nie stało.

– Niczego nie poczułeś – strachu, grozy, bólu? – pytał Felix.

– Nie. Snorri nie poczuł niczego takiego – Snorri wydawał się urażony podobną sugestią.

– To dlatego, że by czuć strach, musisz mieć mózg, człeczyno – rzekł Gotrek. – Snorri go nie ma. Snorri uśmiechnął się dumnie słysząc słowa Gotreka. Wyglądał na zachwyconego, gdy ruszyli ku murom.

Człowiek wyłonił się zza padającego śniegu. Miał blade rysy twarzy, niemal trupie. Jego oczy lśniły tą samą widmową luminescencją, która otaczała duchy. Max natychmiast zrozumiał, że to jedna z tych wstrętnych istot przyobleczonej w ciało. Otoczona tkankami i ścięgnami nie mogła zostać rozbita magicznymi energiami, których Max użył, by odegnąć jej braci. Przywołał swoje moce, ale to stawało się coraz trudniejsze. Zdrętwiał od zimna i czuł się wyczerpany przez magię, którą już utkał. Istota zachichotała złośliwie i sięgnęła ku niemu długimi, białymi z zimna palcami.

Zanim zdołała go dotknąć, Felix skokiem znalazł się przez Maxem i wbił miecz w ciało stwora. Krew wypłynęła powoli, znacząc śnieg. To było niezwykle zważywszy na tak głęboką ranę, ale nikczemna istota, która opanowała mężczyznę nie oddawała łatwo swego życia. Runy wzdłuż ostrza Felixa lśniły matowo. Max nie wyczuwał prądawnej świadomości, która objawiła się, gdy walczyli ze smokiem Skjalandirem. Jeśli nadal tkwiła wewnątrz miecza, pozostawała usypiona.

Gdy stworzenie upadło, z jego ust wydobył się długi zawodzący jęk, a potem biała mgła. W

pierwszej chwili Max obawiał się, że duch spróbuje opętać Felixa, albo jego samego, ale tak się nie stało. Duch rozpadł się i zniknął z wiatrem.

– Dziękuję – powiedział szczerze Max. Nagle poczuł wdzięczność do losu za to, że byli z nim Felix, Gotrek i Snorri. Być może, w normalnych okolicznościach nie byłiby towarzyszami, z którymi chciałby spędzać czas, ale gdy człowiek tkwił uwięziony w spowitym śniegiem nawiedzonym mieście obłożonym przez potęgę Chaosu, dokładnie kogoś takiego chciało się mieć u boku.

Szli dalej w stronę murów. Max niepokoił się o to, co tam zastaną. Nad nimi Morrslieb świecił ponuro. Światło księżyca było jaśniejsze niż blask jego większego brata, Mannslieba. Max nie był pewien, dlaczego tak się dzieje, ale wiedział ze swych studiów historycznych, że to zawsze było znakiem nadchodzących przerażających wydarzeń. Prawdę mówiąc, nie potrzebował obserwować zmian księżyca, by o tym wiedzieć. Jego magiczne zmysły mówiły mu to samo. Kłębiące się prądy mrocznej magii były widoczne za murami miasta, a potężna fala złej energii przybywała nie bez powodu. Max był pewien, że ten powód to nic dobrego.

Wszędzie wokół wyczuwał pulsowanie magii. Pracowali inni magowie, a zapewne także niektórzy z kapłanów, czyniąc co w swej mocy, by zatrzymać uwolnione złe duchy. Myśląc o tym Max wyczuł coś jeszcze, przepływ mrocznej energii przez noc. Był silny i zły oraz nadchodził z bliska.

– Gotrek! Felix! Skręćcie w prawo! Teraz! Uwaga! Tu działa zła magia!

Na szczęście, awanturnicy nie ociągali się, ani nawet nie kwestionowali jego poleceń. Popędzili boczną uliczką we wskazanym kierunku gonieni przez Snorriego. W tym czasie, magicznie dostrojone oczy Maxa wypatrzyły przed nim wielobarwne lśnienie. Prądy magii uniosły jego włosy. Wymruczał inkantację, by wzmocnić swoje zaklęcia ochronne i przygotował się do walki.

Felix biegnąc ku masywnej budowli zastanawiał się, jakie nowe szaleństwo się dzieje? Rozpoznał budynek jako jeden z umocnionych zbiorników ziarna, w których przechowywane były zapasy pożywienia miasta. Normalnie to miejsce było dobrze strzeżone, ale teraz wejście zostało otwarte, a droga do środka była wolna. Gdzie podziali się żołnierze?

Gdy zbliżyli się do łukowatego wejścia, otrzymał odpowiedź. Strażnicy leżeli na śniegu z poderżniętymi gardłami. Wszędzie wokół nich krzepły kałuże czerwieni. Umysł Felixa zawirował. To nie było możliwe. Uzbrojeni żołnierze nie stoją w miejscu i nie pozwalają podcinać sobie gardel, gdy posiadają wolną wolę i środki obrony. Pozostawało jedno wyjaśnienie. Tu zadziałała zła magia. Gargulce nad wejściem wydawały się gotowe skoczyć na niego, gdy przebiegał pod nimi. Wydał z siebie westchnienie ulgi, gdy wszedł do środka i nic się nie stało. Przez chwilę cieszył się, że opuścił przenikające zimno, ale gdy zobaczył, co czekało wewnątrz, poczuł nagłe mdłości.

Byli tam kolejni zarżnięci strażnicy. Ich gardła zostały podcięte, a oczy pozostały szeroko otwarte. Broń leżała w pobliżu ich rąk, czysta od krwi wrogów, najwyraźniej nie użyta. Felix znowu poczuł obezwładniającą pewność, że działała tu zła magia. Ci ludzie nie stawili oporu, a przecież nie można było o nich powiedzieć, że nie byli czujni. Musieli zostać zaalarmowani wyjąkami na wietrze upiorami kilka chwil wcześniej. Zginęły tu ich tuziny, a napastnicy, kimkolwiek byli, nie stracili nikogo.

Po chwili, wokół niego znaleźli się Gotrek i pozostali.

– Są tu, by zniszczyć zapasy żywności – stwierdził Max.

– Albo je zatruć – rzekł Gotrek. Felix skinął głową przypominając sobie Sergeia i Olafa oraz splamione ostrza, których używali. Ich pracodawca z pewnością znał się na nikczemnej alchemii.

– Snorri myśli, że dobrze byłoby ich powstrzymać – powiedział Snorri.

– Jak? – spytał Felix, usiłując nie okazać strachu w swoim głosie. – To nie udało się trzem

tuzinom miejskich strażników.

– Jestem pewien, że coś wymyślimy, człeczyno – odpowiedział Gotrek przeciągając kciukiem wzdłuż ostrza swego topora, aż zakwitła jasna kropla krwi. – Są na dole, w silosie. Słyszę ich.

– Ostrożnie – rzucił Max. – Władają silną magią. Czuję to.

Gotrek spojrział na zwłoki i parsknął. – Nie potrzebuję czarodzieja, by się tego domysleć.

Skradali się przed siebie w ciemności. Felix poczuł w powietrzu dziwny zapach pleśniejącego ziarna. Jego gardło zatykał pył, który wywoływał suchość w ustach. Minęli potężne pochylnie przeznaczone do spuszczenia ziarna w dół, do wielkich jam zbiornika. Panował mrok. Jedyne oświetlenie stanowiło blade lśnienie otaczające Maxa. Przytłumił je, jak tylko się dało, by nie ostrzec wrogów o ich nadejściu, pozostawiając tylko tyle światła, by Felix był w stanie coś widzieć. Felix podejrzewał, że czarodziejowi światło nie jest potrzebne bardziej niż krasnoludom i był wdzięczny Maxowi za jego troskę.

– Czy sądzisz, że istnieje jakiś związek? – powiedział Felix.

– Między czym? – spytał Max.

– Uwolnieniem duchów, a teraz tym najazdem na spichlerze ziarna?

– Nie wiem. To wygląda raczej na przypadek, że uwolnienie duchów i to tutaj nastąpiło w tym samym czasie. Myślę, że najazdy miały zostać przeprowadzone podczas tej nocy, gdy coś stało się za murami, ale to także nie znaczy, że te sprawy są powiązane.

– Co masz na myśli?

– Księżyc Chaosu jest w pełni. Podczas takich nocy jak ta, mroczna magia jest najpotężniejsza. To święta noc dla wyznawców Niszczycielskich Mocy. Jest możliwe, że wiele rzeczy dzieje się jednocześnie z tego powodu.

– Nie możemy być tego pewni.

– Nie. Może mam po prostu nadzieję, że tak jest.

– Dlaczego?

– Ponieważ jeśli tak nie jest, to znaczyłoby, że najeźdźcy poza naszymi murami posiadają jakiś sposób komunikowania się z czcicielami Chaosu wewnątrz murów. A jeśli to potrafią, może istnieje sposób przekazywania sobie także czegoś więcej niż tylko wiadomości.

– To niepokojąca myśl.

– Ta inwazja była z pewnością planowana od dawna, Felixie, przez kogoś lub grupę ludzi, o diabolicznej inteligencji. Któż wie, jakie jeszcze paskudne niespodzianki chowają w zanadrzu?

Felix stał na brzegu rampy wyładunkowej spoglądając w dół silosu. Około piętnastu stóp niżej widział postacie grzęznące po kolana w ziarnie. Był tam tuzin mężczyzn okrytych płaszczami z kapturami. Niektórzy z nich trzymali latarnie, podczas gdy inni poruszali się po zbiorniku nabierając płynu z wielkich flakonów i rozpryskując go na ziarno. Felix zrozumiał, że Gotrek miał rację. To była trucizna. Zastanawiał się, kim mogą być ci ludzie zamierzający zabić swoich współmieszkańców, podczas gdy na zewnątrz oczekiwała armia potworów? Nagle zdał sobie sprawę, że zna już odpowiedź. To byli wyznawcy mrocznych potęg Chaosu. Zapewne nie uważali nawet tego co robili za zdradę. Nieszczęściem dla nich, było to oczywiście dla Felixa.

Widząc, jak niewielu ich jest, nieco się uspokoił. Użyli czarodziejstwa i mrocznej magii, by usunąć strażników, ale Max powinien być w stanie temu sprostać. O ile nieznajomi nie byli naprawdę nadzwyczajnymi wojownikami, Gotrek i Snorri powinni aż nadto wystarczyć. A Felix z radością wspomógł ich w tej rzezi. Najwyraźniej truciciele byli zbyt ufni w siebie i łatwo ich będzie wziąć zaskoczenia. Nawet nie wystawili czujek.

– Mielіśmy nie zabijać strażników – mruknął jeden z ludzi poniżej. – Tak nam mówili, ale czy słuchaliście? Nie! Kiedy wyżsi dowiedzą się o tym, będą kłopoty.

– Lepiej się upewnić, niż potem żałować, jak zawsze powiadam – odezwał się inny głos usprawiedliwiającym się tonem. To był nieprzyjemny głos, w którym słyszało się coś groźnego. Felix nie wątpił ani przez chwilę, że mówiący był człowiekiem, który zaczął masakrę strażników i zrobił to z radością. – Zresztą, to kilka mieczy mniej dla naszych braci na zewnątrz murów.

– Tak – ale teraz wszyscy będą wiedzieli, że coś się tutaj stało. To miała być niespodzianka.

– Pośpieszcie się – Felix usłyszał trzeci głos. To był głos przywódcy. – Śnieżycy nie będzie trwała wiecznie, a zmiana straży przyjdzie za kilka godzin. Nie mamy całej nocy.

Słuchanie ludzkich głosów po spotkaniu z widmowymi istotami było niemal uspokajające. Ich wrogowie byli żywymi ludźmi z kości i krwi, a dla Felixa oznaczało to, że może im tej krwi upuścić. Nagle bardzo się z tego ucieszył.

Jak często mu się to zdarzało, wcześniejszy strach minął zastąpiony narastającą furią. Był zły na tych ludzi poniżej za to co zrobili. Wystarczyło, że znieścacka zarżnęli strażników, ale oni planowali morderstwo setek, może tysięcy następnych ludzi. Felix wiedział, że jeśli ich plan się powiedzie, on sam, Ulrika lub ktokolwiek z pozostałych z łatwością może znaleźć się wśród ofiar. To co czynili ci ludzie, było nikczemne, tchórzliwe, a także zdradzieckie i muszą zostać powstrzymani.

– Wygląda na to, że na razie udało im się zatruć jeden zbiornik – szepnął Max.

– A zatem zatrzymajmy ich, zanim zrobią coś więcej – rzekł Gotrek. – Ej! Co wy tam robicie na dole? – ryknął.

Zamaskowani kultysty spojrzeli w górę. Felix zauważył lśniąco gorączkowo oczy. Kilku z nich trzymało noże lub miecze. Jeden podniósł swoje dłonie i zaczął inkantację. Felix nawet nie myśląc rzucił się w przestrzeń wymachując swym mieczem. Wylądował obok czarnoksiężnika Chaosu i rozszczępił jego czaszkę jednym ciosem. Wstrząs upadku złagodziło miękkie ziarno, w którym stał teraz prawie po kostki.

Kultysty krzyknęli przerażeni, gdy Gotrek i Snorri spadli obok Felixa, by przyłączyć się do niego. Topór Gotreka wyrwał się naprzód rozcinając w pół najbliższego kultystę. Powrotne uderzenie urwało szczyt następnej czaszki i płyn mózgowy prysnął na ziarno. Snorri zawył z radości rąbiąc swym toporem i młotem.

Dokonana przez Felixa ocena kultystów była prawidłowa. Otrząśnięcie się zabrało im chwilę, a w tym czasie Felix rzucił się naprzód, by pchnąć kolejnego w brzuch. Gdy to zrobił, odkrył jedno z niebezpieczeństw ich sytuacji. Ziarno poruszało się pod stopami. To było jak przebijanie się przez śliskie trzęsawiska. Masa ziarna wciągała i utrudniała utrzymanie równowagi podczas ruchu.

– Na nich! – krzyknął jeden z kultystów. – Jest ich tylko trzech.

Wyznawcy Chaosu ruszyli w ich kierunku, także ślizgając się po drodze. Tylko krasnoludy najwyraźniej nie miały kłopotu z równowagą. Oczywiście, było im łatwo dzięki krótkim nogom i szerokim stopom. Brnęli naprzód, by spotkać się z przeciwnikiem, tylko odrobinę wolniej stawiając stopy.

Felix wymieniał ciosy z dużym człowiekiem, większym od niego i uzbrojonym w ciężki, szeroki miecz. Mężczyzna był wolniejszy i nie tak zręczny. W normalnych okolicznościach Felix pozbył by się go natychmiast. Trudno było jednak poruszać się, by nie upaść, a ziarno wciągające jego nogi i spowalniające ruchy oznaczało pewne problemy. Kłopoty zwiększyły się, gdy do mężczyzny dołączyło jego dwóch kamratów. Cudownie, pomyślał Felix. Dlaczego nie pójdą powalczyć z Gotrekiem, zamiast ze mną?

Sparował jeden cios, ledwo odbił następny i poczuł trafienie w ramię ostrzem miecza. Modlił

się, by ostrze nie było zatrute i starał się, by ta myśl nie sparaliżowała go w chwili, gdy musiał powstrzymać kolejne uderzenie. Siła ciosu prawie wyrwała miecz z jego zdrętwiałych palców. Z trudnością zachował równowagę w śliskim ziarnie.

Na górze pojawił się oślepiający błysk złotego światła. Kaptur jednego z ludzi zapalił się, a błysk parł naprzód stawiając w ogniu jego włosy i roztopiając odpadające ciało na szczycie czaszki. Felix zobaczył jak czaszka truciciela zapada się do wewnątrz, a głowa wpada za nią jak topniejąca glina. Mężczyzna wydał z siebie przeraźliwy, charkotliwy jęk i upadł. Drugi z atakujących Felixa spojrział w górę, by znaleźć źródło nowego zagrożenia. Felix wykorzystał tę okazję, by wsunąć miecz pod żebra człowieka i posłał go prosto do królestwa Morra.

Ostatni mężczyzna wrzasnął i skoczył na Felixa, ale w tej chwili topór Gotreka trafił go w tył głowy, przeniknął przez korpus i rozciął na dwie części. Felix podniósł wzrok i zobaczył stojącego na górze Maxa Schreiberera. Jego prawą dłoń otaczała złota aura. Felix skinął głową w podzięcie i a potem rozejrzał się po silosie. To była scena niczym z jakiegoś piekła Krwawego Boga. Wszędzie leżały rozczłonkowane ciała. Krew wsiąkała w ziarno. Z przewróconych alembików wylewała się trująca zawartość.

– Snorri wolałby nie jeść chleba zrobionego z tego czegoś – rzekł Snorri.

Felix pomyślał, że przynajmniej raz w życiu Snorri powiedział coś rozsądnego.

– Co zrobimy teraz? – spytał trwożliwie Felix. – Poczekamy na nadejście straży?

Miał dość doświadczenia w podobnych sprawach, by wiedzieć, że strażnicy mogą tylko rzucić okiem na dokonaną przez nich rzeź i zaciągnąć ich do cel księcia. O ile nadejdą jakieś straże. Możliwe, że tak się nie stanie z powodu uwolnienia duchów Praag.

– Pytanie brzmi, czy to jedyny zaatakowany spichlerz – rzekł Max. – Tym świniom tutaj nie udało się tylko dlatego, że ich powstrzymaliśmy. Jeśli coś podobnego dzieje się w każdym spichlerzu w mieście...

– Powinniśmy kogoś ostrzec – powiedział Felix.

– Kogo? Skoro w pałacu jest zdrajca.

– Powinniśmy powiedzieć o tym bezpośrednio księciu. Wątpię, by był zdrajcą, a jeśli nim jest, mamy jeszcze większy problem.

– Księżę chce się ze mną widzieć, jak sądzę – rzekł Max. – Niedawno zażądał mojej obecności na dworze. Oczywiście, z pewnością wysłuchałby także Ulriki, ale ona nie stoi jeszcze na własnych nogach.

– Wysłucha każdego, kto tu przybył na Duchu Grungniego – stwierdził Felix po krótkim namyśle.

– A zatem nie marnujmy więcej czasu na te debaty – rzucił Gotrek. – Idziemy!

Śnieg na chwilę przestał padać. Ulice były dziwnie ciche pod płaszczem bieli. Nocne powietrze pozostawało zimne i nieruchome. Gdzieś z oddali dobiegło długie, wysokie zawodzenie, które brzmiało jak rozżalony szloch. Felix pomyślał, że zło tej nocy nie ma końca. Max stał przez chwilę bez ruchu jakby nasłuchiwał jakiegoś ledwo słyszalnego dźwięku. Po chwili powiedział.

– Siły mrocznej magii są silne tej nocy.

– Łatwo zauważyć, kto tu jest czarodziejem – powiedział ironicznie Gotrek. – Nie wydaje mi się, byś musiał nas o tym przekonywać.

– Nie to miałem na myśli – powiedział rozdrażniony Max. – Dlaczego nie zostawisz mi jasnowidzenia, a ja zostawię tobie robotę toporem?

– Brzmi nieźle – rzekł Snorri.

– O co ci właściwie chodzi? – spytał Gotrek.

– Tam coś się dzieje – powiedział Max. Nie trzeba było pytać, co oznacza owe tam. Wszyscy

wiedzieli, że to jest za murami. – Jakiś potężny tajemniczy rytuał. Zbierają wszystkie wiatry mrocznej magii z północy i zlewają je w ogromną burzę magii.

– W jakim celu? – spytał Felix. – Żeby pokonać zaklęcia w murach miasta?

– Możliwe – odparł Max. – A może z jakiegoś innego powodu.

– Jakiegoż to?

– Pozwól mi nad tym pomyśleć.

– Więc myśl po drodze – rzekł Gotrek. – Dalej!

Gdy biegli zimnymi, krętymi ulicami, Max znowu zdumiewał się, jak przemyślnie zostało odbudowane Praag. Miasto stanowiło labirynt, zaprojektowany, by gubił się w nim każdy, kto nie znał jego planu. To zresztą niewiele pomoże, jeśli najeźdźcy mają kultystów-przewodników w obrębie murów. Strażnicy przy bramie w wewnętrznym murze przepuścili ich bez problemu i grupa ruszyła ku masywnej skalistej bryle, na szczycie której spoczywała cytadela.

Max niepokoił się, bardziej niż podczas całego życia. Całe napięcie ich sytuacji ciążyło na jego ramionach. On, Ulrika i pozostali tkwili tu uwięzieni jak w pułapce. Przytłaczająca była nie tylko masa wrogów za murami, ale także wewnątrz istnieli zdrajcy. Co gorsza, wroga armia posiadała czarodziejów znacznie potężniejszych, niż ktokolwiek, kogo spotkał Max, a nawet w tej chwili zajmowali się jakimś nikczemnym rytuałem magicznym, którego celu nie potrafił się domyśleć.

Zmuszał się do myślenia. Co oni naprawdę robią? Zbierają całą mroczną energię magiczną z kontynentu. Po co? Co chcą osiągnąć? Mogą zasilić zaklęcia o nieprawdopodobnej mocy. Albo? Albo, na krótki czas mogą podnieść poziom mrocznej mocy magicznej na tym obszarze, by zrównać lub nawet przewyższyć natężenie mocy panujące na Pustkowiach Chaosu. Nagle Max poczuł ścisnięcie na dnie żołądka. Wszystkie jego badania wskazywały na jedną rzecz, której można dokonać dzięki takiej energii.

– Myślę, że oni zamierzają przywołać armię demonów – rzekł Max.

Felix wydał z siebie ciche jęknięcie. Snorri parsknął jakby z radości. Gotrek uśmiechnął się z ponurym zadowoleniem.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał Felix.

Max zastanawiał się, jak im to wyjaśnić. Nie byli czarodziejami. Nie posiadali treningu ani wiedzy, która pozwoliłaby im docenić pełną powagę sytuacji. On miał to wszystko. To była dziedzina, którą badał ze szczególną pieczołowitością. Demony wymagały obecności ogromnych ilości magicznej energii, która przez dłuższy czas utrzymywała ich formę w świecie śmiertelników. Magia była dla demonów tym, czym powietrze dla ludzi lub woda dla ryb. To był element niezbędny im do przetrwania. Na szczęście dla ludzkości, w większości obszarów na świecie magia była stosunkowo rzadka i demony dało się przyzywać tylko na bardzo krótki czas. Zazwyczaj na kilka minut, najwyżej godzin. Tylko na obszarach takich jak Pustkowie Chaosu pozostawało dość surowej materii magii, by pozwolić im na stałe utrzymywanie swej formy. Jeśli magowie w tamtej armii mogą ściągnąć dość energii do Praag, uda im się odtworzyć te warunki. Gdy tego dokonają, kto wie, do czego będą zdolne demony dzięki uwolnionej mocy? Nawet najpotężniejszy ze starodawnych czarodziejów nie miał żadnego pojęcia.

Max poczuł dreszcz gorszy niż wywoływany przez nocne powietrze przenikające jego kości.

Przed nimi wśród śniegu majaczyła cytadela. Była wielka, równie ogromna jak każdy pałac królewski w Imperium, ale dla Felixa wyglądała dziwnie. W jej wyglądzie było coś niewłaściwego. Drzwi były zbyt masywne, skrzydła nieco pozbawione proporcji, jakby architekt rysując swoje plany

zuł błędne ziele, a potem robotnicy ruszyli do pracy i zbudowali dokładnie to, co sobie wyobraził.

Mimo to, budowla emanowała niepokojącym pięknem. Monstrualne gargulce przywierały do okapów dachów. Wielkie zdobione w kamieniu balkony wystawały spod łuków okiennych. Masywne potwory wyrzeźbione w taki sposób, że wydawały się wychodzić z żywego kamienia, by stoczyć walkę z posągami bohaterów, którzy na nich czekali. Wielka statua Magnusa Pobożnego tkwiła obok głównej bramy wznosząc swój młot, by spotkał się z mieczem Cara Alexandra, który unosił go po drugiej stronie. Ci dwaj herosi Wielkiej Wojny z Chaosem stali na wiecznej straży u wejścia. Felix był ciekaw, czy jest trochę prawdy w legendzie, że ponownie powrócą do życia, by bronić miasto w potrzebie. Wątpił w to jednak. Jeśli kiedykolwiek miała nadejść godzina potrzeby, była nią ta chwila, a dwaj kamienni wojownicy nie okazywali żadnej ochoty, by ożyć i przyłączyć się do bitwy z hordami Ciemności. Felix nie winił ich za to. Zapewne mieli tego dosyć podczas własnego życia.

Statuły powinny być pokrzepiające, jako pamiątka faktu, że człowiek zatriumfował już nad Chaosem, ale tak się nie działo. Felix zdał sobie nagle sprawę, dlaczego architektura tego miejsca wydawała się tak szalona, a zdobienia równie niepokojące. Pałac został zbudowany przez tych, którzy widzieli takie potwory i którzy z nimi walczyli. To było także przypomnienie owej walki oraz wielki pomnik nieznanymi wojowników spoglądających na plac zamkowy ze wszystkich stron. Może jego podejrzenia dotyczące zdrowych zmysłów budowniczych były bezpodstawne? Każdy, kto zachował dość związku z rzeczywistością, by zbudować cokolwiek po Wielkiej Wojnie z Chaosem, zasługiwał na podziw. Felix miał szczerą nadzieję, że jacyś ludzie z Praag będą w stanie zbudować coś, co ich potomkowie będą podziwiać za dwa stulecia. Rozpaczliwie pragnął, by w ogóle byli potomkowie i świat, na którym będą mogli żyć.

Strażnicy u wrót skrzyżowali swoje halabardy zatrzymując awanturników. Felix widział za nimi wielu innych. To byli podejrzliwi ludzie o hardych oczach rzucających opętane spojrzenia. Nic dziwnego w tych okolicznościach. To co stało się tego dnia, wystarczyło, by wzbudzić podejrzliwość w najbardziej opanowanym człowieku, a strażnicy Praag nie służyli ze swojej tolerancji.

– Z czym przychodzicie? – spytał groźnie sierżant. – Odpowiadać, byle szybko!

– Nie podoba mi się twój ton – rzekł Gotrek nieprzyjemnym głosem i podniósł topór. Nie teraz, pomyślał Felix. Mamy dosyć kłopotów z wrogami, by nie wdawać się w bijatykę z osobistą gwardią księcia.

– Przynosimy ostrzeżenie dla księcia. W mieście są zdrajcy. Usiłowali zatruć spichlerz pod Wodną Bramą.

– Spichlerz jest strzeżony przez tuzin ludzi – powiedział sierżant. – Nigdy nikt nie przedarłby się przez...

– To był tuzin ludzi – warknął Gotrek. – Teraz jest tuzin mniej.

– Użyto mrocznej magii, aby ich pokonać – rzekł Max. Sierżant spojrzał na czarodzieja. Najwyraźniej go rozpoznał.

– Jesteś magiem spod Białego Dzika. Tym, który był zbyt zajęty, by widzieć się z jego wysokością. Zmieniłeś zdanie.

Teraz z kolei Max był rozdrażniony.

– Bądź wdzięczny, że tak się stało – rzekł – i dziękuj tym śmiałym wojownikom, inaczej któregoś dnia wszyscy jedlibyście zatruty chleb.

Ton głosu Maxa i zapewne jego reputacja czarodzieja najwyraźniej zrobiła wrażenie na sierżancie.

– Sprowadźcie kapitana – rzucił. – Wy mu wszystko wyjaśnicie. Wchodźcie. Ulryk wie, że w takie noce przyda się każdy czarodziej.

Po raz pierwszy Felix wyczuł prawdziwy strach w głosie mężczyzny. Najwyraźniej, podobnie jak wszyscy strażnicy, doszedł do punktu krytycznego. Felixowi przyszło na myśl, że jeśli czarnoksiężnicy Chaosu celowo uwolnili duchy, by podminować morale w mieście, nie mogli wykonać lepszej roboty.

Max stwierdził, że ksiązę wyglądał na zmęczonego, a to zmęczenie w żaden sposób nie poprawiło jego humoru. Z drugiej strony, wszyscy byli wymęczeni. To była noc szarpiąca nerwy. Max był wdzięczny sierżantowi gwardii. Kapitan okazał się być rozsądnym i kompetentnym człowiekiem oraz wysłuchał wszystkiego, co mieli do powiedzenia, potem wysłał ich do komnat księcia, gdzie władca i jego rada zebrali się na nadzwyczajnym posiedzeniu.

– Jakże się cieszę, że nareszcie mogłeś do nas dołączyć, Herr Schreiber – rzekł ksiązę. W jego głosie wyraźnie słyszalny był sarkazm.

Max pomyślał, że ciężko polubić takiego człowieka jak Ksiązę Enrik. W jego manierach było coś, co wzbudzało najgorsze cechy w innych. Max modlił się do Vereny, by Gotrek trzymał język za zębami i zachował spokój. Wiedział, że szansa na to jest niewielka, ale jeśli uda mu się opanować sytuację...

– I miło, że przyprowadziłeś ze sobą towarzystwo uzbrojonych ochroniarzy.

Nagle ksiązę uśmiechnął się po raz pierwszy, a na jego oblicze stało się nieco bardziej sympatyczne.

– Trudno znaleźć lepszych na tym kontynencie, a przynajmniej tak słyszałem.

Rzucił okiem na Zabójców i powiedział po krasnoludzku:

– Czy przybywacie, by dochować pradawnych przysięg przymierza?

Max był zdumiony. Wątpił, by w mieście był ktokolwiek poza nim, kilkoma uczonymi, kapłanami Sigmara i samymi krasnoludami, kto potrafił mówić w starym języku starszej rasy.

Co więcej, Enrik mówił nim płynnie. To było zaskakujące osiągnięcie, jak na kislevickiego władcę. Może nie wszyscy z nich byli barbarzyńcami, za jakich uważał ich Max.

– Tak – odpowiedział Gotrek w imperialnym. – Takż uczynimy.

– A zatem witajcie. Co was tu sprowadza w środku nocy?

Max szybko streścił wydarzenia wieczora. Oblicze księcia stawało się coraz bardziej ponure, gdy słuchał opowieści. Gdy Max skończył, ksiązę rzucił gwardzistom rozkazy, wysyłając ich do wszystkich spichlerzy i studni. Potem odwrócił się do przybyłych i powiedział.

– Nikczemne czyny zostały dokonane tego wieczora. Jesteśmy wam winni wdzięczność za usunięcie tych zdrajców. Pomyślę o nagrodzie dla was.

– Jediną nagrodą, jakiej potrzebuję jest rząd wyznawców Chaosu przede mną i topór w mojej garści.

Enrik nagroził go swoim nieczęsto widzianym uśmiechem.

– To będzie łatwe do zapewnienia, zważywszy na naszą obecną sytuację.

– A pan, Herr Schreiber, najwyraźniej wie więcej o tych sprawach niż wszyscy magowie i kapłani w mojej radzie. Żałuję, że nie odkrył pan swych uzdolnień wcześniej – ofiarowałbym panu miejsce w mojej radzie.

– Byłbym zaszczycony – odpowiedział Max.

– A zatem musimy tego dopilnować. Teraz idźcie i wyśpijcie się. Porozmawiam z wami ponownie nazajutrz.

Rozdział 9

Szary Prorok Thanquol wpatrywał się w śnieg. Nienawidził go. Śnieg dostawał się wszędzie, topniał i sprawiał, że jego futro cuchnęło, a nos był zziębnięty. Ta przekłeta rzecz w żaden sposób nie pasowała do metabolizmu skavena. Thanquol czuł się żałośnie i chory. Z końca jego pyska zwisał sopel lodu, a skaven nie znajdował w sobie dość energii, by go zerwać. Po raz setny zatęsknił za swoją miłą, ciepłą norą w Skavenblight, a przynajmniej za bezpiecznym schronieniem w podziemnych drogach, które zostawił za sobą.

Rozejrzał się. Znaleźli schronienie przed śnieżycą w głębokim zagajniku ciemnych sosen, które zapewniały jedyną odmianę wobec monotonii bezkresnych kislevickich równin. Śnieg obciążył gałęzie i zatrzymywał światło otulając to miejsce przyjemnym półmrokiem. Thanquol słyszał wokół siebie setki skaweńskich łap na miękko skrzypiącym śniegu. To był jedyny choć trochę pokrzepiający element całego otoczenia.

W głębi jego duszy coś nakazywało mu powrócić, mówiło, że nie ma sensu, by pozostawał nad powierzchnią ziemi na mrozie i przenikliwej wilgoci. Rasa skavenów nic nie zyska, jeśli Thanquol przezięb się i umrze. Desperacko pragnął poddać się tym podszeptom, ale nie mógł tego zrobić. Musiał dowiedzieć się więcej na temat tej wielkiej fali mrocznej magii przyciąganej z północy. Dla jego magicznych zmysłów ogromny prąd mrocznej energii magicznej był widoczny równie wyraźnie, jak koniec własnego pyska. Energia kłębiła się na całym niebie unosząc ze sobą olbrzymi ładunek magii. Thanquol nie odważył się do tej pory zaczerpnąć dla siebie nieco tej mocy. Podejrzewał, że jeśli tak uczyni, ściągnie na siebie uwagę potęg, które stworzyły tę porywistą rzekę mocy, a nie był pewien, czy jest już gotowy na podobne spotkanie.

Istniały także inne powody, które nakazywały mu pozostać na miejscu. Były tu jego oddziały, penetrujące okolicę, poszukujące śladów sił Chaosu i ich planów. Bardzo możliwe, że jeśli spotkaliby się z Chaosem pozbawieni przywództwa i przewodnictwa nieugiętego Thanquola, uczyniliby coś głupiego, na skutek czego wszyscy zginą. Thanquol wątpił, by Izak Grottle, któremu wyznaczono na drugiego po głównodowodzącym poradziłby sobie z zagrożeniem, jakie stanowili wojownicy Chaosu. A jeśli by się stało, wówczas bez wątpienia wykorzystałby chwałę zdobytą dzięki temu wyczynowi, aby spróbować podminować władzę Thanquola.

Thanquol nie zamierzał dopuścić do żadnej z tych okoliczności. W przeszłości był mistrzem polityki i wodzem skaweńskich armii i był przekonany o dawnej zdradzie Grottle'a. Thanquol nadal podejrzewał, że Grottle miał swój udział w zniszczeniu jego mistrzowskiego planu podboju miasta Nuln. Może nawet wyjawiał nieomylny plan Thanquol ludziom. Cóż innego tłumaczyło fakt, że Grottle przeżył, podczas gdy wszyscy pozostali przywódcy skavenów, za wyjątkiem Thanquola, zginęli podczas wielkiego ataku?

Poza tym, Thanquol nie był już pewien, czy podziemne drogi są bezpieczne. Kilka razy podczas podróży na południe napotkali w ukrytych tunelach zwierzoludzi i zmutowanych humanoidów. Thanquol nie potrafił się domyśleć, jak się tam dostali. Czy było możliwe, że skaweńscy zdrajcy pokazali im tajemne wejścia? To wydawało się znacznie bardziej wiarygodnym wyjaśnieniem, niż przypuszczenie, że obcy po prostu przypadkiem natknęli się na sekretne wejście do jaskini uciekając przed śniegiem. Thanquol wyrzucił z myśli nedorzeczną sugestią Grottle'a. Nauczył się, że wśród wielu możliwości, najprostsze wyjaśnienia rzadko bywały najlepsze. W prawdziwym życiu wszystko było powiązane ze sobą w skomplikowany sposób, zwykle za sprawą intryg jego wrogów.

A jednak, istniały pozytywne strony tej sytuacji. Udało mu się w Piekielnej Jamie uzupełnić zapasy sproszkowanego spaczenia. Co więcej, udało mu się przekonać Moulderów, że konieczność chwili wymaga, by dostarczono mu cały worek proszku. To był najlepszy i najczystszy proszek, jaki kiedykolwiek zdobył. Thanquol zastanawia się, czy Moulderzy po kryjomu posyłają po niego swoich wojowników na Pustkowie, czy też posiadają jakieś inne źródło. Thanquol postanowił, że kiedy to wszystko się skończy, zada sobie trud, by się tego dowiedzieć.

Wziął szczyptę proszku i natychmiast poczuł jego ciepłe mrowienie przenikające z ust do krwioobiegu. Znowu poczuł się pełen życia i był w stanie ignorować paraliżujące zimno. Używając najłżejszego zaklęcia rozbił sopel smarków ze swojego nosa i uwolnił ciało od ogarniającej go gorączki. Dobrze było jeszcze raz używać tego proszku. Przyznawał także, że dobrze było być otoczonym przez tak wielu skaveńskich wojowników. Jego długa podróż przez równiny Kisleva w towarzystwie jedynie zdradzieckiego Lurka i wątpliwa ochroną, jaką mu zapewniał, sprawiła, że zaczął doceniać takie rzeczy. Dobrze było mieć tak wielu kudłatych rodaków, którzy mogą stanąć między nim, a zbliżającymi się wrogami.

Żałował, że Klan Moulder nie wystawił większego oddziału. Nic był spokojny z zaledwie kilkoma tysiącami wojowników, których miał do swojej dyspozycji. Ci głupcy utrzymywali, że potrzebują większości swych wojowników, by utrzymać ich rodową cytadelę w Piekielnej Jamie. Marnowali okazję dla bogatych łupów i wielkiej chwały jakie zapewni podążanie za hordą Chaosu w wyczekiwaniu na okazję do uderzenia. Fala wywołanej spaczeniem pewności siebie i zadowolenia przeniknęła Thanquola. Czyż ocalenie tej bezwartościowej kupy skal mogło być ważniejsze od ochrony życia największego ze wszystkich skaveńskich geniuszy?

Izak Grottle spoglądał na niego czerwonymi ślepiami. Gdyby nie spacjeń płynący w żyłach, to spojrzenie wzbudziłoby w szarym proroku słuszny niepokój. W każdym razie, prawie pragnął by otyły dowódca Moulderów sprowokował go i umożliwił rozerwanie na strzępy. Prawdę mówiąc, Thanquol zastanawiał się, po co czekać na prowokację? Czemu po prostu nie zemścić się na tym grubym potworze?

Jakby czytając w jego myślach, Grottle obnażył swoje kły w groźnym warknięciu, a potem wskazał na setki potężnych sztormverminów skaveńskich, którzy go otaczali. Thanquol nadal zastanawiał się, czy nie zrealizować swojego pomysłu. To wydawało się rozsądne. Nie wątpił, że dzięki swoim niesamowitym mocom magicznym może posłać w niebyt setki tych nic nie wartych szkodników, gdyby zaczęli sprawiać kłopoty, nie mógł jednak zabić całej ich armii. O ile nie sięgnie i nie zaczerpnie tego niezwykłego przepływu mocy na niebie. Kusilo go, by tak zrobić. Przez chwilę stał w miejscu bijąc o ziemię ogonem i z obnażonymi kłami mierzył się z Grottlem spojrzeniami. Żądza zaczerpnięcia tej mocy i mordowania stała się niemal przytłaczająca.

Podniecenie wywołane spaczeniem minęło tak szybko jak przyszło i Thanquol potrząsnął łbem. Z jego umysłu zniknęła czerwona mgła. Żądza zabijania i kaleczenia nieco osłabła. Czuł się, jakby właśnie przełamał jakieś złowrogie zaklęcie. Przez chwilę osiągnął krótką intensywną świadomość jakiejś istotnej prawdy. Cały jego długi trening na szarego proroka i wielkie doświadczenie w używaniu magii nagrodziło go niezwykłą przenikliwością.

Coś we wnętrzu samego spaczenia odpowiadało na ten prąd magii Chaosu, a on reagował na to, co się kryło w proszku. Przez krótką chwilę prawie stracił kontrolę nad sobą i niemal nie zniszczył skaveńskiej armii, która, bez względu na to, jak bardzo zasługiwała na zniszczenie, nadal mogła być przydatna do jego celów. Co gorsza, był bliski zaryzykowania swoją cenną skórą, by tego dokonać.

Wzdrygnął się i spojrzął w dal. Świat zmieniał się. Starzy Bogowie zbierali swoje siły. W jakiś sposób niemal udało im się wpłynąć nawet na Szarego Proroka Thanquola. Wiedział, że musi być

bardzo ostrożny. Nie może zaryzykować zanurzenia się w tej rzece mocy.

W każdym razie, jeszcze nie teraz.

– Co się tam dzieje? – spytał Felix, spoglądając w stronę jaśniejącego świtu. Zobaczył jak dziwaczne lśnienie otoczyło menhiry, a maszyny wojenne wydawały się zanikać. Wiedział, że wcale nie znikły, po prostu wydawały się niewidzialne w silniejszym świetle słońca. Felix zastanawiał się, jak długo to potrwa. Morrslieb nadal był obecny na niebie, a jego zielonkawe pasmo światła było widoczne nawet przez szare chmury.

Znowu stali na wielkiej wieży strażniczej, spoglądając ponad Bramą Gargulców. Mury poniżej ich miały niemal dziesięć kroków grubości. Wieża dwudziestokrotnie przekraczała wzrost człowieka i jeżyła się balistami oraz innymi machinami oblężniczymi. Grupa imperialnych najemników wydobyła skądś działo organowe i ustawiała je na miejsce. To była ciężka praca i ludzie obficie spływali potem nawet podczas tego zimowego dnia. Felix otulił się szczelniej swoim czerwonym płaszczem z Sudenlandu i spojrzał na pozostałych. Jego nozdrza zaatakował dobiegający się skądś ohydny smród alchemicznego ognia.

Gotrek wyglądał na surowego i ponurego. Max był zaniepokojony. Ulrika stała blada lecz pełna determinacji. Pozostali Zabójcy wyglądali na skacowanych.

– Armia zbiera się do ataku. Nawet Snorri widzi, że to oczywiste, młody Felixie – rzekł Snorri.

– Pytałem o to lśnienie? Jakiej nikczemnej magii tam używają?

Max opierał się na kamieniach blanków dłońmi okrytymi rękawicami. Księżę kazał mu tu przybyć i złożyć raport o działaniach wrogiej armii. Najwyraźniej nabrał przekonania, że Max jest najpotężniejszym i najlepiej wykwalifikowanym magiem w mieście. Felix podejrzewał, że to może być prawda.

– Przywołują demony – rzekł Max – oraz mnóstwo energii magicznej. Mogę się tylko domyślać, co zamierzają z nią zrobić.

– A cóż to za domysły? – spytał Gotrek.

– Rzekłbym, że niektóre z demonów zostają uwięzane w tych machinach oblężniczych, by je poruszać w sposób, w jaki wy używacie pary, by napędzać wasze maszyny wojenne. Czytałem, że takie rzeczy są możliwe.

– Moc pary nie ma nic wspólnego z demonami – rzekł Gotrek.

– To była tylko analogia. Myślę, że siła życiowa demonów zostanie wykorzystana, by poruszyć te masywne metalowe wieże i użyć ich broni, a może także do innych rzeczy...

– Na przykład, jakich?

– Do ochrony załogi przed atakami magicznymi.

– Powiedziałeś, że niektóre z tych demonów zostaną do tego wykorzystane. A co z pozostałymi?

– Zmaterializują się bezpośrednio i zostaną użyte jako oddziały szturmowe.

Felix pomyślał o wielkim krwio pijcu z Karag Dum i zadrżał. Miał nadzieję, że nigdy już nie spotka go w swoim życiu, a teraz możliwe było, że zmierzy się z całą ich armią. Podzielił się swoim niepokojem z Maxem, który potrząsnął głową.

– Wątpię, by to się stało. Takie stworzenia są zbyt potężne, by nawet to wielkie zgromadzenie magicznej energii wystarczyło do utrzymania więcej niż kilku z nich.

Felix zdumiewał się spokojem, z jakim Max powiedział o kilku demonach. Jeden z tych stworów niemal wystarczył do zniszczenia całej armii. Kilka z nich będzie w stanie z łatwością opanować całe Praag. W końcu, nie mieli ze sobą Młota Ognistobrodego do pomocy. Max mówił dalej, nieświadomy mrocznych przemyśleń Felixa.

– Poza tym, myślę, że nasi miłujący Chaos przyjaciele tam na dole mają inne zamysły, co do użycia mocy, jaką gromadzą.

– Takie jak?

– Myślę, że użyją jej do pokonania obronnych run na części murów, a potem użyją swojej magii, by obalić wieże i balustrady, aby ich oddziały mogły tamtędy przedrzeć się do środka.

– Czy masz jakieś pojęcie, gdzie mogą tego dokonać? – spytał Felix.

– Nie, dopóki nie spróbują tego. Wówczas będę w stanie wyczuć przepływ mocy. A jednak, powiedziałbym, że to zapewne stanie się w miejscu, gdzie masa ich wojowników jest najliczniejsza.

– O ile nie chcą nas zmylić – rzekł Gotrek.

– Spójrz na tę armię, Zabójco. Oni nie potrzebują subtelnych działań. Wystarczy im ich siła.

Wreszcie nawet Gotrek wydał się speszony i zamilkł. Po kilku chwilach podniósł wzrok i wyszczerzył się pokazując swoje gnijące zęby.

– Pod tą bramą będzie dobre zabijanie – powiedział.

– Owszem, będzie – odpowiedział Max bez wielkiego entuzjazmu.

– Wszyscy zginiemy! – krzyknął gorliwiec. – Oto nadszedł koniec świata. Z północy nadeszły demony. Śmierć jedzie wraz z nimi. Plaga jedzie wraz z nimi. Głód jedzie wraz z nimi. Wszelkie plugastwo i wynaturzenia jadą wraz z nimi.

Felix zauważył zmianę w nastroju panującym w mieście, skoro temu chudemu fanatykowi udało się zdobyć tak uważną audiencję na zatłoczonym placu targowym. Kilka dni wcześniej zapewne zostałby głośno wyszydzony przez Kislevitów. Teraz, ludzie naprawdę słuchali jego słów.

– Nadszedł czas, byście żałowali za swoje grzechy i oczyścili swe dusze. Pod bramami czekają demony. Przybyli, ponieważ byliście nic nie warci, ponieważ zdradziliście pryncypia naszych przodków i pograżyliście się w rozwiązłości i rozpuście. Łączyliśmy się z cudzoziemcami i nie utrzymaliśmy czystości prawdziwej krwi Kislewa.

Felix zmarszczył brwi. Człowiek zyskał kolejnych słuchaczy. Felix nie był pewien, ale wydawało mu się, że niektórzy z nich patrzą na niego i Ulrikę. Sposób wyrażania się Felixa, jego ubranie i rysy twarzy wskazywały z pewnością, że nie jest Kislevitą. Miał zbyt długi nos, jego kości policzkowe nie były dość wysokie, a oblicze zbyt okrągłe. Był zbyt wysoki, by pomylić go z obywatelem Praag.

– Księżę pozwolił na to wszystko. Pod jego rządami pleni się występki, gdy domy o nikczemnej reputacji rozkwitają, gdy cudzoziemcy biorą rdzenne córki Kislewa w swawolny sposób, gdzie wszelkie obce plugastwo podkopyje siłę mężczyzn naszego narodu.

– Najwyraźniej ma jakieś problemy – mruknął Max. – Zdaje się, że dzisiaj każdy lunatyk w mieście załatwia swoje sprawy.

Felix pomyślał, że z pewnością to była prawda, ale niekoniecznie najbardziej taktowne było wypowiadanie takich rzeczy w podobnych okolicznościach, szczególnie, gdy niektórzy z przyjaciół i popleczników gorliwca znajdowali się w pobliżu. Rozejrzał się. Wydawało mu się, że w tłumie dostrzega kilka twarzy fanatyków, których Gotrek wygonił z Białego Dzika kilka nocy temu. W tej chwili żałował, że nie ma z nimi Zabójcy, ale ten postanowił pójść pić z pozostałymi krasnoludami, zostawiając Felix i Ulrikę, by towarzyszyli Maxowi w drodze powrotnej do cytadeli.

– Teraz w pałacu przyjmuje się czarodziejów. Amatorów mrocznego czarnoksięstwa. Tkaczy nikczemności, pograżonych w grzechu, zdeprawowanych przyjaciół niewypowiedzianych nikczemności.

Max popełnij kolejny błąd. Uśmiechnął się, jakby nie potrafił potraktować tego wszystkiego

poważnie. Gorliwiec najwyraźniej wzbudzał w sobie furję i pociągał za sobą część tłumu. Wybrał tę chwilę, by spojrzeć na Maxa, błyszczącego w swoich złotych, brokatowych szatach i opierającego się na lasce rzeźbionej w runy.

Felix pomyślał, że stanowią dla fanatyka idealną ilustrację jego słów. Nikczemny czarownik i czysta kislevicka panna opętana przez rozpustnego cudzoziemca. Felix skrzywił się groźnie i przesunął dłoń do rękojeści miecza! Tłum podążył za spojrzeniem gorliwca i gapił się na nich.

Felix widział blade, przestraszone twarze, wychudzone z głodu. To byli przerażeni ludzie, pod których bramami stał najpewniej niepokonany wróg. Oczywiście, kilku z nich tylko szukało okazji, by dać upust swoim emocjom. Felkowi nie zabrakło długo czasu domyślenie się, kim są najbardziej prawdopodobne cele.

– Pośród nas stoi jeden z tego nikczemnego bractwa, jeden ze zdeprawowanych amatorów Ciemności, którzy sprowadzili na nas zagładę. Patrzcie, jak złośliwie uśmiecha się widząc powodzenie jego złowieszczych knowań. Patrzcie na rozwiązłe zadowolenie z siebie tej dzikiej kobiety obok niego. Patrzcie na tego pożądliwego lubieżnika...

– Może używałbyś mniej aliteracji – odezwał się Max – a wlał więcej treści w swoje wypowiedzi?

Ku zaskoczeniu Felixa, czarodziej wydawał się całkowicie spokojny, niemal znudzony. “W jego postawie wyczuwało się całkowitą pewność siebie. “Wydawał się nie mieć żadnych wątpliwości co do swojej zdolności zapanowania nad tłumem wokół nich i to było widać na jego twarzy. Tłum także to wyczuł i cofnął się nieco. Gorliwiec nie lubił być wyszydzany. Jego chuda twarz wykrzywiła się, a z ust pociekła ślina. “Wytknął oskarżycielsko palec w stronę Maxa, jakby samą siłą tego gestu mógł wyrwać dziurę w piersi maga.

– Jak śmiesz?! Jak śmiesz się odzywać?! Powinieneś czołgać się na swych kolanach i leżeć w pyłe przed tymi dobrymi ludźmi. Powiniście upokorzyć się w unizonych przeprosinach za waszą nikczemność. Powiniście błagać ich przebaczenia. Ty i twoja ladacznica oraz najemny cudzoziemski ochroniarz powiniście...

– Powinniśmy dać ci nauczkę za marnowanie czasu tych dobrych ludzi! Powinniśmy zabrać cię do księcia, byś wytłumaczył się ze swych zdradzieckich słów. Naszym jedynym pragnieniem jest pomoc w walce z siłami Ciemności za murami. Zdaje się, że ty pragniesz rozsiewać niezadowolenie i niezgodę w ich obrębie!

Felixa ponownie zaskoczyła pogarda i moc w słowach Maxa. Czarodziej był rozgniewany, ale był to gniew kontrolowany, który zasilał jego moc. Max w żaden sposób nie zmieniając swojej postawy wydawał się teraz większy i groźniejszy. Moc w jego wnętrzu, zwykle zakryta, teraz stała się nagle widoczna. Na swój sposób stał się niemal tak groźny, jak Gotrek. Felix był pod wrażeniem. Widział, że dotyczyło to także tłumu. Ludzie odsunęli się tworząc puste miejsce między Maxem i gorliwcem.

Fanatyk zląkł z podwyższenia, okręcił się w swe obdarte szaty i ruszył w stronę czarodzieja. Był małym, chudym człowiekiem, a Max był znacznie wyższy i masywniejszy. Felix pomyślał, że bez względu na to jakie wady posiadał ten człowiek, tchórzostwo nie było jedną z nich. Kątem oka zauważył, że byczki z Białego Dzika ustawiają się na pozycjach po bokach. Trącił łokciem Ulrikę, by ją ostrzec, ale ona już rozglądała się z uwagą.

Człowieczek szedł prosto na Maxa z wysuniętą brodą i zaciśniętymi pięściami. Jego oczy płonęły szaleńczo. Zatrzymał się przed czarodziejem i rozprostował swe palce, jakby miał zamiar go udusić. Max patrzył spokojnie.

– Bogowie powalą cię za twe grzechy – rzekł z ufnością.

– Gdyby to chcieli zrobić, zrobiliby to już dawno – odpowiedział Max z szyderczą pewnością siebie.

Gorliwiec sięgnął z prędkością węża do swoich szat i wydobył sztylet. Zamierzył się, by uderzyć Maxa, ale zanim to uczynił, iskra mocy przeskoczyła z magika na ostrze. Nóż natychmiast załśnił gorącą czerwienią. Gorliwiec wrzasnął, a broń wypadła z jego przypalonych palców.

Moc wewnątrz Maxa zaczęła gwałtownie narastać. Stał się masywną postacią górującą nad wyjąłym gorliwcem niczym gniewny bóg. Powoli wyciągnął dłoń i dotknął mężczyznę. Kolejna iskra energii wypłynęła z niego i rzuciła fanatyka o ziemię dwadzieścia kroków dalej. Gorliwiec legł bez świadomości w pyle ulicy.

Tłum zaszemrał zdumiony i rozgniewany. Felix rozumiał ich odczucia. Bez względu na to, ile razy widział Maxa używającego magii, zawsze było w tym coś głęboko niepokojącego i zatrważającego. Było bardzo możliwe, że tłum ucieknie w panice, albo zaatakuje ich całą masą. Stłoczeni ludzie stali przez chwilę gapiąc się, niepewni, co robić.

– Idźcie do domu! – krzyknęła Ulrika.

W tej chwili jej głos zawierał w sobie całą władczość kislevickiej arystokratki. Jej głos był w stanie wymusić posłuszeństwo oddziału skrzydlatych lansjerów.

– Idźcie do domu i szykujcie się do wojny! Jutro zaatakują siły Chaosu i każdy zdrowy mieszkaniec miasta będzie potrzebny do obrony murów. Nie słuchajcie głupców, takich jak ten zbity pies – powiedziała, wskazując na nieprzytomnego gorliwca. – Mogą chcieć dobrze, ale wywołują tylko strach i rozpad między tymi, którzy jutrzejszego ranka muszą stanąć obok siebie. Wszyscy z nas tutaj zgromadzonych, nawet on, będą potrzebni przed nadejściem świtu. I będzie nam potrzebna każda broń, nawet czarodziejstwo, by powstrzymać potęgę, jakie maszerują przeciwko nam!

Tłum zareagował w odpowiedzi zarówno na jej postawę jak i rozsądek bijący z usłyszanych słów. Podobnie jak Max, ona również okazywała nowe oblicze, którego Felix jeszcze nie widział. Gdy mówiła tym tonem, w jej obecności wyczuwalna stawała się aura władczości, która sprawiała, że ludzie słuchali jej słów i w miarę jak stawały się oczywiste dla wszystkich ulegali im. Tłum zaczął rozpraszać się, za wyjątkiem kilku osobników, którzy zbliżyli się, by pokłonić się Ulrice i Maxowi oraz życzyć im powodzenia podczas zbliżającej się walki. Nawet gburowaci fanatycy cofnęli się, chociaż Felix nie był pewien, czy sprawił to strach, czy też szacunek. Prawdę mówiąc, nie obchodziło go to, cieszył się po prostu, że tak się stało.

Nikt już nie zaczął ich, gdy szli ku starożytnemu sercu miasta.

Arek Pazur Demona spoglądał na swoich wojowników ze szczytu najwyższej wieży oblężniczej. Powietrze drżało od nagromadzonej energii. Wielkie maszyny wojenne ożywały, przepelnione esencją uwiązanych demonów, które poruszają ich ogromną masę, by popchnąć je naprzód i zmiażdżyć mury Praag. Przez swoją pancerną rękawicę wyczuwał gotującą się energię schwytanego stwora, uwięzionego zaklęciami jego czarnoksiężników wewnątrz ścian wieży z czarnego żelaza.

Wszędzie wokół niego ogromna horda poruszała się w jednym celu i wiedzona jedną wolą – jego wolą i ku jego celu. Wkrótce zdepcze miasto przed nim i ofiaruje dusze jego mieszkańców swojemu bogu. Przysięgał, że nie pozostawi na miejscu ani jednego kamienia. Nigdy już człowiek nie wybuduje miasta w tym miejscu. W ten sposób pomści porażkę Chaosu sprzed dwóch stuleci, spowodowaną przez przekłętą Magnusa Pobożnego. Był pewien siebie. Pierścień stojących gładów wokół miasta ściągał coraz większe ilości mrocznej energii magicznej do jego armii. Każdego dnia przybywało coraz więcej wojowników z Pustkowi, przyciąganych obietnicą krwi i dusz, śmierci i chwały, łupów i rzezi. Masywni zwierzolidzie, wielkie ogry, potężni, odziani w czarne pancerze

wojownicy Chaosu, dzicy rozbójnicy i maruderzy z północnych plemion. Wszelkiego rodzaju pokręcone i zmutowane istoty ciągnęły pod jego sztandar, podążając świadomie, a czasem nie za falą mocy pędzącą z północy.

Przyglądał się chmurze harpii wznoszącej się stadem i wypełniającej część nieba ponad armią. Ich skrzydła uderzały niczym burza, a powietrze wypełniały ochryple zawodzenia i skrzek. Runęły ku miasto i napotkały obłok strzał nadlatujących z murów. Większość z pocisków upadła za blisko, kilka odnalazło cele, a harpie zakręciły i odleciały z powrotem. To nie był atak, nawet dziwie skrzydlate potwory znały swoje rozkazy i trzymały się ich.

Arek nie był w pełni zadowolony. Wiedział, że w jego armii znajdowali się osobnicy, którzy knuli przeciwko niemu. To nie było zaskakujące. Tak bywało w armiach Chaosu od zarania czasu. To nie miało znaczenia. Zawsze istnieli ci, którzy zazdrościli lepszym od siebie i intrygowali przeciw nim. Wiedział, że dopóki jego zwycięstwo wygląda na pewne, większość armii pozostaje lojalna wobec niego. Oni także byli zbyt ogarnięci wizją zniszczenia znieawidzonego miasta Praag, by ryzykować bezcelowe wewnętrzne spory.

Pojawiły się także inne pogłoski, które martwiły go nieco bardziej. Zwiadowcy donosili o ludzkiej armii zbliżającej się z południowego zachodu. Żałosna gromada, ledwo warta miana armii w porównaniu z jego potężnymi siłami, ale mógł, okazać się kłopotliwa, jeśli pojawi się w złym momencie. Inni widzieli oddział zajadłych szczuroludzi, których ludzie nazywali skavenami, nadciągającymi chmarą z północy. Wydawało się, że przebiegły plan Lhoigora i Kelmaina zmierzający do zniszczenia miasta szczuroludzi nie powiódł się i bestie być może pragną zemsty. Jednak, w tej chwili to także nie wydawało się zbyt dużym kłopotem.

Nieco bardziej niepokojący był brak raportów z miasta dotyczących losu Gotreka Gurnissona i Felixa Jaegera. Arek spodziewał się, że jego agentom do tej pory uda się dokonać zabójstwa znieawidzonej pary. Dobrze byłoby wiedzieć, że powiernik tego zabójczego topora został usunięty. Któż wiedział, do czego może być zdolna broń o takiej mocy? Wizja, która została mu udzielona, nadal czasami go niepokoiła. Z drugiej strony, jeśli sam nie włączy się do walki, być może przepowiednia nie stanie się prawdą.

Arek spojrział przez ramię i zobaczył bliźniaczych czarnoksiężników. Nie był z nich zadowolony. Ostatnio opieszale wykonywali rozkazy, lecz ochoczo kwestionowali jego decyzje. Szpiedzy donosili, że widziano ich w towarzystwie pozostałych wodzów i Arek podejrzewał, że bliźniacy mogą spiskować przeciw niemu. Jeśli tak jest, wkrótce pokaże im, jak wielki popełnili błąd. Właściwie, tak czy inaczej planował to zrobić. Gdy tylko zostaną rzucone zaklęcia, które otworzą drogę do Praag, czarnoksiężnicy zostaną wyrzuceni na wysypisko śmieci historii.

Lhoigor zauważył spojrzenie Areka i uśmiechnął się, obnażając swoje błyszczące białe kły. To był uśmiech, na którego widok wielu ludzi słabszych od Areka poczułoby się nieswojo. On jednak pomyślał tylko: Uśmiechaj się ile chcesz, magiku, twoje radosne dni wkrótce dobiegną końca.

Lhoigor spojrział na swojego przywódcę i uśmiechnął się. To wydawało się najbardziej odpowiednie w tym momencie. Arek stawał się każdego dnia coraz mniej przewidywalny, ale przynajmniej w tej chwili pozostawał wodzem hordy. To wkrótce ulegnie zmianie. Arogancki głupiec okazał odpowiednią marionetką podczas tej wielkiej, mrocznej krucjaty, ale jego użyteczność wkrótce się skończy, a wraz z nią, życie wodza. To była również jego własna wina.

Ani Lhoigor, ani jego brat nie sprzeciwiali mu się, pozostając narzędziami tej krucjaty, skoro tak sobie życzył, o ile skłaniał się do wypełniania ich żądań. W końcu, ktoś musiał poprowadzić armię, a oni nie byli wojownikami, czy generałami. Nie zostali urodzeni to takich spraw. Arek był dobrym

pionkiem dopóki wykonywał swoje instrukcje. Tańczył niczym marionetka na sznurkach, które utkali wokół niego, ale teraz stał się zbyt potężny i zbyt pewien siebie, by tak mogło pozostać.

Lhoigor zacisnął mocno w dłoni złotą laskę. Czuł pulsującą przez nią nieskończoną energię. Część jego umysłu stale pozostawała zajęta tkaniem i utrzymywaniem zaklęć, które przyciągały wielkie fale mocy z północy. Był już na tyle doświadczonym magiem, że do tej pracy wystarczała tylko część jego mózgu, chociaż podobny wysiłek mógł pozbawić zmysłów mniejszych magów. Wątpił, by na tym żalonym świecie istniało więcej niż kilku magików, którzy potrafiliby powtórzyć jego wyczyn, a pewien był, że żaden z nich nie dokonałby tego z podobną łatwością. Może Nagash u szczytu swej mocy, może Wiedźmi Król Mrocznych Elfów, może Teclis z Białej Wieży. Może oni potrafiliby tego dokonać. To nie miało znaczenia, z pewnością potrafił to on sam i jego brat. Spoczywało na nich błogosławieństwo Tzeentcha i w sprawach magii niewiele istniało rzeczy, których nie mogliby dokonać, gdy skupili na tym swoje umysły.

To zawsze było ich przeznaczeniem. Od urodzenia zostali naznaczeni łaską Zmieniacza Dróg. Ich matka spółkowała z demonem podczas wielkich orgii przesilenia zimowego w jaskiniach swego plemienia. Gdy bliźniacy albinosi urodzili się z pazurami i kłami, gotowi jeść mięso podczas swego pierwszego posiłku, przyszli na świat przeznaczeni do wielkich rzeczy. Stary szaman plemienia Dziwnokrwii rozpoznał to w nich natychmiast i zabrał od ich matki, po czym otoczył własną opieką.

Nauczyli się wszystkiego, co mógł nauczyć ich stary czarownik zanim ukończyli sześć lat i zyskali szacunek rady plemienia.

Zmieniacz przemawiał do nich w snach, szepcząc im sekrety zakazanej magii i pozwalając im powieść plemię do nisz pełnych starożytnych artefaktów, dawno zaginionych na Pustkowiach. Zanim mieli po dziesięć lat, porzucili plemię, by powędrować daleko przez ziemie ludzi. Wyszukali pradawne święte miejsca na Pustkowiach Chaosu, wydobyli swoje laski spod ruin Ulangor, poświęcili swe dusze Lordowi Mutacji na kryształowym ołtarzu w Nul. Dotarli wszędzie, gdzie pojawiali się wyznawcy Tzeentcha, maskując się, gdy podróżowali przez krainy człowieka.

Szli okryci płaszczami i kapturami ulicami Altdorfu i kupowali tomy zakazanej wiedzy na bazarze książek w Marienburgu. Rozmawiali z wygnanymi kapłanami Vereny i pozęglowali aż do Tilei. Wszędzie szli razem, dzieląc więź magicznej mocy i zdolność do przemawiania we wnętrzu umysłu drugiego na odległość. Z czasem, ich zdolności tkania zaklęć daleko przewyższyły umiejętności dawnych mistrzów i stali się wysłannikami Tzeentcha nadzorującymi organizację kultystów na wielu ziemiach, wywołującymi rebelie, podburzającymi zmutowanych, kuszącymi słabych i zastraszającymi silnych. Tzeentch nagroził ich niejednym darem i jeszcze większą mocą oraz najcenniejszą łaską ze wszystkich, przedłużonym życiem. Żyli przez stulecia obserwując odejście współczesnych im pokoleń, nie potrzebując żadnego towarzystwa, poza swoim własnym.

Wreszcie, ich dzieło pośród ludzi dobiegło końca i powrócili na Pustkowie, by rozpocząć realizację planu, który sami obmyślili. Postanowili, że stworzą wodza i użyją go do wszczęcia kampanii, która rzuci Stary Świat we władanie Tzeentcha. Arek wydawał się być dobrym wyborem.

Był silny, inteligentny, cieszył się łaskami Zmieniacza i był groźnym generałem oraz dyplomatą, co stanowiło połączenie zalet rzadkie pośród wojowników Chaosu. To było użyteczne przymierze i czarnoksiężnicy pomogli mu stać się wielkim dowódcą, prowadząc go subtelnie od jednego triumfu do drugiego, aż jego reputacja wystarczyła, by zbudować wielki sojusz wodzów z Pustkowi. Wszystko szło dobrze przez prawie całą dekadę. Wielka szkoda, że Arek postanowił wybrać ten moment, by spróbować zrujnować ich plany swoim uporem. Zaatakował zbyt wcześnie, zanim otworzyły się ścieżki Starych i pozwolił swoim oddziałom wymykać się spod jego kontroli.

A teraz planował usunąć braci z ich miejsca w hierarchii władzy. Nie uszło uwadze Lhoigora,

jak on i jego brat zostali wyłączeni z ostatnio odbywanych narad wojennych. Pomyślał, że wkrótce Arek dowie się, kim są prawdziwi wyznawcy Tzeentcha. I to wcale mu się nie spodoba.

Ulice były pełne maszerujących ludzi. Wszystko wskazywało na ich cichą desperację. Felix widział, że nie mieli wielkich nadziei na przetrwanie, a jednak ich ponure oblicza mówiły o czymś innym. Zamierzali drogo sprzedać swoje życie. Na wielkim placu u podstawy cytadeli dziadkowie i młodzi chłopcy ćwiczyli starodawną, pordzewiałą bronią wyciągniętą z ukrytych schowków domowych. Kobiety przynosiły pajdy chleba z piekarni. Gwardia książęca stała pod każdym sklepem i upewniała się, że ceny odpowiadały zarządzeniom księcia. Nie zamierzano dopuścić do jakichkolwiek spekulacji.

Enrik mógł nie być popularny i brakowało mu umiejętności dyplomatycznych, ale Felix uważał, że książę wie, jak władać swoim miastem. Najwyraźniej przynajmniej niektórzy ludzie zaczęli także zdawać sobie z tego sprawę. Felix słyszał kilka praczek z uznaniem komentujących zamrożenie cen chleba. Jedynymi ludźmi, którzy nie wydawali się zbyt zadowoleni z sytuacji byli niektórzy z kupców. Jednak nie narzekali głośno. Książę zagroził nabiciem głów spekulantów na pale pod wrotami pałacu. Nikt nie wątpił, że nie byty to czcze pogrożki.

Bez problemu dostali się do cytadeli. Wartownicy rozpoznali ich i nie sprawiali kłopotu. Najwyraźniej otrzymali rozkazy od najwyższych przełożonych, by przepuścić Maxa, gdy tylko powróci. Prawo do swobodnego wejścia najwyraźniej dotyczyło także Felixa i Ulriki.

Felix spojrzął na Maxa i Ulrikę. Od czasu, gdy czarodziej ją uzdrowił, oboje spędzali razem mnóstwo czasu i najwyraźniej szło im lepiej, niż udało się to Felixowi. Od powrotu do sił Ulrika wydawała się mu obca. Po części był zazdrosny, a po części zadowolony. Nie podobało mu się, że ona może woleć towarzystwo innego mężczyzny, ale jednocześnie czuł się zmęczony niekończącymi się kłótniami i stałym przekomarzaniem. Teraz, gdy przeszła krytyczne stadium swojej choroby, głęboka miłość, jaką kiedyś odczuwał wobec niej zdawała się blednąć w obliczu jej oziębłości. Potrząsnął głową. Wątpił, by kiedykolwiek udało mu się zrozumieć naturę ich związku.

Zastanawiał się, czy jej to się udaje.

Ulrika szła korytarzem. Marmurowe płyty kamienne odbijały echem uderzenia jej butów. Pomimo otaczającej jej ponurej atmosfery odczuwała dziwne zadowolenie. Była żywa i zdrowa. Osłabienie wywołane zarazą, jaka ją dotknęła, należało do przeszłości. Koszmary, które wypełniały dnie jej choroby stanowiły blednące wspomnienia. Wszystko wydawało się jasne i czyste, a serce wypełniała zimna, nieskrępowana radość. Powróciła od wrót królestwa Morra i życie wydawało się dobre.

Czuta się inną osobą. Jej oczy otworzyły się na wiele spraw i teraz postrzegała swoje życie z jasnością, której wcześniej nie mogła dostrzec. Spojrzała na Felixa i pomyślała o mocy, którą ją kiedyś opanowała. Zdawało się, że osoba, która zakochała się w nim, była kimś innym, dawno temu, kimś znacznie młodszym i o wiele bardziej naiwną. Nadal jednak zależało jej na nim, ale potężna, niepowstrzymana pasja przeminęła. Została z niej uleczona, podobnie jak od choroby.

Zastanawiała się nad tym. Czy to także mógł być rezultat magii Maxa? Czy w jakiś sposób wpłynął na jej myśli i emocje, gdy ją leczył? Jeśli tak, stwierdziła, że nie przeszkadza jej to tak bardzo, jak by się tego mogła spodziewać. Czowała ulgę uwolniona od bezustannego pojawiania się Felixa w jej myślach i stałej potrzeby zachowania swojej własnej tożsamości oraz ciągłej walki o utrzymanie jakiegoś dystansu między nimi. Teraz wydawało jej się jasne, że to właśnie robiła podczas tych wszystkich kłótni i dobrze było być od tego zwolnioną.

Spojrzała na Maxa. Ona także wydawał się inny. Urósł jakby podczas kilku ostatnich tygodni. Był bardziej pewny siebie, bardziej dojrzały. Teraz nosił wokół siebie moc niczym płaszcz i najwyraźniej zasługiwał na szacunek, jaki okazywali mu gwardziści, gdy weszli do sali tronowej księcia.

Zawdzięczała mu swoje życie. Była pewna, że otrzyma szansę spłacenia tego długu podczas nadciągającej walki.

– Cóż – rzekł książę, gdy weszli – czego się dowiedzieliście?

Felix starał się utrzymać miły uśmiech na twarzy pomimo tonu głosu księcia. Max wydawał się nieco zbity z tropu tą szorstkością, ale potem także się uśmiechnął. Dobrze, pomyślał Felix, uczysz się. Słuchał, gdy Max zwięźle przedstawił swoje teorie na temat tego, co się dzieje. Bez względu na brak umiejętności dyplomatycznych, książę był dobrym słuchaczem, a jego rada przejęła od niego tę cechę. Czekał, aż Max skończy, zanim przemówił. Felix był pewien, że nigdy nie widział tak wielu majętnych i potężnych ludzi zgromadzonych w jednym miejscu: gwardzistów, szlachty, kapłanów, bogato odzianych kupców – wszyscy byli obecni.

– Zdaje się, że rychło możemy spodziewać się ataku głównego. Jak dotąd walczyliśmy tylko z kilkoma wypadami zbrojnymi. To będzie prawdziwa rzeź. Na ile jesteśmy gotowi?

Pytanie zostało skierowane do Borisa, kapitana książęcej gwardii, człowieka bezpośrednio odpowiedzialnego za nadzór nad obroną miasta.

– Wszyscy zdrowi ludzie są przygotowani do walki na murach. Zostali podzieleni na trzy wachty, tak by mogli wymieniać się w razie konieczności. Milicja miejska została utworzona i może zostać wezwana dzwonami alarmowymi. Mamy dość pożywienia, by przetrwać zimę, jeśli jedzenie będzie racjonowane i nikt nie zatruje więcej spichlerzy. Studnie są strzeżone. Ludzie są przestraszeni, ale chętni do pracy. Jesteśmy gotowi do walki.

Książę spojrzał na Arcylektora Świątyni Ulryka, starego człowieka o potężnej budowie ciała i prostych plecach wojownika. Poprawił płaszcz z wilczej skóry na swoich ramionach.

– Każdego dnia trwają modlitwy w świątyni. Wzywamy pomocy bogów. Runy ochronne na murach pozostają silne, ale nasi jasnowidze mówią, że wrogowie gromadzą ogromne ilości mocy. Pozostaje niepewne, w jakim celu to czynią. Wewnątrz miasta mamy około dwudziestu kapłanów i dwunastu czarodziejów zdolnych do używania magii bojowej. Jest dla mnie jasne, że możemy i musimy stawić opór.

Nadeszła kolej, by przemówiła kobieta odziana w biel. Była nadal urodziwa mimo białych włosów i zmarszczek bruzdzących twarz. Jej dłonie bawiły się nerwowo amuletem srebrnej gołębicy na jej szyi.

– Siostry Shallyi jak dotąd zaopiekowały się czterystoma rannymi i wieloma przypadkami zarazy. Na szczęście, w tej chwili wydaje się, że plaga jest pod kontrolą. Myślę, że burze śnieżne w jakiś sposób wpłynęły na ograniczenie rozprzestrzeniania się choroby. A może cokolwiek, co wezwało magię choroby przestało to czynić i zajęło się innymi rzeczami.

Jeden po drugim, do zajęcia głosu wzywani byli najwyższej rangi obywatele Praag: mistrzowie gildii, kapłani, kupcy, budowniczy. Powoli klarował się obraz sytuacji. Praag wydawało się tak dobrze przygotowane do oblężenia, jak tylko mogło być miasto tej wielkości. Gdyby pod miastem zapadła inna armia niż wielka horda mutantów, miasto z pewnością wytrzymałoby atak. Jednak, wobec takiego wroga nikt nie wiedział, do czego zdolni są wyznawcy Chaosu, a niepewność wywoływała głęboko skrywany niepokój. Wnioski Maxa w żaden sposób nie uspokoiły zgromadzonej rady. Ze wszystkich zebranych ludzi, tylko książę i, w mniejszym stopniu jego brat nie wydawali się poruszeni. Promieniowali spokojem i pewnością siebie, która w niemal każdym innym

okolicznościach musiała być uspokajająca.

– Kiedy najwcześniej spodziewacie się ataku? – ksiązę spytał Maxa.

– Bardzo niedługo. Muszą planować coś w związku z całą mocą, którą zebrali. Nie widzę sposobu, by mogli liczyć na utrzymanie jej pod kontrolą przez dłuższy czas, bez względu na to, jak potężni są ich czarnoksiężnicy.

Ksiązę skinął głową.

– Bardzo dobrze. Musimy spodziewać się ataku w każdej chwili. Dziękuję wam za waszą obecność. Sugeruję, by wszyscy odwiedzili wybraną świątynię i modlili się o nasze wybawienie.

Mam nadzieję, że bogowie potrafią nam pomóc, pomyślał Felix. Nie widział żadnego innego źródła ocalenia.

Ivan Petrovich Straghov pomyślał, że zgromadzenie Gospodara było imponujące. Setki namiotów pokryły równinę wokół Brodu Mikala. Powietrze wypełniał zapach końskich ciał i węglowych kociołków. W oddali widoczny był wielki pawilon, stanowiący pałac Lodowej Królowej podczas podróży. Caryca musiała oczyścić do cna królestwo, by w tak krótkim czasie zebrać równie wiele żołnierzy. Obecne było ponad pięć tysięcy kawalerii: konnych łuczników, skrzydlatych lansjerów, lekkiej konnicy. Gdy jechali przez tłum, wykrzykiwał do wielu starych towarzyszy i machał w odpowiedzi na pozdrowienia wielu innych.

Był tam Maximilian Trask, Hrabia Volksgradu, zwycięzca ponad tysiąca potyczek z orkami na Wschodnich Stepach. Dowodem tego faktu był wieniec orczych uszu wiszący wokół jego karku. Zawołanie z lewej strony zwróciło jego uwagę na Stanisława Leskiego. Stary Jednooki nadal wyglądał krzepko mimo swych sześćdziesięciu zim. Jechał wyprostowany utrzymując się na koniu w sposób, który zawstydziłby dwudziestu wnuków, którzy cwałowali obok jego. Na ich sztandarach powiewał znak szarego wilka. Ivan pomachał i krzyknął.

– Dziś pijemy wódkę w moim namiocie!

Z drugiej strony stał jego stary rywal, Kamiński, z którym Ivan prowadził liczne dysputy graniczne – i wypił liczne puchary pokoju, gdy bitwy skończyły się. Teraz Kamiński był równie bezdomny, co on. Mimo to, dobrze było go tu widzieć, nawet, gdy jego jeźdźcy byli równie przetrzebieni, co należący do Ivana. Czegóż można było się spodziewać? Podobnie jak on, Kamiński znalazł się na drodze nadciągającej hordy.

Ivan jechał wśród namiotów. Miękki śnieg ustępował pod kopytami jego konia. Ziemia pod spodem była twarda jak żelazo. Ivan postanowił przedstawić to swoim ludziom jako dobry znak. Pan Zimy gromadził swoje białe oddziały do obrony Kisleva. W rzeczywistości, był zaniepokojony. Śnieg w równym stopniu utrudniał poruszanie się kislevickiej armii i utrzymanie jej, jak kogokolwiek innemu. Może wojownicy Chaosu zamierzali użyć swej magii, by się wyżywić. Ivan wiedział, że jego rodacy nie potrafili tego. Ale nie miało sensu rozmyślanie o tym w tej chwili. Musiał zdać swojej władczyni raport o tym, co widział.

Stajenny czekający na zewnątrz wielkiego niebieskiego pawilonu zabrał jego konia i bez zbędnych formalności Ivan mógł wkroczyć do namiotu. Wewnątrz było zimno, nie tak bardzo jak na śniegu, ale znacznie bardziej, niż spodziewałoby się tego większość ludzi. Ivan postanowił to także uznać za dobry znak. Gdy Lodowa Królowa używała swych przerażających mocy czarodziejskich, powietrze wokół niej niechybnie stawało się zimne.

Ivan otulił się szczelniej w swe futra i przeszedł przez podłogę pokrytą dywanami w stronę odsuniętego tronu. Wielcy, okryci futrami mężczyźni rozstąpili się, by go przepuścić. Po kilku uderzeniach serca stał patrząc na swoją monarchinię.

Była wysoka, wyższa od niego, a jej skóra była tak blada, że na jej twarzy dostrzegał niebieskie żyły. Jej oczy były niepokojąco zimne i błękitne, ale usta i włosy ogniście czerwone. Miała długie paznokcie lśniące niczym klejnoty. Bogate szaty okrywały jej pełną, zmysłową figurę. Gdy się odezwała, jej głos brzmiał nisko, oschle i wywoływał dreszcze.

– Witaj, Iwanie Petrovichu. Jakie są wieści z północy?

Ivan z szacunkiem odwzajemnił pozdrowienie i powiedział jej o swej podróży. Mówiąc wiedział, że niewiele z jego nowin jest dla niej nowością. Lodowa Królowa miała swoje sposoby, by dowiedzieć się, co dzieje się w jej królestwie. Mówiono, że potrafi dojrzeć najdalsze krańce krainy w wielkiej turkusowej kuli, którą trzymała obok tronu.

Gdy skończył mówić, otwarcie i szczerze przemówił do niej, jak zaufany kislevicki poddany do swojego władcy.

– A cóż z Imperium, moja pani? I z naszymi pradawnymi sojusznikami?

– Cesarz zbiera swoją armię, by zmierzyć się z hordą. Ale daleka droga z Altdorfu do Kisleva i nie możemy żywić nadziei, by zobaczyć go przed wiosną. Białe Wilki jadą z Middenheim i spodziewamy się ujrzeć ich wcześniej. Krasnoludy z Gór Krańca Świata także przyrzekły pomoc, chociaż drogi przez szczyty są trudne do przebycia o tej porze roku, a któż wie, kiedy może nadejść pomoc z tej dzielnej krainy?

To w dużym stopniu odpowiadało temu, czego spodziewał się Ivan. Atakując o tak późnej porze roku, wojownicy Chaosu zyskali przewagę. Gdyby zaatakowali wiosną, jak uczyniłaby dowolna ludzka armia, wówczas sojusznicy Kisleva przybyliby na pomoc. Teraz, było mało prawdopodobne, by mogli pomóc przed końcem zimy. Ivan dostrzegał mały promyk nadziei.

– Może dzięki swojemu statkowi powietrznemu krasnoludy będą w stanie dotrzeć tutaj wcześniej.

– Możliwe. Nie usłyszeliśmy wieści o nim od czasu opuszczenia Praag. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie wydarzyło się z nim nic złego.

Ivan modlił się żarliwie, by tak się nie stało.

– Kiedy ruszamy do Praag?

– O świcie – powiedziała Lodowa Królowa. – Chociaż moje serce wzbrania się przed myślą o tym, co tam zastaniemy.

Rozdział 10

Halek z niezadowoleniem słuchał swojego agenta. Felix Jaeger przyszedł pod Czerwoną Różę i widziano go, jak rozmawiał z tą dziewczyną, Sashą, towarzyszką jego dawnych, nieodżałowanych pomagierów Sergeia i Olafa. Rozejrzył się po swoich bogato wyposażonych komnatach, podniósł się z wyściełanego siedziska i podszedł do drzwi. Otworzył je i wyjrzał upewniając się, że nikt nie podsłuchuje. W pałacu nigdy nie można było być niczego pewnym. Wszędzie kręciła się służba. Normalnie, nigdy nie zgodziłby się na spotkanie ze swoim podwładnym we własnych kwaterach, ale ten człowiek twierdził, że sprawa jest pilna, a był kimś, kogo osądom Halek nauczył się ufać.

Cóż dziewczyna mogła powiedzieć Jaegerowi? Nic zbyt poważnego, tego był pewien. Nigdy nie widziała jego twarzy i nigdy obaj zabójcy nie pozwolili jej dowiedzieć się, kim jest. Nie, nie był zagrożony, tego był pewien. Wstał i podniósł małą hebanową statuetkę, egzotyczną rzeźbę wykonaną w Arabii albo w jednej z innych gorących, południowych krain. Pewien był, że jego brat wiedziałby, w której. Specjalizował się w wiedzy tego rodzaju. Jego dłoń zacisnęła się wokół figurki z taką siłą, że niemal ją złamała.

Przywołał się do kontroli nad sobą. Niedobrze było okazywać jakiegokolwiek napięcie w obliczu swoich podwładnych, normalnie nigdy tego nie czynił. To był znak presji, pod którą się znajdował. Jego przełożeni, którzy dotarli dalej od niego w tajemnym zakonie obarczyli go odpowiedzialnością za zakończenie istnienia Gotreka Gurnissona i Felixa Jaegera. Nie pomagał w niczym fakt, że ci dwaj stali się kluczowymi postaciami związanymi z porażką planu zatrucia spichlerzy ziarna. Nacisk, by coś zrobić, naprawdę dawał mu się we znaki. Halek potrząsnął głową, żałując po raz tysięczny, że przyjął pierwsze zaproszenie, by studiować tajemną wiedzę alchemiczną.

To zresztą nie miało znaczenia. Wkrótce miasto i tak upadnie. Wziął głęboki oddech, by uspokoić się i walczył, by opanować swoje wirujące myśli. Wiedział, że znajdzie się po stronie zwycięzców, ale mimo to oczekiwanie na zwycięstwo okazywało się ogromnym obciążeniem. Pragnął, by oczekiwanie skończyło się i miasto upadło. Wmawiał sobie, że to tylko kwestia czasu.

Skierował swoje niespokojne myśli ponownie ku sprawom bieżącym. Rozmyślał o tej karczemnej dziewczce. Nie liczyła się. Nie mogła go skrzywdzić. Może najlepiej będzie zostawić tę sprawę w spokoju. To była zapewne najlepsza decyzja. Z pewnością była to decyzją, którą najchętniej by podjąć. Ale teraz, gdy efekty jego skrywanej mutacji zaczęły się objawiać, napięcie całego tego oczekiwania i stałe uczucie, że zdradza kogoś, bez względu na to, co robi, czuł, że musi coś uczynić.

W końcu, po co ryzykować?

Szybko, stanowczo, wydał swojemu agentowi polecenia. Może najlepiej będzie, jeśli dziewczyna zniknie po cichu. Było mu przykro z powodu jej śmierci, ale próbował tłumaczyć sobie, że okazuje jej łaskę. Zapewne tak czy inaczej byłaby martwa w ciągu kilku następnych dni.

Pod Białym Dzikim było cicho. Wszyscy byli ponurzy i spięci. Wydarzenia ostatnich kilku dni poruszyły wszystkimi. Duchy, mroczne czarodziejstwo i plotki o zdrajcach zatruwających spichlerze nie poprawiły stanu morale już podminowanego zarazą i rozmiarami armii oblężniczej. Felix rozejrzył się, zastanawiając się, gdzie przebywa Ulrika. Ostatnio stała się dziwnie obca. Zaczął myśleć, że nawet ich spory były lepsze niż to narastające odosobnienie. Przynajmniej, myślał tak w głębi ducha. Z drugiej strony czuł rosnące wrażenie ulgi, a nawet wolności.

Był ciekaw, gdzie są Ulli, Bjorni i Snorri. Najpewniej znowu pod Czerwoną Różą. Bjorni najwyraźniej miał zły wpływ na młodego Ulliego, każdego wieczora zaciągając go ze sobą do zamtuza. Ale też nie trzymał noża na gardle młodego Zabójcy. Felix spojrzał w puchar wina, zakręcił czerwonym płynem i pociągnął łyk. Ona także był spięty tego wieczora, co zauważył uśmiechając się niewesoło.

W tych okolicznościach nie było w tym nic dziwnego. Poszukiwali go zabójcy. Znajdował się w nawiedzonym, nękanym zarazą mieście obleżonym przez demoniczną armię, a on i jego kompani obrazili wielu z obywateli, włącznie z kilkoma wrednymi łowcami czarownic. W tej sytuacji stan napięcia był naturalny. Próbował sobie przypominać, że bywał w gorszych opresjach, ale to nie na wiele się zdało. Spojrzał na Gotreka. Zabójca gapił się chmurnie w swoje ale. Rozglądał się wokół, jakby czekając, by ktoś z klientów spojrzał na niego złym wzrokiem. Nikt jednak, nawet grupa templariuszy Białego Wilka, nie był na tyle głupi, by się na to odważyć.

- Nie musisz szukać bijatyki – rzekł Felix. – Będzie jej dosyć już jutro.
- Aye, zapewne – odpowiedział Gotrek.
- I bez wątpienia będziesz miał szansę na znalezienie swojej zagłady.
- Tak jest, człeczyno.
- Nie wydajesz się zbyt ucieszony.
- Wkurza mnie to. – Felix był w szoku. Czy Zabójca przemyślał swoje poszukiwania bohaterskiej śmierci?
- Co cię wkurza?
- To, że siły Chaosu mogą podbić to miejsce – że mogą zwyciężyć.
- Jakie to ma dla ciebie znaczenie? Ty szukasz śmierci.
- Aye, to prawda. Ale śmierci znaczącej. Nie chcę paść bezimiennie w jakiejś wielkiej rozróbie.

– Jakoś wątpię, by to było twoim przeznaczeniem.

– Przekonamy się.

– Może będziesz miał okazję wyzwąć jednego z wodzów hordy. To byłaby wielka śmierć.

Gotrek uniósł wzrok, jakby pragnąc sprawdzić, czy Felix nie kpi sobie z niego.

W tej chwili otworzyły się drzwi do Białego Dzika i wpadli do środka Snorri i Ulli. Podeszli prosto do stołu.

– Lepiej zabierajcie się do Czerwonej Róży! – ryknął Ulli.

– Snorri myśli, że tam jest coś, co chcielibyście zobaczyć.

Zdumiewające, pomyślał Szary Prorok Thanquol, spoglądając w niebo. Tak wiele mocy. Tak wiele magii. Obłoki były czerwone. To nie był ten rudy odcień, który oglądał, gdy słońce zachodziło, lecz krwista czerwień, w której kręciły się wiry czystej, mistycznej energii, wokół których błyskały wyładowania piorunów nawet nie dotykając ziemi. Słońce było w przyjemny sposób osłonięte, śnieg lśnił krwawo. Zmęczenie Thanquola odpłynęło, gdy przyglądał się polu bitwy.

Cieszył się z kolejnego wielkiego zwycięstwa. Oddział o wielkości niemal ćwerci jego własnych sił został zniszczony kosztem zaledwie kilku setek ofiar. To był kolejny dowód jego militarnego geniuszu. Widział, że nawet Izak Grottle jest pod wrażeniem, chociaż stękał gorzko twierdząc, że ich wrogowie byli już wyczerpani poprzednią walką.

Jakby to czyniło jakąkolwiek różnicę. Thanquol chętnie przyznawał, że jego przeciwnicy zasmakowali już walki. To był ledwie kolejny dowód jego zdolności taktycznych, że wybrał ten właśnie moment, by ich zaatakować. Grottle mógł twierdzić, że to było tylko zwykłe szczęście, ale

Thanquol wiedział, że wszyscy wielcy dowódcy byli kowalami własnego losu. Cóż zatem, że wyznawcy Chaosu zostali przegonieni przez kilku kislevickich konnych żołnierzy? To w żaden sposób nie umniejszało skali zwycięstwa Thanquola.

Jeszcze słodsze było uczucie rosnącej w nim mocy, w miarę wzrastania tej czerwonej burzy z północy. Używał magii z niespotykaną wcześniej łatwością i prawie nie potrzebował *zażywać* sproszkowanego spaczenia, by rzucać nawet najpotężniejsze zaklęcia. Najwyraźniej Rogaty Szczur po raz kolejny obdarzył go łaską. W dobrej chwili, jak pomyślał w głębi duszy Thanquol. Był pewien, że gdyby tylko Felix Jaeger i Gotrek Gurnisson znaleźli się przed nim w tym momencie, rozbiłby ich z łatwością. Jakże słodko byłoby to uczynić.

Walczył z ogarniającym go wrażeniem przypominającym stan upojenia. Wirowało mu we łbie od tak wielkiej ilości mocy w powietrzu. Wiatry magii wiały silniej, niż kiedykolwiek. Morrslieb lśnił tak jasno, że jego zielone światło było widoczne nawet przez rudawe chmury. Magia przepływała przez futro skavena i wsiąkała w żyły. Thanquol pomyślał, że istotnie, dobrze było żyć w takiej chwili.

Wydał rozkazy nakazując swojej armii podążanie na południe, pewien, że będzie w stanie poradzić sobie z każdym zagrożeniem, jakie mogą spotkać. Za sobą usłyszał jęknięcie Izaka Grottle'a, który sapał wydając polecenia, by wykonywać rozkazy szarego proroka. W tej właśnie chwili, Thanquol stanął osłupiały wyczuwając niesamowite nagromadzenie mocy na południe od niego. Nagle zapragnął zagrzebać się głęboko pod ziemią i nie wychodzić, dopóki nie będzie pewien, że to minęło, cokolwiek to było. Skoro jednak nie mógł tego uczynić, postanowił, że najlepiej będzie rozpocząć taktyczny odwrót. Zaczął wydawać rozkazy, ale Grottle sprzeciwił mu się.

– Kazano mi dopilnować, byś znalazł się w Skavenblight i zamierzam tak uczynić.

Thanquol był bliski rozwalenia go na miejscu, ale powstrzymał się od uwolnienia swojego słusznego gniewu. Teraz trzeba było zachować moc, na wypadek, gdy konieczna będzie szybka ucieczka.

Max Schreiber wyglądał z wieży. Wkrótce rozpocznie się atak. To było oczywiste. Słońce zachodziło okolone dziwacznymi czerwonymi obłokami, a dziwna mgła gromadziła się na polu bitwy. Miała niemal ten sam kolor, co obłoki i była pełna tej samej, nikczemnej energii. Max dostrzegał wirujące w niej linie mocy i wiedział, że przygotowywane jest zaklęcie o niesamowitej potędze. Nawet mimo swojej nowoodkrytej pewności w swoje siły, Max wiedział, że nie chciałby spotkać się z kimś, kto rzuca takie zaklęcie. Zachowanie kontroli nad taką ilością zgromadzonej mocy wymagało niemal boskiej siły, nawet ze wsparciem setek akolitów. Max pragnął, by mógł cokolwiek uczynić, by zakłócić to zaklęcie, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nawet gdyby miał za sobą wszystkich magów z jego szkoły magii, wątpił, by mogliby cokolwiek uczynić.

Odwrócił się do Ulriki. Zbliżyli się do siebie w ciągu kilku ostatnich dni. Była mu wdzięczna za uratowanie życia, ale wyczuwał coś więcej. Odepchnął od siebie tę myśl, wiedząc, że najpewniej przemawiają jego własne nadzieje, niż cokolwiek rzeczywistego. Uśmiechnął się gorzko, myśląc, że łatwiej jest rozważać tajemnice potężnej magii niż zajrzeć w głąb ludzkiego serca.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała miłym głosem Ulrika.

– Raczej nie chcesz wiedzieć – odpowiedział Max. Był zawstydzony. Większość swojego życia spędził na badaniach i doradzając ludziom, jak zabezpieczyć się przed złą magią. Nie był przygotowany do radzenia sobie z kobietami, takimi jak Ulrika.

– Nie pytałabym, gdybym nie chciała się dowiedzieć.

Max podrapał swoją coraz dłuższą brodę, by zamaskować swoje zmieszanie. Czasami bywała

niepokojąco bezpośrednio.

– Jestem... jestem szczęśliwy, będąc tu z tobą – zaryzykował. – Nawet w takich okolicznościach.

Teraz ona zamilkła. Rozejrzała się, spoglądając na błyszczące dachy Praag, odwracając wzrok od gromadzącej się hordy Chaosu. W świetle zachodzącego słońca, widzianego z wysokości murów, było magicznie: szeroka przestrzeń pełna dachów pokrytych czerwonymi dachówkami i pobielonych ścian, z których wyrastały dzwonnice, wydęte kopuły i złożone iglice świątyń. Nawet szron i śnieg podkreślały to piękno. Max podszedł do niej i położył swoją dłoń na jej ramieniu okrytym futrem. Nie cofnęła się, ale też nie spojrzała na niego.

– Jesteś szczęśliwa? – spytał. – Nie wiem – powiedziała. – Jestem Zagubiona.

– Dlaczego?

– Z powodu wielu rzeczy.

– Dotyczących ciebie i Felixa?

– Tak. Między innymi.

– Czy mogę pomóc w jakiś sposób?

Wyślizgnęła się spod jego uścisku i podeszła ponownie na brzeg blanków. Oparła się na balustradzie i spojrzała w stronę ich wroga. W mroku połyskiwały masywne maszyny wojenne, wysokie niczym wieże i rzeźbione jak posągi. Wzdłuż ich boków ożywały dziwaczne czerwone runy. Ich ogień odbijał się w śniegu pod nimi. Nieuchronnie przyciągały wzrok, tak wielka była ich moc. Wydawały się być statuiami złych bogów. Małe postacie poruszające się u ich podstaw wyglądały raczej jak insekty, niż ludzie.

– Felix powiedział mi, że na Pustkowiach znajdują się wielkie posągi Lordów Chaosu – powiedziała. – Muszą przypominać te maszyny, nie sądzisz?

– To możliwe – odrzekł wymijająco, nieco urażony, że nie odpowiedziała na jego pytanie. – Ale myślę, że to co zobaczył, to były rzeczywiste statuy. Te rzeczy są maszynami z metalu i czarodziejstwa.

– Czarodziejstwa?

– Spętano w nich demony, aby dać im moc. Obawiam się, że wkrótce ożyją.

– A wtedy?

– A wtedy potoczą się ku tym murom i zmiążdżą wszystko na swej drodze.

– Czy możemy cokolwiek uczynić?

– Możemy się modlić.

– Poznajesz go? – spytał Bjorni wskazując na nieprzytomnego mężczyznę. Ku swojemu zaskoczeniu, Felix rozpoznawał go. Wiedział, że widział go gdzieś wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie. Wielki siniak na jego twarzy mógł mieć z tym coś wspólnego.

– Wydaje się znajomy – rzekł Felix, pochylając się i łapiąc za podbródek mężczyzny, a potem obracając jego twarz z jednej strony na drugą, by lepiej mu się przyjrzeć. Mężczyzna miał długie włosy, które opadały na jego twarz. Ubrany był w strój szlachcica, z dobrej materii i kosztownego kroju. Felix widział wystarczająco wiele w magazynach swojego ojca, by być tego pewnym. Ten człowiek wyglądał zupełnie nie na miejscu leżąc na podłodze tej podłej izby pod Czerwoną Różą.

– Z jakim to towarzystwem się trzymasz, młody Felixie? – spytał Bjorni z rechem. Objął swoim potężnie umięśnionym ramieniem dygoczącą figurę dziewczyny, Sashy i z zaskakującą delikatnością otarł łzy z jej twarzy. Felix patrzył na półnagi Zabójcę oraz na zbiór biczów i kajdan na ścianach zastanawiając się, czy to, o co podejrzewał Bjorniego i Sashę mogło być prawdą.

– Z podłym towarzystwem – rzekł Gotrek nachylając się i podnosząc sztylet, który upadł obok

dłoni mężczyzny. Powąchał go, a potem wyciągnął ostrze w kierunku Felixa. Felix zauważył zielonkawą smugę zakrzepłą na zaostrojonej stali.

– Jestem gotów założyć się, że to ta sama trucizna, jaka znajdowała się na nożach Sergeia i Olafa – stwierdził.

– Myślę, że wygrałbyś ten zakład – odpowiedział Gotrek.

– Co się tu stało? – spytał Felix, spoglądając na Bjorniego, a potem na Saszę. Oboje byli prawie nagi. Gorset dziewczyny został naprędce zapięty. Nosła tylko najłżejszą koszulinę. Bjorni odziany był tylko w swoje spodnie. Jego buty i broń leżały w pobliżu łóżka.

– Cóż, sądziłem, że nie przeprowadziłeś swojego wywiadu we właściwy sposób, młody Felixie, zatem pomyślałem, że... przesłucham Saszę na swój własny sposób.

– A zatem po to były potrzebne te skórzane kordy i łańcuchy – rzekł Felix wskazując na stos mechanizmów obok łóżka.

Bjorni spojrzał na sufit, a potem skinął głową.

– Coś w tym stylu. Tak czy inaczej, właśnie zabieraliśmy się do rzeczy, gdy za drzwiami rozległ się jakiś hałas i wtargnęło kilku ludzi. Byli uzbrojeni i najwyraźniej nie mieli miłych zamiarów.

– A więc zatrzymałeś ich?

– Zarzuciłem prześcieradło na dwóch, a potem rąbnąłem czaszką trzeciego – powiedział Bjorni z pewną satysfakcją. – Najwyraźniej nie spodziewali się większego oporu i sądzę, że spanikowali, gdy usłyszeli zbliżających się Snorriego i Ulliego. A więc zaczęli uciekać. Wyłukłem jednemu mózg tą lampą.

– Zabawne, że żaden z wykidajłów nie przyszedł sprawdzić, co to za hałas, a harmider było słyhać w całym korytarzu – powiedział Ulli. Miał czerwoną twarz i wyglądał na bardzo zawstydzonego z jakiegoś powodu.

– Zapewne zostali opłaceni – rzekł Gotrek.

– Zgaduję to samo – dodał Felix. – Czy znasz któregoś z tych ludzi? – spytał dziewczyny.

– Nie byli tutejszymi klientami – powiedziała. – Jeśli o to ci chodzi.

Felix wzruszył ramionami i jeszcze raz spojrzał na nieprzytomnego mężczyznę myśląc, że czas go obudzić. Pozostawało pytanie, czy przekazać go władzom, czy pozostawić go czutej opiece Zabójców. W tych okolicznościach wydawało mu się, że nie ma zbyt wielkiego wyboru. Wolałby raczej, by sami przeprowadzili dochodzenie. Nie był pewien, co może się stać, jeśli przekażą tego niedoszłego zabójcę gwardzistom.

W chwili, gdy ta myśl przemknęła przez jego umysł, Felix nagle zdał sobie sprawę, gdzie widział tego człowieka. Podczas pierwszego dnia obłączenia, na Bramie Gargulców – to był jeden z młodych ludzi jadących wraz z książęcym bratem, Villemem. Cudownie, pomyślał Felix, zastanawiając się, jak daleko sięga ta korupcja. Właśnie w tej chwili mężczyzna jęknął i zaczął się poruszać.

Spojrzał w górę i zbladł patrząc w paskudnie wykrzywające się twarze otaczających go Zabójców.

– Powiedz mi – rzekł Felix – Czy Villem wie, że tutaj jesteś?

Odpowiedź mężczyzny zaskoczyła Felixa.

– Zabije mnie, jeśli się tego dowie.

– To już nasze zmartwienie – rzucił Gotrek groźnie unosząc topór.

Halek chodził wkoło po grubych arabskich kobiercach swojej komnaty. Wszędzie wokół siebie słyszał odgłosy życia pałacowego. Podeszedł do okna, uchylił grubej brokatowej zasłony i wyjrzał przez szkło oprawionej w gruby ołów szyby. Do parapetu przywarła gruba warstwa śniegu. Daleko

poniżej widział Plac Bohaterów i Świątynię Ulryka. Myśl o tym, co stało się ze złapanymi w tym pałacu heretykami sprawiała, że czuł się jeszcze bardziej zdenerwowany. Wizja wydania na łaskę Templariuszy Ulryka nie była pokrzepiająca.

Gorzko przeklinał Jana Pavelovicha. Jeśli kiedyś wpadniesz w moje ręce, zapłacisz za to, ty żaloszny głupcze. Odwrócił się od okna i podszedł do półek z książkami, wyciągnął kopię Czynów Magnusa, nad którą ślęczał jako chłopak i zmuszał się do zachowania spokoju. To nie była wina Jana Pavelovicha. Któż mógł przewidzieć, że podczas ataku będzie obecny jeden z tych przeklętych Zabójców i pokona czterech uzbrojonych ludzi wyposażony tylko w broń improwizowaną?

Nie. Takie rzeczy zdarzały się. Czasami los był wrogi, a może to starzy bogowie Kisleva wtrącili swoje trzy grosze. Nie było sensu w obwinianiu Jana Pavelovicha. Młodzieniec służył lojalnie i dobrze od wielu lat, od czasu, gdy Halek wprowadził go w kult Zmieniacza Dróg. Był oddany Wielkiej Sprawie. To nie jego wina, że został, gdy pozostali uciekli. To był raczej błąd tych pozostałych głupców, którzy pozostawili go Zabójcy.

Słowa na stronie były zamazane. To nie prowadziło go donikąd. Nie miało znaczenia, kto jest czemu winien. Szkoda została wyrządzona. Pozostawało pytanie, jak wiele powiedział im Jan Pavelovich. Halek przeklinał dzień, w którym był na tyle głupi, by pozwolić młodemu poznać jego prawdziwą tożsamość. Może to nie będzie miało takiego znaczenia. Przeciwno sobie miał tylko słowo Jana i jego oskarżycieli. Halek był wielce wpływowym człowiekiem na dworze. Mógł zmierzyć się niemal z każdym oskarżeniem.

O ile nie zostaną wezwani Templariusze. Albo, póki ktoś nie zażąda przebadania go w celu odkrycia stygmatów Chaosu. Albo może jeden z tych czarodziejów, na przykład Max Schreiber, będzie w stanie zastraszyć go zaklęciem. To nie byłoby dobre. Cóż mógł uczynić? Wielki Plan był bliski ukończenia. Wkrótce miasto upadnie. Gdyby tylko udało mu się przetrwać, dopóki będzie pewien swojej nagrody. Mógł uciec z pałacu i znaleźć schronienie pośród swoich braci aż zaświta wielki dzień.

Czy rzeczywiście? Nie udało mu się dopilnować śmierci Gotreka Gurnissona i Felixa Jaegera. Może skryci mistrzowie kultu ukarzą go za to. W końcu, mieli swoje powody, by pragnąć śmierci tych dwóch, a on tego nie dokonał. Nie cieszyła go wizja powierzenia samego siebie łasce ludzi podobnych Victorowi lub Damienowi. Mogą w takich okolicznościach ulec pokusie usunięcia potencjalnego rywala.

Miał wreszcie własny plan przyczynienia się do ostatecznego zwycięstwa. W ferworze zbliżającego się ataku zamierzał otworzyć jedne z wrót przed hordą Chaosu. Miał władzę i środki, by tego dokonać. To będzie akt, dzięki któremu zyska wielkie łaski w oczach Tzeentcha. Czy naprawdę chciał z tego zrezygnować? Czy miał jakikolwiek wybór?

Sprawy nie wyglądały tak różowo, jak w chwili, gdy tego ranka wstał z łoża. Powstrzymywał się przed uczuciem ogarniającej paniki. Zmuszał się do myślenia, musiał znaleźć rozwiązanie.

Nagle wpadł na pomysł zapewnienia sobie wybawienia. To było rozwiązanie tak proste, a jednak tak doskonałe, że był zaskoczony, iż nie ośmielił się wprowadzić go wcześniej w życie. Potrząsnął głową. Wiedział, dlaczego tak się nie stało.

To był rzut kością zdesperowanego człowieka, a on nigdy nie był równie zdesperowany. I nigdy naprawdę nie chciał zabić swojego brata.

Felix spoglądał na posiniaczoną i obszarpaną postać heretyka. W końcu, po mało delikatnej opiece Bjorniego, powiedział im wszystko. Teraz leżał, blady jak prześcieradło, patrząc na nich oczami pełnymi przerażenia i bólu.

Felix spojrzął na Zabójców. Nie miał pojęcia, czy oni są równie zdumieni tym, czego się dowiedzieli. Ich twarze niczego nie zdradzały. Gotrek wyglądał ponuro. Bjorni wyglądał na usatysfakcjonowanego. Snorri wyglądał na zmieszanego. Ulli sprawiał wrażenie równie bliskiego mdłości, jak sam Felix. Jego podejrzenia potwierdziły się, o ile to nie było jakieś przemyślnie kłamstwo kultystów. W pałacu znajdował się zdrajca, a jego status był nawet wyższy, niż w najgorszych myślach dopuszczał to do siebie Felix. Któż mógłby pomyśleć, że własny brat księcia dopuści się do takich rzeczy? I dlaczego?

Spojrzął na jęczącego młodego szlachcica, o imieniu Jan Pavelovich. Wątpił, by młodzieniec był w stanie dopuścić się równie śmiałego kłamstwa. Po prostu nie wyglądał na zdolnego do czegoś takiego. Z drugiej strony, któż wiedział, do czego mogli być zdolni kultysty Tzeentcha? Może potrafili znieść bicie przez szalonego Zabójcę, mimo że na to nie wyglądali. Felix wzdrygnął się. Kultowi Zmieniacza Dróg udało się przeniknąć nawet na najwyższe poziomy kislevickiego społeczeństwa. Oczekiwali w gotowości, by zebrać łupy wielkiego zwycięstwa hordy, a przynajmniej tak twierdził Jan Pavelovich. I pragnęli śmierci Felixa i Gotreka.

Felix zastanawiał się, dlaczego? Co takiego uczynił, by wzburzyć tajemny kult? Cóż, pomijając zniweczenie ich planów zatrucia spichrza i zabicie kilku skrytobójców. Felix rozmyślał, czemu w ogóle zgodził się na towarzyszenie Zabójcy w jego misji.

Wiedział, że to niegodna myśl i powinien być dumny, że wrogowie ludzkości uznawali go za wartego miana niebezpiecznego przeciwnika, razem z Zabójcą.

Po prostu nie poczuwał się do tego. Był ciekaw, co się stanie, gdy horda wedrze się do miasta. Nic przyjemnego, tego był pewien. Odepchnął od siebie tę myśl i wrócił do rozważań, co powinni zrobić.

Pójść do pałacu i oskarżyć Villema? Wątpił, by przeżyli zbyt długo, jeśli to uczynią. W końcu, dysponowali jedynie zeznaniem tego upokorzonego heretyka. Któż im uwierzy bez dodatkowego dowodu? Może gdyby spróbowali czego innego – wejścia do pałacu i zabicia Villema. Do tego diuk także nie potrafił się przekonać. A jeśli się mylili? Może Zabójcy byli w stanie wykonać egzekucję człowieka, który mógł być niewinny, ale nie on. Co zatem im pozostawało?

Felix czuł się bezradny. Potrzebował rady kogoś, kto zna się lepiej na tajemnych sprawach. Może Max potrafiłby rzucić zaklęcie, które zmusi młodego do powiedzenia prawdy. A może nie. Może nawet, gdyby tak się stało, nie będą niczego pewni? Kultysty zapewne mieli magiczne sposoby unikania wykrycia i rozpraszania podobnych zaklęć. Max sam to powiedział. Felix wstał i rozprostował się. Spojrzął na Zabójcę.

– Co o tym myślisz? – spytał.

– Myślę, że powinniśmy zabić tego zdradzieckiego śmiecia. – Pozostali zabójcy skinęli głowami. Plama wilgoci pojawiła się na dywanie wokół nóg Jana Pavelovicha.

– Potrzebujemy go żywego. Musi powiedzieć swoją historię księciu.

– Czemu księżę miałby mu wierzyć? – wzruszył ramionami Felix. Pomimo swojego wyglądu Gotrek nie był głupcem i jego myśli na temat tej sprawy były wyraźnie podobne do przemyśleń Felixa.

– Możemy poprosić Maxa, by go zaczarował. – wzruszył ramionami Zabójca.

– To może się udać. Nie wiem więcej o czarodziejstwie poza tym, że raczej tego nie lubię.

– Snorri zgadza się – rzekł Snorri. Kolejna myśl przysłała do głowy Felixa. Niedoszli skrytobójcy musieli już powiadomić swojego pana o niepowodzeniu ich misji. Bez wątpienia szykuje dla nich jakąś przykrą niespodziankę. Felix wiedział, że muszą działać szybko, ale nie potrafił wymyślić żadnego błyskotliwego planu. Z braku lepszych słów, powiedział:

– Snorri, Bjorni, zostaniecie tutaj i zadbacie, by nasz przyjaciel nigdzie nie poszedł. Ulli, idź znaleźć Maxa i powiedz mu, co się dzieje. Sprawdź, czy może cokolwiek zrobić. Gotrek i ja idziemy do pałacu.

Felix skierował się do drzwi. Otwierając je odwrócił się i powiedział: – Tylko go nie zabijcie. Potrzebujemy go żywego.

Mógłby przysiąc, że przez twarz Bjorniego przebiegł grymas rozczarowania.

Max Schreiber u boku Ulriki kroczył ulicami w kierunku Białego Dzika. Powietrze było czyste i zimne. Jego oddech unosił się kłębamii pary niczym dym z nozdrzy smoka. Czuł zimno przenikające do stóp przez buty, ale nie przejmował się tym. Wiedział, że ludzie gapią się na nich, lecz nie dbał o to. Po prostu był szczęśliwy, że są razem podczas, być może, ostatnich dni ich życia. Ulrika zatrzymała się, by spojrzeć na uliczny stragan, na którym pewien człowiek ostrzył noże. Iskry ulatywały z osetki, gdy przycisnął do niej sztylet. Powietrze wypełnił wysoki zgrzyt metalu tartego o kamień. Maxowi przypomniały się nagle krzyki duchów wydostających się z kamieni Praag i poczuł dreszcz. Podczas całego życia wypełnionego zajmowaniem się sprawami, które większość ludzi uznawała za ponadnaturalne, niewiele mogło mierzyć się z tym spektaklem dziwaczności i grozy. O ile nie brało się pod uwagę armii siedzącej na śniegu pod Praag. Nie wątpił, że z nadejściem świtu zobaczą uwolnione moce przewyższające wszystko, czego doświadczył ktokolwiek z żywych. Powolne gromadzenie się energii było dostrzegalne dla jego magicznych zmysłów, niczym napięcie tuż przed burzą dla zwykłego człowieka. Mimo to, nie przestawał czuć się szczęśliwy. Spędził większość dnia z Ulriką i uszczęśliwiała go naturalna magia jej obecności. Było za co być wdzięcznym losowi. Nawet w cieniu śmierci i przerażenia można było znaleźć proste przyjemności.

Minął ich oddział mieszkańców powołanych jako milicja miejska, na co wskazywał ich wygląd i twarze ściągnięte wysiłkiem. To byli w większość przestraszeni chłopcy i starsi mężczyźni. Zawodowcy znajdowali się już na murze gotowi do spotkania z wrogiem. Max spostrzegł kilka rzucanych mu zazdrosnych spojrzeń, ale nie był pewien, czy to z tego powodu, że Ulrika jest z nim, czy też dlatego, że jest czarodziejem, a może po prostu dlatego, że nie musiał jeszcze maszerować do walki. Może to były po trosze wszystkie trzy przyczyny.

Max rozejrzał się i zobaczył znajomą postać przepychającą się ku niemu przez tłum. To był Zabójca o młodej twarzy, Ulli. Młodzieniec również go rozpoznał i przedzierał się przez masę ludzi. Coś w wyrazie jego twarzy mówiło Maxowi, że idylla skończyła się. Jego silne ramię zacisnęło się na nadgarstku Maxa.

– Felix mówi, że musisz natychmiast wracać. Złapaliśmy zdrajcę! – ryknął Ulli. Jego donośny głos sprawił, że kilkunastu ludzi odwróciło się w ich kierunku. Max spojrzał na Ulliego surowo. Takich rzeczy nie należało wykrzykiwać na ulicy pełnej przestraszonych ludzi. To mogło zbyt łatwo doprowadzić do zamieszek albo linczu. Max spojrzał wokół, by sprawdzić, czy Ulrika zauważyła, co się dzieje i wskazał jej, że powinna pójść z nimi. Modlił się, by nikt z tłumu nie postanowił sprawdzić, na ile prawdziwe są słowa Zabójcy. Max pomyślał, że Felix mógł wybrać nieco bardziej taktownego posłańca, ale potem zrozumiał, że zapewne mógł wybierać tylko spośród Zabójców. Żaden z nich nie stanowił dobrego wyboru.

– Prowadź – rzekł Max. – Powiedz mi, co się dzieje, tylko postaraj się nie krzyczeć.

– Czy masz plan, człeczyno, czy tylko nadrabiasz miną? – spytał Gotrek Gurnisson, gdy pędzili przez Plac Bohaterów w stronę cytadeli.

– To drugie – przyznał Felix. Oddychał z łatwością. Szybki bieg dla Zabójcy był dla niego

ledwie truchtem.

– Dobrze. Nie chciałbym myśleć, że robimy cokolwiek rozsądnego.

– Zapewne dobrze będzie, jeśli nie zaatakujesz Villema w chwili, gdy go zobaczymy. W końcu, może być niewinny.

– Słyszałem kiedyś, że lepiej ukarać dziesięciu niewinnych, niż uwolnić jednego winnego.

– To powiedział krasnolud, jak sądzę.

– To powiedział główny łowca czarownic Świątyni Ulryka.

Felix spojrział przez plac na wielką świątynię Wilczego Boga. Został wychowany w sigmaryckiej wierze Imperium i nigdy nie dbał zbytnio o to ponure, dzikie bóstwo i jego równie dzikich wyznawców, ale w tej chwili z chęcią zgodziłby się na towarzystwo templariuszy Białego Wilka.

– A jednak, dobrze będzie, byś pozostawił topór czysty od krwi, zanim nie przekonamy się o jego winie lub niewinności.

– Jak mamy zamiar tego dokonać?

– Chciałbym to wiedzieć.

Villem kroczył przez książęcy pałac w stronę głównej sali rady. Nawet o tak późnej porze nadal wchodziły i wychodziły grupy ludzi. W obleżonym mieście zawsze był ktoś, kto chciał widzieć się z przywódcami. Villem oddał saluty gwardzistów i wszedł. Dotknął rękojeści zatrutego ostrza, by upewnić się, że nadal tam tkwi. Zastanawiał się, czy będzie miał okazję go użyć.

Enrik nadal siedział na tronie, wysłuchując debaty doradców na temat tego, co powinno się zrobić. Masował zmęczonymi ruchem swoje skronie. Jego twarz okazywała oznaki niezmiernego napięcia, które go przytłaczało. Villem pomyślał, że to dobrze, ponieważ przynajmniej nie był jedynym, który odczuwał napięcie. Zastanawiał się, dlaczego jego brat w ogóle zadaje się z tymi głupcami. Zawsze jazgotali, byle tylko usłyszano o ich nieistotnych pomysłach. Jakby rzeczywiście miało znaczenie, który oddział zajmie którą wieżę, albo jak zapasy zostaną przydzielone ludziom na pierwszej linii. Jutro wszyscy będą martwi. Tego był najzupełniej pewien.

Ciekaw był, czy jego pomocnicy są na pozycji. Miał taką nadzieję. Może w ten sposób nadrobią swoją fuszerkę związaną z atakiem na dziewczynę. Ta próba zabójstwa musi się powieść. Musiał tylko wywabić swojego brata we właściwe miejsce. To nie powinno być zbyt trudne.

– Panowie, panowie – odezwał się możliwie najmielszym głosem. – Czyż nie widzicie, że wasz władca jest zmęczony i musi nieco odpocząć?

Enrik uniósł wzrok i posłał mu mroźny uśmiech. Villem zmusił się do stłumienia mdłości, które gryzły jego wnętrze i odpowiedział uśmiechem.

– Nie ma na to czasu, bracie – rzekł Enrik. – Musimy dopilnować rozłożenia oddziałów i postanowić, w jaki sposób powitamy rankiem wyznawców Chaosu.

– Z pewnością to może poczekać dziesięć minut, bracie. W końcu, nie wiemy nawet na pewno, czy zaatakują jutro.

Arcyprałat Ulryka spojrział na niego z pogardą.

– Gdybyś zechciał pofatygować się wcześniej na nasze spotkanie, dowiedziałbyś się, że wszystko wskazuje na zbliżający się atak.

– Znaki bywały już mylne – odpowiedział ze swobodą Villem. – Pamiętam jak Lektor Sigmara był pewien, że deszcz spadających gwiazd jest przepowiednią końca świata.

Nawet wzmianka o niepowodzeniu jego największego rywala nie stopiła surowego spojrzenia na twarzy Arcyprałata.

– Brat Anios mówił dziś także o zdradzie pośród najwyższych – powiedział ponuro.

Villem przeklął w duchu. Ten stary szaleniec prorokował już wcześniej takie rzeczy i zwykle miał rację. Ktoś powinien już dawno wepchnąć w niego nóż. Cóż, po tej nocy to nie będzie miało znaczenia. Będzie miał dość czasu, by zająć się wizjonerskimi ascetami... zakładając, że w ogóle przetrwają coraz bliższy upust krwi.

– Takie oskarżenia wygłaszano już wcześniej, zwykle ustami tych, którzy usiłują siać niepokój pośród zacnych ludzi – odpowiedział spokojnie.

– Sugerujesz, że jeden z naszych starszych braci mógłby być heretykiem?

Villem uśmiechnął się odrobinę szerzej, jakby próbując pokazać, że tylko żartował.

– Cóż, ostrzegł was, byście zważali na zdradę pośród siebie.

Kilku dworzan, głównie należących do jego własnej frakcji, zachichotało na te słowa. Arcyprałat pozostał lodowaty. Villem pomyślał, że to nie było dobre. Nie chciał spędzić całej nocy żonglując słowami z tym starym fanatykiem. Musiał dopilnować śmierci brata. To było żalosne, ale niezbędne. I musiało zostać dokonane jak najszybciej.

– Ależ, panowie, czy nie pozwolicie mi zamienić kilka słów z moim bratem, podczas gdy coś zje? Istnieją sprawy, który musimy omówić między sobą.

Zauważył zaciekawione spojrzenie przemykające po twarzy Enrika. Najwyraźniej jego brat zastanawiał się, jakie sprawy trzeba omówić w prywatności o tak późnej godzinie.

– Jego łaskawość mógłby coś przekąsić – stwierdził szambelan. – Nie jadł nic od samego ranka.

Villem w duchu pobłogosławił starca. Wielokrotnie zdarzało się, że z radością udusiłby nudnego, starego mamrota, ale właśnie w tej chwili nadrobił za wszystkie te długie, nudne chłopiące godziny lekcji protokołu.

– Sądzę, że możemy zrobić przerwę na dziesięć minut – powiedział książę. – O czym to chcesz ze mną porozmawiać, Villem?

– To prywatna sprawa, dość pilna – rzekł Villem, rozglądając się wokół nich tajemniczo. Enrik tylko wzruszył ramionami, jakby zgadzał się na wszystko. Członkowie rady zaczęli już wychodzić z sali.

– Choć, przejdziemy się do jadalni i rozprostujesz nogi.

– O, to nie jest zły pomysł. Przydałoby mi się trochę ruchu. To mnie rozluźni przed jutrzejszym dniem.

Villem zarzucił rękę na ramionach brata i zaczął prowadzić go ku drzwiom, które wiodły do jadalni.

– Za bardzo martwisz się jutrem, bracie.

Felix rozejrzał się po sali i rozpoznał Borisa, kapitana książęcej gwardii. Na razie było dobrze. Udało im się wraz z Zabójcą dotrzeć tak daleko, a nikt nie próbował ich powstrzymać. Teraz musieli tylko znaleźć księcia. Skinął, by przyciągnąć uwagę kapitana gwardii. Boris zauważył go i natychmiast do nich podszedł.

– O co chodzi, Herr Jaeger?

– Gdzie jest książę?

– Udał się do jadalni, by coś zjeść. Rada zbierze się ponownie za kilka minut. Czemu chcesz się z nim widzieć?

Felix rozpaczliwie szukał powodu, który umożliwi mu rozmowę z księciem na osobności. Nagle wpadł na pomysł.

– Przynoszę mu pilne wieści od Herr Schreiber, dotyczące demonicznych sił oblegających

miasto.

Zauważył, że zainteresował wielu z obecnych. Czarodziej, czy nie, Max Schreiber był najwyraźniej wysoce szanowany przez tych ludzi. Cóż, pierwsze koty za płoty. Teraz musiał tylko znaleźć sposób na przekazanie wiadomości księciu nie tracąc po drodze własnej głowy.

– Gdzie zatem jest książę? – spytał jakby z czystej ciekawości.

– Właśnie udał się do jadalni, by coś zjeść i zamienić kilka słów ze swoim bratem.

Felix wymienił zaszokowane spojrzenie z Zabójcą. To mogło być coś zupełnie niewinnego – ale mogło też być coś znacznie bardziej złowieszczonego.

– Którędy do jadalni? – spytał. Widząc niepewne spojrzenie na twarzy kapitana gwardii, dodał.

– Słyszałem wiele opowieści o pięknie wiszących tam gobelinów.

– To za główną salą tronową, w pobliżu wielkich schodów. Gdzież twój śmiały kompan bieży w takim pośpiechu? Uczyłem na rozmowę z nim o jego pracy na murach.

– Sądzę, że szuka wychodka. Sporo wcześniej wypił.

Villem szedł obok brata przez ocienione korytarze pałacu. Cieszył się, że jest noc i mrocznie pomimo światła pochodni. Nie chciał zbyt dokładnie widzieć twarzy Enrika i wolał, by brat nie widział jego twarzy. Obawiał się, że jego zamiary i poczucie winy są na niej wypisane zbyt wyraźnie.

– A więc, bracie, o czym pragnąłeś ze mną rozmawiać?

Villem zastanawiał się, jak blisko znajdowali się miejsca, gdzie czekali ukryci Lars i Pavel. Pomyślał, że niezbyt daleko, może około trzydziestu kroków. Powinni czekać w tamtych alkowach. Miał nadzieję, że pamiętają instrukcje. Czyste pchnięcie. Sprawdził jeszcze raz zatruty nóż, pamiętając o tej części planu, której im nie wyjawiał.

Niezbędne było, by zginęli, zabici przez opłakującego stratę brata, zaraz po tym, jak zabiją swojego księcia. Kilka zadrapań jego sztyletem ich zatrzyma. Potem odpowiednio porozcina ich ciała i sprawi, by to wyglądało na wystarczająco krwawą bitwę. W chwili, gdy ta myśl przemknęła przez jego umysł, zastanawia! się, czy jest w stanie doprowadzić swojego brata do śmierci. Czy naprawdę upadł tak nisko?

– Wydajesz się bardzo zamyślony – dodał Enrik. – Co cię gryzie?

Jego brat był zatroskany. To było nawet dość wzruszające. Villem nakazywał sobie, by tym razem okazał się bezwzględny. Nie mógł sobie pozwolić na sentymenty. Albo on, albo jego brat. Łatwo było tak myśleć, gdy dotyczyło to obcych i rywali w służbie Tzeentcha. Teraz było trudniej. W końcu, to był jego brat, człowiek, którego znał dłużej niż kogokolwiek innego, z którym dorastał, z którym bawił się jako dziecko. To była osoba, którą znał od dawnych dni, zanim wplątał się w sieci Mrocznych Bogów i ich wyznawców, gdy życie było prostsze i bardziej niewinne.

– Czy pamiętasz czasy, gdy byliśmy chłopakami i pobieraliśmy lekcje fechtunku u starego Borisa?

– Czy to jest ta ważna sprawa, o której chciałeś ze mną rozmawiać? – spytał cicho Enrik. Nie wydawał się być rozgniewany, raczej zaskoczony i nieco rozczulony. To była ta strona jego osobowości, której większość ludzi nie widziała, bowiem widywali tylko zimnego i hardego księcia. Villem zdał sobie sprawę, że to była ludzka istota, którą tylko on znał w pełni. To był człowiek, któremu Villem służył lojalnie od wielu lat i zrozumiał, że ta lojalność nie była do końca udawana, nawet po tym, jak wszedł do kultu Zmieniaacza. Gdy zabije zabójców księcia, po części będzie to prawdziwa zemsta rozżalonego brata.

Naprawdę będzie mu brakowało Enrika i czuł prawdziwy żal, że sprawy doszły to tego punktu.

Jednakże, niemożliwe było, by jego brat przetrwał kilka następnych dni, bez względu na wszystko. Horda Areka Pazura Demona z pewnością przejmie miasto i jego brat zginie razem ze swoimi wojownikami. W pewien sposób Villem czynił mu łaskę, sprawiając, że nie dożyje do skrwawionego świtu.

Nakazał sobie zapomnieć o tej hipokryzji. Jego brat musiał umrzeć, by zapewnić Villemowi wieczne życie z rąk Wielkiego Mutatora. To było takie proste. A jednak, wiedział, że tak nie jest. W przeszłości zbyt często żałował swojej decyzji przystąpienia do kultu Chaosu i żałował, że nie był dość śmiały, by im odmówić, nie dbając o konsekwencje. Był pewien, że gdy nadejdzie chwila sądu przed Tzeentchem, bóg dostrzeże to i przypomni mu o tym. Villem nie posiadał bezwzględności i przekonania, by powiodło mu się wśród szeregow Pana Zmian. Był przeklęty, w którąkolwiek stronę się skieruje. Nie mógł zawrócić ze ścieżki, którą wybrał, a droga naprzód także prowadziła do zguby. Potrząsnął głową i westchnął.

– Czy wreszcie wyjawisz mi ten wielki sekret, który w sobie trzymasz? – spytał spokojnym głosem Enrik.

Oczywiście żartował, ale Villem poczuł nagle, samobójcze pragnienie wyznania wszystkiego. Zapragnął powiedzieć swojemu bratu dokładnie jak wielką tajemnicę skrywał. Nie chciał błagać o przebaczenie, nie chciał żałować, nie chciał nawet zostać zrozumiany. Po prostu czuł się zmęczony i ugiął się pod ciężarem swojej zakazanej wiedzy. Chciał, by ta tajemnica skończyła się i pragnął poczuć się od niej wolny.

Nie czuł się już wodzem stada. Nie wydawało mu się, że jest członkiem uprzywilejowanej elity. Po prostu czuł się śmiertelnie zmęczony.

– Sporo o tym ostatnio myślałem, o lekcjach fechtunku – rzekł, by przerwać ciszę i powiedzieć cokolwiek. Jak daleko było do alkowy? Dziesięć kroków? Piętnaście? Trudno było ocenić. – Myślałem o tym, jak straciłem panowanie nad sobą i uderzyłem cię od tyłu i nabiłem ci guza na głowie, a ty powiedziałaś Borisowi, że to był wypadek. Nigdy ci za to nie podziękowałem.

– I to tkwiło w twojej głowie przez cały ten czas, czyż nie? – spytał Enrik i zaśmiał się. To był zdrowy, serdeczny śmiech człowieka u szczytu sił. Villem pomyślał ze smutkiem, że to nie było w porządku ucinać taki śmiech. Przyszło mu na myśl, że nie miało znaczenia nic, cokolwiek zrobił. Zabił wielu ludzi bez powodu, aby doprowadzić do końca to, w co wierzył i teraz poświęcał swojego własnego brata dla tego samego. Nadszedł czas, by zatrzymać to szaleństwo. Tylko, jak mógł to teraz zatrzymać? Sprawy zaszły o wiele za daleko. Byli już prawie pod alkowami. Był pewien, że dostrzeżę cienie oczekujących skrytobójców. Nagle Pavel wyskoczył naprzód.

Villem nie był całkiem pewien, co pchnęło go ku ostrzu zabójcy: żal, miłość, oddanie... a może proste przeświadczenie, że jego życie poszło w złym kierunku i musi za to odpokutować. Głęboko zakorzenione pragnienie przetrwania sprawiło, że wyrwał nóż z pochwy i krzyknął:

– Uważaj, skrytobójcy! – po czym odepchnął swojego brata na bok, posyłając go na ziemię. Nagłe ostre szarpnięcie przeszywającego bólu w boku powiedziało mu, że ostrze Pavela wbiło się w jego ciało. Minie kilka chwil zanim wykończy go trucizna. Chyba, że...

Sięgnął w głąb swej duszy i znalazł iskrę mistycznej mocy, która tak niedawno się przebudziła. Migotała słabo, lecz chwycił ją i instynktownie nakazał jej neutralizować truciznę. Był świadom, że udało mu się tylko częściowo, że zyskał zaledwie kilka kolejnych uderzeń serca, ale może to wystarczy. Uderzył w Pavela, ale zabójca był zbyt szybki. Villem dostrzegł zaskoczenie pojawiające się na jego twarzy, gdy Pavel zrozumiał, kto go atakuje. Zaskoczenie znikło prawie natychmiast. Wszyscy Wyznawcy Tzeentcha byli aż nazbyt świadomi otaczającej ich zdrady i wiedzieli, że następne skierowane ku nim ostrze może spoczywać w dłoni jednego z ich sprzymierzeńców.

Pavel zareagował natychmiast, wykonując unik w tył i nacierając jeszcze raz. Jego nóż znowu przeszył bok Villema. Poczł muskularne ramie zaciskajace sie wokol jego karku i zrozumial, ze Lars złapal go i trzyma w miejscu, gdy Pavel raz za razem zatapia noz w jego ciele. Bol odpłynal. Opuszczaly go siły. Wszystko w jego polu widzenia wydawalo sie ciemniec. Patrzy! na zbliżajaca sie ku niemu podłoge i zrozumial, ze jego dawni poplecznicy upuscili go. Czerwien wokol niego byla krwia i wydostawala sie z jego ciała. Nie mial pojecia, ze ludzkie ciało może zawierac w sobie tak wiele krwi.

Spojrzał w tył i zobaczył swojego brata nadal rozciągniętego na podłodze. Wylądował twardo, gdy Villem go odepchnął. Ogarnął go żal. Wszystkie jego wysiłki poszły na nic. Zabił swojego brata, a przynajmniej przypadkowo umożliwił to zabójcom. Usłyszał dochodzący jakby z wielkiej oddali okrzyk bojowy i wyczuł wielką, mroczną postać poruszającą się korytarzem. To był krasnolud. Rozpoznał go: Zabójca, Gotrek Gurnisson.

Villem pomyślał, że jak bardzo było to ironiczne. Spędził cały czas usiłując go zabić, a teraz modlił się za niego, dziękując za przybycie w ostatniej chwili. Jakże głośno musieli śmiać się bogowie!

Widział krasnoluda zbliżającego się do Larsa i Pavela. Odwrócili się, by się z nim zmierzyć, ale nie mogli równać się ze wściekłością Zabójcy. Topór błysnął raz, drugi i było po wszystkim. Czerwone szczątki dawnych kultystów padły na ziemię obok niego.

– Dziękuję ci – usiłował powiedzieć Villem, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu z powodu czerwonej piany, która wydostawała się z jego gardła.

Wokół niego gromadziła się ciemność i poczuł się ściągany w dół ku temu, co czekało za drzwiami śmierci. Było tam gorąco i pełno przeszywającego bólu. Pan Zmian czekał już tam na niego.

Rozdział 11

Felix wyglądał z murów w pobliżu Bramy Gargulców. Bez wątpienia nadszedł ten dzień. Legiony wyznawców Chaosu wiedziały o tym. Wiedzieli to także wszyscy żołnierze. Wiedzieli również wszyscy mieszkańcy ukrywający się za nimi. W powietrzu unosiło się coś, dzięki czemu nie trzeba było być czarownikiem, by się tego domyśleć.

Chmury na niebie były czerwone, pokryte smugami przecinanymi od czasu do czasu przebłyskami czerni i srebra. Karmazynowy opar unosił się nad okolicą, nadając śniegowi barwę krwi i zasłaniając dalsze części armii Chaosu. Coś związanego z tym lśnieniem sprawiało, że włosy na karku Felixa stawały dęba. Nie musiał słuchać wyjaśnień Maxa Schreibera, by wiedzieć, że działa plugawa magia. Patrzył jak niezliczone tysiące wojowników przesuwały się na pozycje.

Felix stwierdził, że nazwanie tego tłumu regimentami wojska byłoby niezbyt trafne. To były raczej prymitywne dzikusy zebrane w służbie potężnego wodza. Kłębili się u podstaw demonicznych machin wojennych, dziwacznie cichych w rudawym świetle. Jak wiele było tam plemion szumowin Chaosu?

Doliczał się co najmniej dwunastu różnych chorągwi należących tylko do ludzi odzianych w futra. Widniał na nich wizerunek człowieka obdartego ze skóry. Była twarz z zaszytymi ustami. Ponad jednym z oddziałów łopotał symbol trzygłowego wyjącego psa. Ponad głowami innych unosiły się sztandary przedstawiające jakiegoś demona. Felix żałował, że nie może być pewien, iż jedyni ludzcy wyznawcy Chaosu w jego pobliżu znajdują się wyłącznie poza murami. Wydarzenia poprzedniego wieczora wstrząsnęły nim.

Spodziewał się, że nigdy nie dowie się, czy Villem był zdrajcą, czy też nie. Z pewnością był mutantem, stygmat już pojawił się na jego ciele. Jednak, zgodnie z relacją księcia i Gotreka, walczył, by ocalić życie swojego brata, gdy wpadli w zasadzkę i zginął podczas zamieszania. Felix domyślał się, że książęcy brat był niewinny, a wszystko to stanowiło część planu Jana Pavelovicha zmierzającego do zasiania niezgody wśród przywódców miasta. Mogło tak być, gdyby Jan Pavelovich należał do kultystów najwyższych rangą, w co Felix szczerze wątpił. Zastanawiał się, czy młody szlachcic rzeczywiście rzucił się przez okno, gdy Snorri i Bjorni pili, czy też Zabójcy odrobinę mu w tym pomogli. Pytanie o to nie wydawało się polityczne i nie było sensu spieranie się z innymi teraz, gdy bitwa prawie rozgorzała. Wszyscy muszą stanąć razem, jeśli chcą zachować najmniejszą szansę na przetrwanie.

Felix potrząsnął głową dumając nad własnymi myślami. Takie przemyślenia nigdy nie przychodzą do głowy Zabójcom. Nie po to tutaj byli. Byli tu, by znaleźć heroiczną zagładę. Felix nie wątpił, że tego ranka znajdą ku temu wiele okazji. Spojrzał w bok na pozostałych, by zobaczyć, jak znoszą oczekiwanie.

Gotrek wyglądał równie ponuro jak zwykle. Nie spuszczał wzroku ze zbliżającej się hordy, wydawał się wyluskiwać pojedynczych osobników, jakby oceniając, kto będzie wart jego czasu podczas walki sam na sam. Felix uśmiechnął się spoglądając na Zabójcę. Oto był ten, który zamierza drogo sprzedać swoje życie i pociągnąć za sobą co najmniej tuziny, prosto do piekła.

Snorri ścisnął się za głowę i jęczał, najwyraźniej bardziej zatroskany własnym kaczem niż wizją zbliżającej się śmierci. Od czasu do czasu przerywał jękiem, by wykrzyknąć *coś*, co brzmiało jak krasnoludzkie obelgi w stronę wyznawców Chaosu, którzy przerwali jego drzemkę. Bjorni stał w pobliżu z jednym ramieniem wokół Sashy i drugim wokół Mony. Felix był ciekaw, jak udało mu się

przemycić ze sobą karczemne dziewczki na mury i jak udało mu się przekonać je, by przyszły z nim w to niezwykle niebezpieczne miejsce. Zapewne sprawiły to pieniądze, chociaż patrząc, jak mocno przytulały się do niego, wydawało się, że żywią do krasnoluda prawdziwe uczucie. Felix pomyślał, jak zabawny jest ten stary świat.

Obok stał Ulli, blady i zamyślony. Jego dłoń bawiła się szczeciniastą brodą, a on spoglądał stale w niebo, jakby nie chciał przyglądać się dokładnie wrogowi. Felix nie winił go za to. Niezbyt wielu chciało spoglądać na nadchodzącą pewną śmierć. Nawet Zabójcy nie byli do tego zbyt skłonni.

Max i Ulrika stali blisko księcia i jego świty. Max wyglądał w dal, jakby patrzył na rzeczy, które tylko on był w stanie dojrzeć. Ulrika nawet nie spojrzała w stronę Felixa. Felix czuł, że powinien czuć się bardziej urażony, ale pewne było, że ich związek podążał teraz własną drogą i nawet w mało prawdopodobnym przypadku, gdyby oboje to przeżyli, zapewne się rozstaną. Felix żałował tego, ale taka była prawda.

Księżę wyglądał surowo i władczo, a jego żołnierze robili wszystko, by zachować dobrą minę. W normalnych okolicznościach przyszłoby im to znacznie łatwiej. Skrzydlaty lew łopotał na każdej wieży oraz na proporcach setek kompanii. Ciężko zbrojni ludzie tłoczyli się na blankach. W dłonicach zaciskali miecze, włócznie i halabardy. Jednostki łuczników szykowały się do otwarcia ognia, gdy tylko wróg się zbliży. Katapulty, balisty i inne maszyny wojenne wznosiły się nad szeregami co każde pięćdziesiąt kroków. Felix wiedział, że w poprzecinanych wykuszami murach za nimi jeszcze więcej łuczników szykuje się strzelania przez szczeliny i otwory. Czuł zapach podgrzewanego gotującego się oleju i wrzącej smoły przygotowywanej do polewania kikutów rannych. Zbiorniki alchemicznego ognia zostały już otwarte, gotowe do załadowania na maszyny. Felix żałował, że nic nie zjadł tego ranka, ale teraz było już za późno.

Zobaczył jakieś nowe poruszenie w oddali. Wielka chmura harpii uniosła się nad masą wyznawców Chaosu, zakłębiła się i zawirowała wysoko niczym stado jaskółek otaczających iglicę świątyni podczas letniego wieczora. Felix uznał jednak, że nic była to zbyt stosowna analogia. Przypominało to raczej rój demonów wznoszących się nad jakimś ognistym piekłem, by szukać żeru wśród zaginionych dusz pod nimi. Miał nadzieję, że łucznicy i czarodzieje są już przygotowani. Nie cieszyła go wizja walki z hordą tych paskudnie śmierdzących potworów o nietoperzowych skrzydłach. Żywe wspomnienia ledwie udanej ucieczki przed nimi na Pustkowiach Chaosu zbyt łatwo powracały do jego umysłu.

Harpie zaczęły powoli krążyć wokół miasta lecąc po spiralnym torze coraz wyżej i wyżej, aż stały się ledwie małymi kropkami na wielkim, krwawoczerwonym niebie. Najwyraźniej nie zamierzały jeszcze atakować. Poruszenie na ziemi jeszcze raz przyciągnęło uwagę Felixa. Hordy zwierzolidzi przedzierały się przez tłum ludzkich wojowników i ustawiały się nieco przed nimi, pozostawiając przejścia, którymi mogły przesuwać się inne jednostki. To przypominało przyglądanie się wielkiej szachownicy, na której stale poruszały się figury z krwi i kości. Teraz zbliżyli się wojownicy Chaosu w czerni poprzedzeni dudnieniem wielkich bębnow. Szeregi kawalerii przejechały po rampach przerzuconych nad okopami linii armii Chaosu. Masywne ołtarze wojenne uniosły się na ramionach pokrytych tatuażami fanatyków.

Nagle zapadła martwa cisza. Felix podniósł do oka lunetę i skupił wzrok na wielkim, jedwabnym namiocie w centrum armii. Wszedł z niego Arek Pazur Demona, jego wodzowie i czarownicy. Felix dostrzegł obu nikczemnie wyglądających bliźniaków albinosów, odzianych w złoto i czerń oraz hordę pomniejszych magów, wszystkich okrytych grubymi strojami znaczoneymi dziwnie lśniącymi znakami. W dłoniach trzymali laski, które wyglądały jak wyrzeźbione z kości i zakończone ludzkimi czaszkami. Sądząc po tym co widział, Felix domyślał się, że między generałem

Chaosu i jego czarownikami toczy się jakaś kłótnia. Gestykulował gniewnie i wskazywał na miejskie mury, podczas gdy magowie najpierw potrząsali głowami, a potem skinęli nimi.

Felix był ciekaw, co się tam działo?

Arek Pazar Demona był wściekły. Całą noc słuchał przekomarów swoich wodzów, gdy każdy próbował zyskać dla siebie i swoich popleczników najlepszą pozycję podczas nadchodzącego ataku. Wszyscy usiłowali przekonać Areka, by umieścić ich przed ich rywalami. Całą noc wysłuchiwał głupich przygan jego czarowników mówiących mu, że nie nadszedł jeszcze właściwy czas na ich zaklęcia i gwiazdy nie są w porządku, a największa moc nie została jeszcze wezwana.

Pewien był, że to tylko wymówki. Jego szpiedzy, a było ich wielu, donieśli mu, że Lhoigor i Kelmain odwiedzali wielu wodzów. Przepytani czarnoksiężnicy twierdzili, że tylko robili co w ich mocy, by utrzymać razem armię i zapewniali jego podwładnych, że wszystko idzie dobrze. Arek nie wierzył w to. Wiedział, że knuli przeciw niemu i jest tylko kwestią czasu zanim jeden lub więcej z jego generałów powstanie, by go wyzwać. Ten stały brak aktywności, to narzekanie na gwiazdy i omeny po prostu zapewniało więcej czasu dla jego wrogów, podczas którego armia stawała się znudzona i rozdrażniona bezczynnością, gotowa do zbuntowania się przeciw prawowitemu wodzowi. Co gorsza, to dawało jego wrogom czas, by mogli się zebrać. Zwiadowcy donosili, że armia Lodowej Królowej znajdowała się w odległości kilku dni, a z północy nadciągał oddział skavenów. To prawda, że te siły były drobne, ale Arek wiedział, że wiele armii uległo rozbiciu na skutek ataku od tyłu w nieodpowiednim momencie. To nie mogło przydarzyć się jego armii. Wszystkie rozmyślenia o rebelii i bezczynności zakończą się tego dnia.

Nie zamierzał dać im czasu na takie przemyślenia. Wkrótce cała jego armia będzie zbyt zajęta, by knuć przeciw niemu. Wkrótce da im zwycięstwo, które jeszcze raz zjednoczy za nim całą hordę i przerwie knowania tych, którzy pragnęli rzucić mu wyzwanie. Dziś przetoczą się ponad murami Praag i zdobędą ostateczne, całkowite zwycięstwo.

Max Schreiber przyglądał się przesuwającym się naprzód magom hordy Chaosu. Odczuwał coś więcej niż zawodowe zainteresowanie. W niedługim czasie życie jego oraz kobiety, o którą się troszczył może zależeć od tego, jak dobrze zrozumie to, co tam widział.

Najdokładniej przyglądał się dwóm bliźniakom albinosom. Było w nich coś, co ich wyróżniało. Dla wyćwiczonych magicznie zmysłów Maxa wydawali się świecić od mocy. To byli najpotężniejsi magowie jakich kiedykolwiek widział, znacznie silniejsi niż każdy z jego starych mistrzów oraz sam Max. Pozostali magowie wokół nich byli zapewne ich uczniami. Spoglądali na bliźniaków z trwożliwym szacunkiem i wydawało się, że skupiają całą uwagę na każdym ich słowie i geście.

Dwaj magowie zbliżyli się do pustego fragmentu ziemi przed hordą, nadal pozostając daleko poza zasięgiem strzałów z muru. Przez chwilę stali w milczeniu z opuszczonymi głowami, a potem spojrzeli na siebie nawzajem, wzniesli swe ramiona i zaczęli śpiewać. Najpierw, wydawało się, że nic się nie stanie. Max wyczuwał tylko najłżejsze poruszenie wiatrów magii i to tylko dzięki temu, że jego zmysły były niesamowicie wyteżone. Jeden po drugim, magowie wokół albinosów skłaniali swe głowy i także zaczęli śpiewać. Max poczuł subtelną zmianę w powietrzu.

Wiatry magii wiały teraz silniej, podobnie jak prawdziwy powiew. Zimne palce powietrza dotknęły twarzy Maxa. Macki mocy wyskoczyły z łasek bliźniaków i dotknęły potężnych machin wojennych wokół nich. Łuki mocy przeskakiwały od jednej maszyny do drugiej tworząc sieć niemal zbyt zawiłą, by oko Maxa było w stanie je śledzić. Przyglądał się, jak kolejne promienie sięgały w górę i na zewnątrz dotykając lśniących obłoków nad nimi. Przetoczył się grzmot. Na ziemię pomknęły pioruny.

Max wiedział, że nie były to zwykłe błyskawice. Były brzemienne od całej mocy, jaką horda

Chaosu ściągnęła z Północnych Pustkowi. Wielkie wyładowania waliły na dół i uderzały w końcówki jednej z lasek bliźniaków. W tej chwili, magowie wydawali się wezbrani złowieszczą mocą. Dla wyćwiczonego oka Maxa ich aury stały się jeszcze jaśniejsze. Ich głosy nabrały siły, aż śpiew dało się usłyszeć na murach Praag. Słowa pieśni pełne były niktzemności i stale powtarzały imię Tzeentcha. Max obserwował śnieg topniejący wokół stóp czarnoksiężników, aż oczyścił się obszar o promieniu pięćdziesięciu kroków i widoczna stała się brązowa ziemia.

Gdy zagrzmiął grom, chmury zaczęły kręcić się niczym woda w wirze. W ich środku otworzyła się dziura obnażająca niebo powyżej. Przez tą przerwę załśnił zły księżyc Chaosu, Morrslieb. Świecił jasno jak małe słońce i znowu otaczająca go aura wydawała się tworzyć paskudny, rechoczący pysk z otwartą paszczą i potężnym jęzorem, spoglądający żarłocznie na miasto.

Max usłyszał jęknięcia i westchnienia ludzi w pobliżu. Wiedział, co jest tego przyczyną. To paskudne oblicze przedstawione było na gobelinach w pałacu i na rzeźbach wielu budynków. To była ta sama złowroga twarz, która spoglądała na Praag podczas ostatniego oblężenia. Powietrze wibrowało od energii. Rozległ się potężny łomot, gdy światło księżycy padło na wielkie maszyny oblężnicze. Aury wokół nich zamigotały. Ich metalowe kształty zadrżały, zatrzęsły się i zaczęły się poruszać. To był widok przerażający i zdumiewający, niczym oglądanie pola potężnych metalowych posągów powracających do życia.

Czarnoksiężnicy nie przerywali śpiewu. Opary otaczające armię zdawał się krzepnąć i gęstnieć, łącząc się w masywne bloki czerwonego światła. A potem wydawały się kurczyć i zmniejszać jednocześnie skupiając się w kształty. Zaczęły pojawiać się sylwetki humanoidalnych postaci. Najpierw stanowiły tylko niewyraźne, potworne figury, ale z upływem minut i na skutek nieprzerwanego śpiewu czarowników, stawały się rzeczywistymi postaciami ze światła, pozbawionymi wszelkich cech. Potem jednak przyjęły kształt i wizerunek, aż pojawiły się tysiące obscenicznie ukształtowanych postaci.

Max rozpoznawał wiele z nich z zakazanych tomów, które studiował. Stworzenia, które przypominały złe, ożywione grzyby były Ogniakami Tzeentcha, pomniejszych demonami o znacznej mocy. Różowe stworzenia o potężnych głowach w miejscu korpusów podskakiwały radośnie i tańczyły na gołej ziemi.

Teraz pozostali magowie wielkiej armii zaczęli się przyłączać. Max domyślał się, że byli oni kapłanami i czarnoksiężnikami w służbie innych potęg, wykorzystujących mroczną magię, którą przywołali ulubieni czarownicy Areka. Max patrzył zdumiony, jak coraz więcej demonicznych postaci zaczyna pojawiać się z nicości i przybierać kształty.

Rozpoznawał Demonice Slaanasha. Dziwaczne obojnacze postacie z jedną nagą piersią, bezwłosymi głowami i wielką parą szczypiec podobnych do odnóży kraba. Były piękne w dziwny i niepokojący sposób. Kilka ich oddziałów jechało na dziwacznych dwunogich bestiach z długimi, ruchliwymi językami, pozostałe maszerowały piechotą i unosiły długie ostrza.

Pośród szeregów odzianych w czarne pancerze wojowników Chaosu materializowały się inne figury. Potężne ogary o zębach ze stali i wielkich kościanych kołnierzach wystających z karków. Ogromni, opancerzeni wojownicy dosiadający grzbietów potężnych rumaków o barwie czerwieni i brązu, znacznie większych niż jakikolwiek koń, których ślepia lśniły dziwnym krwawoczerwonym światłem. Dziwne, oślizgłe istoty przypominające glisty pojawiały się przed zarażonymi szeregami wyznawców Nurgle'a. Wszystkie stwory otaczało halo mocy, które zapewniało Maxa o ich demonicznym pochodzeniu. Podczas całego życia nigdy nie był świadkiem tak potężnej mocy przywoławczej, nigdy nie widział tak wiele mistycznej potęgi uwolnionej w jednym miejscu.

Wątpił, by kiedykolwiek w swym życiu po raz kolejny zobaczył coś podobnego.

Felix spoglądał na podchodzącą horde Chaosu. Tylko w ten sposób mógł powstrzymać się od jęczenia ze strachu, tak jak wielu wokół niego. Zastanawiał się, czy przeżyje następną godzinę. Potężne metalowe wieże oblężnicze pokryte obliczami ohydnych demonów zaczęły toczyć się naprzód. Niektóre z nich ciągnięte były przez grupy spoconych, półnagich mężczyzn. Pozostałe poruszały się dzięki własnej mocy czarnoksiężkiej, zbliżając się coraz bardziej do murów. Wielkie ramiona katapult poruszały się w górę i naprzód posyłając ładunki wielkich głazów, które uderzały w mury. Felix usłyszał krzyki i wrzaski dobiegające z odległej sekcji murów, gdzie śmiercionośny ładunek opadł na obrońców.

Teraz dziesiątki tysięcy maruderów, zwierzoludzi i wojowników Chaosu zaczęły nacierać naprzód, pędząc przez śnieg ku murom. Straszne było słuchać ich okrzyków i wycia. Uderzano w ogromne bębny. Dęto w wielkie rogi. Wiatr przynosił do nozdrzy Felixa smród siarki i gnijących ciał.

Mocno ścisnął miecz i zmuszał się do zachowania spokoju. To było trudne. Rozpoznawał kilka z pędzących ku niemu stworzeń przypominając sobie czas, który spędził w tunelach pod Karag Dum. Na przykład te ogary były demonicznymi stworzeniami, których ciała nie mogło przebić zwykłe ostrze. Zastanawiał się, w jaki sposób obrońcy je mogą powstrzymać. Topór Gotreka był w stanie zabić te bestie, ale Zabójca nie mógł przebywać jednocześnie wszędzie i nawet on nie był w stanie pozabijać małej armii demonów, które nacierały na nich.

– Poproście ich, żeby się nieco uciszeli. Snorri ma małego kaca – powiedział Snorri.

Felix uśmiechnął się. Poczuł, że napięcie odrobinę zelżało. Postanowił, że cokolwiek się do niego zbliży, bez względu na to, jak będzie potężne, on da z siebie wszystko, by to zabić. Skoro nie mógł zrobić nic innego, przynajmniej zabierze ze sobą kilku z tych bękartów czczących Chaos.

Harpie nad nimi przestały krążyć i zaczęły opadać po spirali. Ich długi lot w dół nie przypominał pikowania, które przeprowadzały na Pustkowiach Chaosu. Domyślał się, że zostały poinstruowane, by wymierzyć swój atak w chwili, gdy wieże oblężnicze uderzą o ściany. Wywołają dodatkowe zamieszanie, którego obrońcy nie będą mogli zignorować. Ktoś rzeczywiście planował to od dawna.

Horda Chaosu zbliżyła się jeszcze bardziej. Większość wojowników i demonów skupiła się wokół wielkich machin oblężniczych, szukając schronienia w ich cieniu. Kilku śmielszych, bardziej ryzykanckich **lub** zdesperowanych w poszukiwaniu chwały popędziło naprzód. Obrońcy na murach patrzyli w napięciu. Felix wiedział, że wkrótce wyznawcy Chaosu znajdą się w zasięgu. Nadszedł czas na odpędzenie atakujących.

Felix podniósł swoją lunetę i skierował ją na biegnącą horde. W jego polu widzenia pojawiły się twarze. Zobaczył brutalnych barbarzyńców z ustami otwartymi w okrzykach furii. Z ich ust kapąła piana, żyły na ich czołach nabrzmiały, mięśnie napęczniały. Za nimi znajdowali się potężni zwierzoludzie o łbach baranów, rogaci, okryci futrem, o ślepiach wypełnionych złowrogą czerwienią. Nieludzkie pyski wznosiły się do zwierzęcych porykiwań. Czarne hełmy pokryte runami okrywały twarze rycerzy Chaosu odsłaniając jedynie ich dziwnie lśniące oczy. Demoniczne oblicza migotały w niekczemnym lśnieniu upiornego księżyca. Felix z wysiłkiem oderwał od nich wzrok i przyjrzał się jednej z wież oblężniczych.

Była jeszcze wyższa niż mury Praag, zbudowana z drewna i osłonięta czarnym żelazem z Pustkowi, bez wątplenia sprowadzonym z demonicznych kuźni pod ruinami Karag Dum. Płyty były wytopione na kształt łbów rechoczących demonów oraz opisane niewypowiedzianymi runami, których złe światło raniło oko. Wieża, na którą patrzył Felix, miała wyrzeźbioną na przedzie

masywną głowę Khorne'a. Jej koła zdobiły pyski podobne do wielkiego krwiopijca, którego spotkał w zaginionym krasnoludzkim mieście. Nadawały konstrukcji wrażenie niesamowitych rozmiarów i solidności. Wydawała się raczej ruchomą wieżą z żelaza niż toczącą się machiną wojenną. A jednak poruszała się, poruszana czarodziejstwem, tocząc się naprzód z szybkością ludzkiego truchtu, podskakując na wyboistej ziemi i miażdżąc nieuważnych zwierzoludzi, którzy weszli jej w drogę.

Z rozdziawionej paszczy Khorne'a wystawał wielki dwugłowy taran, który niezwykle przypominał jęzor ogromnego węża. Na szczycie wieży, grupa barbarzyńców obsługiwała małą balistę i szaleńczo usiłowała wycelować ją w obrońców. Przez tuziny małych okien w bokach maszyny Felix dostrzegał ukryte w cieniu sylwetki oczekujących wewnątrz wojowników.

Felix usłyszał niedaleko od siebie śpiew modlitw i zaklęć. Z murów Praag poderwały się kule ognia kierujące się łukiem ku nadciągającej hordzie. Wyładowania błyskawic zamigotały na niespokojnym niebie. Dziwne złote lśnienie pojawiło się nad głowami wyjących wojowników Chaosu. Większość zaklęć zamigotało i zamarło, pochłoniętych przez dziwaczne opary otaczające plugawą armię lub zneutralizowane wysiłkiem czarnoksiężników hordy. Jeden lub dwa pociski dosięgły jednak celu. Felix widział kulę ognistą eksplodującą pośród oddziału zwierzoludzi. Dwudziestu rozerwało na kawałki na miejscu. Kolejny tuzin zapalił się i zaczął biec bezmyślnie wśród swych pobratymców, płonąc niczym ludzkie pochodnie, aż zostali zabici lub zdeptani. Na ten widok wojownicy na blankach wydali z siebie okrzyk radości. To było pierwsze, małe zwycięstwo. Felix miał nadzieję, że będzie ich więcej.

Skrzypnięcie, po którym nastąpił głośny brzęk powiedziało Felixowi, że jedna z potężnych katapult obok niego odpaliła. Masa wielkich kamieni poszybowała nad oblegającymi, a potem z pozorną powolnością dla odległego obserwatora, opadła zabijając wszystko pod nimi. Felix cieszył się widząc, że katapulta zabiła nie tylko bezpośrednie cele. Wielu maruderów, którzy usiłowali uniknąć spadających skał zostało zmiażdżonych pod kopytami towarzyszących im zwierzoludzi. Ta część zbliżającej się linii wroga popadła w rozsypkę na skutek rzezi wśród tłumu i tempo natarcia zmalało. Nadciągający za nimi tratowali leżących, a nacisk utworzył wielki stos ciał ludzi i potworów.

Coraz więcej katapult i balist otwierało ogień z murów. Coraz więcej zwierzoludzi i maruderów padało pod ich pociskami. Coraz więcej zmiażdżonych i okaleczonych ciał blokowało postępy przynajmniej części armii Chaosu, wywołując wiry i prądy w tym wielkim morzu ciał, dorównujące widzianym na prawdziwym oceanie. Beczki alchemicznego ognia spadały na hordę zamieniając ludzi i stwory w płonące pochodnie, których nie mógł ugasić nawet chłód śniegu.

Obrońcy nie zdobywali jednak przewagi. Wielkie katapulty na tyłach szeregów wroga rzucały swoje własne ładunki śmierci na mury Praag. Felix schylił się, gdy ogromny gład przemknął nad jego głową i skulił się słysząc odgłos skały przebijającej się przez pokryte czerwonymi dachówkami dachy za nim. Okrzyki na alarm i zapach spalenizny mówiły mu, że pocisk rozbił palenisko lub piec wewnątrz rozbitego budynku, albo sam kamień unosił złowrogie zaklęcie, które wywoływało ogień w miejscu upadku. Felix miał desperacką nadzieję, że prawdą było to pierwsze przypuszczenie, ale podejrzewał, że równie dobrze właściwie może okazać się to drugie.

Kilku spośród magów hordy, którzy zapomnieli o swojej wiedzy na temat obrony Praag lub byli zbyt przekonani o swoich umiejętnościach, posłało zaklęcia w stronę murów. Felix obserwował ognistą kulę, wewnątrz której widoczna była rechocząca twarz, lecącą ku obrońcom. Starożytne zaklęcia wytrzymały i zaklęcie zgasło kilka kroków przed blankami posyłając ostry odór siarki do nozdrzy zgromadzonych wojowników. Krzyki triumfu i ulgi wzdłuż linii obrony wskazywały, że stare zaklęcia wytrzymały także w innych miejscach.

Rozległ się brzęk tysiąca łuków. Atakujących przeszły tysiące strzał posianych pełną siłą krótkich kislevickich łuków kompozytowych i kusz krasnoludzkiej roboty. Słychać było wrzaski agonii pomieszane z krzykami żądzy krwi. Kolejna salwa i padły następne setki. Oficerowie wykrzykiwali komendy, łucznicy przeładowywali i strzelali. Kusznicy kręcili mechanizmami swoich broni. Ciała zaśmiecały śnieg, ale koła nadjeżdżających wież oblężniczych miażdżyły je na galaretę. Władcy śmieci krążyli po polu bitwy, żywiąc się żarłocznie na duszach poległych.

Ohydy smród, trzask skrzydeł otwierających się by spowolnić upadek i ochryple kraczące głosy ostrzegły Felixa, że harpie rozpoczęły wreszcie atak. Wykonał unik przed machnięciem łapy zakończonej żelaznym pazurem i rąbnął prosto w przegub napastnika. Skrzydlaty humanoid tryskając czarną krwią runął w tył ze ściany i opadł na dół nadziewając się na kolce wypełniające rów poniżej. Felix otarł posokę z twarzy i splunął, a potem rozejrzał się po murach.

Setki humanoidów o nietoperzowych skrzydłach mocowało się z obrońcami i szarpało ich odwracając uwagę łuczników i przeszkadzając w pracy machin oblężniczych w tym krytycznym momencie bitwy. Coraz więcej stworów pojawiało się nad głowami i opadało na miasto siejąc pożogę i trwogę. Felix przyglądał się z pewną satysfakcją, jak łucznicy z ulic poniżej zdjęli kilka z potworów, ale jeszcze więcej opadło z krwawoczerwonych niebios, by kontynuować swoje nikczemne dzieło.

Okrzyk bojowy Gotreka przyciągnął uwagę Felixa. Cios topora Zabójcy rozrąbał dwie z podłych kreatur. Ostrze z gwiazdowego metalu wydawało się przecinać ich ciała jakby były powietrzem. Snorri przycisnął jednego potwora nogą i wytłukł jego mózg młotem, przez cały czas trzymając z dala kompana bestii swym wirującym toporem. Bjorni schował gdzieś obie dziewczyny i teraz za pomocą swojego bojowego oskarda zadawał atakującym straszliwe zniszczenie. Ulli mocował się z innym stworem na okrwawionej płycie kamiennej w pobliżu Felixa. Człowiek podbiegł i z wypadu przeszył swoim mieczem kark harpii.

Ulli podniósł się na nogi, rozejrzał się i splunął krwią.

– Mogłem go załatwić – krzyknął.

Felix wykonał szeroki gest.

– Zostało ich jeszcze mnóstwo.

Ulli skinął głową i znowu rzucił się do walki. Znajome złote światło rozjaśniło się wzdłuż blanków. Felix rozpoznał działanie magii Maxa. W dodatku bardzo potężnej magii. Pół tuzina skrzydlatych monstrów skurczyło się i padło uderzone światłem. Felix rozejrzał się i spostrzegł Maxa i Ulrikę stojących obok siebie. Obszar wokół nich został oczyszczony od potworów. Podniósł kciuk w ich kierunku. Odpowiedzieli kiwając głowami.

Nagle, wydawało się, że harpie mają dosyć. Podniosły się z blanków, wrzasnęły wyzywająco i pomknęły ku miastu. Przynajmniej w tej sekcji murów znalazły zbyt twardych obrońców. Felix spojrzał na zbliżającą się hordeę. Najeźdźcy dobrze wykorzystali rozproszenie uwagi obrońców, by podejść jeszcze bardziej do miejskich murów. W tej chwili od ścian oddzielało ich zaledwie kilkaset kroków.

Felix otarł pot z czoła i zawołał jednego z nosicieli wody. Jego gardło było suche jak piaski Arabii. Chłopak podał mu bukłak i Felix szybko wypił część jego zawartości. Woda spływająca w jego gardło wydawała się słodka jak wino. Korzystał z wody, póki jeszcze mógł. Nie wątpił, że za kilka godzin, jeśli jeszcze będzie żył, pozostaną mu wciskane do ust garście śniegu. Cieszył się, że teraz mógł się napić.

Wiwat wzdłuż murów przyciągnął jego uwagę. Pod bezlitosnym bombardowaniem katapult z murów jedna z wielkich machin oblężniczych zatrzymała się i zaczęła się przewracać. Trzęsa się

przez kilka chwil, niczym wóz, którego przednie koła chwiały się na krawędzi rowu. Nastąpił odgłos przypominający metalowy bęben uderzony młotem, tyle że sto razy głośniejszy i kolejny wielki kamień rąbnął w wieżę. Tego było już nadto demonicznej machinie. Przechyliła się na bok niczym okręt podczas sztormu i runęła w dół, prosto w gromadę zwierzoludzi. Ich wrzaski i skowyt agonii mówił o setkach zabitych. Nastąpiła potężna eksplozja i natychmiast czarna konstrukcja zaczęła się rozpadać pokazując żółte ognie płonące w środku, niczym mistyczny portal do jakiegoś gorącego piekła. Masywne metalowe płyty o zastrzonych krawędziach pomknęły w każdą stronę ścinając głowy maruderom Chaosu, przebijając czarne pancerze rycerzy i zbierając straszliwe żniwo śmierci.

– Jedna załatwiona, zostało dwanaście – mruknął Ulli.

– Pokazałbym im większą wieżę – warknął Bjorni. – A moja tak szybko nie pada.

Nikt nie okazał zainteresowania. Kompania nowych łuczników popędziła na pozycje na blankach w ich pobliżu. Oficer wykrzykiwał rozkazy. Ludzie wyciągnęli strzały, napięli cięciwy aż do uszu i wypuścili je. Padło jeszcze więcej wyznawców Chaosu.

– Urządzamy im rzeź – cieszył się Ulli.

– To łatwizna! – odkrzyknął Gotrek. – Poczekaj tylko, aż dostaną się na mury.

Twarcz młodszego Zabójcy zastygła.

Dobra robota, Gotreku Gurnissonie, pomyślał sardonicznie Felix. Zawsze można było liczyć na to, że podniesie morale. Ale żaden z ludzi nie okazywał po sobie, że stwierdzenie krasnoluda ich przestraszyło. Felix pomyślał, że zapewne zbytnio byli zajęci wybieraniem kolejnych celów i ofiarował Sigmarowi dziękczynną modlitwę za tę drobną łaskę.

Posłańcy pędzili w każdą stronę nosząc wieści dla księcia z innych wieży i pozostałych części pola bitwy. Felix zastanawiał się, czy ktokolwiek jest w stanie zorientować się w tym wirze walki, ale księżę nadal posyłał swoich kurierów, najwyraźniej zadowolony z wydawanych rozkazów. Felix spodziewał się, że prawdopodobnie dzięki temu pozostawał spokojny i zachowywał kontrolę nad wszystkim. Ludzie wierzyli, ponieważ chcieli wierzyć.

Pierwsza z pozostałych wież oblężniczych znajdowała się już w odległości stu kroków. Z jej szczytu pokrzykiwali wyzywająco wielcy, odziani w futra barbarzyńcy i obscenicznie wyciągali swoją broń w stronę obrońców. Kislevici odpowiedzieli nawałą strzał. Większości maruderów udało się na czas schować za balustradą. Ich kamraci wyrzucili tych, którzy nie zdążyli. Felix zrozumiał, że ranni nie mogli oczekiwać na pomoc. Khorne był zapewne głodny ich dusz.

Podszedł do Ulriki i Maxa. Kobieta i czarodziej pokryci byli posoką. Felix nie miał pojęcia ile z tego było ich własną krwią.

– Wszystko z wami w porządku? – spytał.

– W porządku – odpowiedziała, a Felix przyglądając się jej uważnie stwierdził, że to prawda. Wyglądała lepiej niż dobrze. Była podniecona, niczym ktoś po zażyciu silnego narkotyku. Felix widział wielu wojowników unoszonych podobnym entuzjazmem i często sam czuł się w podobny sposób, teraz również zaczynał to odczuwać. Nie było nic bardziej podniecającego niż przeżycie śmiertelnej walki. Rzuciła okiem na wyjące morze wyznawców Chaosu.

– Dawać ich – powiedziała i zaśmiała się. To był dziwny śmiech, w którym słyhać było sporo szaleństwa. Przypominał Felixowi Gotreka opanowanego żądzą zabijania. Felix podążył za jej wzrokiem. Zauważył, że wielu wyjących barbarzyńców pod machinami wojennymi niesie długie drabiny oblężnicze.

– Zaraz tu będą – rzekł.

– Boisz się, Felix? – spytała kpiąco. Uśmiechnął się.

– Jak najbardziej.

Przechyliła głowę na bok i zmierzyła go wzrokiem w górę i w dół.

– Walczysz jakbyś wcale się nie bał.

– Przerazenie dodaje mi dodatkowej motywacji do dobrej walki.

– Jesteś dziwnym mężczyzną, Felixie Jaegerze. Żaden kislevicki wojownik nie przyznałby się do tego, tak jak ty.

– Może jestem po prostu bardziej szczerzy – mruknął.

– Co? – krzyknęła, najwyraźniej nie mogąc go usłyszeć przez tumult bitwy.

– Uwaga! – wrzasnął Max i podniósł dłonie. Wokół nich zamigotały złote sfery. Promienie energii pomknęły w górę. Felix uniósł wzrok w ostatniej chwili zauważając spadającą harpię, która zamieniła się w pocerniałą, spopieloną skorupę. Runęła na blanki pod jego stopami i rozpadła się, obnażając czerwonawe mięso i białawe kości wewnątrz. Felix odwrócił się z obrzydzeniem. Ohydny smród spalonego ciała zatkał jego nos.

– Niezła sztuczka, Max – powiedział.

– Ostatnio miałem sporo praktyki – odpowiedział czarodziej i odwracając się ku najeźdźcom skierował swoje żarłoczne promienie błyskającej energii na najbliższą maszynę oblężniczą.

Coś wewnątrz tej demonicznej konstrukcji pochłaniało moc. Felix dostrzegał migoczące wokół niej powietrze, jakby jakaś na wpół widoczna tarcza ugiwała się pod naporem. Opary cofnęły się od punktu uderzenia wywołując fale niczym na powierzchni stawu, do którego wrzucono kamień. Max skupił się na zaklęciu i światło powoli zaczęło pełzać ku szczytowi wieży, dotykało wyjących zwierzóludzi i topiło ich ciała. Kilka chwil później zapłonęła balista.

Felix miał nadzieję, że płomienie rozszerzą się na resztę konstrukcji. Przyglądał się dymowi, który wznosił się ze szczytu wieży i coraz wyższym płomieniom. Najwyraźniej drewno, lub substancja, z której zbudowana była wieża poddawała się ognioi. Felix patrzył zdumiony jak otwierają się drzwi w boku wieży. Zapewne miały zostać opuszczone, by umożliwić atak kryjącym się wewnątrz wojownikom. Stwory zaczęły wyskakiwać prosto ku śmierci pięćdziesiąt kroków niżej. Felix odwrócił się do Maxa.

– Gdybyś tylko mógł to powtórzyć kilka razy, udałoby nam się ich powstrzymać.

Czarodziej zgiął się w pół. Był blady i wyglądał niezdrowo jak człowiek po przebyciu długiej choroby. Uszły z niego wszelkie siły. Ulrika stała u jego boku, podtrzymując go. Felix zwalczył ogarniającą go falę próżnej zazdrości i podszedł, by sprawdzić, czy może w jakiś sposób pomóc.

– Nie powinienem... nie powinienem tego robić – wystękał Max. Po jego brwi spływał pot. – Wewnątrz wieży było uwięzione coś żywego, coś demonicznego, nikczemnego i starszego niż świat. Wysilek wygnania tej istoty prawie mnie zabił. Poczulem jednak, że zaklęcia ochronne słabną i pomyślałem, że jeśli wysilę się jeszcze odrobinę, może uda mi się je pokonać. Udało mi się, prawda?

– Tak – powiedział Felix łapiąc czarodzieja powoli osuwającego się na kolana. Felix i Ulrika pośpiesznie podnieśli Maxa i oparli go o balustradę. Czarodziej wyglądał jakby w następnej chwili mógł umrzeć.

– Czy wszystko z nim będzie w porządku? – spytała Ulrika. W jej głosie słychać było prawdziwą troskę. Felix sprawdził puls czarodzieja. Był szybki ale silny. Jego brwi były bardzo ciepłe.

– Tak mi się zdaje, ale nie jestem ani medykiem, ani czarodziejem. Nie wiem, w jaki sposób magia może kogoś tak wyczerpać. Nie widać na nim żadnych śladów i wydaje się, że wyjdzie z tego...

– Sądzę, że nie odzyskał jeszcze w pełni sił po uleczeniu mnie – powiedziała. Wyglądało na to,

że czuje się winna. Felix spojrział na nią i potrząsnął głową.

– Nonsens. Wyglądał dobrze, gdy pomagał nam powstrzymać atak na silosy ziarna. Nie przejmuj się. Musimy martwić się innymi rzeczami.

Pomimo swoich uspakajających słów, Felix nie był pewien, czy ma rację. Max ostatnio zużył mnóstwo swojej mocy w walce, podczas uzdrawiania, przeganiając duchy, które ich zaatakowały. Może nadużył swojej mocy życiowej i teraz miał za to zapłacić. W chwili gdy te myśli przyszedły do głowy Felixa, poczuł szarpnięcie za rękaw i spojrział w dół. Zobaczył Maxa uśmiechającego się do niego blado.

– Wróć do siebie – wyszeptał. – Muszę tylko odpocząć kilka minut i będę jak nowonarodzony.

Czarodziej nie wyglądał na wystarczająco zdrowego, by to mogło być prawdą, ale te słowa najwyraźniej pocieszyły Ulrikę. Uśmiechnęła się do niego promiennie i delikatnie dotknęła jego twarzy. Felix poczuł, jak krew uderza mu do policzków. Czy między tym dwojgiem coś się działo bez jego wiedzy? W tej chwili wyglądali bardziej na kochanków, niż on sam i Ulrika. Usiłował zebrać się w garść. To nie był czas ani miejsce na podobne myśli.

Między murami i wieżą oblężniczą przemknęły iskry. W powietrzu zatrzeszczało, gdy magia ochronna pochłonęła zaklęcia. Kłęby pyłu uniosły się za nadciągającymi jednostkami. Powietrze wypełnił zabójczy syk strzał niemal zagłuszony przez krzyki rannych i wycie nacierającego morza ciał.

Wyznawców Chaosu ogarnął przerażający szal. Bliska obecność demonów najwyraźniej podburzała ich jak nic innego. Pomimo straszliwych strat, szli naprzód nieustraszeni. Żadna ilość ofiar nie potrafiła nimi wstrząsnąć. Felix wiedział, że to będzie walka jego życia.

Kompania zwierzoludzi dotarła przed pozostałymi do rowu u stóp murów. Byli przygotowani. Uniesiono masywną drabinę i zanim dotknęła ściany, zaroili się na niej koziogłowi wojownicy, wspinający się ze zdumiewającą zręcznością pomimo swoich kopyt. Gdy drabina uderzyła o mur, została odwrócona i odepchnięta. Zwierzoczek zaczął spadać, złapał szczebel w jedną łapę i wspinał się dalej. Udało mu się dostać na połowę wysokości drabiny. Za nim wspinało się kilkunastu z jego kamratów o rozszczepionych kopytach. Wreszcie obrońcom udało się przewrócić drabinę. Zamiast upaść prosto do tyłu, obsunęła się na bok posyłając zwierzoludzi ku śmierci na zaostzonych palikach poniżej.

Mur zatrzęsł się, gdy zetknęła się z nim pierwsza z potężnych wież oblężniczych. Felix wychylił się z blanków, by zobaczyć co się dzieje. Machina wjechała prosto do rowu miażdżąc pale swoim ciężarem. Taran w jej podbrzuszu rąbnął w mur wyrzucając odłamki kamienia. Tymczasem opuszczono kładkę na szczycie maszyny i wojownicy zaczęli wybiegać z cielska wieży i wypełniać pomost. Felix patrzył jak wyznawcy Chaosu, szaleni od żądzy krwi, zaczęli wspinać się po ścianach maszyny, zaczepiając dłonie na płaskorzeźbach demonicznych pysków. Felixowi ten widok przypominał mrówki tłoczące się po pniaku, gdy coraz więcej z najeźdźców rozpoczynało żmudną wspinaczkę.

Pozostałym wieżom oblężniczym wzdłuż murów udawało się dotrzeć do celu i następnymi czcicielami Chaosu wylewali się na zewnątrz, wyjąc imię Khorne'a i wykrzykując jego pochwały w swoim gardłowym języku. Felix przygotował miecz i rozejrzał się w poszukiwaniu Zabójców. Najpewniej pędzili w stronę najbardziej zażartej walki. Felix zerknął na Ulrikę, która pochylona nad Maxem gładziła go po twarzy. Poczuł przyływ zazdrości, rozżalenia i żądzy bitwy.

– Trzymaj oko na Maxa – rzucił i skoczył prosto ku bitwie. – Zaraz wróć.

Biegając zastanawiał się, dlaczego to robi. Czy próbował od nich uciec, czy też pragnął zaimponować dziewczynie swoją brawurą? Ciekaw był, czy kiedykolwiek dowie się tego.

Arek obserwował jak jego wojownicy zaczęli kruszyć mury Praag. W pewien sposób szło im lepiej niż się tego spodziewał. Z drugiej strony było gorzej. Nie spodziewał się, że straci dwie wieże zanim jeszcze dotrą do murów. Przeklinał czarnoksiężnika i inżynierów obsługujących te katapulty. Z drugiej strony, harpie wykonały wspaniałą robotę odwracając uwagę obrońców i, sądząc po płomieniach wznoszących się za zewnętrznym murem, nawet teraz siały zniszczenie w mieście wroga.

Arek patrzył zachwycony, gdy wielkie wieże oblężnicze uwalniały wojowników prosto na mury. Północni barbarzyńcy i warczący zwierzoludzie walczyli ramię w ramię przepelnieni wściekłą żądzą mordy. Arek prawie im zazdrościł. Zawsze znajdował głęboką satysfakcję w triumfowaniu nad swoim przeciwnikiem w żarze bitwy. Bywały chwile, gdy sądził, że cieszyłby go żywot berserkera poddanego Khorne'owi. Nigdy nie przegrał żadnej walki i wiedział, że jest to mało prawdopodobne wobec wszelkich darów, którymi obrzucił go Wielki Mutator. Był po prostu niepokonany, gdy dochodziło do walki, dlatego też żaden z pozostałych wodzów nie wyzwał go na pojedynek, by bić się o przywództwo nad hordą. Gdyby nie ta przeklęta wizja...

Wzdłuż blanków zamigotała błyskawica, która zmiotła niektórych z jego ludzi. Najwyraźniej magiczne bariery, które uniemożliwiały jego czarownikom rzucanie zaklęć na lub przez mury nie powstrzymywały kogoś, kto już się na nich znalazł. Zastanawiał się, dlaczego tak jest? Czy to było jak przebywanie między murami lub w wąskim przejściu między dwoma barierami? Postanowił zapytać o to swoich ulubionych magików, gdy będzie miał okazję. Może zrobi to, zanim każde ich zgładzi za nieokazywanie należynej gorliwości w ochronie jego oddziałów. Przysięgali, że wieże są całkowicie chronione przed wrogimi zaklęciami i nieprzenikliwe dla wrogiej broni. Dzisiejsze wydarzenia pokazały, że mylili się w obu sprawach.

A jednak, maszyny działały i wyglądało na to, że wypełnią swoje przeznaczenie, a to było najważniejsze. Wiedział, że tak musi się stać jeszcze dzisiaj. Cała energia tak pracowicie wezwana z północnych krain została zużyta na ożywienie wież, przyzwanie demonów i utkanie zaklęć ochronnych. Wiedział, że czarnoksiężnicy będą magicznie wyczerpani przez kilka następnych dni.

Arek pomyślał, że to będzie doskonały czas, by ich pochwycić i przykładowie ukarać.

Felix wyrąbywał sobie drogę wzdłuż blanków. Kamienie były śliskie od krwi i wyrwanych wnętrzności. Kałuże czerwieni plamiły śnieg. Uskoczył na bok, gdy zamachnął się na niego umierający zwierzoczek. Wylądował na brzegu parapetu od strony miasta. Zauważył pod sobą dachy pokryte czerwonymi dachówkami, a w oddali płonące budynki. Wydawało mu się, że widzi tam ludzi walczących ze sobą. Zastanawiał się, czy to byli spanikowani mieszkańcy, czy następni kultysty, którzy wspierali swoich w bitwie?

Zastanawianie się nad tym pozostawiał sobie na później. Jeśli przeżyje to, co działo się wokół niego. Zwierzoczek podniósł się na jednej łapie i przyklęknął. Sądząc po jego ranach, był bliski śmierci. Felix domyślał się, że potwór chce go dorwać i wiedział, co zaraz zrobi. Okazało się, że miał rację. Zwierzoczek skoczył wyciągając po niego swoje ramiona. Spodziewając się tego, Felix kucnął i przetoczył się pozwalając masywnej kreaturze przemknąć nad nim, nad blankami i runąć na dół.

Czuł w dłoniach zimny śnieg, który zaczął przenikać przez jego odzienie w miejscu, w którym położył się na kamieniu. Koszulka kolcza, którą nosił pod spodem nie powstrzymywała zimna. Felix pomyślał, że może nabawić się od tego gorączki, a potem zaśmiał się. To byłaby najmniejsza z jego trosk. Sięgnął do rękojeści miecza i opierając się na nim podniósł się na kolana, w samą porę, by zauważyć kolejnego zwierzoczka zamierzającego się kolczastą pałką na jego głowę.

Rzucił się w bok opierając się na jednej ręce, jednocześnie wyciągając ostrze w stronę stwora.

Maczuga ledwo minęła bok jego głowy. Jego własne uderzenie trafiło istotę tuż pod kolaniem. Trysnęła krew. Zwierzoczek odrzucił w tył kozi łeb i zawył z bólu. Felix pchnął w górę, mierząc wkroczyć. Ryk stał się niezwykle wysoki, a potem przeszedł w żalosne łkanie. Felix wyciągnął ostrze i wstał na nogi przecinając w pół kark wroga następnym ciosem. Łeb zawisł na ostatnich ścięgnach. Bryzgnęła czarna krew, która stopiła śnieg. Felix brnął naprzód. Zaczęło śnieżyć. Płatki wpadały do jego oczu i częściowo zasłaniały pole widzenia. Wiatr nasila się. Felix zastanawiał się, czy był to skutek magii, czy tylko naturalny efekt pogody w tych zimnych, północnych krainach?

Przed sobą dostrzegł Zabójców walczących pośród hordy zwierzoludzi i maruderów. Dawali sobie świetnie radę. Wszędzie wokół nich leżeli martwi i umierający wrogowie. Kislevici pokrzepieni ich obecnością walczyli jak opętani. Przynajmniej w tym miejscu można było uwierzyć, choćby przez chwilę, że zwycięstwo może należeć do nich. Kolejna monstrualna wieża oblężnicza uderzyła o mury. Do nozdrzy Felixa doleciał zapach przypominający piżmo lub perfumy. Przez chwilę nie zastanawiał się nad tym, ale potem jego skóra zaczęła mrowić i poczuł łaskotanie w gardle. Czuł jak opuszcza go cała żądza walki i odwrócił się w stronę źródła tego zachwycającego zapachu.

Wokół niego ludzie i zwierzoludzie czynili to samo, na chwilę zapominając o wzajemnej wrogości, by sprawdzić, skąd pochodzi ten słodki zapach. Felix zobaczył masywny, żelazny most opuszczany, który opadł na blanki. Egzotyczne, dziwnie piękne i jakby znajomo wyglądające postacie wyskoczyły z wieży oblężniczej i popędziły ku walce. Wyglądały jak kobiety o ogolonych głowach. Pomimo zimna były niemal nagie, ubrane jedynie w czarne skórzane tuniki, które odsłaniały jedną, doskonale ukształtowaną pierś. W miejscu dłoni miały szypce jak u kraba. W drugiej dłoni, niektóre trzymały długie, wąskie miecze, inne bicze, a pozostałe sieci. Poruszając się z gracją szybowały nad blankami. Gdziekolwiek szły, umierali ludzie. Felix rozpoznał w nich stworzenia Slaanasha, Pana Niewypowiedzianych Rozkoszy.

Felix patrzył, jak wielki kislevicki wojownik, który kilka chwil wcześniej rozsiekał trzech zwierzoludzi stał jak cieleć oczekujące na rzeź, gdy jedna z pięknych kobiecych istot odcięła jego głowę szypcami. Zamiast pomścić towarzysza, pozostali ludzie czekali aż śmierć zbliży się do nich. Felix obserwował to wszystko zafascynowany i przepełniony dziwnym uniesieniem. W całej tej wizji było coś doskonale zachwycającego: wdzięk samic, sposób, w jaki czerwona krew lśniła idealnymi kroplami na śniegu. Było w tym coś zmysłowego i głęboko poruszającego. Wątpił, by kiedykolwiek widział cokolwiek równie atrakcyjnego jak demonica. Rozkoszą będzie umrzeć z jej ręki. Prawdę mówiąc, nie mógł się już tego doczekać. Ruszył w ich stronę, gotowy zanurzyć się w objęciach śmierci.

Część jego świadomości, głęboko schowana na dnie umysłu, krzyczała, że to jest złe. To nie były kobiety. One były demonami. Były wrogiem. Oczarował go zapach ich piżma lub jakaś inna magia. A jednak nic nie mógł na to poradzić. Jego stopy poruszały się, jakby należały do kogoś innego. Miecz zwisał niedbale na jego plecach i tylko tyle powstrzymywało go przed upuszczeniem broni na ziemię. Uśmiech zastygł na jego ustach. Widział ten sam uśmiech wypisany na ustach pozostałych, zachwyconych obrońców.

Zwierzoczek zamierzył się na niego. Felix nie chciał tego. To nie pozwoliłoby na objęcie wybranej kobiety-demonia, czarującego stworzenia o bladej, białej skórze i rubinowoczerwonych ustach. Uniknął ciosu i odciął łapę napastnika u nadgarstka. Gdy stwór cofał się, Felix wbił miecz w jego gardło. Za sobą słyszał odgłos biegnących kroków i dźwięk czegoś ciężkiego przebijającego się przez ciało niczym tasak rzeźnika. Felix miał szczerą nadzieję, że nie jest to kolejny rywal poszukujący łask jego wybranki. Chciał się odwrócić dla pewności ale nie potrafił oderwać od niej

wzroku. Patrzył na jej uśmiech odsłaniający połyskujące kły jak z kości słoniowej!

Coś przemknęło obok niego i prawie w to uderzył, zanim zorientował się, że to był Gotrek. Czy Zabójca zamierzał wyzwać go na walkę o przychyłność demonicy? Zaraz mu pokaże. Felix miał zamiar pchnąć w plecy Zabójcy ale coś go powstrzymało. Nie mógł poruszyć ramieniem. Spojrzał w dół i zobaczył masywną dłoń zaciśniętą na jego nadgarstku. Próbował się wyrwać, ale ktoś unieruchamiał go z łatwością, z jaką można przytrzymać dziecko.

– Snorri myśli, że już tego wystarczy – usłyszał głęboki głos dobiegający z okolic dolnej części pleców. Felix zmagał się ze stalowym uściskiem i miotał przekleństwa widząc, co zamierza zrobić okrutny Zabójca. Gotrek ruszył między wyznawczynię Slaanasha. Ich lekka broń nie mogła mierzyć się z jego toporem, który lśnił teraz jasno jak latarnia złym, czerwonym blaskiem. Przebijał się przez wrogów, ścinając jednego po drugim. Demonice nie umierały jak ludzcy wojownicy. Gdy padały, ich ciała znikwały w deszczu iskier i kłębach ohydneho smrodu. Ten odór przełamał zakłęcie i Felix zrozumiał jak niewiele brakowało, by zginął na skutek nikczemnego zaklęcia. Wokół niego pozostali ludzcy wojownicy najwyraźniej także zrozumieli to samo. Otrząsali się, spoglądali na wrogów i ponownie ruszali do walki.

Gotrek ściał ostatnią z demonie i skacząc na blanki rąbnął opuszczony pomost swoim toporem. Potężne zakłęcie broni, dość silne by przegnać największe demony, wywołało większe zniszczenia na wieży obłązniczej niż sama siła uderzenia Gotreka. Iskry sypnęły się z czarnego metalu i zamiast zniknąć zamigotały i urosły jeszcze większe, wirując wokół piekielnego metalu niczym drobne łańcuchy krwawoczerwonej błyskawicy. W jednej chwili wyskoczyły z miejsca trafienia i pokryły całą potężną wieżę obłązniczą blaskiem oślepiającego wybuchu, który ranił wzrok.

Felix patrzył zdumiony. Kontakt z potężną bronią Gotreka w jakiś sposób zakłócił zakłęcie poruszające machiną obłązniczą, uwalniając uwięzioną energię demoniczną. Powietrze wypełnił zapach ozonu pomieszanego z siarką, silniejszy od smrodu zabitych demonic. Nawet Gotrek wydawał się być oszołomiony efektem swojego działania. Stał przez chwilę bez ruchu patrząc na dziwne halo światła pochłaniające demoniczną wieżę. Z jej wnętrza dobiegły krzyki oraz smród palonego ciała i futra. Płatki śniegu osuwały się w nicość w miejscu, gdzie dotykały światła. Potem wieża po prostu rozpadła się, a jej części posypały się na ziemię poniżej.

Felix żałował, że nie ma tu Maxa Schreibera, który mógłby powiedzieć mu, co się stało. Czarodziej z pewnością znał się na takich rzeczach. Felix mógł tylko zgadywać. Domyślał się, że wieża została przynajmniej częściowo zbudowana z czarodziejstwa i utrzymywana w całości przez energie magiczne. Ostrze Gotreka rozproszyło zakłęcie wiążące jej elementy, co skończyło się jej zniszczeniem.

Zabójca potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić swoje pole widzenia, a potem, najwyraźniej zrozumiawszy, czego dokonał, wydał z siebie szalony śmiech. Popędził wzdłuż blanków, szukając następnej z wież. Felix szybko pobiegł za nim. Wiedział, że Zabójca musi pozostać przy życiu, za wszelką cenę.

Jeśli cokolwiek mogło zmienić przebieg bitwy, był to jego topór.

Max Schreiber obserwował zdumiony jak rozpada się zakłęcie trzymające razem wieżę. Dla jego magicznych zmysłów, częściowo oślepionych przez burzę mrocznej magicznej energii szalejącą wokół niego, było jasne, co się dzieje. Broń Gotreka została wykuta na zgubę demonom. Max wiedział to na pewno. Te wieże skrywały i były animowane przez uwięzioną esencję demonów z najciemniejszych piekieł. Max przekonał się o tym wcześniej, w chwili kontaktu z wieżą, gdy rozproszył zakłęcie wiążące nikczemną istotę.

Gdy topór przegnał demony z królestwa śmiertelników, utrzymujący je pojemnik rozpadł się, nie będąc już utrzymywany w całości dzięki ich mocy. Max patrzył oszołomiony na Zabójców podążających wzdłuż blanek. Gotrek szybko zredukował do stosu drzazg jedną, potem drugą i wreszcie trzecią z potwornych machin. Ten widok był przerażający. Wydawało się, że sami bogowie w jakiś sposób zdecydowali się wreszcie wspomóc obrońców, pozwalając na pojawienie się tak potężnej broni i tak mocarnego jej powiernika. Czy to było przeznaczenie, które od tak dawna wymykało się Zabójcy? Max nie wiedział tego.

Przyzywając resztki swojej energii magicznej uwolnił swoje zmysły od ciała, pozwalając wzrokowi i postrzeganiu magicznemu krążyć swobodnie wokół murów i obserwować zmagania. Wszędzie, gdzie spojrzał widział rzeź. Ludzie i zwierzoludzie, wojownicy Chaosu i ludzcy obrońcy byli sczepieni w brutalnej walce. Wzdłuż murów, Gotrek, Felix i pozostali Zabójcy krzyczeli jak wściekli bogowie, zabijając niemal samą swoją wolą.

Mimo tego widoku, stawało się dla niego jasne, że to nie wystarczy. Gotrek nie mógł być wszędzie, a wieże wykonały już swoją złowrogą robotę. W wielu miejscach na murach obecni byli wojownicy Chaosu, zwierzoludzie i plugawi barbarzyńcy utrzymujący niewielkie sekcje fortyfikacji dość długo, by coraz więcej z ich kamratów udało się stłoczyć na drabinach i przyciągnąć na miejsce normalne maszyny. Pomimo wysiłków Zabójców, wyglądało na to, że mury zostaną opanowane przez wroga.

Ale atak kosztował hordę bardzo słono. Wokół rozbrzmiewały rogi. Max rozglądając się w poszukiwaniu źródła dźwięku, zobaczył posiłki biegnące z miasta na mury. Nowi wojownicy rzucali się do walki, siekąc swoich ohydnych wrogów i powalając ich. Jeden po drugim, przyczółki zdobyte przez wojowników Chaosu zostały przejęte i mur został oczyszczony, krok po kroku pełnym bólu.

Max był bliski uwierzenia, że mogą wygrać tę bitwę i utrzymać mury do następnego dnia, ale gdy pomyślał o tym, wyczuł czarodziejską moc uwolnioną w innej części murów. Szybko posłał swojego ducha w poszukiwaniu zaklęcia. Jego wzrok popędził wzdłuż granicy wiążącą magię między murami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Zobaczył, co się dzieje.

W sekcji muru daleko od miejsca, gdzie znajdowali się Zabójcy zaatakowały inne demoniczne wieże. Max widział jak zredukowały fragment fortyfikacji do stosu gruzu. Zaklęcia ochronne w tym miejscu już się rozwiały i Max mógł przenieść punkt widzenia poza granicę. Jego wzrok przeskakiwał nad hordą wojowników Chaosu i zwierzoludzi wdzierających się do miasta przez wylot. Patrzył, jak największa z wież używa swojego tarana, by przebić się przez potężną bramę. Za kilka chwil okute żelazem drewniane belki całkiem ustąpią. Max widział pękające drewno i wyginający się metal, a potem cała brama rozleciała się, wpuszczając do miasta wyjąca hordę.

Max spojrzał na Ulrikę. Na jej twarzy malowała się troska.

– Idź i powiedz księciu, że Wschodnia Brama padła – powiedział. – Hordy Chaosu są w mieście.

Rozdział 12

Rogi zadęły głośno. Kisleviccy żołnierze na murach *zacięli* panikować. Felix wiedział, co oznacza ten sygnał: wróg przedarł się za mury. Cała ciężka walka, jaką tu stoczyli poszła na nic. Zacisnął zęby i splunął na śnieg. Poczł krew w swoich ustach. Może przygryzł policzek lub język. Może poluzował się jeden z jego zębów. Podczas bitwy otrzymał kilka silnych ciosów i krwawił z tuzina ran na ramionach, nogach oraz twarzy. Był zmęczony i pełen strachu, a widok hardych obrońców wokół niego, którzy zaczęli wpadać w panikę nie zmniejszała jego własnej trwogi. Rozglądał się, by zobaczyć, jak radzą sobie Zabójcy.

Gotrek nie wyglądał zbyt dobrze. Chwiał się ciężko na nogach, a jego twarz była blada. Felix nie widział go w tak złym stanie od czasu bitwy pod Karag Dum. Jasne było, że jakkolwiek moc posiadał topór, jej używanie wyczerpało Zabójcę pozbawiając go większości energii. Krasnolud zauważył współczujące spojrzenie Felixa i warknął:

– Jeszcze nie umarłem, człeczyno.

Wyglądało jednak na to, że jest to tylko kwestia czasu. Nawet wojownik tak straszliwy jak Gotrek nie mógł walczyć zbyt długo w takim stanie. Wojownicy Chaosu tak niedawno zepchnięci z murów powracali z nowym wigorem, podnosili drabiny i popychali na miejsce kolejne konwencjonalne wieże oblężnicze.

Snorri, Bjorni i Ulli nie znajdowali się w lepszej kondycji. Wszyscy trzej wyglądali jakby skąpali się w kałuży krwi. Z boku twarzy Bjorniego zwiślał kawałek skóry, który odślaniał jego zęby. Tatuaze Snorriego stały się niemal niewidoczne na ciemnym tle siniaków. Ulli wyglądał, jakby chciał wpaść w furję lub rozplakać się, ale nie bardzo wiedział, co wybrać. Wszyscy zabójcy wyglądali jednak na zdeterminowanych i Felix nie miał wątpliwości, że zamierzali stać do końca na murach powstrzymując nadciągającą horde. To okaże się zapewne decyzją samobójczą, ale w końcu przysięgli szukać takiego właśnie końca.

Dla Felixa to było szaleństwo, po prostu szaleństwo. Przez kilka chwil podczas walki miał wrażenie czegoś w rodzaju przyływu nadziei. Moc topora Gotreka niszczącego demoniczne wieże i sposób, w jaki krasnoludy pomogły podnieść na duchu zmęczonych obrońców sprawiły, że prawie uwierzył w możliwe zwycięstwo. Teraz dostrzegał, że był to beznadziejny sen. Patrzył na księcia wykrzykującego rozkazy i zbierającego własną gwardię do osłony odwrotu jego ludzi z murów. Tylko dzięki jasności jego umysłu odwrót nie przeobraził się w beładną ucieczkę.

Ulrika i Max już schodzili po schodach i Felix zamachał do nich. Kobieta podtrzymywała zmęczonego czarodzieja, a Felix nie miał mu tego za złe. Max wykorzystał dziś swoją życiową szansę, a Ulrika była mu winna pomoc za uratowanie jej życia. Felix wiedział, że ona spłaci ten dług, bez względu na cenę. Usiłował nie dopuszczać do siebie zazdrosnych myśli o wszelkich innych powodach, jakie mogły nią kierować. Nie było na to czasu.

Widząc sztandar księcia nadal łopoczący wzdłuż murów, niektóre z potężnych machin oblężniczych ponownie zaczęły strzelać, najwyraźniej celując w powiewającą wyzywająco dumną chorągiew. Nieważne było, że w ten sposób zagrażają własnym wojownikom. Felix przykucnął instynktownie, gdy wielki kamień przemknął nad nim i rozbił się *na* budynkach z tyłu.

– Pudło! – zarechotał Snorri.

– Nawet nie było blisko – mruknął Ulli bez większego przekonania.

Gotrek pokiwał głową w stronę muru i zaczął wykrzykiwać obelgi ku zwierzoludziom.

Nie rób tego, ty idioto, pomyślał Felix, ale nie znajdował w sobie odwagi, by powiedzieć to głośno. Ludzie księcia wypełnili już schody od podstawy wieży. Sam książe zawołał:

– Dalej! Nadal możemy walczyć! Potrzebujemy teraz każdego wojownika do pomocy w obronie miasta!

Jego wezwanie poruszyło krasnoludy. Wyraźnie dotknęło w nich wrażliwej struny. Felix wiedział, że te słowa były prawdziwe. Ulli zaszurał stopami i zaczął iść w stronę schodów. Bjorni potrząsnął głową. Snorri wzruszył ramionami i popędził wzdłuż muru, by przewrócić do tyłu kolejną drabinę jednym pchnięciem swych ogromnych ramion. Gotrek nawet nie spojrzął w tył. Ulli z zawstydzoną twarzą stał w miejscu, jakby niepewny, czy zostać, czy iść.

– Chodź, Jaeger, ciebie także potrzebujemy! – krzyknął książe. Najwyraźniej rozumiał, co się dzieje z Zabójcami i wiedział, że jego przemowy lub rozkazy ich nie przekonają. Felix spojrzął na krasnoludy jeszcze raz.

Pomyślał, że nie zamierzają się ruszyć. Właśnie tak. To koniec drogi. Zaczekają w tym miejscu, zaczną walczyć ze zwierozczłękami, gdy stwory wtargną na mury i zginą w głupio heroiczny sposób, w jaki chcieli umrzeć. Idioci. Felix zrozumiał, ku własnej wściekłości, że jego także ogarnęło ich szaleństwo. On także nie zamierzał się ruszać. Złożył przysięgę, by opisać zagładę Gotreka i miał zamiar to uczynić, nawet jeśli będzie musiał stać w drzwiach i czekać, aż na murach zaroi się od wojowników Chaosu. Dopiero wówczas pomyśli o ucieczce, jeśli to będzie możliwe. Spojrzął na księcia i powiedział:

– Ruszajcie dalej! Dogonię was!

Książe posłał mu blady uśmiech i rozkazał swoim żołnierzom iść dalej. Po kilku chwilach mury były puste. Stało się dziwnie spokojnie. Felix spojrzął na czterech krasnoludów i zrozumiał, że w tym momencie jest prawdopodobnie jedyną ludzką istotą na murach Praag. Ciekaw był ile czasu minie, zanim zwierozludzie i barbarzyńcy zaczną wspinać się po drabinach. Z pewnością, niezbyt wiele.

Na co czekali? Dlaczego miał to wrażenie bezpośredniej bliskości zagrożenia? Rozejrzał się wokół i niczego nie zauważył, a potem kątem oka dostrzegł coś wielkiego mknącego w powietrzu w ich stronę. Nie, nie w ich stronę, lecz ku miejscu, które dopiero co opuścił książe i jego ludzie. Jeden z inżynierów przy katapultach wreszcie wstrzelił się w cel.

Felix przykucnął, gdy ogromny kamień runął na nich. Rąbnął w ścianę niespełna dwanaście stóp od Gotreka i wyrzucił w powietrze kawałki zmiażdżonego kamienia i chmurę śniegu. Gdy pył opadł, Felix zobaczył Zabójcę leżącego na ziemi. Kałuża krwi znaczyła śnieg wokół jego głowy. Topór wysunął się z bezwładnych palców. Felix spojrzął na pozostałych Zabójców i zobaczył, że byli równie przerażeni, jak on. Może wszyscy dzielili niewypowiedziane przekonanie o niezniszczalności Gotreka. Widział, że byli wstrząśnięci.

Felix przeklinał w duchu najbardziej głupi i niegodny rodzaj śmierci, jaki spotkał krasnoluda.

Szary Prorok Thanquol wpatrywał się w niebo. Przed sobą, niezbyt daleko, wyczuwał uwolnienie olbrzymiej energii magicznej. Moc przyciągnięta z Pustkowi Chaosu została rozładowana w niezwykłym tempie. Przyciągnął do siebie trochę tej mocy nie chcąc dopuścić, by cała przepadła, a porem użył tej energii, by wysłać swoją świadomość przed armię. Nigdy nie było to tak łatwe. Wydawało się, jakby jego dusza pomknęła uniesiona prądami energii, naprzód, ku wirowi, w który ją zasysał.

Thanquol był zdumiony i przerażony tym, co zobaczył. Widział potężną armię Chaosu rzucającą się na mury Praag. Widział jadące naprzód ogromne wieże pełne zdławionej energii demonów. Widział masę wojowników wokół ich kół. Gdyby w tej chwili znajdował się w swoim fizycznym

ciele, wypuściłby piżmo strachu. Zawsze wydawało mu się, że zebrane hordy ludu skavenów z pewnością muszą być najliczniejszą armią na świecie, ale teraz nie był tego taki pewien. Horda Chaosu urosła od czasu, gdy spotkał się z nią podczas pędu przez tundrę północnego Kisleva, a już wówczas była potężna.

Chciał posłać swojego ducha ponad miastem, by zbadać, co się dzieje w środku, ale gdy tylko dotarł do murów, został boleśnie odepchnięty przez jakąś tajemniczą siłę. Z pewnością były to zaklęcia ochronne. Może to i dobrze. Będzie mógł wysłać swego ducha wysoko w powietrze, poza zasięg wykrycia przez magów, których obecność wyczuwał poniżej. Dwaj z nich posiadali taką moc, że nawet Szary Prorok Thanquol zatrzymał się. Nigdy w swoim życiu, nawet w salach Rady Trzynastu, nie spotkał takiej aury mocy. Musiał przyznać, że było całkiem możliwe, że te dwie istoty są najpotężniejszymi magami na świecie, nie wyłączając jego samego. To była przerażająca myśl. Jeszcze bardziej przerażające było to, że ich rozpoznał. To byli bliźniaczy albinosi, których widział w obozie Areka Pazura Demona.

Próbował zebrać się w garść myślą, że tamci wydawali się tak przepelnieni magią, ponieważ wypełniała ich energia, którą przyciągnęli z demonicznych krain północy. Ta myśl jednak nie uspokajała go. Nadal przerażające było kontemplowanie faktu, że istniały dwie istoty zdolne do działania jako zbiorniki niemal boskiej mocy. Thanquol był pewien, że nawet jemu nie udałoby się powtórzyć tego wyczynu. Zamierzał już powrócić do swojej cielesnej powłoki, by uniknąć możliwości zwrócenia na siebie ich uwagi. Coś jednak powstrzymywało go przed tym.

Dla jego bystrych magicznych zmysłów było jasne, że tkane przez magów zaklęcia, były tak złożone i potężne, że ich podtrzymywanie musiało pochłaniać całą ich uwagę. Thanquol omiół spojrzeniem blanki i policzył widoczne demony. Ich liczba była zdumiewająca. Nie spodziewał się, że to było możliwe tak daleko na południe od Pustkowi. Najwyraźniej mylił się. Czyste przerażenie gryzło go na dnie żołądka. Oto widział zagrożenie dla całej rasy skavenów, a może nawet dla dobrobytu i przyszłych planów samego Szarego Proroka Thanquola. Coś z tym musi zostać zrobione, za wszelką cenę. Najlepiej jednak, nie jego rękami.

Obserwował rozpoczęcie potężnego natarcia i nieposkromiona skaveńska ciekawość kazała mu patrzeć dalej. Wydawało mu się niemożliwe, że ludzie na murach natychmiast nie wzięli nóg za pas i nie uciekli na widok ogromnych machin wojennych oraz otaczającej ich hordy ludzi, demonów i potworów. Z drugiej strony, nigdy nie sądził, by istniał kres bezmyślnej brawury bezwłosych małp. Patrzył z jeszcze większym zdumieniem, jak ludziom udało się zatrzymać i zniszczyć jedną z potężnych demonicznych machin ogniem katapulty, a potem zdumiał się jeszcze bardziej widząc kolejną zniszczoną zaklęciem rozplatania mocy. Bardziej niepokojący był fakt, że Thanquol rozpoznał magiczną sygnaturę maga, który tego dokonał. Walczył z rym czarodziejem dwukrotnie podczas bitwy pod norą konnych żołnierzy. Wyglądało jednak na to, że od tego czasu jego moc wzrosła. Jak to było możliwe, na czym polegał jego sekret? Thanquol posłał swojego ducha jeszcze wyżej. To był kolejny osobnik, którego należało unikać za wszelką cenę.

Thanquol zadowolony się spojrzeniem z lotu ptaka na całą akcję. Tuż spod pułapu chmur udawało mu się ogarnąć strategię armii Chaosu. Większość sił Chaosu koncentrowała się na frontalnym ataku na północną bramę rzeźbioną w gargulce, ale znaczna ilość oddziałów atakowała bramy wschodnią i zachodnią. Liczebność hordy była tak wielka, że armia mogła prowadzić te ataki nacierając wielkimi ławami, a jednak nadal w dowolnym punkcie przewyższała liczebnie obrońców. Thanquol pomyślał, że była to taktyka zmasowanego ataku, godna każdej armii skavenów.

Przyglądał się, jak ludziki pod nim giną niczym mrówki. Nie wstrząsnęło to nim w żaden sposób. Był skavenem i śmierć pomniejszych ras nic dla niego nie znaczyła. Prawdę mówiąc, śmierć

większość skavenów również nic dla niego nie znaczyła. Jediną emocję jaką odczuwał w związku ze śmiercią, było uczucie triumfu, gdy zagłada dotykała któregoś z jego zaprzysięgłych przeciwników. Bitwa szalała przez długie minuty. Machiny wojenne wymieniały salwy. Strzały zakrywały niebo. Demony włączyły się do walki. Thanquol patrzył zdumiony, gdy wydarzyło się coś niespodziewanego.

Wiele demonów zginęło. Jedna z wielkich wież oblężniczych runęła rozsypując wiążące ją zaklęcia. Szary prorok zastanawiał się, co mogło to spowodować? Tylko jakaś magia o niesamowitej mocy.

Obniżył swój punkt widzenia w stronę murów, by przyjrzeć się lepiej. Nie był zaskoczony widząc przekłętego Gotreka Gurnissona stojącego pośrodku mistycznego pożaru. W jego dłoniach płonął energią ten okropny topór. Nienawiść i strach walczyły wewnątrz Thanquola. Wmawiał sobie, że jest niemożliwe, by dumny krasnolud mógł go zauważyć, ale utrzymywał rozsądny dystans od niego.

Zabójca i jego towarzysze, pozostałe krasnoludy i ten nikczemny człowiek, Felix Jaeger, pędzili wzdłuż murów niszcząc kolejne wieże oblężnicze. Thanquol patrzył przerażony na straszliwą robotę topora. Widział teraz całkiem wyraźnie położone na nim zaklęcia runiczne. Zawsze wiedział, że to jest potężna broń, ale nigdy nie domyślał się, jak bardzo w istocie. Wewnątrz ostrza z gwiazdowego metalu płonąła moc dorównująca tej, którą władali ci czarnoksiężnicy pośród hordy Chaosu, a być może jeszcze większa. Prorok tak wyszkolony jak Thanquol z łatwością wyczuwał, że te dwie przeciwne potęgi nie mogły znaleźć się w tym samym czasie i tym samym miejscu przez przypadek. Domyślał się, że brały udział w grze rozgrywanej przez bogów. W tej chwili czuł tylko zadowolenie, że jego fizyczne ciało znajduje się wiele mil dalej.

Jego uwagę przyciągnęło zamieszanie przy wschodniej bramie. Posłał szybko swój umysł w tamtą stronę i zdążył zobaczyć upadek bramy. Wyglądało na to, że pomimo oporu ludzkich obrońców miasto miało upaść. Thanquol patrzył z pewną nikczemną przyjemnością, jak zwierzoludzie i barbarzyńcy wlewają się przez wyłom w murze i nacierają na miasto.

W głębi duszy zastanawia! się, czy może to w jakiś sposób wykorzystać. Może udałoby mu się napaść hordę Chaosu, gdy już przejmie miasto. Oczywiście, nie zrobiłby tego dopóki jest ich tam tak wiele. To byłoby samobójstwo. Ale może horda ruszy naprzód zostawiając tylko garnizon. To byłaby okazja do nagłego, pewnego uderzenia w prawdziwym skaveńskim stylu. Tak. Tak. Może to zorganizować.

Szybko posłał swoją świadomość w okolice, gdzie znajdowali się Gotrek Gurnisson i Felix Jaeger. Przy odrobinie szczęścia zostaną porwani w wir walki i zabici. Thanquol modlił się do Rogatego Szczura, by tak się stało. Patrzył, jak ludzie porzucają zewnętrzne mury miasta i pozostają na miejscu tylko głupi Zabójcy i Felix Jaeger. Było coraz lepiej.

Zobaczył ogromny głaz wyrzucony przez katapultę, który runął na mury. Widział eksplozję latających odłamków kamienia, która powaliła Gotreka Gurnissona i patrzył, jak Zabójca osuwa się na śnieg. Całą duszę skavena ogarnęła ekstaza triumfu. Rogaty Szczur odpowiedział na jego modlitwy. Widział na własne magiczne oczy upadek swojego najbardziej nienawidzonego wroga.

Wydawało się jasne, że jeśli poczeka nieco dłużej, stanie się świadkiem także śmierci przerażającego Jaegera. Ten dzień miał stać się jednym z najlepszych w jego życiu.

Arek zobaczył Zabójcę padającego pod wielkim pociskiem katapulty. Patrzył, aż upewnił się, że Gotrek Gurnisson już nie powstanie. Minęły długie chwile i poczuł, jak z jego ramion opada ogromny ciężar. Wizja, jaką pokazali mu bliźniacy nie mogła wypełnić się w żaden sposób. To była tylko część ich jakiejś okrutnej intrygi. Chciał krzyknąć głośno z ulgi. Aż do tej chwili nie zdawał sobie

sprawy, jak bardzo ciążyła mu ta wizja. Teraz, znówu był sobą. Teraz mógł ruszyć do bitwy jak prawdziwy bohaterski zdobywca, jakim był.

Ivan Petrovich Straghov dotknął obcasami boków swojego konia. Brnęli mozolnie przez śnieg. To była długa, ciężka jazda w trudnych warunkach i tylko fakt, że zgromadzenie pędziło ze sobą stado luźnych wierzchowców umożliwiło im utrzymanie tak dobrego tempa w drodze do Praag. Ivan przyglądał się niebu. Nie wyglądało to dobrze. Chmury były obrzydliwie czerwone. Ivan widział już wcześniej takie niebo, nad szczytami, które oddzielały północny Kislev i Krainę Trolli od Pustkowi Chaosu, ale nigdy nie spotkał się z czymś takim tak daleko na południe, głęboko wewnątrz jego ojczystej ziemi. Może prorocy mieli rację, może zbliża się koniec świata. Odwrócił się do carycy i rzekł.

– Nie podoba mi się to. Takie niebo to nie jest dobry znak. Wygląda, jakby same Pustkowie ruszyły na południe.

Caryca spojrzała na niego swoimi bladymi, błękitnymi oczami.

– Podobne rzeczy już się zdarzały, stary przyjacielu. W czasach Magnusa i Aleksandra, gdy ostatnio ten dziki księżyc lśnił na dziennym niebie.

Ivan zmusił się do uśmiechu.

– Te słowa mnie nie uspokajają, wasza wysokość.

Caryca wzruszyła ramionami. Jechała swobodniej niż większość ludzi, a jej rumak nie okazywał śladów zmęczenia. Ivan pomyślał, że to czarodziejstwo, ale w jej przypadku nie było to zniewagą. Władza magią zimy i starych bogów Kisleva. Nie miała w sobie skazy Chaosu.

– Tak czy inaczej, jest gorzej niż myślisz. Przed nami działa potężna magia.

– Sądzisz pani zatem, że horda spodziewa się nas?

– Jestem tego pewna, stary przyjacielu, ale wątpię, by te niezwykle zaklęcia miały nas powitać. Myślę, że są skierowane przeciw murom Praag oraz wojownikom, którzy ich bronią.

– Tam jest moja córka – rzekł Ivan – I wielu moich przyjaciół.

– Módl się za nią i módl się za nich, przyjacielu. Obawiam się, że przybędziemy tylko, by ich pomścić, a może nawet to przzerośnie nasze siły.

Felix patrzył na Zabójcę leżącego bez życia. Nie chciał uwierzyć w to, co się stało. Nie mógł w to uwierzyć. Zabójca był niepokonany i pomimo natury swojej misji, niezniszczalny. Było niemożliwe, by Gotrek Gurnisson zginął. A jednak Felix wątpił, by ktokolwiek mógł przeżyć uderzenie w głowę przez tak wielki kawał skały. Każdy człowiek zginąłby natychmiast.

Pochylił się i sprawdził puls Zabójcy, by się upewnić. Przeniknęła go fala ulgi. Serce Gotreka nadal biło i to silnie. Było za co dziękować losowi.

– On żyje – powiedział Felix. Uśmiechy rozświetliły oblicza krasnoludów, ale szybko zastąpiły je zwykłe ponure grymasy.

– Co chcesz, żeby Snorri zrobił, młody Felixie? – spytał Snorri Gryzonos.

– Mógłbyś pomóc mi go stąd wynieść.

– A co to da? – spytał Bjorni. – Musimy tu znaleźć własną śmierć, Felixie Jaegerze.

– Tak, co to da? – spytał Uli. Brzmiało to tak, jakby miał nadzieję, że Felix poda mu dobry powód, by odejść. Felix spojrzał na nich z niedowierzaniem. Oto prowadzili dysputy, podczas gdy zwierzoludzie wspinali się na mury. Szukał w umyśle jakiegoś powodu, który zachęci tych upartych idiotów, by mu pomogli.

– Cóż, przede wszystkim nie możemy dopuścić, by ten topór wpadł w ręce bogów Chaosu. Z pewnością wszyscy z was widzą, że jest specjalny. Może to nawet klucz do naszego zwycięstwa.

Powoli, Bjorni i Uli skinęli głowami. Najwyraźniej myśleli o tym...

– A jeśli on żyje, niewątpliwie bardzo mu pomożecie to nie jest zagłada godna Zabójcy Wielkiego Krwiopijca, bohatera Karag Dum.

– Snorri myśli, że masz rację, młody Felixie – rzekł Snorri. – A poza tym, on nadal wisi Snorriemu jedno piwo, które Snorri kupił zeszłej nocy.

– Cóż, no właśnie – powiedział Felix. – Na co czekacie?

Wyciągnął kciuk w stronę wielkiej hordy Chaosu.

– Zresztą, zawsze możecie później wrócić, by znaleźć swoją śmierć. Powiedzmy sobie szczerze, jest mało prawdopodobne, by udało nam się przed nią uciec.

Felix miał nadzieję, że jego słowa nie są prorocze. Szybko uniósł leżącego Gotreka. To nie było łatwe. Zabójca była bardzo ciężki. Snorri Gryzonos wyciągnął rękę i złapał go w potężną dłoń z łatwością podnosząc Zabójcę.

– Snorri go weźmie – rzekł.

– Niech jeden z was dwóch zabierze jego topór – rzucił Felix. Ulli i Bjorni spojrzeli tylko na niego zaskoczeni.

– To jego topór – powiedzieli.

Rozdrażniony Felix schował miecz i chwycił za broń z gwiazdneho metalu. Musiał użyć obu rąk, by ją unieść, ale wątpił, by był w stanie nią władać.

– Wyońmy się stąd – powiedział.

Za sobą słyszał już przekleństwa i okrzyki bojowe barbarzyńców wdzierających się na balustradę.

Thanquol myślał, że życie jest tak niesprawiedliwe. W jednej wspaniałej chwili oglądał upadek Zabójcy i był przekonany o jego śmierci. Wyglądało na pewne, że Jaeger i szalone krasnoludy wkrótce do niego dołączą. A potem, nagle, cały cudowny sen zniknął. Zobaczył Jaegera nachylającego się nad Zabójcą i oznajmiającego, że krasnolud żyje, a pozostali ruszyli, by pomóc mu w przeniesieniu krasnoluda.

Thanquol miał ochotę gryźć ogon z frustracji. Gdyby tylko mógł w jakiś sposób im przeszkodzić, rzucić jakieś zaklęcie. To było jednak niemożliwe. Ochronne bariery nadal trzymały w tej części muru, a nawet gdyby tak nie było, Thanquol nie ryzykowałby przyciągnięcia uwagi tych czarnoksiężników z hordy. To było frustrujące. Znajdował się tak blisko najbardziej niebezpiecznego wroga, powalonego i nie mógł tego wykorzystać. Wystarczyłoby jedno proste zaklęcie. Zabójca w tej chwili nie mógł liczyć nawet na obronną moc swojego topora.

Thanquol miotał przekleństwa na świat, bogów, swoich wrogów i wszystkich, o których pomyślał, za wyjątkiem siebie samego. Jawna niesprawiedliwość losu była wstrząsająca. Gotowy wyć z frustracji stwierdził, że zobaczył już dosyć. Nadszedł czas, by powrócić do swego ciała i kontynuować plan. Może istniał jakiś sposób, by dostać się do miasta i wyrzucić zemstę na Gotreku Gurnissonie dopóki jest nadal nieprzytomny.

Thanquol przysięgał, że jeśli to mu się uda i nie będzie oznaczało zbyt wiele ryzyka dla jego własnej, cennej skóry, znajdzie ten sposób.

Arek jechał ku Bramie Gargulców. Jego wojownicy przejęli ją i otworzyli, a teraz wlewali się do bezbronnego miasta. Wokół niego płonęły budynki, drewniane kolumny zajmowały się ogniem, kamienie padały w poczerńiałe ruiny. Dziko wykrzykując, zwierzoludzie i barbarzyńcy przedzierali się przez ulice miasta. Niektórzy z nich odkryli beczki ale, niewątpliwie w gruzach jakiejś tawerny i zaczęli wlewać sobie w gardła kolejne kufle.

Arek pozwalał ignoranckim głupcom na zabawę. Wkrótce pożalują spalenia tych budynków. Czy zastanowili się, gdzie przeczekają nadchodzącą zimę? Swoimi dzikimi pieśniami zapewne świętowali własną śmierć i nie wiedzieli o tym. Jechał dalej. Jego demoniczny rumak reagował natychmiast na mentalne impulsy. Ochroniarze wybrani spośród rycerzy Chaosu spoglądali triumfalnie na obracane w ruinę miasto.

– Zwyciężyliśmy – powiedział Bayar Rogaty Hełm. Jego głos był dudniący. Dobywał się echem z głębi napierśnika jego niezwykle ozdobnego pancerza.

– Jeszcze nie – odpowiedział Arek. Przed sobą widział wewnętrzny mur wznoszący się jeszcze wyżej niż mur zewnętrzny, a za nim masywną sylwetkę wyzywająco stojącej cytadeli Praag. Arek wiedział, że bitwa nie będzie zakończona zanim oba z tych umocnień nie padną. – To ledwie początek.

– Z pewnością, nie powstrzymają nas zbyt długo. – Arek potrząsnął głową zdumiony ignorancją nawet jego własnych podwładnych, wyznawców Tzeentcha. Z pewnością powinni wiedzieć to lepiej. Straty poniesione na zewnętrznym murze były większe niż się tego spodziewał, a teraz zniszczono całe dwie trzecie potężnych, demonicznych machin oblężniczych. Głównie przez tego przekłętego krasnoluda i jego paskudny topór. Co gorsza, pomimo opanowania muru, nikt nie znalazł ciała krasnoluda ani jego topora. Wizja, jaką ukazali mu jego czarnoksiężnicy znowu zaczęła nękać Areka. Widział krasnoluda i człowieka stojących triumfalnie na jego zwłokach. Pomyślał, że to nadal może się wydarzyć. Nie. Nie pozwoli na to.

– Przekażcie wiadomość, błogosławieństwo Lorda Tzeentcha i obiecacie najlepsze łupy dla tego, kto przyniesie mi głowę Zabójcy Gotreka Gurnissona i jego ludzkiego kompana, Felixa Jaegera.

Heroldowie wodza natychmiast wyruszyli wypełnić polecenie. Pomimo swojego zwycięstwa, Areka nie opuszczało złowróżbne przeczucie. Wydawało się, że pojechał naprzód zbyt wcześnie.

Felix brnął wąską uliczką. Ciężar topora był morderczy. Zaczął rozumieć, jak Zabójca stał się tak silny. Samo noszenie tej broni przez kilka tygodni wystarczyło, by ktokolwiek zdobył muskuły jak kowal.

Jego nozdrza zaatakował smród spalenizny. Słyszał odległy, triumfalny ryk wojowników Chaosu i trzask zapadających się budynków. W oddali widział jedną z gigantycznych wież oblężniczych unoszących się nad czerwonymi dachówkami domów. Słońce zakrywał dym i dziwaczne, czerwone chmury, ale cała scena podświetlona była piekielną iluminacją płomieni płonących domostw. Na końcu alei dostrzegał hordy barbarzyńców i zwierzoluździ plądrujących ulicę. Wydawało mu się, że już umarł i został ciśnięty do jednego z ognistych piekieł tak ukochanych przez najgorszych kaznodziei sigmaryckich.

– Dokąd teraz? – spytał Ulli nerwowo oblizując usta. To było dobre pytanie. Musieli znaleźć Maxa Schreiberę, jeśli to było możliwe, albo jakiegoś uzdrowiciela. Najlepiej było udać się do Świątyni Shallyi, gdzie kapłanki gołębiej bogini oczekiwały, by udzielić błogosławieństw swego łaskawego bóstwa chorym i rannym. Zakładając, że jakakolwiek ze świątyń jeszcze stała. Zapewne wszystkie zostały spalone i złupione przez czcicieli Chaosu. Felix nie spodziewał się, by oszczędzili domy wrogich bogów.

– Nie ma sensu pchać się do wewnętrznego miasta – rzekł Bjorni. – Bramy są już szczelnie zamknięte, jeśli strażnicy zachowali zdrowy rozsądek.

– Za mało czasu – rzekł Felix. – Wątpię, by księciu udało się zebrać tam wszystkich swoich ludzi w tak krótkim czasie.

– To nic nie zmienia – powiedział Bjorni pewnym siebie głosem. Felix nie widział jeszcze tej

strony osobowości brzydkiego Zabójcy. Bjorni w ogniu bitwy przemawiał jak prawdziwy żołnierz, a nie lubieżny prostak, którym był zazwyczaj. – Jeśli zostali odcięci, to tak się stało. Obowiązkiem załóg tych bram jest je zamknąć i utrzymać, bez względu na to, kto został na zewnątrz.

– I dokąd to nas prowadzi? – spytał Ulli. W jego głosie słyszalna była panika.

– Prosto w gówno zwierzoludzi, jak zwykle – odpowiedział Bjorni i zarechotał.

– Wydajesz się zbyt radosny w tych okolicznościach – stwierdził Felix. Bjorni spojrzał na niego i mrugnął okiem.

– A czemu nie? Żyję, podczas gdy spodziewałem się tłumaczyć przed moimi przodkami w piekle. A wizja śmierci jest nadal przede mną. Czemu nie wykorzystać jak najlepiej tych kilku dodatkowych minut wśród żywych?

– Faktycznie, czemu nie? Ale nadal musimy dostarczyć Gotreka do uzdrowiciela.

– Gdzieś na końcu tych bocznych uliczek jest świątyni Shallyi – rzekł Bjorni. – Jedna z kapłanek wyleczyła mnie z paskudnego wrzodu, którego podłapałem, gdy...

– Oszczędź mi krwawych szczegółów – rzekł Felix. – Prowadź.

Max patrzył na wielką bramę wewnętrznego miasta, którą zatrzaśnięto za nimi. Nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się tak zmęczony. Był całkowicie wyczerpany, a jednak wiedział, że musi coś zrobić. Rozejrzał się i zobaczył księcia. Wódz wydawał się być rozgniewany, ale dobrze to ukrywał. Max widział, jak jego osobista gwardia wcisnęła go na siodło, gdy zewnętrzny mur został opuszczony. Jego ochroniarze prawie tratowali każdego, kto wszedł im w drogę. Max cieszył się, że on i Ulrika zostali uznani za wystarczająco wartościowych, by jechać z nimi. Nie zachwycała go wizja pozostawienia w mieście na zewnątrz, wśród plądrującej hordy wyznawców Chaosu.

Ulrika patrzyła na wielkie drewniane drzwi okute żelazem, jakby chciała przebić się przez nie wzrokiem.

– O co chodzi? – spytał Max.

– Felix i inni są nadal na zewnątrz.

– Za późno, by teraz o tym myśleć – powiedział. – Nic nie możesz dla nich zrobić.

– Wiem. Nie chciałam tylko, żebyśmy się rozdzielali.

Pomimo swojej rywalizacji z Felixem, Max czuł to samo i to nie tylko z powodu braterstwa z człowiekiem i Zabójcą. Był pewien, że jeśli ktokolwiek ma przetrwać to zamieszanie, będzie to tych dwóch. Dobrze byłoby zatem być z nimi.

Księżę szedł już w stronę tylnej bramy, która prowadziła na schody na wieżę strażniczą. Max pomyślał, że władca idzie oglądać, jak płonie jego miasto. Postanowił przyłączyć się do niego.

Wewnątrz świątyni było cicho i chłodno. Felix spoglądał na pokrywające ściany ikony bogini i jej świętych oraz na wielki symbol gołębicy wyrzeźbiony na ołtarzu. Wnętrze wypełnione było rannymi i obitymi ludźmi. Na podłodze leżeli zakrwawieni mężczyźni w bandażach. Wszędzie krążyły łkające kobiety i płaczące dzieci. Najwyraźniej tym nieszczęśnikom także nie udało się dotrzeć do bezpiecznego miasta wewnętrznego.

Felix zastanawiał się, czy może cokolwiek zrobić dla tych ludzi. Wątpił w to. Zapewne byli skazani na śmierć. To tylko kwestia czasu, zanim wojownicy Chaosu dostaną się w to miejsce, albo świątynię ogarnie ogień. Wątpił, by ta drewniana konstrukcja wytrzymała długo w dowolnym przypadku.

Felix patrzył, jak Snorri i pozostali Zabójcy niosą Gotreka przez tłum w stronę ołtarza. Szedł za nimi zmęczony, cały czas zerkając na ikony. Wielokrotnie przychodził do świątyni Shallyi w Altdorfie, gdy był jeszcze bardzo małym dzieckiem. Jego matka umierała na wyniszczającą chorobę i

przychodzili błagać o wstawiennictwo bogini w jej imieniu. Pomimo wszystkich ofiar jego ojca, bogini, bez wątpienia z własnych powodów, odmówiła interwencji. Felix żywił po tym ambiwalentne uczucia wobec świątyni. Lubił miłe, spokojne kapłanki, ale nie potrafił zrozumieć, dlaczego Shallya nie odpowiedziała na jego modlitwy. W końcu, była boginią, mogła uczynić prawie wszystko. Odsunął od siebie te myśli. To nie była dobra pora na próżne rozmyślania.

Kapłanka podniosła się, by powitać Zabójców. Wyglądała na zmęczoną, była blada i wyczerpana z sił podobnie jak wyglądał Gotrek po zniszczeniu demonicznych wież. Najwyraźniej kapłanka łaskawej bogini podzieliła się swoją własną siłą, by uzdrawiać innych. To wydawało się być logiczne, biorąc pod uwagę, to co Max powiedział Felixowi o naturze magii. Miał tylko nadzieję, że kobiecie pozostało dość mocy, by pomóc Gotrekowi.

– Połóżcie go obok ołtarza – powiedziała.

Snorri bez komentarza wykonał polecenie i stanął z boku, z szacunkiem trzymając wielką łapę przy swoim sercu. Kapłanka przesunęła dłonią nad czołem Gotreka.

– Jego duch jest silny – stwierdziła. – Może przeżyć.

– Musimy postawić go na nogi natychmiast – rzekł Felix. – Możesz coś zrobić?

Kobieta spojrzała na Felixa. Żałował, że odezwał się do niej tak ostro. Wielkie kręgi zmęczenia ocieniały skórę pod jej oczami. Była bliska upadku ze zmęczenia. Gdy zauważyła topór w jego dłoni, westchnęła.

– Czy to jest jego topór?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– To broń o wielkiej mocy. Czuję jej siłę nawet stąd – odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na bezwładną postać Zabójcy. – Zobaczę, co da się zrobić.

Uklękła obok Gotreka i położyła dłoń na jego czole. Zamknawszy oczy zaczęła kiwać się na boki przywołując imię bogini. Wokół jej głowy i dłoni zamigotał otok światła. Skóra na szczycie czaszki Gotreka zaczęła się zasklepiać i po długiej chwili jego jedyne zdrowe oko zamrugało i otworzyło się.

– Wezwałaś mnie z powrotem – powiedział. Był otepiały i zdumiony. – Stałem u wrót Sali Przodków, ale nie wpuścili mnie. Powiedzieli, że nie zasłużyłem się w bitwie. Mój duch został skazany na błąkanie się bez domu w wiecznej mgle.

– Nic już nie mów – powiedziała kapłanka, gładząc jego czoło jakby był dzieckiem. – Zostałeś uderzony w głowę. To często sprowadza dziwne sny i wizje.

– To nie wydawało się być snem.

– Czasami nim nie jest.

– Tak czy inaczej, jestem ci winien dług honoru, kapłanko. I spłacę ten dług.

– Nie zapomnij zatem, że jesteś winien także piwo dla Snorriego – powiedział Snorri.

Gotrek zerknął na niego.

– A czemuż to?

– Przyniosłem cię tutaj.

Gotrek posłał ku krzywy uśmiech.

– Wobec tego postawię ci kufel, albo dwa, Snorri Gryzonosie.

– A zatem prawdę powiadają – rzekł wesoło Snorri. – Zawsze jest pierwszy raz na wszystko.

Arek przeklinał jadąc zdewastowanymi ulicami Praag. Otaczało go szaleństwo. Horda rozpadła się w szale plądrowania i zniszczenia. Pili, bili się i ofiarowywali dusze znalezionych obrońców swoim demonicznym patronom. Kilka dni zajmie przywrócenie dyscypliny, a mogło nie starczyć im

czasu. Musieli zająć miasto, zanim rozpocznie się sroga zima. Potrzebowali schronienia, a nie miasta zredukowanego do gruzów.

Zaczął mieć wrażenie, że jego bóg kpi sobie z niego. Nie miał pojęcia o skali wyzwania, jakim było utrzymanie razem tej armii. Kilka takich zwycięstw oznaczałoby porażkę. Patrzył na pijanych wojowników, płonące budynki i czystą, brutalną głupotę tego wszystkiego. Tłumił w sobie żądę zabijania. Płomienie płonęły jak w piecu, wyrwane spod kontroli. Czuł uderzenie ich gorąca.

– Rozkazać wojownikom, by przestali palić budynki – rzucił Arek podejrzewając, że jest na to za późno i pożaru nie uda się opanować.

– To nie byli nasi wojownicy – rzekł Bayar Rogaty Hełm. – To Kislevici. Oni to zrobili. Podłożyli ogień pod swoje domy wycofując się do cytadeli. Uparty naród.

Arek skinął głową. Powinien to przewidzieć. Kislevici nie byli głupcami. Rozumieli sytuację tak samo dobrze, jak on. Wiedzieli, że bez pożywienia i schronienia zima wyrze zemstę na zdobywcach. Arek wiedział, że on i jego wojownicy Chaosu przeżyją, podobnie jak większość magików, ale zwierzoludzie i barbarzyńcy zostaną zmuszeni do kanibalizmu, by przetrwać zimną porę roku. Wielka horda zniknie. Nie wątpił, że wkrótce pojawią się różne frakcje i zaczną zerować na sobie nawzajem. Tak zrobią, albo uciekną, by znaleźć armię innego wielkiego wodza.

Chociaż nie chciał tego przyznać, jego czarownicy mieli rację mówiąc o ryzyku tak późnego ataku. Zaryzykował i przegrał. A jednak, pokrzepiał się myślą, że dopilnuje, by żaden z Kislevitów nie dożył radości ze swego żałosnego triumfu. Podjechał kurier.

– Wiadomość, Lordzie Areku – wódz gestem pozwolił mu mówić.

– Z zachodu nadciąga armia Kislevitów. Na północ od nas pojawiły się zastępy skavenów. Morgar Ostrze Zagłady zabrał swe oddziały, by ich powstrzymać.

Arek przeklął wodza Khorne'a. Zawsze szukał chwały. Zawsze pragnął kolejnych zwycięstw, więcej krwi i dusz, by ofiarować je swojemu głodnemu, wyjącemu bóstwu. Nie wystarczyło wykończenie obrońców Praag. Musiał szukać innych bitew. Arek zmusił się do zachowania spokoju. W tych okolicznościach to mogło być dobre rozwiązanie. W końcu, zapobiegnie to atakowi szczuroludzi na tyły jego armii. Dręczyło go jednak pytanie, co zrobić ze zbliżającymi się Kislevitami. Musieli jechać jak demony, skoro dotarli tu tak szybko. “Wątpił, by jego wojownicy tak oszołomieni rzezią byli w stanie ich powstrzymać.

Szybko przemyślał wszystkie możliwości. Musiał dopilnować, by pożar został ugaszony, a miasto zachowane. Teraz mogła tego dokonać tylko magia. To była robota dla Kelmaina i Lhoigora, niech będą przekłete ich niesforne dusze. Jeśli komukolwiek miało to się powieść, to tylko im. Rezerwy oczekujące za murami powstrzymają Kislevitów dopóki uda mu się zorganizować odpowiednio liczną masę jego ludzi, by rzucić ich na wrogów. Przynajmniej zimne wody rzeki przez na jakiś czas zatrzymają Kislevitów. Przedostanie się przez mosty i brody musiało zająć wiele czasu każdej armii.

Wydał kurierowi pospieszne rozkazy, a potem wjechał w tłum wykrzykując polecenia najbardziej władczym głosem.

– Szary Proroku Thanquolu! Zbudź się! – ryknął do jego ucha znajomy, głęboki głos. Thanquol wyrwał się z transu i powstrzymał chęć rozerwania Izaka Grottle'a swoim najbardziej niszczycielskim zaklęciem.

– Tak! Tak! O co chodzi? – spytał.

– Zostaliśmy zaatakowani – powiedział Grottle. – Wojownicy Chaosu, demony i zwierzoludzie zbliżają się od południa. Dlaczego nas nie ostrzegłeś?

Thanquol miał ochotę odpowiedzieć, że przyglądał się ciekawszym rzeczom, ale nie uczynił tego. Dotarło do niego znaczenie słów Grottle'a. Zaraz zaatakują ich oddział wojowników Chaosu! Sytuacja była poważna! Thanquol musiał natychmiast podjąć kroki, by ocalić swoje cenne życie.

– Jak wielu? Jak blisko? Żwawo! Żwawo! – zapiszczał.

– Tysiące. Są prawie przy nas – wyjąkał Grottle.

– Dlaczego nie obudziliście mnie wcześniej?

– Usiłowaliśmy, ale byłeś pogrążony w swoim czarodziejstwie. Myśleliśmy, że musisz rozmawiać z samym Rogatym Szczurem.

– To może spotkać już wkrótce nas wszystkich, jeśli nie przygotujemy się do obrony.

Thanquol pospiesznie wyszczekał rozkazy i polecenia. Jego przerażeni wojownicy popędzili, by je wykonać.

Gotrek uniósł topór i przyjrzał mu się dokładnie. Krawędzie lśniły, ostre jak zawsze. Runy lśniły jasno. Zabójca wydawał się czerpać siłę z broni. Nadal był blady jak duch, ale wyglądał na zdolnego do walki. Szalona furia błyskała w jego zdrowym oku. Na zewnątrz, z oddali dobiegły odgłosy bitwy.

– Ruszajmy – powiedział. – Czeka nas zabijanie.

Rozdział 13

– Nie śmiem powątpiewać w słowa waszej wysokości, ale czy na pewno to wytrzyma? – Ivan Petrovich Straghov spytał ostrożnie. Lodowa Królowa była zwykle bardzo zimną i opanowaną kobietą, ale rozgniewana była gorsza od północnej śnieżycy.

– Wytrzyma, stary przyjacielu – odpowiedziała, spoglądając z satysfakcją na swoje dzieło. – Gwarantuję to.

Przekonanie w jej głosie kazało mu także uwierzyć, chociaż gdyby nie widział tego na własne oczy, wydawałoby mu się to niewiarygodne. Czarodziejstwo Lodowej Królowej istotnie było potężne. Ivan przyglądał się, gdy stanęła nad leniwymi, szarymi wodami rzeki i wyśpiewała swoje zaklęcie. Rozłożyła szeroko ramiona i wezwała wiatry wschodu i zachodu. Na rzekę zaczął padać śnieg; powietrze stało się niesamowicie zimne. Ivan widział, jak w ciągu kilku uderzeń serca gruba warstwa zamrozu uformowała się na powierzchni rzeki, z niezwykłą prędkością rozprzestrzeniając się od miejsca, gdzie stała Lodowa Królowa. Zanim upłynęła minuta, utworzyły się masywne bloki lodu. Po dziesięciu minutach cała rzeka była solidnie zamrożona. Teraz pokrywał ją śnieg i gdyby nie rów uformowany przez jej brzegi, Ivan nie byłby w stanie stwierdzić, że w ogóle jest tu rzeka.

– Naprzód – powiedziała caryca. – Utrzyma wasz ciężar.

Wprowadzając słowa w czyn, spięła konia i galopem popędziła przez zamrożone wody. Z potężnym okrzykiem podążyło za nią zgromadzenie Gospodara.

– Spójrzcie tam! – krzyknęła Ulrika wskazując na niebo. Max podniósł wzrok spodziewając się zobaczyć opadające na nich harpie. Rzeczywiście zobaczył kilka z tych ohydnych bestii, ale leciały w górę, by zaatakować coś masywnego przebijającego się przez chmury.

– To Duch Grungniego – powiedziała Ulrika zdumionym głosem.

Max z pewnym wstydem błogosławił Sigmara. Przynajmniej będą mogli stąd się wynieść. Patrzył na jaskrawe rozbłyski pojawiające się po bokach okrętu powietrznego. Harpie runęły na ziemię ścięte potężną bronią Ducha Grungniego.

Kelmain spojrzał na swojego bliźniaka i zobaczył na znajomej twarzy odbicie własnego zmęczenia. Żadne żywe stworzenie nie wytrzymałoby bezkarnie stresu, jaki przeżyli tego dnia. Władali mocą zwykle zarezerwowaną dla większych demonów i dali z siebie wszystko, co wyczerpało ich niemal całkowicie. Magiczne sprzężenie zwrotne powstałe po zniszczeniu wież było bliskie doprowadzenia obu do szaleństwa. Wielu z ich uczniów nie miało tyle szczęścia. Kwilili spazmatycznie na śniegu w pobliżu. Jak dotąd on, ani jego bliźniak nie byli w stanie wydobyć z siebie dość energii, by ich zabić.

– Ty także to czujesz, bracie – odezwał się Lhoigor.

Kelmain mógł tylko skinąć głową. Na zachodzie wyczuwali mistyczne zakłócenie o wielkiej mocy. Była to potężna ludzka magia, przyciągająca całe zimno kislevickiej zimy. Na północy znajdowało się inne zakłócenie, odmienne, dotknięte Chaosem, także o wielkiej mocy. Kelmain zgadywał, że pochodziło od skavenów i był pewien, że jego brat zgodziłby się z nim. Chociaż były to zakłócenia niezwykle silne, w normalnych okolicznościach bliźniacy nie przejmowałiby się nimi. W istocie, niewielu istniało magów na świecie, których się lękali. Ale to nie były normalne okoliczności. Żaden z nich nie będzie w stanie korzystać z pełnej mocy w ciągu nadchodzących dni. Apokaliptyczne energie, jakie dzisiaj uwolnili wyczerpały większość ich siły.

Zbliżył się jeździec. Kelmain spojrział uważnie na wojownika Chaosu zauważając posrebrzany hełm, który oznaczał jednego z osobistych kurierów Lorda Areka. Jeździec podjechał prosto do nich i osadził konia w miejscu.

– Lord Arek nakazuje wam zdławić pożar w mieście – krzyknął arogancko.

Kelmain spojrział na swojego brata. Lhoigor odpowiedział mu spojrzeniem. Obaj jednocześnie wybuchli śmiechem.

– Powiedz Lordowi Arekowi, że z żalem musimy odmówić jego uprzejmej prośbie – rzekł Kelmain.

– Co takiego? – prychnął wojownik Chaosu.

– Niestety, w tym momencie jest to niemożliwe – wyjaśnił Lhoigor.

– Niemożliwe? Lord Arek każe was żywcem odrzeć ze skóry.

– Grożenie nam to bardzo zły pomysł – powiedział Lhoigor.

– Istotnie, bardzo zły – dodał Kelmain. Zebrał dość energii, by zredukować pancerz kuriera do stopionego żużlu. Krople metalu zaskwierczały na śniegu.

– To nie było rozważne, bracie – stwierdził Lhoigor uśmiechając się z aprobatą.

– Prawda, ale zasłużył sobie na to.

– Co teraz uczynimy?

– Poczekamy i zobaczymy. Podejrzewam, że Lord Arek wkrótce odkryje, że szczęście go opuściło.

– Ostrzeżliśmy go, że gwiazdy nie są w porządku. Ale czy chciał tego słuchać?

– Jak długo według ciebie demony pozostaną w tym wymiarze? Byłeś za to odpowiedzialny.

– Najwyżej przez kolejną godzinę. Bardzo możliwe, że znacznie krócej.

– Cóż, na południu są inni wodzowie, a ścieżki Starych wkrótce zostaną otwarte.

– A zatem, zdecydowanie powinniśmy zobaczyć, co się stanie.

Felix powalił następnego zwierzoczęka. Stracił rachubę, ilu ich zabili od czasu, gdy wyłonili się z labiryntu bocznych uliczek wokół świątyni. Rozejrzał się. Krasnoludy wydawały się dobrze bawić. Zabijając szczerzyli zęby jak maniacy. Felix tego właśnie spodziewał się po nich. Byli bliscy znalezienia swojej długo oczekiwanej zagłady.

Zablokował cios masywnego barbarzyńcy odzianego w futro. Na karku mężczyzny wisiał naszyjnik jeszcze krwawiących uszu. Felix zauważył, że wiele z nich było małe, jak uszy dzieci. Dzikus zawył coś w swoim niezrozumiałym języku i zamierzył się niezdarnie na Felixa swoim mieczem z czarnego żelaza. Felix wykonał unik i z zimnym okrucieństwem, o które się nie podejrzewał, wbił broń prosto w brzuch wroga i obrócił ostrze w ranie zanim je wyciągnął. Kopnął jeszcze upadającego, wrzeszczącego mężczyznę w twarz.

– Spójrzcie, tam! – usłyszał okrzyk Ulriki.

Felix zaryzykował rzut oka w górę i pomimo swojej desperacji poczuł radosne uniesienie serca. Ponad nimi unosił się dobrze znany kształt Ducha Grungniego. Najwyraźniej Malakai Makaisson powrócił wreszcie. Felix miał tylko nadzieję, że sprowadził ze sobą posiłki.

Mimo to, wątpił, by statek powietrzny mógł unosić dość wojowników, by zmieniło przebieg tej walki.

Wokół Areka zapadały się płonące budynki. Ściana płomieni rzuciła go i jego rycerzy w kolejną boczną uliczkę. Arek spojrział na niebo i potrząsnął pięścią. Spadła następna czarna bomba, wyrzucona z tego latającego okrętu. Eksplozja wysadziła Areka z siodła jego wierzchowca. Gdzie

były harpie? Dlaczego jego magowie nie zestrzelą tego przeklętego statku powietrznego z nieba swoimi błyskawicami? Rozejrzył się i zobaczył, że wybuch zabił kilku z jego ochroniarzy. Reszta odjeżdżała. Najwyraźniej zgubili go w chaosie dymu, płomieni i eksplozji.

To nie miało znaczenia. Słyszał w pobliżu okrzyki bojowe zwierzoludzi. Znajdzie ich, zbierze u swego boku i wróci do walki. Zamierzał zamienić wiele gorzkich słów ze swoimi ulubionymi czarnoksiężnikami, kiedy ich tylko znajdzie.

Thanquol patrzył na kolejne fale rycerzy Chaosu pędzących w stronę jego armii. Potężni wojownicy wykrzykujący imię boga Krwi pędzili przez śnieg. Wyglądało na to, że mogą zmieść nawet sztormverminów. Thanquol już dwukrotnie był zmuszony wezwać swoje czarodziejskie moce, by ich odeprzeć i dwukrotnie ledwie mu się to udało. Zużył mroczną magiczną energię wokół siebie, by pobudzić swoich żołnierzy do czynów pełnych zajadłości niespotykanej w żadnej innej armii skavenów, a jednak mogło okazać się, że to nie wystarczy. Thanquol dawno już użyłby swojego zaklęcia ucieczki, by wydostać się z walki, gdyby nie był pewien, że bez niego armia Mouldera upadnie, a on sam zostanie szybko dopadnięty przez jeźdźców Khorne'a. Pomyślał, że może jednak do tego dojdzie i przezuwając kawałek oczyszczonego spaczenia pozwolił uwolnionej mocy przelać się przez jego żyły.

– Nadchodzą! Znowu nadchodzą! – Izak Grottle zawył do jego ucha.

Thanquol zanotował sobie w pamięci, że jeśli dojdzie do najgorszego, przed dokonaniem ucieczki rozwali tego otyłego Mouldera na składowe atomy.

Ivan Petrovich Straghov jechał przez szeregi Chaosu siekąc szablą wszystko, co stało na jego drodze. Ponad nim chmurzyło się krwawoczerwone niebo. Płonące miasto Praag niespokojnie podświetlało całą piekielną scenę bitwy. Przed nim, zwierzoludzie zaryczeli okrzyki bojowe i pobiegli do okopów. Dowodem ich zbyt dużego zaufania w swoje siły był fakt, że wszystkie umocnienia ziemne skierowane były ku miastu. Ivan stwierdził, że teraz za to zapłacą.

Ktoś przed nim podpalił masywną katapultę. Wielka machina oblężnicza zapłonęła niczym gigantyczna pochodnia. Za nim, Lodowa Królowa i jej ochroniarze walczyli jak urodzeni wojownicy. Miecz carycy płonął w jej dłoni. Pradawne runy lśniły wzdłuż ostrza. Nagle, ostatni ze zwierzoludzi w pobliżu padł martwy. W zapadającej ciszy odezwała się Lodowa Królowa.

– To miejsce cuchnie nikczemnym czarodziejstwem. Od stuleci nie przyciągnięto tu takiej mocy. Były tu demony, aye, a nawet gorsze rzeczy, niż demony.

– Cóż może być gorszego od demonów, wasza wysokość? – spytał z zaciekawieniem Ivan.

– Ludzie, którzy je przyzwali.

Ivan nie był tego pewien, ale nie zamierzał się sprzeczać. Przed nimi dostrzegał nowych przeciwników wyłaniających się z bram Praag. Były ich tysiące tysięcy, z pyskami ociekającymi pianą żądy bitwy, gotowych umrzeć w walce.

– Zdaje się, że musimy zająć się tymi nikczemnymi ludźmi nieco później, moja królowo – powiedział.

– Aye, stary przyjacielu, teraz bowiem musimy zmierzyć się z samymi demonami.

Spoglądając na lśniące postacie pośrodku zbliżającej się hordy, Ivan doskonale zrozumiał, co miała na myśli. Poświęcił chwilę na ofiarowanie swej duszy i duszy jego córki Ulrykowi, a potem przygotował się do kolejnej szarży.

Max wspinał się po rozchwianej drabince sznurowej do gondoli statku powietrznego. Wiatr siekł go w twarz. Spojrzył po raz ostatni w dół. Było wysoko. Ulice płonącego miasta zostały daleko

poniżej. Ulrika pomachała do niego, a potem popędziła, by dołączyć do sił księcia. Modlił się, by wszystko z nią było w porządku. Znaczyła dla niego tak wiele, jak jego własne życie. A jednak, nie widział dla niej żadnego zagrożenia. Nikt nie opuszczał wewnętrznego miasta i nie rzucał się w to piekło.

Powitała go przysadzista, odziana w skórę postać Zabójcy Inżyniera, Malakaia Makaissona. Na głowie miał skórzany hełm pilota z rozcięciem, przez który wychodził farbowany grzebień włosów na głowie. Kryształowe gogle, jakie nosił latając swoim żyrokopterem tkwiły zsunięte na czoło.

– Trochę czasu wam to zabrało, Malakai – rzekł Max. Zauważył jednak, że uśmiecha się wyciągając dłoń, by chwycić rękę Zabójcy.

– Aye, cóż, mnieliśmy odrybinem problemów mychanicznych i trochem kłopotów z witrami, winc trochem czasu zabrało wzincie wszystkich chopaków razem – powiedział Makaisson. W jego głosie rzeczywiście słyhać było zażenowanie. – A Duch jezd tyż odrybinem przyładowany.

– Cóż, lepiej późno niż wcale.

– To włyśnie zawsze powidam. Dzie jezd Gotrek i chopak Felix Jaeger? Nie som z tobom?

Teraz przyszedł czas na zażenowanie Maxa.

– Nie wiem, gdzie oni są. Ostatnio widziałem ich na zewnętrznym murze. Zapewne walczą teraz w mieście. Nie ma ich w cytadeli.

– Cóż, jeżeli ktoś wynijdzie z tygo zamnieszania, to ta para, winc lepiej zabirzmy siem do roboty.

– A na czym ma ona polegać?

– Król Zabójców poprysił mnie, by dotachać tu jego wojów. Mamy ich jakimś setkem upchanych w każde konty. Niektórzy siedzom nawet na górze, w balunie. Lepij posaćmy chopaków na ziemni, żeby mogli zaczomć walczyć, a bedem siem mógł zabrać za poważne zabijanie zwierzoludziów.

Gdy Max i Zabójca rozmawiali, krasnoludzcy wojownicy o hardych obliczach przeciskali się w stronę wyjścia i zaroili na linie.

– Zamnierałem wrócić po resztem, ale wygląda na to, że ni trzyba się o to martwić. Walka może siem skończyć zanim wrócem.

– Przyda się każda pomoc, Malakai.

– Aye, cóż, wzbudowałem nico nowej broni w Ducha Grungniego. Pokazem im za minutkem, gdy chopaki bendom na dole. To jedna z rzeczy, które czymały mnie sdala tak długo. Pomyślałem, że tutaj bendzie potrzebne coś spycjalnego.

Max był ciekaw, co takiego mógł sprowadzić ze sobą Malakai Makaisson, co mogło okazać się dość zabójcze, by odwrócić losy tego konfliktu. Wiedział, że jeśli ktokolwiek był w stanie zbudować coś takiego, to był nim Zabójca Inżynier.

– Czy to już ostatni z nich? – spytał Felix.

– Snorri tak nie myśli! – rzekł Snorri wpatrując się w mrok. Wokół jego stóp zaczęła zbierać się kałuża śniegu stopionego zarem płonących budynków. Krew mieszała się z wodą. Odbijające się w niej płomienie wyglądały dziwnie w rudawej cieczy.

– A zatem, dokąd pobiegli? Wydaje się, że jest ich mniej, niż minutę temu.

– To dlatego, że zabiliśmy tak wielu z nich, młody Felixie – oświecił go Snorri. Felix potrząsnął głową. Był zdumiony, że stworzenie tak głupie, jak Snorri Gryzonos mogło w ogóle żyć.

– Człeczyna ma rację – rzekł Gotrek. – Coś ich odciągnęło, a to nie był tylko Duch Grungniego.

– W co sobie pogrywa ten Makaisson? – pytał Ulli. – Najpierw jest nad głowami, bombarduje miłośników Chaosu, a potem znika.

– Po prostu nie widzimy go stąd – zauważył Felix. – Domyślam się, że skierował się na

cytadele. Musiał sprowadzić ze sobą wojowników i jakąś broń.

– Niedługo przekonamy się o tym – rzucił Bjorni. – Dalej. Ruszajmy i zobaczymy, czy znajdziemy jeszcze jakiś zwierzoluździ do zabicia.

– Snorri myśli, że to dobry pomysł – powiedział Snorri.

– A jeśli pociomgniesz tom dźwigniem – powiedział Malakai Makaiisson, pociągając za drążek – upuści alchemiczny ogień na tych bemkartów, o tak!

Max rozumiał wystarczająco wiele, by zorientować się, co się dzieje. To była ta sama substancja, której używały maszyny oblężnicze na murach, wiecznie płonący ogień starożytnych. Nawet woda ani śnieg nie mogły go zagasić. Będzie płonął przez całe dni. Krzyki dobiegające z dołu powiedziały czarodziejowi, że zwierzoluździe przekonali się o tym w bardzo bolesny sposób.

– Malakai, czy to nie jest niebezpieczne przenosić ogień alchemiczny na statku powietrznym? Zawsze mówiłeś o zagrożeniu pożarem, a to jedna z najbardziej łatwopalnych substancji znanych sztuce magicznej.

Malakai szarpnął za kolejny drążek sterowniczy i obrócił kołem, zawracając Ducha Grungniego przygotowując się do kolejnego przelotu nad hordą Chaosu.

– Aye, cóż... wiesz, masz rację, ale pomyślałem, że tylko tym razem warto bendzie zaryzykować. Nie miałem lepszego pomysłu. Może tylko poza tym – dodał, pociągając za kolejną dźwignię.

– Co to jest? – pod nimi rozległy się odgłosy potężnych eksplozji.

– Cholernie wielkie bomby. Proch szczelniczy i to mnóstwo. Kosztowały fortunem, ale skoro płacił król Zabójców, to czemu nie?

– Malakai, jesteś szalony – powiedział Max drżąc. Alchemiczny ogień i tony prochu strzelniczego na przeladowanym okręcie powietrznym lecącym przez burzę. To był cud, że w ogóle przybyli. Gdyby to wiedział, nigdy nie zgodziłby się na wejście na pokład, by powiadomić Zabójców o sytuacji. W tej chwili to mogło być najbardziej niebezpieczne miejsce na całym polu bitwy.

Wystarczyło jedno zakłęcie kuli ognistej, które przebije się przez zapory, jakie wzniósł wokół maszyny zanim wyleciała na Pustkowie Chaosu i wszyscy na statku powietrznym poleciliby w kawałkach do Morrslieba, wyrzuceni przez eksplozję. Nic dziwnego, że Malakai leciał tylko ze szczątkową załogą. Dziwne było, że ktokolwiek postanowił pozostać na pokładzie.

– Powim ci jednak coś, Max, kilka razy podczas lotu myślałem, że cholera, zmoczeni moje bryczesy. Nigdy wincej tego nie zrobiem. Nawet choćbym miał dożyć pienciuset lat.

– Miło mi to słyszeć – rzekł Max. Zastanawiał się, co robi Ulrika. Czy walczyła teraz w mieście? Malakai znowu pociągnął za dźwignię. Nastąpił długi gwizd, a potem wielka eksplozja.

– Switnie – powiedział Malakai patrząc do tyłu na dół. – Dorwałym jednom z tych wilkich machin oblemżniczych.

– To zabrzmiało jak eksplozja – powiedział Felix. – I to duża. Cóż to za nowe diabelstwo?

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to Malakai Makaiisson płata swoje sztuczki – powiedział Bjorni.

Wszyscy widzieli okręt powietrzny, który pożegłował nad ich głowami kilka minut temu i wszyscy widzieli, do czego był zdolny Zabójca Inżynier.

– To brzmi jak mnóstwo eksplozji – rzekł Snorri.

On także miał rację. Z oddali dochodził stały łomot i grzmot. Ziemia trzęsła się, a kilka płonących budynków było bliskich zawalenia. Gdy wbiegli na otwarty plac ich nozdrza zaatakował dziwny chemiczny zapach. Gotrek głośno wciągnął powietrze.

– Ogień alchemiczny. Tylko taki maniak, jak Makaiisson mógł pomyśleć o zabraniu tego na okręt

powietrzny.

Zabrzmiało to prawie tak, jakby Gotreka zdumiewało szaleństwo inżyniera.

Kelmain i jego brat przyglądali się wielkiemu okrętowi powietrznemu przesuwającemu się ponad hordą Chaosu i górującemu nad płonącym miastem.

– Chroniony – powiedział. Dla jego magicznych zmysłów runy chroniące latającą machinę błyskały jak latarnie.

– Silnie – zgodził się Lhoigor. – Jednak po pewnym czasie pokonalibyśmy te zapory.

– Po pewnym czasie i po odrobinie odpoczynku, nieprawdaż bracie? – powiedział Kelmain uśmiechając się krzywo do swojego bliźniaka.

– Uważasz, że powinniśmy spróbować?

– Nie. Cokolwiek się stanie, armia Areka przepadła. Głupiec powinien posłuchać naszej rady. Po co marnować siły próbując odwrócić nieuniknione? Potrzebne nam będą do własnej ucieczki.

– Obawiam się, że masz rację – zgodził się Lhoigor.

– Zawsze jest następna wiosna – rzekł Kelmain. – Kiedy tylko ścieżki Starszych staną otworem, będziemy w stanie zrobić wszystko, co sobie zażyczymy. Możemy zjednoczyć pozostałych wodzów i popchnąć naprzód wielki plan.

– Arek może jednak zwyciężyć – zaśmiał się Kelmain.

– Naprawdę myślisz, że to jest możliwe? Podejrzewam, że stare moce sprzeciwiają mu się. Zaczynam wyczuwać, że demony znikają.

– A zatem, może powinniśmy iść – zanim dopadnie nas ta hałastrą.

Obaj czarnoksiężnicy wykonali gest dłońmi. Powietrze zamigotało i w ciągu jednej chwili znikli pozostawiając za sobą ponad tuzin ciał uczniów, z których wyszła cała moc.

Arek prowadził swoich zwierzoludzi ulicą. Kipiał od irytacji. Wyczuwał, że w jakiś sposób sprawy obróciły się przeciwko niemu i nie powinien znajdować się w tym miejscu. W tej chwili powinien powieść swoją armię na Kislevitów. Spoglądając na potężny okręt powietrzny syjący deszczem śmierci na jego armię, wiedział, że wojownicy potrzebują kogoś, kto zbierze ich w obliczu nagłego ataku.

Ponownie zadawał sobie pytanie, gdzie są magicy? Z pewnością powinni do tego czasu zestrzelić to z nieba. Znowu przeklinał. Gdyby tylko nie rzucił harpii do wcześniejszego ataku, mogłyby zarość się wokół okrętu latającego i zerwać go z nieba pomimo zabójczego uzbrojenia. W tym jednak przypadku było ich zbyt niewiele, by ominąć te śmiertelne działa. Arek pomyślał, że musi uczyć się na błędach. Następnym razem będzie przezorniejszy.

Przed sobą widział wielką bijatykę. Zwierzoludzie walczyli z ludźmi i krasnoludami. Przygotował się przed nadchodzącą walką. Zadawanie rzezi cieszyło go. Minęło sporo czasu, gdy po raz ostatni posmakował rozlewu krwi i prawie zapomniał, jak przyjemne jest udowodnianie swojej fizycznej przewagi. W rzezi i mordzie bitwy było coś pierwotnego. W takich chwilach rozumiał, dlaczego ludzie szli za Bogiem Krwi, Khornem.

Natarł na niego ludzki wojownik w płaszczu ze skrzydlatym lwem Praag. Twarz mężczyzny była blada, a jego oczy szeroko rozwarte i bezmyślne. Z jego ust kapłała piana. Arek nie miał wątpliwości, że ten człowiek wpadł w szał bojowy, niemal tracąc zmysły z szału i strachu. Biegł na wojownika Chaosu wykrzykując ledwo zrozumiałe wyzwania. Ukryta pod hełmem twarz Areka wykrzywiła się w ponurym uśmiechu. To było aż za łatwe.

Ludzki gwardzista wymierzył cios prosto w głowę Areka. Wódz z łatwością sparował uderzenie

swoim mieczem runicznym. Z ostrza jego przeciwnika posypały się kawałki stali. Topór Areka zerwał głowę człowieka z jego ramion. Arek skoczył naprzód w bój siekąc wszystko po drodze. Każdy cios trafiał, odcinając kończyny, zdzierając głowy z karków, pozostawiając leżące na bruku powykęcane kadłuby ociekające krwią i wnętrznościami.

Poddał się radości bitwy, walcząc z lodowatą precyzją charakterystyczną dla wyznawców Tzeentcha. To była znakomita zabawa. Każdy cios był ruchem w grze, każde parowanie odpowiedzią, każdy krok i każde przesunięcie ciała było dokładnie obliczone. Oceniał sytuację wokół siebie z błyskawiczną prędkością i matematyczną precyzją. Poruszał się jak wir śmierci przebijający się przez motłoch, porywający drobne kawałki ciała, krwi i życie otaczających go ofiar. Rozdzierał dusze z każdym mijającym uderzeniem serca.

Był niemal wdzięczny, że zbieg wydarzeń doprowadził go w to odległe miejsce, do najmroczniejszego serca bitwy. Zbyt długo przesiadywał na tronie wodza. Potrzebna mu była odnowa chrztu w krwi, by przypomnieć sobie, że jest wojownikiem, tak samo jak wyznawcą Tzeentcha.

Wyczuł coś w pobliżu; potężną mistyczną siłę. Zrozumiał, że ta moc była nieprzyjazna wobec niego i jego rodzaju. Nagle przez umysł Areka przemknęła wizja Zabójcy i jego topora. Czy było możliwe, że krasnolud przetrwał i w jakiś sposób wrócił do walki? Jeśli tak, było już za późno, by coś z tym zrobić.

W głębi duszy coś ostrzegało go, by się oddalił, by uciekł od tego, cokolwiek to jest, wiedząc, że to coś może zakończyć jego nieśmiertelną egzystencję. Ta część jego umysłu, która umożliwiła mu tak długie życie i dotarcie równie wysoko wiedziała, że nie warto było podejmować ryzyka, że istniała niewielka możliwość, iż zostanie pokonany. Nie dotarłby jednak do miejsca, które zajmował, gdyby nie słuchał tej części umysłu. Nieśmiertelność osiągało się przecież wykorzystując sprzyjające okoliczności i minimalizując ryzyko. Gdy życie trwało odpowiednio długo, nawet jedna szansa na milion musiała któregoś dnia się wydarzyć.

Jednocześnie przyznawał, że trafił na przeciwnika wartego walki. Było to wyzwanie przewyższające tych żalonych śmiertelników. Część jego osobowości, która tak długo trwała w drzemce i obudziła się pod wpływem emocji walki chciała zmierzyć się z zagrożeniem i pokonać je. A Arek był wystarczająco mądry, by rozumieć, że to wyzwanie przemawia także do innego aspektu jego jestestwa. Głęboko pod wszelkimi innymi uczuciami, na dnie jego duszy nadal tkwił fakt, że miał dość swojego długiego życia, był zmęczony wieczną walką, znudzony wiecznym powtarzaniem codziennych zmagañ. Uznawał to za swojego prawdziwego, wewnętrznego wroga, słabą ludzką cząstkę, która nadal czasami odczuwała strach lub poczucie winy i która po prostu pragnęła skończyć to wszystko.

Wiedział, że ta cząstka jego duszy musi zostać zniszczona. To był balast, który go obciążał, przykuwając do świata śmiertelników, pełnego porażki i pokus. Wiedział, że powinien wycofać się z tej walki, unikając potęgi, która zbliżała się coraz bardziej. A jednak nie mógł tego uczynić. Głęboko ukryta w nim, słaba, kwiląca istota, którą tak pogardzał, nadal zachowała trochę siły, podobnie jak powab walki i pragnienie udowodnienia własnej wartości. Wszystko to spiskowało przeciwko niemu, zmuszając go do marszu naprzód i zabijania po drodze, podczas gdy mądrzejsza część jego świadomości wiedziała, że powinien zrobić wszystko, by się stąd oddalić.

Felix Jaeger otarł pot z czoła. Zauważył, że jego rękaw był czerwony. Pomyślał, że to może być krew. Pytanie tylko, czy należała do niego, czy do kogoś innego? Nie wiedział. Niczego nie czuł. Nie było bólu. To samo w sobie nic nie znaczyło. Wiele razy wcześniej odniósł rany w bitwie nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zanim walka się nie zakończyła. Chciał wyciągnąć dłoń i dotknąć czoła, by sprawdzić, czy poczuje rozdarte ciało lub odsłonięte mięśnie albo kość, ale nie ośmielił się.

Wokół niego panowało wyjące szaleństwo bitwy i pozwolenie sobie na choćby ułamek sekundy rozproszenia uwagi byłoby samobójstwem.

Po swojej prawej stronie zobaczył Ulliego otoczonego przez grupę zwierzoludzi. Miody krasnolud był pokryty setkami nacięć i otarć. Jego kamizela była rozdarta. Stracił nawet jednego buta, a na gołej stopie widoczne było długie rozcięcie, z którego powoli wydobywała się krew kapiąca na kamienie. Mimo to, walczył dalej. Jego młot rozbił czaszkę zwierzoczłka, posyłając w każdą stronę kawałki kości i fragmenty mózgu.

– Zjedz to, bestio! – ryknął, jeszcze głośniejszym głosem niż zwykle. – Na co czeka reszta z was? Chodźcie i umierajcie!

Bestie nie potrzebowały drugiego zaproszenia. Wyjąc z żądry krwi rzuciły się naprzód na młodego krasnoluda, który utrzymywał się przy życiu tylko dzięki desperackiemu odbijaniu ciosów. Felix widział, że nie wytrzyma zbyt długo. Nie dbając o to, czy krasnolud podziękuje mu, czy też nie, za zakłócenie przebiegu jego heroicznej śmierci, Felix włączył się do walki. Jego miecz przebił bok zaskoczonego zwierzoczłka. Stworzenie zaatakowało instynktownie kaszłając krwią i padło martwe, jednak tylko szybki unik zachował głowę Felixa na jego ramionach.

Niskie uderzenie podcięło kolejnego zwierzoczłka. Nagle pchnięcie w jego gardło zabiło padającego stwora. Grad ciosów skierowanych w jego stronę powiedział Felixowi, że udało mu się przyciągnąć uwagę bestii. Nagle to wszystko przestało wydawać się dobrym pomysłem. Cofał się parując desperacko i modlił się do Sigmara, by żaden zwierzoczłek nie zaatakował go od tyłu, podobnie jak on to uczynił. Zastanawiał się, gdzie jest Ulli? To był dobry moment na odpłacenie za pomoc Felixa.

Zwierzoludzie byli znacznie silniejsi od niego i tylko jego prędkość oraz doświadczenie ocaliło mu życie pod naporem mnóstwa ciosów. Zablokował kolejne uderzenie, a siła wstrząsu niemal wyrwała mu miecz z rąk. Przeklinając odpowiedział ciosem i został nagrodzony widokiem dwóch odciętych palców zwierzoczłka. Zaskoczony potwór wypuścił swoją wielką pałkę i Felix wykorzystał ten moment, by wbić broń w krocze wroga, a potem wznowił wycofywanie się nie przerywając walki.

Miał wrażenie, że porwało go rozszalałe morze, miotające falami wścieklej walki i odciągało od towarzyszy prądami bitwy. Oślepił go pot. Czuł się dziwnie odłączony od własnego ciała. Walczył mechanicznie, wiedząc, że zmęczenie go spowalnia i nic nie może z tym zrobić. Wiedział, że jeśli przeżyje i będzie walczył dalej, zmęczenie minie, a jego siły powrócą. To przeświadczenie okazało się zdumiewająco pokrzepiające. Kiedyś byłby przerażony przebywając pośrodku tej burzy narzędzi mordy, ale gdzieś podczas długich podróży z Gotrekiem stał się weteranem.

Nagle dwóch zwierzoludzi przed nim przewróciło się naprzód i Felix musiał zatrzymać swoją dłoń, by nie trafić Ulliego. W oku młodego Zabójcy lśniła dzika radość. Felix widział coś podobnego tylko na twarzach krasnoludów zagubionych w kontemplacji złota. W tej jednak chwili wątpił, by Ulli rozmyślał o złotych monetach.

– Dorwałem kolejnych dwóch bękartów! – ryknął i triumfalnie rozłożył ramiona unosząc broń ku niebu, jakby wyzywał samych bogów. – Chodźcie i zdychajcie!

To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział. Topór zwierzoczłka spadł na jego głowę od tyłu. Kawałki kości i ciała przysły na twarz Felixa.

Felixa Jaegera ogarnęła czerwona furia. Skoczył naprzód walcząc z nową energią i desperackim pragnieniem zabijania. Nie lubił szczególnie Ulliego, ale dzielili ze sobą przygody. Widząc na własne oczy, że ginie ktoś, kogo znał było dla niego większym wstrząsem niż oglądanie śmierci obcego. To było przerażające przypomnienie własnej śmiertelności, które można było zatrzeć jedynie

w szaleńczym porywie zemsty.

Pod jego mieczem padali zwierzoludzie, jeden po drugim. Felix walczył jak nigdy wcześniej, osiągając nowy poziom swoich umiejętności, prędkości i furii, popychany żądzą krwi. Kolejni barbarzyńcy padali od jego ostrza szybkiego jak błyskawica. Widział strach pojawiający się w oczach ludzi na chwilę, zanim umierali i wykańczał ich bez śladu zmiłowania. Czuł, że wypaliło się w nim wszelkie współczucie. Sama jego obecność zaczęła napawać lekiem wrogów. Wyraz jego twarzy wystarczał, by najbardziej zagorzali wojownicy zapragnęli się wycofać. Ta chwila paniki zwykle wystarczała, by zapłacili za nią życiem. Gdy na nich uderzał, zamierali zamiast parować, a chwilowa przewaga całkowicie wystarczała dla szermierza o zdolnościach Felixa.

Zauważył, że jego szaleńcze natarcie przyciągnęło uwagę zbiorowiska ludzi: gwardzistów, milicji miejskiej i obywateli uzbrojonych w łomy, grabie i narzędzia domowe. Mężczyźni rzucili się do walki u jego boku, wiwatując i warcząc.

Kątem oka zauważył błysniecie czerwieni. Do jego uszu dotarło wycie krasnoludzkiego okrzyku bojowego i dostrzegł Gotreka krocącego przez masę zwierzoludzi, z wysoko wzniesionym toporem i niepowstrzymanego jak morze. Felix zrozumiał, że to lepszy punkt skupienia żołnierzy niż on sam.

– Za mną! – ryknął i zaczął wyrąbywać sobie drogę w stronę Zabójcy. Otaczający go obrońcy podążyli za nim z gniewnymi okrzykami.

Ulrika wyglądała z murów szukając celów. Z pewnością było ich wystarczająco dużo. Horda Chaosu przewalała się przez płonące miasto, zabijając i kalecząc po drodze. Naciągnęła cięciwę aż do policzka, puściła strzałę i zobaczyła padającego marudera odzianego w niedźwiedzią skórę. Automatycznie wyciągnęła kolejną strzałę, nasadziła ją na cięciwę i wyszukała następnego cel.

Nie była pewna, skąd wzięła łuk. Może zabrała go z rąk rannego obrońcy. To nie miało znaczenia. Najważniejsze, że trzymała broń i mogła zabijać potwory plugawiące ulice Praag. Zamierzała kazać im zapłacić krwią za to świętokradztwo.

Podczas gdy jej ciało odpowiadało na długie lata treningu, zastanawiała się, gdzie jest Felix i gdzie jest Max. Byłaby także rada widząc Gotreka, Snorriego albo któregoś z pozostałych Zabójców. Zapewniliby jej znane punkty odniesienia w tym oszalałym świecie. Nigdy nie doświadczyła czegoś takiego. Jej cały świat i całe życie wydawało się skurczone do tego momentu i tylko w tym miejscu. Jakby wszystko, co wydarzyło się wcześniej było tylko snem. Nie istniała przyszłość. Nie było przeszłości. Tylko to szalone piekło śmierci i zniszczenia.

Co dziwne, wcale nie dbała o to. W tej chwili czuła tylko dziwną radość, nie musząc martwić się o nic poza obecną chwilą. Zrozumiała z pełną jasnością dlaczego niektórzy mężczyźni woleli walkę bardziej od wina, kobiet, czy innych przyjemności. Ona także czuła, że jej życie oddzieliła od śmierci tylko jedno tchnienie i trzyma w swych dłoniach moc życia i śmierci, władając nią z każdą wypuszczoną strzałą. To było wrażenie, które można opisać tylko jako boskie.

Pomyślała, że może właśnie dlatego niektórzy z tych podłych ludzi na dole poszli za Khornem. Może nie byli gorsi od niej samej, tylko uzależnili się od dreszczu śmiertelnej walki. Może na tym polegał powab boga Krwi. Gdy te myśli przemknęły jej przez głowę, zastanawiała się, czy stanowiły część jakiegoś dziwnego zaklęcia rzuconego na pole bitwy, które miało zwabić śmiertelnych wojowników na stronę Chaosu.

Odrzuciła tę myśl. W tej chwili to nie miało znaczenia. Miała łuk. Miała cele. Dopóki jej serce bije, a oczy widzą, czekała na nią robota.

Arek zrozumiał, że znowu przebił się na główne ulice. Wokół niego leżały ściśnięte ciała. Czuł pot, krew i spaleniznę. Z tego miejsca nie można było stwierdzić, kto wygrywa. Zwierzoludzie i

północni barbarzyńcy wyli jakby znaleźli się w pułapce i ogarniała ich panika. To niczego nie znaczyło. Arek wiedział aż za dobrze, że wojownicy w jednej części pola bitwy reagowali odmiennie, niż w innej. Było całkiem możliwe, że ogólnie siły Chaosu zachowują kontrolę nad miastem, nawet, gdy ta ich niewielka grupa została odcięta i zaskoczona. Arek wiedział, że może to zmienić.

– Do mnie! – krzyknął. – Stawać śmiało! Zwycięzimy!

W jego głosie było tyle pewności siebie i mocy, że pomknęły ku niemu spojrzenia setek oczu. Widział odwagę wzbierającą w sercach wojowników Chaosu, którzy zaczęli walczyć z nową zjadłością. Znali go z widzenia, a jego reputacja wzbudzała przekonanie w niesamowitą moc wodza. Sama jego obecność kazała im uwierzyć, że zwycięstwo znowu znalazło się w ich rękach.

Podczas gdy wojownicy wokół niego odzyskiwali ducha, sam Arek czuł, że go traci. Wyczuwał, że sprawy wymykają się spod jego kontroli i obracają przeciwko niemu. To było gorzkie doznanie, przeczucie, że bogowie odwrócili się od niego. Nie był całkiem pewien, dlaczego tak się dzieje, ale wiedział, że tak jest w istocie. Usiłował sobie wmawiać, że tylko to sobie wyobraża, ale wiedział, że to coś więcej. Jego wycucie następstwa wydarzeń wyostrzyło się na skutek stuleci doświadczeń i wiedział, że postrzega przebieg walki nieludzkimi zmysłami.

Sam nie czułby prawdziwego strachu, gdyby nadal nie był świadom tej straszliwej, wrogiej obecności w pobliżu. Wiedział, że jego pancerz jest nieprzenikliwy dla śmiertelnych broni, a jego własna siła i moc pozwalała mu pokonać każdego zwykłego wojownika nawet bez pancerza. Ale ta bliska moc miała w sobie *coś* niepokojącego. To było to samo wrażenie, które czuł, gdy zobaczył krasnoluda na murach miasta. W jego umyśle znowu pojawiło się dawno zapomniane wrażenie. Arek rozpoznał je dopiero po kilku uderzeniach serca.

To był strach.

Gotrek i Felix walczyli ramię w ramię przedzierając się prosto w samo serce bitwy. Zabijając po drodze pchali się tam, gdzie walka była najcięższa. Gdziekolwiek się pojawiali, ich obecność dodawała ducha obrońcom, pokrzepiając przerażonych i inspirując ich do jeszcze bardziej zaciętych ataków. Gdzieś podczas desperackiej bijatyki Felix zauważył, że przyłączyli się do nich Snorri i Bjorni. Oba krasnoludy wyglądały, jakby pracowali w rzeźni. Krew pokrywała ich twarze i ramiona. Matowa posoka znaczyła korpusy. Ale uśmiechali się walcząc i śmiali się zabijając.

W szaleńczej radości walki zapomnieli o poszukiwaniu swej zagłady i zamierzali zabić tak wielu wrogów, ile się da. Ich widok przerażał zabobonnych barbarzyńców na równi z pojawieniem się Gotreka i niepokoił nawet zwierzoludzi. Zabójców nic nie powstrzymywało, niczego się nie lękali, nawet przeważające siły wroga i jego liczebność. Nic nie było w stanie zgasić ich pragnienia zadawania śmierci. Wydawali się być awatarami swoich starożytnych bogów, którzy powrócili do życia, by zabijać pradawnych wrogów swojego ludu.

Felix szedł za nimi, czując się jakby poruszany przez wir zniszczenia. Jego wcześniejszy szal wywołany śmiercią Ulliego minął i zastąpiła go zimna kalkulacja. Walczył teraz zarówno, by pozostać przy życiu i oglądać wyczyny Zabójców, jak po to, by zabijać przeciwników. W jego umyśle ustąpił cały strach. Owszem, chciał żyć. Z pewnością tlił się w nim jeszcze strach, ale tak przywykł już do tego, że to wydawało się normalne. To było po prostu coś, co wyostrzało jego zmysły i przyspieszało odruchy.

Teraz przed sobą wyczuwał narastający opór wyznawców demonów. Zobaczył opancerzone w czerń postaci poruszające się wśród tłumu i zrozumiał, że obecni są wojownicy Chaosu. Najwyraźniej Gotrek i pozostali spotkają wreszcie wrogów bardziej godnych stali ich oręża.

Felix przez chwilę zastanawiał się, dokąd zmierza ta bitwa a potem znowu zatracił się w wyjąłym morzu walki.

Ivan Straghov patrzył na bomby i alchemiczny ogień opadający deszczem z okrętu powietrznego, zamieniające nacierającą falę zwierzóludzi w masę ognistych ciał. Ich wrzaski były przerażające nawet dla ludzi, którzy ich nienawidzili. Tylko demony szły nadal naprzód ignorując płomienie błyskające wokół nich.

Gdy pierwsza fala stworów wynurzyła się z piekła, Lodowa Królowa wykonała gest dłonią i w stronę potworów pomknęła bezlitosna fala straszliwego zimna. Ivan miał szczerą nadzieję, że to je powstrzyma. Był już za stary, by mierzyć się z demonami.

Arek zobaczył Zabójców przedzierających się ku niemu przez mrok. Śnieg znowu zaczął gęsto padać. Trudno było stawiać pewne kroki. Martwe ciała leżały częściowo pogrzebane w miejscach, gdzie upadły. Natychmiast rozpoznał tę scenę. Była taka sama, jak wizja, którą pokazali mu jego magowie. Nie. Nie całkiem taka sama. Niektóre elementy różniły się. Było tam więcej krasnoludów, a Areka otaczało więcej własnych wojowników.

Przypomniawszy sobie, co mówili mu bliźniacy. Przyszłość nie była pewna. Opierali się tylko na przypuszczeniach. Wiedział zatem, że istnieje szansa. Kpiąca wizja Władcy wszystkich Zmian pokazała mu coś, co mogło nie stać się prawdą. Już teraz sprawy wyglądały na tyle inaczej, by zmienić wizję. Miał taką nadzieję.

Patrząc na Zabójcę poczuł się mniej przestraszony. W odróżnieniu od obrazu z wizji krasnolud był już ranny. Nie poruszał się z tak brutalną wściekłością, jakiej spodziewał się Arek. Wódz Chaosu wiedział, że mierzył się już w bardziej niebezpiecznymi przeciwnikami. Nie mógł zrozumieć, jak ten niski wojownik mógłby być w stanie mu zagrozić.

Zabójca spojrzał na niego, jakby wyczuł na sobie wzrok Areka. Między oboma przemknęła iskra rozpoznania. Arek domyślił się, że obaj zrozumieli, kto jest prawdziwym przeciwnikiem każdego z nich w tej bitwie.

Wydając z siebie okrzyk bojowy, Arek ruszył w stronę oszalałego krasnoluda.

Felix zobaczył zbliżających się do nich wojowników Chaosu. Rozpoznał postać na ich przedzie. To był wódz, który wykrzykiwał tak brutalne wyzwania podczas pierwszego dnia oblężenia, ten, który powiedział całemu miastu, że pozabija ich wszystkich.

Felix musiał przyznać, że Arek zrobił wiele, by dotrzymać tej obietnicy. Wszędzie leżeli martwi, powoli okrywani powiewami świeżego śniegu. Tu i tam biel plamiła czerwień krwi, czerń odchodów i moczu. Nawet furia gromadzącej się burzy nie była w stanie całkiem przegonić odoru śmierci.

Felix wziął głęboki oddech zastanawiając się, czy jest już martwy i znalazł się w piekle. Budynki nadal płonęły. W oddali słyszał odgłos tytanicznych eksplozji i czuł smród alchemicznego ognia. Białe płatki zniknęły, gdy wiatr rzucał je w płomienie. Wszędzie wokół ludzie krzyczeli, łkali i ginęli. I nie tylko ludzie. Dostrzegał idące w mroku demony, zwierzóludzi i inne stwory, którym nie chciał przyglądać się uważnie. Powyżej, łąty, które okazywały się chmurami i piekielne lśnienie księżycy Chaosu zasłaniały blade gwiazdy.

Wojownicy Chaosu szli ku nim prowadzeni przez wielkiego wodza. Gotrek tylko takiej prowokacji potrzebował. Wyjąc szaleńczo popędził im na spotkanie.

Felix pomyślał, że nie ma innego wyboru i musi iść za nim. Pobiegnął za Zabójcami ku pewnej

śmierci.

Max Schreiber spoglądał w dół ze statku powietrznego. Obserwował jak zakłęcie Lodowej Królowej wbija się w nacierające jednostki demonów. Wątpił, by w normalnych okolicznościach nawet tak potężny atak mógł je powstrzymać, ale demony były osłabione, mroczna magia nasycająca otoczenie szybko zniknęła, a zakłęcia wiążące je do tego wymiaru rozplątywały się. Max nie wyczuwał już obecności magów, którzy utrzymywali zawity zwój mocy. Czy było możliwe, że uciekli? Czy było możliwe, że lud Kisleva może pomimo wszystkiego osiągnąć zwycięstwo?

Z pewnością okręt powietrzny zadawał straszliwe zniszczenia hordzie Chaosu. Wielkie kratery dowodziły mocy bomb Malakaia Makaissona. Świecące kałuże wypełnione stopionymi ciałami mówiły o niesamowitej sile niszczącej alchemicznego ognia. Patrząc na Zabójcę Max zrozumiał, że na swój sposób Malakai Makaisson władał taką mocą, jak dowolny mag, a może nawet większą. Gdyby wybudowano flotę takich latających okrętów, mogłoby to zmienić bieg historii. Inżynier nie zamierzał jednak tak uczynić. Robił, co w jego mocy, by nie podzielić się z nikim swoimi sekretami. Być może magicy i inżynierowie nie różnili się aż tak bardzo. Jedni i drudzy zazdrośnie strzegli swojej wiedzy. Max nie dziwił się temu. Ostatecznie wiedza oznaczała potęgę.

Zdał sobie sprawę, że tylko próbuje odwrócić swoją uwagę od szalejącego poniżej zniszczenia. Zauważył kislewicką kawalerię przedzierającą się przez pozostałości hordy. Atak okrętu powietrznego wyrównał szanse. Konni wojownicy wykorzystywali tę okazję. Była to jednak tylko mała szansa. Bitwa nadal chwiała się w niepewnej równowadze i Max wiedział, że najmniejsza rzecz może przechylić jej szale.

Płatki śniegu zawirowały w jego polu widzenia. Statek powietrzny zadrżał wstrząśnięty turbulencją. Wiatr wył między podporami i kablami przywiązującymi gondolę do balonu. Makaisson obrócił nos okrętu i Max ujrzał miasto.

To był osobliwy widok. Płonęły wieże i świątynie. Wielkie gmachy zawałyły się strawione od środka ogniem. Powiewy śniegu chwilami zasłaniały wszystko. Cytadela Praag nadal wznosiła się nietknięta ponad wewnętrznym miastem zapewniając bezpieczeństwo wybranym. Ogniste łuki i eksplozje wskazywały, że obrońcy nadal używają machin wojennych.

– Dobra, dobra – odezwał się Malakai Makaisson – to ostatnia z bomb. Somdzem, że lepiej wrócimy i wylondujemy, by siem pobić na poważnie.

Max spojrział na krasnoluda ze zdumieniem. Ten maniak działał tyle co cała armia, by zmienić los bitwy. Jego geniusz mógł właśnie uratować miasto, a może całość tej części świata, przed groźbą Chaosu – a teraz chciał zaryzykować swoje życie w wirze bitwy na dole. To dopiero uważał za prawdziwą walkę! Max uśmiechnął się do niego i Malakai Makaisson odpowiedział uśmiechem.

– Sądzę, że masz rację, Malakai! Chętnie pójdę z tobą i zobaczę, co sam mogę zrobić.

– Switnie! Styrczy gadania. Czas zabijać!

Arek uśmiechnął się, gdy jego pierwszy cios odrzucił krasnoluda. Zabójca wydawał się powolny. Ledwo udało mu się zastawić tym straszliwym toporem. Arek ganił się za nadmiar pewności siebie. To nadal była broń o potężnej mocy. Jeśli cokolwiek było w stanie przebić jego niepokonaną zbroję, był to ten topór, a on nie miał zamiaru sprawdzać tej teorii.

Szedł dalej, coraz pewniejszy siebie. Wojownicy Chaosu i zwierzoludzie za jego plecami śpiewali głośno, pewni zwycięstwa. Arek zrozumiał jak bardzo lękali się Zabójcy w ciągu kilku ostatnich dni. Z pewnością widok krasnoluda wykonującego na murach swoją krwawą robotę znacznie podważył ich morale. Stał się symbolem upartego oporu miasta i był zabójczym mordercą budzącym przerażenie we wszystkich, którzy stanęli na jego drodze. Arek pomyślał, że to się zaraz

skończy. Nigdy nie przegrał walki z żadnym przeciwnikiem i nie zamierzał tego zmieniać.

Kroczył spokojnie naprzód postanawiając, gdzie wyceluje swój następny cios. Finta mieczem powinna zmylić przeciwnika i spowodować, że odsłoni się przed zabójczym ciosem topora. Zamierzył się prosto w głowę Zabójcy. Krasnolud przykucnął w ostatniej chwili i ostry jak brzytwa miecz Areka ściął spory fragment jego farbowanego grzebienia włosów. Kolejny cios, który miał wbić się w żebra krasnoluda i umieścić topór w jego sercu spotkał się z toporem Zabójcy. Posypały się iskry, gdy piekielna stal uderzyła w starożytny gwiazdny metal.

Arek pomyślał, że krasnolud okazał się lepszym wojownikiem, niż się tego spodziewał. Spokojnie cofnął się o krok i sprawował mieczem dwa błyskawiczne, potężne uderzenia.

Zabójca walczył wspierając się instynktem i odruchami, ale i tak był śmiertelnie niebezpieczny, jak osaczony wilk. Arek ucieszył się. Jego nieuniknione zwycięstwo okaże się jeszcze słodsze.

* * *

Felix przyglądał się pojedynekowi kątem oka. Obaj walczący poruszali się tak szybko, że trudno było doścignąć ich wzrokiem. Ich broń stanowiła tylko błyski światła, których uderzenia kończyły się iskrami i dzwonieniem stali o stal. To przypominało przyglądanie się bogom walczącym piorunami. Potem Felix skupił uwagę na zwierzoczłeku, który próbował ściąć mu głowę.

Felix uniknął ciosu i skoczył naprzód wbijając miecz w brzuch zwierzoczłeka. Ruchem nadgarstka skierował ostrze w górę szukając serca lub innego żywotnego organu. W gruncie rzeczy to nie miało większego znaczenia. Tak straszna rana musiała być śmiertelna, o ile nie działała magia. Z drugiej strony, upewnienie się, że wróg jest martwy mogło ocalić życie Felixa. Wielu rannych ludzi pociągnęło do piekła swoich przeciwników. Felix wolał tego uniknąć.

Cofnął się, gdy na zewnątrz trysnęła żółć z krwią i odwrócił w samą porę, by zablokować cios potężnego wojownika Chaosu uzbrojonego w kolczastą pałkę. Felix zauważył, że człowiek traci równowagę i wykorzystując to podciął go kopniakiem. Gdy wojownik wylądował na plecach, Felix opuścił miecz wbijając go przez szczelinę na oczy w hełmie wojownika. Trzasnęła kość i przez wizjer bluznęła gorąca krew.

Felix zauważył Snorriego i Bjorniego walczących obok siebie i usiłujących przebić się do Gotreka i wojownika Chaosu. Felix był pewien, że Gotrek nie podziękowałby im za wtrącenie się do jego walki, ale obecnie nie mógł się sprzeciwić. W końcu, wódz tej hordy stanowił nagrodę dla każdego Zabójcy. Śmierć w walce z nim byłaby cenną dla nich wszystkich zagładą. Prawdę mówiąc, Felix wolałby jej uniknąć, ale wiedział, że jeśli trzech Zabójcy polegną, zapewne podzieli ich los, o ile nie będzie miał nieprawdopodobnego szczęścia.

Zaryzykował jeszcze jeden rzut okiem na pojedynek. Zobaczył, że Gotrekowi nie szło zbyt dobrze.

Arek zdołał już ocenić swojego przeciwnika. Zabójca był szybki, a broń była potężna. Co więcej, dla zmienionych zmysłów Areka było jasne, że istnieje jakaś więź między krasnoludem a bronią. Dodawała mu siłę i żywotności w jakiś tajemniczy sposób. Domyślał się, że tak jak przypuszczali bliźniacy, z upływem lat, podczas których Zabójca nosił broń, ta odmieniła go, czyniąc silniejszym i znacznie wytrzymalszym niż normalnie byłby jakikolwiek krasnolud. Arek miał mnóstwo doświadczenia z takimi rodzajami broni. Chaos nagradzał nimi wielu z jego przeciwników.

Tylko, że nie była broń stworzona przez wyznawców Mrocznych Bogów. To było coś innego. Stworzyło ją coś starego i potężnego. Runy, który lśniły na ostrzu z gwiazdowego metalu wzmacniały

moc broni przyciągając do niej widoczne smugi magicznej energii, co dodawało jej ostrości i szybkości władającemu orężem. Co więcej, broń kipiała od złowróznej mocy, złowrogiej wobec Areka i całego jego rodzaju.

To nie miało zresztą znaczenia. Arek wiedział, że góruje nad krasnoludem. Żaden śmiertelnik nie mógł się równać z jego prędkością oraz sprytem, a pancerz i broń Areka były równie potężne, co należące do Zabójcy. Za kilka następnych uderzeń serca będzie spoglądał na zwłoki krasnoluda.

Znowu ruszył naprzód tnąc w dół swym mieczem i celując w głowę Zabójcy. Krasnolud odsunął się na bok nieco wolniej i Arek rozciął jego skroń. Jego topór znowu zderzył się z bronią Zabójcy, zmuszając krasnoluda do kolejnego kroku wstecz. Wkrótce znajdą się u wejścia do płonącego budynku i krasnolud nie będzie miał już dokąd się wycofać.

Arek widział szal i coś podobnego do strachu płonące w jedynym oku szalonego krasnoluda. Jego przeciwnik wiedział, że jest skazany na śmierć. Teraz stał się najbardziej niebezpieczny. Wkrótce krasnolud wykorzysta całą swoją siłę w ostatnim desperackim ataku. Arek skupił całą swoją uwagę na przeciwniku przygotowując się do nadejścia chwili ostatecznego zwycięstwa.

Był całkowicie zaskoczony, gdy poczuł coś uderzającego go tuż pod kolanem. Jego noga zaczęła się odsuwać. Usłyszał dobiegające z dołu zawołanie:

– Ten jest Bjorniego Bjornissona!

Spojrzał w dół i zobaczył gapiącego się na niego drugiego, odpychająco brzydkiego Zabójcę. Instynktownie rąbnął swoim mieczem. Kątem oka zauważył coś metalicznego, pokrytego groźnymi runami, mknącego ku jego głowie.

To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył. Gdy umierał, w jego umyśle zabłysło zrozumienie, że Lord Tzeentch spletał mu straszliwego figla.

Felixowi wydawało się, że wszystko stało się jednocześnie. W pierwszej chwili Arek stał triumfalnie gotowy zabić Gotreka jednym ciosem. W następnej, Snorri i Bjorni wpadli na wojownika zmieniając rozwój wypadków.

Bjorni uderzył wodza tuż pod lewym kolanem wytrącając go z równowagi. Jego broń odbiła się od zdobnego pancerza Chaosu, ale siła uderzenia wystarczyła, by zachwiać Arekiem.

W tym samym momencie Snorri rąbnął swoim młotem i toporem. Moc jego ciosów zaczęła przewracać wodza.

Mimo to, Arek nadal był śmiertelnie niebezpieczny. Gdy upadał, jego dzikie uderzenie rozbiło czaszkę biednego Bjorniego rozszechając na pół głowę krasnoluda. Felix zdążył zobaczyć jego zęby, mózg i czaszkę. Żałował, że los nie oszczędził mu tego widoku. W tym samym czasie wojownik obrócił się w prawo próbując trafić Snorriego swoim toporem. Zabójcy udało się zastawić oboma broniąmi, ale siła ciosu Areka rozbiła głowicę młota i rozorała trzonek topora, a potem rozcięła pierś Snorriego.

Na ten widok Gotrek zawył przekleństwo i uderzył swoim toporem. Potężne ostrze z gwiazdowego metalu świsnęło uderzając kołnierz pancerza Areka. Posypały się iskry. Runy na toporze zaślniły jasno jak miniaturowe słońca. Potem topór przebił się przez zbroję niczym nóż tnący spleśniały ser. Głowa Areka spadła z jego ramion, uderzyła o ziemię, odbiła się i potoczyła do stóp Felixa.

Porwany impulsem chwili, nie całkiem wiedząc, co robi, Felix podniósł hełm i uniósł go wysoko.

– Wasz wódz jest martwy! – krzyknął.

Krople czarnej krwi kapały z odrąbanej szyi Areka. W miejscu, gdzie upadały, śnieg skwierczał

i rozpuszczał się.

– Wasz wódz jest martwy!

Zwierzoludzie spojrzeli na niego i cofnęli się oszołomieni, jakby nie chcąc uwierzyć swoim oczom. Felix spojrział na Gotreka. Zabójca splunął z obrzydzeniem na pokryty czerwienią śnieg.

– Znowu okazuje się, że zostałem ograbiony z chwalebnej śmierci, człeczyno! – krzyknął, patrząc na Snorriego, jakby uważał drugiego krasnoluda za osobiście za to odpowiedzialnego. Snorri wzruszył ramionami, spojrział na pozostałości swojej broni i wolno pochylił się podnosząc topór Bjorniego.

– Nadal zostało mnóstwo zabijania, Gotreku Gurnissonie – powiedział cicho.

– Na Grumnira, tu masz rację! – powiedział Gotrek. Po tych słowach odwrócił się i runął na panikujących zwierzoludzi niczym pływak nurkujący do oceanu krwi.

Z początku powoli, a potem coraz szybciej wieść o upadku Areka dotarła do resztek armii Chaosu. Uciekający zwierzoludzie siali panikę i nieład wśród swych kamratów. Oni także przyłączyli się do ogólnej ucieczki, nie wiedząc dokładnie, co jest jej powodem. Pochłonięci walką obrońcy wyczuwając wreszcie prawdziwą zmianę swojego losu wrócili do walki z nową furją.

Widząc zwrot przebiegu bitwy, Księżę Enrik poprowadził pozostałe oddziały z wewnętrznej cytadeli, pomagając wypędzić mutanty i potwory z powrotem ku wyłomom w murach.

Po odejściu czarnoksiężników, zaklęcia wiążące energie mrocznej magii rozplatały się i zgasły. Demoniczne maszyny wojenne straciły moc i stały się nieruchomymi wrakami. Ostatni z szalejących demonów skurczyli się, zbledli i znikli w kłębach smrodu siarki.

Pod Bramą Gargulców, księżę i jego ludzie spotkali się z jeźdźcami Lodowej Królowej. Pośród otaczających ich zniszczeń przez chwilę salutowali sobie nawzajem, a potem powiedli swoje armie naprzód, by dokończyć pierwszego zwycięstwa w Drugiej Wielkiej Wojnie z Chaosem.